

ZDANIE

"Trzech na jednego"
Z MARIANEM KONIECZNYM

Zygmunt Bauman, REQUIEM DLA KOMUNIZMU | Krzysztof Kwaśniewski, POLITYKA HISTORYCZNA A "DWIE TRUMNY"
Zdzisław Sadowski, KRYZYS ŚWIATOWY I PRZYSZŁOŚĆ LEWICY | Józef Smaga, SIEWCY EWANGELICZNEJ PRAWDY

Olga Tokarczuk, A TERAZ UWAŻAJCIE!

3-4 (142-143) 2009



JERZY PIĄTKOWSKI

Siedząc na Pont des Arts

Myślę o pochodniach Amora festonach
i orłach rzymskich ... gałązkach lauru
- widzę przestrelone serca i kosze pełne kwiatów

Wieża Zegarowa z XV wieku stróżówka
w pałacu Kapetyngów ... posłużyła za więzienie
i tam czekano na ścięcie gilotyną

Biadolę ... bo nie lubię stylu empire
w którym utknął Paryż naśladować formuły
i ozdoby starożytne na rzeczach nowych

Szyje łabędzie zamieniają się w poręcze kanapy
Wielkie łby i potężne lwie łapy
zaczynają zdobić sprzęty
czerwono-czarny mahoń mówi o dostojności

Hieroglify zdobią szafy na książki
mieszają się motywy helleńskie z egipskimi
Rozpinają się baldachimy
i bufiaste kotary spływają na podłogę

Fałsz epoki przybiera nową szatę
Marmur zamienia się w gips
Szkło zaczyna imitować drogie kamienie

Karton łądzi najcenniejsze gatunki drzewa
przewartościowuje wdzięki porcelana
Tęsknota każe budować Łuk Triumfalny

Wszystko co powstaje ma być dodane
do monarszej wspaniałości

*Wiersze Jerzego Piątkowskiego ukazały się - w zniekształconej formie
- w poprzednim numerze. Drukujemy je ponownie we właściwym kształcie
merytorycznym i typograficznym. Autora i Czytelników przepraszamy. (red.)*

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

3–4 (142–143) 2009

OD REDAKTORA

W poprzednim numerze „Zdania” (1-2/2009) opublikowaliśmy fragmenty *Dziennika* prof. Andrzeja Walickiego, zawierające wnikliwe uwagi poczynione na marginesie książki jego przyjaciela z Oksfordu, prof. Zbigniewa Pełczyńskiego, zatytułowanej *Polska droga od komunizmu*. W tym numerze udostępniamy polskiemu czytelnikowi równie wnikliwy i prowokujący do przemyśleń artykuł prof. Zygmunta Baumanu *Requiem dla komunizmu*. Jego autor gości na naszych łamach po raz pierwszy, więc – wyrażając satysfakcję z tego powodu – zachęcam do lektury tego tekstu. Z przekonaniem mogę polecić wszystkie po-

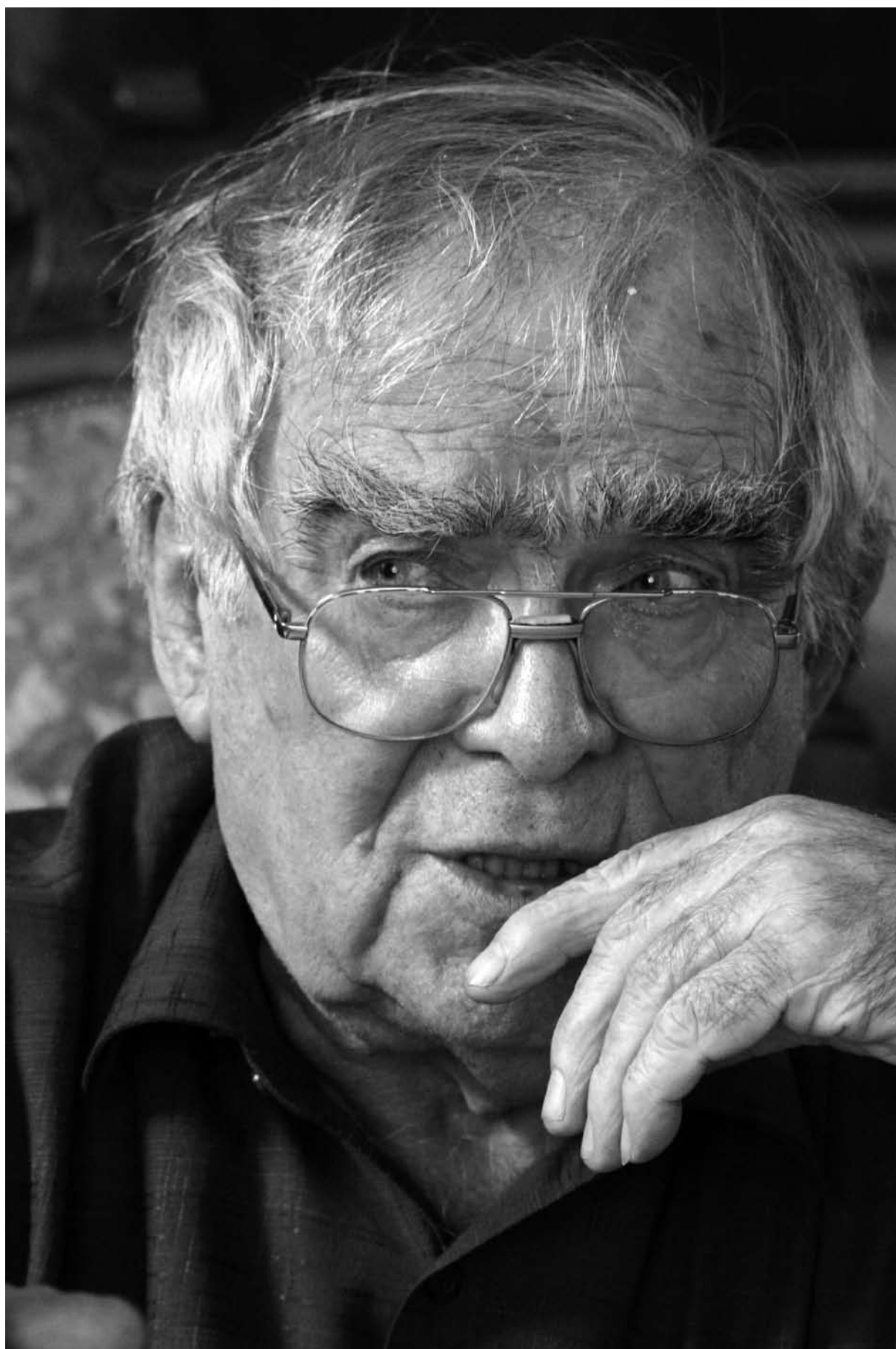
zostałe, w tym blok materiałów poświęconych Krakowowi jako metropolii - wymierny dorobek konferencji zorganizowanej na ten temat przez „Kuźnicę”.

Wśród autorów tego numeru są nazwiska znane i cenione nie tylko przez czytelników „Zdania”, jak również debiutanci, których witam na naszych łamach. Mamy zamiar również w przyszłości promować młodych badaczy, publicystów, poetów, prozaików i artystów, licząc w tym względzie na aprobatę i życzliwość Szanownych Państwa.

EDWARD CHUDZIŃSKI

MARIAN KONIECZNY LUBIĘ BYĆ „PRZY KRÓLU...” („Trzech na jednego”)	3
Zygmunt Bauman REQUIEM DLA KOMUNIZMU	12
Stanisław Kuziński KOMUNIZM I WOLNOŚĆ	17
Zdzisław Sadowski KRYZYS ŚWIATOWY I PRZYSZŁOŚĆ LEWICY	20
Henryk Domański OCENA KLASY POLITYCZNEJ W POLSCE	25
Krzysztof Kwaśniewski POLITYKA HISTORYCZNA A „DWIE TRUMNY”	28
Marcin Kula NO TO SIĘGNIJMY DO ŹRÓDEŁ	37
Janusz Tazbir SZANUJMY ŹRÓDŁA, ALE IM NIE WIERZMY	40
Marcin Popławski CZY KONIEC SYSTEMOWEJ UTOPII?	44
Hieronim Kubiak KRAKÓW JAKO METROPOLIA	47
Jacek Purchla METROPOLIA CZY PROWINCJA?	53
Tadeusz Trzmiel ROZWIJ METROPOLITANNY KRAKÓW	56
Andrzej Kurz DOJRZEWANIE DO METROPOLII	59
Leszek Polony KRAKÓW MUZYCZNĄ METROPOLIĄ?	67

Czesław Banach POLSKA SZKOŁA: WYZWANIA I OCZEKIWANIA	70
Olga Tokarczuk A TERAZ UWAŻAJCIE!	76
Janusz A. Majcherek WOJNA KULTUR ZAMIAST WALKI KLAS	78
Zbigniew Bauer ZAPISKI Z ŻYCIA HYBRYD	81
Rafał Skąpski MECENAS PILNIE POSZUKIWANY	85
Jan Pieszcachowicz KORNEL FILIPOWICZ W KRĘGU LEWICY	88
Henryk Chołaj PIĘKNO CZŁOWIEKA – WŁADYSŁAW MARKIEWICZ	95
Józef Smaga SIEWCY EWANGELICZNEJ PRAWDY	99
Bohdan Chwedeńczuk TAKO RZECZE WOLNIEWICZ, CZYLI O ANTYSEMITYZMIE	106
Joanna Miciak MEDIALNA TWARZ EMANCYPACJI	112
Ludwik Lewin WALEZY JAKO UBU	118
Krzysztof Komornicki NIEUDANE POCZĄTKI FRANKOFONII W RP	119
Jerzy Piekarczyk SŁUŻBY SPECJALNEJ TROSKI	122
Sceptyk POLSKA AFERAMI STOI	123



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

trzech na jednego

JEDEN:

MARIAN KONIECZNY

TRZECH:

EDWARD CHUDZIŃSKI

STEFAN CIEPŁY

FILIP RATKOWSKI

LUBIĘ BYĆ „PRZY KRÓLU...”

EDWARD CHUDZIŃSKI: Jest pan jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci w świecie sztuki polskiej doby współczesnej, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Dla artysty także dolegliwymi, o czym mógł się pan przekonać zwłaszcza po 1989 roku. Ale zacznijmy od czasów sielskich-anielskich...

MARIAN KONIECZNY: A ja chciałbym jednak na początek przytoczyć historię, jaka przydarzyła mi się z moim mistrzem Xawerym Dunikowskim. Byłem już chyba na piątym roku, kiedy w czasie wakacji zajrzałem do jego pracowni przy ulicy Helclów. Otwieram drzwi i widzę Dunikowskiego w ferszalungu. Mistrz robił właśnie jakieś detale do swojego pomnika żołnierzy do Olsztyna. Pokazał mi te reliefy i powiada: – Rzuć pan świeżym okiem, to zawsze się przyda... – Pokazuje mi

zarys postaci, tłumaczy z zapalem założenia pomnika, opowiada przez dobrych kilkanaście minut i wreszcie pyta: – Co pan na to? – Ja mówię – cóż ja mogę, kiedy pan profesor już tak się nachwalił?

CHUDZIŃSKI: Dość bezpośrednie relacje łączyły pana z mistrzem!

KONIECZNY: Tak. A Dunikowski popatrzył na mnie i odparł: – Jak pan sam się nie będzie chwalił, to kto pana pochwali? Koledzy? – Teraz wracam do mojej wsi rodzinnej – to Jasionów koło Brzozowa.

STEFAN CIEPŁY: Zawsze pan podkreśla swoje pochodzenie społeczne.

KONIECZNY: A dlaczego? Gdy byłem nastolatkiem, kuzyn dał mi książkę Pigionia *Z Komborni w świat*, a ta Kombornia, to tak przez górę 15 kilometrów na północ

i na zachód. W książce tej czuje się jego chłopskie kompleksy, a ja się urodziłem w innych czasach i nie mam już powodów z nimi się obnosić.

Do gimnazjum poszedłem 1 września w 1944 roku, od razu do trzeciej klasy, bo dwie pierwsze zrobiłem w naszym Jasionowie na tajnych kompletach. To paradoksalne, ale gdyby nie wojna i gdyby z Poznańskiego nie wysiedlono polskiej inteligencji, to u nas nie pojawiłby się tak wspaniali nauczyciele. Przed wojną w naszej jasionowskiej szkole były tylko cztery klasy, choć chodziło się siedem lat, bo taki był obowiązek szkolny! Jak wybuchła wojna, przybyło nauczycieli i można było od nich sporo się nauczyć poza oficjalną szkołą.

Ojciec miał kilka hektarów pola, był wójtem, a także działaczem Kasy Stefczyka. W 1938 roku jak parcelowano, za wykupem naturalnie, majątek w sąsiedniej wsi, ojciec dokupił ziemi i miał już dziesięć hektarów.

CHUDZIŃSKI: To jak na warunki galicyjskie, duże gospodarstwo...

KONIECZNY: A jego starszy brat poszedł do szkół i nawet skończył prawo. Mój ojciec był człowiekiem światłym, działał społecznie.

CHUDZIŃSKI: A z kim sympatyzował?

KONIECZNY: Oczywiście z kierownikami szkoły!

FILIP RATKOWSKI: A politycznie?

KONIECZNY: No właśnie mówię, że z BBWR-em!

CHUDZIŃSKI: Oto prawdziwa postawa „państwotwórcza”!

KONIECZNY: To prawda, był państwowcem. Pamiętam, jak mówił: – Wy, młodzi, musicie się angażować! Bo jak wy nie weźmiecie się za Polskę, to kto to zrobi? Ruscy? – A był to rok 1948. I wtedy przypomniał, że odrodzona w 1918 roku Polska niemal się rozlatywała, bo jedni do Sasa, drudzy do Lasa... Wreszcie Piłsudski zrobił porządek!

CHUDZIŃSKI: A kim była matka?

KONIECZNY: Bardzo religijna. Ojciec, gdy wyganiała go do kościoła, mówił: – Pójdę, pójdę, ale głębia nie ruszę! – Było nas ośmioro, ja byłem piąty. Jasionowska edukacja dała mi, jak się okazało, dobre podstawy. Nawet w krakowskim liceum plastycznym, gdzie trafiłem ostatecznie, byłem najlepszym matematykiem. Dawałem nawet kolegom lekcje i miałem z tego parę groszy.

CHUDZIŃSKI: Kto zaważył na wyborze liceum plastycznego?

KONIECZNY: Nauczycielka, pani Sanecka. Dała mi w piątej klasie do ręki *Historię żółtej ciżemki*, bo moje uzdolnienia były już widoczne. Matka też mnie wspierała kupując na prezenty kredki i papier... Jak wzorcowy Wawrusz pasałem krowy, oj, nie lubiłem ja tego, i rzeźbiłem sobie to i owo. Najpierw pastuszka, a potem to, co widziałem w kościele: grób wielkanocny, krucyfiksy, szopkę... W latach 60. docent Franciszek Kotulak, specjalista od sztuki ludowej Pogórza trafił do mojego ojca i tę szopkę wycygał. Ciekawe, czy nie stoi gdzieś w etnograficznych magazynach... A grób wielkanocny wydebił ode mnie Roman Cieślewicz, kolega szkolny urodzony zresztą tego samego dnia co ja. Po latach, w reportażu o pewnym znanym grafiku warszawskim, na zdjęciu z jego pracowni zobaczyłem tego Chrystusa. Widać on z kolei wycygał go od Cieślewicza.

CHUDZIŃSKI: I od początku upodobał pan sobie rzeźbę?

KONIECZNY: To był konkret! Może dlatego zawsze najbardziej chłopskim wydziałem na Akademii Sztuk Pięknych był wydział rzeźby. Bo rzeźba jest przedmiotem, rzeczą. I trzeba pokonywać opór materii, a biegłość manualna odgrywa wielką rolę. No i wrażliwość artystyczna, czyli zdolność widzenia i przetwarzania tego co się widzi w konkret.

RATKOWSKI: Czy pan wybrał Dunikowskiego jako mistrza, czy Dunikowski pana?

KONIECZNY: Dunikowski wybrał mnie. Zdawałem na rzeźbę, a byli tacy, co doradzali mi architekturę, bo to chleb pewniejszy. W trakcie egzaminu, który trwał cały tydzień, Dunikowski wpadał, rzucał okiem na nasze prace i po prostu na końcu zabrakł kilku osób do swojej pracowni, zostawiając resztę innym profesorom. Sprawa się rozstrzygnęła.

CIEPŁY: A tu przecież zaczynają się lata stalinowskie, powstaje ZMP.

KONIECZNY: U nas w liceum nie było jeszcze ZMP, ale kiedy zdałem na Akademię, to zapisałem się do ZAMP-u włączonego potem do ZMP. A w ogóle to w gimnazjum prefekt, ksiądz Koper zapisał nasz wszystkich do Sodalicii Mariańskiej. Mnie też! Ale cóż, trzeba było co tydzień chodzić na msze i do spowiedzi, a ja nie lubię się spowiadać. W końcu ksiądz mnie skreślił i za to z religii miałem tylko „dobrze”!

CHUDZIŃSKI: A na uczelni ZMP i socrealizm w sztuce!

KONIECZNY: Środowisko było rozpolitykowane. Zaczęło się od ZAMP-u. Szefem był Artymowski, w zarządzie zasiadali Andrzej Wajda, Konrad Nałęcz i Andrzej Wróblewski, bardzo sympatyczne towarzystwo. Zaangażowanym rektorem, choć bezpartyjnym, był Eibisch, który wprowadził do Akademii kapistów, a pozwaliał przedwojennych, takich jak Pautsch czy Wojciech Weiss, który potem wrócił na uczelnię. On pasował do tego, co wówczas nazywano „problemem realizmu”, nawet bez socjalistycznego przymiotnika.

CHUDZIŃSKI: I tak oto zbliżamy się do pańskiej decyzji o wyjeździe na studia do ZSRR.

KONIECZNY: Robiłem dyplom w 1954 roku i profesor Jacek Puget wspominał mi, że we Wrocławiu potrzebują kogoś młodego na asystenta. Więc pojechałem tam, nie umawiając się z nikim, ale akurat pechowo rektor wyjechał do Zakopanego. Minęliśmy się, więc wróciłem do Krakowa. Nie miałem żadnego pomysłu na dalsze życie, gdy dowiedziałem się, że przyszły stypendia na studia aspiranckie w Leningradzie. Trzeba było zdać egzamin z marksizmu, a ten przedmiot, teoretycznie obecny w programie studiów, jakoś mnie ominął. Gdy byłem na pierwszym roku, jeszcze go chyba nie było, a gdy byłem na piątym, to marksizm był na pierwszym. Tak samo ominęło mnie wojsko podczas studiów.

CHUDZIŃSKI: Poszczęściło się!

KONIECZNY: Poszczęściło? Zaraz, zaraz, teraz trzeba było zdać egzamin! Ministerstwo bardzo chciało, żeby ktoś na te studia pojechał, więc zorganizowano nam specjalny obóz dokształcający w Mikołajkach.

RATKOWSKI: Bardzo bolało?

KONIECZNY: Ależ skąd! Pogoda była piękna. Kazali nam czytać *Krótki kurs historii WKPb*, to była lektura usypiająca. Na egzaminie dostałem tylko jedno pytanie. I ostatnie: „Co było przedmiotem obrad



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

XIII Zjazdu Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii Bolszewików?” Oczywiście nie wiedziałem nic. Kompletnie. Lepiej mi poszło z rosyjskiego. Taka młoda dziewczyna z ministerstwa robi mi dyktando, a ja nie wiem, jak się pisze po rosyjsku „y”! Więc pytam, a ona mówi, że tak jak 61.

RATKOWSKI: Rzeczywiście.

KONIECZNY: No tak. I dała mi dostatecznie, ale z historii WKPb oblałem! Z wszystkich pięciu kandydatów zdał jeden tylko. To był kolega Wiesław Garboliński. Malarz. On zdał! Poprosili go więc do ministerstwa, żeby mu powiedzieć, że jedzie, a tu on oświadcza, że sam nie pojedzie! Nie ma mowy. Więc ministerstwo sprawę załatwiło tak, że i ja też pojechałem. Mój nowy promotor, który chciał poznać jak rzeźbię, dołączył mnie do piątego roku. Akurat robili studium portretowe. Skończyłem szybko i pojechałem na kilka dni do Krakowa, a jak wróciłem, to nowy kolega, sympatyczny Litwin od razu mi powiada: – Oj, będą kłopoty!

Zawezwał mnie szef wydziału, a zarazem promotor i powiada: – No cóż, pan jesteś artystą, wolnym człowiekiem. Ale wybrał pan naszą szkołę, a u nas rzeźbi się nieco inaczej, więc albo pan będzie pracował z nami, albo niech pan podziękuje. – Rozmawialiśmy otwarcie, jak kolega z kolegą. Przytoczył dowcip francuski, że nawet najpiękniejsza kobieta może dać tylko to, co ma... Nie miałem innego wyjścia jak spróbować ich sposobu interpretacji natury. Nie bardzo mi to odpowiadało, bo tam od pierwszego roku tłukli anatomię i wszystko musiało być z nią zgodne do ostatniego centymetra, a ja byłem ze szkoły Dunikowskiego, który mówił: – Rozebrać na czynniki pierwsze i złożyć w całość, harmonijnie. – Zrobiłem więc pracę w ich stylu, nawet nie przejmując się wiele, a pan profesor skomentował: – *U was prirodna obdarionnost' objoma*, czyli że mam wrodzony talent rzeźbiarza...

RATKOWSKI: A czy nie jest w tym coś na rzeczy?

KONIECZNY: Może i jest, ale po studiach w naszej Akademii inaczej już patrzyłem na ten „objom”.

W każdym razie studia tam stały się dla mnie doświadczeniem ważnym, bo było to zderzenie dwóch postaw wobec wartości artystycznych, a w sztuce nie ma jednorodnych kryteriów. Kryteria estetyczne kształtują się w określonych środowiskach i często wedle jednej szkoły rzecz jest dobra, a wedle innej knot.

RATKOWSKI: I dopiero z czasem okazuje się, jak to jest naprawdę.

KONIECZNY: Tak i to za 500 lat! A ja miałem lat 24. Żyjąc w jakimś środowisku, stykamy się z jakąś hierarchią wartości. I jeśli jedna hierarchia z drugą się nie zgadza, to zaczynamy sobie obie weryfikować. To, z czym przyjechałeś i to, co zastajesz w nowym miejscu. I tak powstaje bardziej dojrzała świadomość.

CHUDZIŃSKI: A jak przebiegał proces adaptacji? Spędził pan w Leningradzie cztery lata...

KONIECZNY: Mam sporą zdolność adaptacji. Szybko nauczyłem się języka...

CIEPŁY: To było rosyjskie środowisko czy różnicowane?

KONIECZNY: Bardzo różnicowane. Powiedziałbym „połnyj internacjonal”. Studenci pochodzili z wszystkich krajów demokracji ludowej, a aspirantów z innych krajów sobie nie przypominam. Było tam natomiast, w każdym razie na rzeźbie, wielu aspirantów z republik związkowych. W programie znalazło się wiele przedmiotów, m.in. filozofia, języki obce... Były też równoległe dwa programy – maksimum i minimum. Na maksimum trzeba było zrobić rzeźbę „dysertacyjną”, trzeba było mieć za sobą wystawę indywidualną, szereg innych znaczących prac. Minimum to była filozofia, język obcy i napisanie dwóch naukowych referatów, których temat zatwierdzała komisja wydziałowa. A jakże! Napisałem dwa referaty, dobrze zresztą przyjęte, bo stanowiły dla nich nowość. Jeden za temat miał ołtarz Wita Stwosza. Przeprowadziłem w nim analizę stylistyczną dzieła, opisałem historię, dostarczyłem masę zdjęć – dostatek je od Kolowcy, który przygotowywał na Wawelu, w trakcie konserwacji, album o ołtarzu. Drugi poświęco-

ny był rzeźbie monumentalnej Wiery Ignatiewny Muchiny. Tej od sierpa i młota...

Było nas tam obcokrajowców tylko dwóch, Garboliński i ja. Na początku była jeszcze Niemka, ale odpadła, bo nie nadążała. Miała trudności z opanowaniem rosyjskiego, choć mieliśmy znakomitą nauczycielkę. Ja ciągle ją o coś zagadywałem: dlaczego, po co? I dlatego znam gramatykę języka rosyjskiego, a o polskiej, przyznam ze wstydem, nie mam pojęcia! Przepaszam, znam też gramatykę łacińską. Panowie, do czwartej gimnazjalnej trzeba było to wykuć na blachę! Całe *consecutio temporum*! Pamiętam, jak profesor Bok, niedoszły jezuita, tą łaciną nas gnębił. Na końcu kazał mi przełożyć zdanie: „Powiadają, że Homer był ślepy”. Odpowiadam: – *Narrant Homerum caecum esse*. – „Był”! Wrzasnął profesor. – *Fuisse* – dodałem szybko.

CHUDZIŃSKI: Ale wracajmy do Petersburga.

KONIECZNY: Do Leningradu... A więc zdałem wszystkie egzaminy, zatańczyłem raz z taką ładną, oryginalną dziewczyną, brunetką. Bardzo dobrze tańczyła, ja też nieźle i tak jakoś się stało, że się pobraliśmy. Ponieważ żona kończyła studia o rok później, to się na ten rok zatrzymałem. Miałem zresztą dobre układy z moim promotorem Michałem Arkadiewiczem Kerzinem, który chciał mnie zatrudnić na uczelni... Na szczęście podpisałem wcześniej umowę z naszym ministerstwem, że po dobiegnięciu studiów aspiranckich to ono będzie mną dysponować... Spotkałem się potem z Michałem Arkadiewiczem, który żył sto lat, pod koniec 1978 roku, kiedy zostałem zaproszony na wręczenie mi dyplomu członkostwa honorowego Akademii Sztuki. Mimo że miał 98 lat, był niezwykle sprawny. Wyszedł na trybunę i bez kartki wygłosił ze 20 minut bardzo sensownego referatu. Zaprosił nas potem, mnie i żonę do domu i wtedy się przyznał, że on tak specjalnie rzeźbić nie umie, ale ma dobre pomysły i kiedy proponował mi posadkę, to brał pod uwagę moją biegłość w tej dziedzinie...

CHUDZIŃSKI: Proszę powiedzieć coś o poznanej tam żonie.

KONIECZNY: Miała egzotyczne, pół mołdawskie i pół cygańskie pochodzenie. Sama nie bardzo wiedziała, jakie miała korzenie, bo wychowywała się w domu dziecka w Tiraspolu nad Dniestrem. W wieku 6 lat straciła oboje rodziców, a to był rok wielkiej stalinowskiej czystki. W czasie wojny dom dziecka ewakuowano daleko na wschód i całą młodość spędziła w Irkucku. Potem przyjechała do Petersburga na studia. Kiedy byłem w Algierze i żona do mnie przyjechała, to okazało się, przy okazji jakiejś towarzyskiej rozmowy, że jej imię „Zagra” to imię tureckie „Zohra”. Niewykluczone więc, że pochodziła z besarabskich Turków, których na wybrzeżach Morza Czarnego było ze 300 tysięcy.

RATKOWSKI: Czy miała świadomość tych politycznych zaszczości?

KONIECZNY: Oczywiście, ale nie przyznawała się do tego! Dlaczego? Bo bywały osoby, które nawet w dowodach miały adnotacje, że pochodzą z rodzin represjonowanych. A ona miała na przykład napisane w papierach, że jest urodzona 7 listopada, w rocznicę rewolucji październikowej. Podejrzewam, że w tym domu dziecka wszystkie dzieci pod rząd przypisywano do takiej daty! Przy okazji przerobili jej imię na bardziej słowiańskie i wpisali Zagremma, ale wszyscy mówili

do niej „Zagra”. Jej nazwisko brzmiało Sakunowa i zapewne, urobione zostało na rosyjską modłę od jakiegoś Sakuna. Jak Izmailow czy Muchamedow... Z nazwiskami żona miała długo różne kłopoty. W urzędzie stanu cywilnego, zresztą w ostatnim momencie, zdecydowała się przyjąć nazwisko Konieczna. W transkrypcji francuskiej, przyjętej w radzieckich paszportach, wyglądało to „Konetchna” i potem w polskich hotelach, przez długi okres PRL-u nie chcieli nas zameldować razem! Musieliśmy brać dwa pokoje, ale w końcu, po kilku latach zmienili jej papiery na Konieczna...

CIEPŁY: Tak więc, w 1958 roku zaleźliście się oboje w Polsce. Jak środowisko przyjęło artystę po studiach w ZSRR?

KONIECZNY: Zostałem dobrze przyjęty, etat czekał. Dziekanem był Jacek Puget, a rektorem Czesław Rzepiński. Profesor Popławski potrzebował akurat adiunkta. W następnym roku zmarł nagle na serce i rada wydziału powierzyła mi samodzielne prowadzenie pracowni. Pewne problemy środowiskowe zaczęły się później, po pomniku Nike Warszawskiej...

RATKOWSKI: Poszła plotka, że wygrał profesor Bandura. Też z Krakowa.

KONIECZNY: Możliwe, bo bezpośrednio po rozstrzygnięciu pokazano prace nagrodzone nie ujawniając jeszcze nazwisk. Nie był to zresztą mój pierwszy konkurs, gdyż dziesięć lat wcześniej brałem udział w konkursie na pomnik Chopina. Z tego to konkursu pochodzi fontanna pod filharmonią, zaprojektowana przez Marię Jaremiankę. Mojej pracy nie rozpatrywano, bo nie spełniała warunków. Dałem rysunki na papierze niepodklejonym, a powinny być na twardym podłożu. Jacek Puget pisząc o plonie konkursu moją pracę uznał za coś nowego, ciekawego. Będąc jeszcze na studiach, w 1952 roku dostałem nagrodę w konkursie na pomnik oświęcimski... Zawsze interesowałem się pomnikami, a i w tradycji zawodu rzeźbiarza jest zapisane, że ukoronowaniem jego kariery jest stworzenie pomnika. Po wojnie pomników stawiało się sporo.

CIEPŁY: Ale prawdziwym, wielkim sukcesem stała się dopiero Nike!

KONIECZNY: I od razu pojawiły się kłopoty. Od konkursu do realizacji minęły prawie cztery lata, ale organizatorzy nie mogli się wycofać, bo w warunkach wstępnych wyraźnie było napisane, że pierwszą nagrodą jest realizacja dzieła!

CIEPŁY: Kto stał na czele jury?

KONIECZNY: Profesor Szczepkowski, zresztą kolega Dunikowskiego. Kiedyś przy okazji imienin mistrza, gdy jak zwykle spotykaliśmy się przy winie i serze w jego pracowni na Karmelickiej, zapytaliśmy o niego. – Szczepkowski? Ten sobie karierę wystrzelał na polowaniach! – I rzeczywiście, bo Szczepkowski miał doskonałe układy w sferach rządowych II Rzeczypospolitej, jako że był majorem legionów. Zresztą do legionów z Akademii Krakowskiej poszło wielu, w tym choćby późniejszy marszałek Rydz-Śmigły.

CHUDZIŃSKI: Jak wyglądały efekty finansowe konkursu warszawskiego?

KONIECZNY: Nagrody były równe, chyba po 15 tysięcy zł na każdego z 10 finalistów, ale na realizacji zarobiłem pół miliona. Stąd mam teraz ten dom, w którym rozmawiamy.

RATKOWSKI: Warszawska Nike wyrobiła panu nazwisko. Warszawiacy bardzo dobrze przyjęli ten pomnik.

KONIECZNY: Nie ukrywam, że cieszyłem się z tego. W założeniach ideowych, które trzeba było wyłożyć w dokumentach konkursowych, napisałem wyraźnie, że zamierzam stworzyć niejako nowy symbol Warszawy – tej, która przetrwała i zwyciężyła.

CIEPŁY: Ale to było nie tylko wydarzenie artystyczne. Miało ono swój ogromny wymiar społeczny. To był pierwszy poważny gest artystyczny, który uczcił powstanie warszawskie.

KONIECZNY: On został w procesie realizacji poważnie okrojony.

RATKOWSKI: Ocenzurowany?

KONIECZNY: Nie wiem, można to tak określić. W którymś z katalogów moich prac jest rysunek, jeden z wysłanych na konkurs. Widoczna jest fasada Teatru Wielkiego. Idąc w dół, miały pojawić się mury oporowe jako rzeźbiarskie interpretacje barykady. Jakie to miało być duże, widać przez porównanie z zaznaczoną sylwetką człowieka. Tytuł to oczywiście „Powstanie Warszawskie”. Potem jednak zmieniła się polityka. A to, że ostatecznie pomnik stanął, zawdzięczać chyba w znacznej mierze Lucjanowi Motyce. Znałem się z nim dość dobrze, prowadziliśmy otwarte rozmowy. Gdy był I sekretarzem KW partii w Krakowie, spotkałem go na Plantach. Pyta: – Co z pomnikiem, panie Marianie? – Nie wiem – powiadam – chyba go nie będzie. – A to ja porozmawiam. – Widać porozmawiał z Cyraniewiczem, wówczas premierem.

Wkrótce rzeczywiście zostałem zaproszony do premiera. – Zrobił pan projekt pomnika, który będzie największy w Warszawie, a nawet w całej Polsce. A nam nie o to chodzi. Teraz jest inna sytuacja polityczna, ale zebrano ponad 7 mln zł na ten pomnik i trzeba narodowi dać satysfakcję. Tak więc pomnik stanie, ale niech pan się skupi nad samą Nike. To będzie nawet zgodne z tym, co pan napisał w założeniach, żeby pomnik zapadał w pamięć, jak kolumna Zygmunta... Niech pan zrobi kilka projektów tej postaci. – Zrobiłem cztery i on w końcu jedną wybrał. Wcześniej zebrało się kilku polityków, choć bez Gomułki. Dwóch miało coś do powiedzenia: Kliszko, który zajmował się kulturą i Spychalski, bo był z wykształcenia architektem. Kliszko, dokładnie pamiętam, wygłaszał jakieś grafomańskie teksty w rodzaju: „Jak Wenus z morskiej piany, tak nasza Nike rodzi się z granitu”. Wszyscy mieli jakieś uwagi – własne widzenie pomnika, ale stanęło na tym, że to mój projekt i ja się pod pomnikiem podpiszę.

CHUDZIŃSKI: A potem przyszły realizacje, które zdefiniowały pana, przynajmniej dla sporej części odbiorców sztuki w Polsce. Lenin w Nowej Hucie i pomnik walk rewolucyjnych w Rzeszowie.

KONIECZNY: To też były konkursy, które wygrałem! Przecież na pomnik Lenina w 1970 roku przyszło blisko 80 prac, niektórzy koledzy robili nawet po dwa projekty! Tego pomnika przecież się nie wypieram. Głupio by było... Na pomnik w Rzeszowie też był konkurs, jednak ograniczony do rzeźbiarzy, którzy pochodzili z tamtego terenu. Sekretarz KW Kruczek zabiegał jak umiał o rozwój regionu, organizował spotkania ludzi stamtąd się wywodzących, obwoził nas po całym województwie... Poznałem wówczas wielu dzienni-

karzy, profesorów. Mój projekt spodobał się i pomnik stoi, choć teraz są zakusy, żeby go usunąć, bo – jak się okazało – stoi na kościelnym gruncie. Ze dwa razy przyjeżdżał do mnie fardo z propozycją, żebym podpisał zgodę na zburzenie... Co za bezczelność!

CHUDZIŃSKI: Czy projektom tych pomników towarzyszyły jakieś motywacje ideowe? Co łączyło wówczas pana z polityką, z aparatem władzy?

KONIECZNY: Z nikim z aparatu władzy wtedy się nie znałem. Józefa Klasy wtedy jeszcze nie było w Krakowie, a z Domagałą nic mnie nie łączyło. Tylko z Władysławem Lorancem, wówczas kierownikiem Wydziału Kultury KW miałem kontakty czysto prywatne. A kiedy Klasa nastał w Krakowie, powiedział coś takiego: skoro znów zmieniły się czasy, to może ten Lenin z wcześniejszego konkursu też powinien być inny?

RATKOWSKI: Ale ten Lenin, mocno krytykowany, coś miał w sobie! Hutnicy powiadali, że „wypił całe piwo w Stylowej i idzie do Arkadii”. Na pewno mimowolnie oddawali sprawiedliwość rzeźbiarzowi, który zrobił pomnik nietuzinkowy.

CIEPŁY: Czy to była świadoma decyzja, żeby właśnie Lenina zrobić? Przecież mógł pan w tym konkursie nie startować...

KONIECZNY: A pewnie, że mogłem. Ale ja startowałem w każdym konkursie. W tych czasach wielu intelektualistów należało do partii.

CHUDZIŃSKI: A pan kiedy wstąpił do PZPR?

KONIECZNY: Jako kandydat wstąpiłem w październiku 1953 roku, kiedy w ruchu komunistycznym rzeczywiście było wielu intelektualistów i twórców światowego formatu, choćby Picasso. Potem pojechałem na stypendium do Leningradu i to moje kandydowanie przeciągnęło się do 1957 roku. Garboliński, który mnie do partii rekomendował, powiedział: – No, Marian, teraz możesz się, bez przykrych konsekwencji, wycofać. – A ja na to – Teraz to akurat nie! I do końca zostałem w partii, chociaż nigdy w ideały komunizmu nie wierzyłem, bo dawanie każdemu wedle potrzeb to czysta utopia! Natomiast przy ojcu wychowałem się na państwowca. I nie ukrywam, że lubię być „przy królu”...

CHUDZIŃSKI: Czy z tego wzięło się zamiłowanie do monumentów historycznych?

KONIECZNY: Nie tylko z tego. Robię królów, gdy takie mam zamówienie. Teraz na przykład tworzę duże popiersie – pomnik Kazimierza Wielkiego dla szkoły w Brzozowie. To robię zresztą w „czynnie społecznym”, na 100-lecie szkoły. Pani dyrektor dyskretnie przypomniała mi, że jestem jednym ze znaczących absolwentów...

CIEPŁY: Inny monument historyczny, Kościusko stoi w Filadelfii w USA...

CHUDZIŃSKI: Czy to była jakaś odskocznia od Lenina?

KONIECZNY: Nie, to był po prostu kolejny konkurs!

CHUDZIŃSKI: Czyli pańska droga twórcza prowadzi od konkursu do konkursu?

KONIECZNY: W zasadzie tak! Na zlecenie zrobiłem właściwie niewiele: papieża do Lichenia, do Bytowa i w Leżajsku.

CHUDZIŃSKI: Do Dźwigaja panu daleko...

KONIECZNY: No, Dźwigaj ma ich już około siedemdziesięciu.



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

CIEPŁY: Z tego 28 identycznych, z tej samej formy...

RATKOWSKI: A Filadelfia?

KONIECZNY: To ciekawa historia. W 1976 roku Amerykanie obchodzili 200-lecie Stanów Zjednoczonych. Towarzysz Gierek zapragnął z tej okazji podarować im pomnik – Dar Narodu Polskiego. Zaproszono do konkursu kilku rzeźbiarzy, wybrano moją pracę.

RATKOWSKI: Znowu Koniecznego!

KONIECZNY: No właśnie, znowu Koniecznego. Odlano nawet projekt w brązie, odbyła się specjalna uroczystość w Sejmie wręczenia ambasadorowi USA tej statuetki. Pan ambasador zaprosił wszystkich 4 lipca do swojej rezydencji i pyta mnie w pewnym momencie: – Panie profesorze, a skąd pan wiedział, że Kościuszkę trzeba robić stojącego, a nie na koniu? – Mówię: – nie wiem! Po prostu tak jakoś mi wyszedł... – A wie pan – powiada ambasador – że wedle tradycji anglosaskiej na koniu robi się tego, który zginął w boju. Dlatego Pułaski w Waszyngtonie jest na koniu, a Kościuszko stojący... – Pierwszy raz w życiu wtedy o tym usłyszałem...

CHUDZIŃSKI: Intuicja pana nie zawiodła.

KONIECZNY: Udało się, ale potem zrodził się problem, gdzie go postawić.

RATKOWSKI: Powinien stanąć na Greenpointe!

KONIECZNY: No właśnie! Ale był jeszcze drugi kolega, który wygrał konkurs na pomnik Pułaskiego. Nawiasem mówiąc, też go nie posadził na koniu... No i pojechaliśmy do USA szukać miejsca, gdzie te monumenty postawić. Byliśmy w Nowym Jorku, Buffalo, gdzie rządili Polacy, a majorem był pan Makowski, który po polsku mówił tylko „dzień dobry” i „do widze-

nia”. Ale pani Makowska mówiła po polsku swobodnie, tyle że gwarą podhalańską. Zwiedziliśmy jeszcze kilka innych miejscowości, ale jak dotarliśmy do Filadelfii, miasta związanego z Kościuszką, które nawiasem mówiąc było pierwszą stolicą Stanów Zjednoczonych, architekt miejski przyjął nas i powiada: – No dobrze, skoro zrobił pan pomnik, to niech pan sobie wybierze miejsce! –Rzecz u nas niesłychana!

CHUDZIŃSKI: Żadnych narodowych plebiscytów ani komitetów protestacyjnych?

KONIECZNY: Przyznałem się, że nie znam miasta. A ten powiada: – Nie szkodzi! – Zadzwoń, przysły dwie sympatyczne urzędniczki, zabrały mnie do cadiłaca długiego jak stąd do sąsiedniego budynku i zaczęliśmy zwiedzać miasto. Sama Filadelfia w porównaniu z innymi miastami Ameryki jest bardzo europejska. Zabytkowa architektura, coś, co przypomina Champs-Élysées, wielka katedra, w której wówczas urzędował jeszcze kardynał Król. Przy tej katedrze stał już pomnik poświęcony Kopernikowi. – Czy tutaj mógłby też stanąć mój Kościuszko? – pytam. – A proszę bardzo – odpowiadają panienki. Wróciliśmy do pana architekta, ten spojrzał na mapę i powiada: – OK! Co panu jest teraz potrzebne? – Podkłady geodezyjne, żeby sprawdzić, co jest pod spodem: jakieś rury czy kable... – I przysłali mi to wszystko do Krakowa. Jedyny problem, jaki miałem, dotyczył przeliczania miar, bo wszystko było w jardach i stopach.

CIEPŁY: A pomnik powstał tu?

KONIECZNY: Oczywiście. Tu w mojej pracowni, tylko odlew robiony był oczywiście w Gliwicach.

RATKOWSKI: To zakład wielce zasłużony dla polskiej kultury, także dla pomnika grunwaldzkiego!

KONIECZNY: Pierwszy podjął sprawę profesor Zin. Przyniósł mi do pracowni rysunki przygotowane na podstawie zdjęć, tak zwane „fotogrametryczne”. Teoretycznie idealne, ale gdy tylko na nie spojrzałem, coś mi się nie podobało. Jakies inne proporcje. Ale pewnego razu do Zina odezwał się kolega architekt z Paryża, a tam do końca lat 50. żył jeden z twórców pomnika, Franciszek Black. I okazało się, że jego córka przechowała dokumentację. Pojechaliśmy do tej pani, by pokazała nam model pomnika. Proporcje miał jakieś zwichrowane, a ponadto był dość nieporadnie rzeźbiony. Podejrzewam, że gdy Black dowiedział się, że pomnik został zburzony przez Niemców, to próbował go sobie odtworzyć. Starsza pani chciała za ten model 3 tys. dolarów, bo miała wystawić ojcu porządną nagrobek. Zgodziliśmy się, a prezydent Krakowa Jerzy Pękała taką sumę zaakceptował. Buszując po tej pracowni znalazłem za szafą plik kartonów. Na jednym z nich był zarys fasady bocznej pomnika i jego rozmiary – wysokość i szerokość. Gdy wróciliśmy do Krakowa okazało się, że wymiar podstawy zgadza się z istniejącym jeszcze w terenie fundamentem, więc i wysokość powinna być prawidłowa. W dodatku koło Collegium Paderevianum znajdowały się autentyczne bloki kamienne z pomnika porzucone jeszcze przez Niemców... I niektóre z nich leżą tam do tej pory, a inne znajdują się w zrekonstruowanym pomniku.

Odnaleziono także w piwnicach Muzeum Narodowego w Krakowie, gdzie podobno były przez okres okupacji zamurowane, autentyczne tablice, zachowała się też głowa księcia Witolda. Inna rzecz, że jej nie udało się wykorzystać, bo była rzeźbiona dość powierzchownie. Autorzy to byli przecież młodzi ludzie, robili to w ogromnym pośpiechu... Paderewski wpadł na pomysł budowy tego pomnika, gdy na jakimś przyjęciu w Paryżu, gdzie byli także polscy studenci, poznał Wiwulskiego. Decyzja zapadła nagle. Wiwulski zabrał się do roboty, a czasu było niewiele, bo rocznica gonili. Gdy oficjalnie odsłaniano pomnik, to koń, ten na górze był jeszcze gipsowy i tylko pomalowany!

Z tyłu pomnika jest postać chłopca rozrywającego kajdany. Ludzie, którzy pamiętają pomnik sprzed wojny twierdzą, że był tam chłop-oracz za pługiem. Kiedy został zmieniony? Na zdjęciach z otwarcia jest chłop, jak ten, którego ja zrobiłem. Nie identyczny, ale z takim właśnie gestem. Próbował dojść prawdy Andrzej Urbańczyk. Szukał i szperał w archiwach, ale niczego nie znalazł. Zdecydowałem się wrócić do pierwowzoru.

CHUDZIŃSKI: A ogromny pomnik w Algierii to wynik zamówienia czy konkursu?

KONIECZNY: To też był konkurs, tyle że zamknięty. I nawet nie wiem, kto był do niego zaproszony, bo organizatorzy trzymali to w tajemnicy. Wiem jednak, że konkurs miał charakter międzynarodowy. Brała w nim udział także cała czołówka rzeźbiarzy algierskich.

Problem pomnika zaczyna się od założeń ideowych. Potem trzeba tym założeniom dać wyraz plastyczny – rzeźbiarski, architektoniczny... Algierczycy niczego wcześniej nie dali na piśmie. Dopiero jak przyjechałem na miejsce, to dyrektor urzędu prezydenta, zresztą bardzo inteligentny major, absolwent radzieckiej szkoły wojskowej znakomicie mówiący po rosyjsku, wyłożył mi, o co chodzi. Mieli właśnie dwudziestą rocznicę wolnej Algierii i szukali jakiegoś znaku czy symbolu.

Czegoś takiego jak Statua Wolności w Nowym Jorku lub paryska wieża Eiffla... Pytam: – Gdzie to ma stać? – Odpowiada: – Nie wiem! Poszukamy! – Długo jeździliśmy po Algierze i wreszcie trafiliśmy na miejsce, gdzie stała wysoka wieża radiolokacyjna. Pytam, czy to ma być pomnik ze dwa razy wyższy? A on na to, że trzy, cztery razy wyższy! No i już wiedziałem, o co im chodzi. Ten pomnik rzeczywiście stał się symbolem Algieru. Stoi w najwyższym punkcie miasta i jest widoczny z odległości 80 kilometrów. Przyjął się jak warszawska Nike, a może nawet bardziej, i stał się herbem miasta. Malują go na przykład na taksówkach.

RATKOWSKI: To ogromna satysfakcja dla rzeźbiarza.

KONIECZNY: Także największy nominal banknotów, 200 dinarów, też ma wdrukowany ten pomnik.

RATKOWSKI: Dużo wysiłku kosztował pana ten pomnik.

KONIECZNY: Nieźle się namęczyłem. Szukałem dobrej formy, która mogłaby utrzymać taką wysokość. Wieży Eiffla powtórzyć nie mogłem, a potrzebna była dobra konstrukcja. Gdy zapadła decyzja, że będę to robił, zamknęli mnie w ładnej tureckiej willi z pięknym ogrodem, palmami i cyprysami...

RATKOWSKI: A hurysy były?

KONIECZNY: Broń Boże! Miałem tylko pomocnika, który dostarczał mi co trzeba – papier, glinę czy gips. Przychodził mój major i zaglądał premier, bo bardzo interesował się postępem prac. Kombinowałem z liśćmi palmowymi. Zaczęła się dyskusja ile ma ich być. Ostatecznie stanęło na trzech symbolizujących potrójną rewolucję – kulturalną, agrarną i industrialną. Potem był jeszcze problem rzeźb. Po długich dyskusjach skończyło się na tym, że sprowadziłem z Polski sześciu moich uczniów i w ciągu kilku tygodni zrobiliśmy trzy duże postacie o wysokości ponad 7 metrów. Z gipsu oczywiście. Z odlewami były kłopoty. Udało się jednak znaleźć na miejscu odlewnię, w której nasi fachowcy z Gliwic dokonali odlewów i zamontowali je na pomniku.

CHUDZIŃSKI: Jak pan sądzi – dlaczego do dziś pański pomnik Wyspiańskiego nie może znaleźć w Krakowie godnego miejsca?

KONIECZNY: Z Wyspiańskim to jakieś fatum! Przecież już w 1927 roku była uchwała miasta Krakowa o upamiętnieniu Wyspiańskiego pomnikiem. W 1947 był rok Wyspiańskiego i też mówiono o pomniku. W 1977 roku przy okazji kolejnej rocznicy znów nic nie wyszło. A teraz mamy pomnik na wygnaniu. Chyba jest jakiś zapis, tam na górze, na Wyspiańskiego. I na mnie też. Jakiś rok temu prezydent Majchrowski zapytał mnie, czy zachowałem makietę placu Szczepańskiego z pomnikiem? Odpowiedziałem twierdząco. I znów nic. W swoim czasie mówiono, że nie wolno tam stawiać pomnika, bo są gdzieś fundamenty zabytkowego kościoła Św. Szczepana. I wtedy wymyślili, że mój pomnik postawią przed Muzeum Narodowym.

RATKOWSKI: I czwarty wieszcz robi za parkingowego!

KONIECZNY: To kiepskie miejsce. A pomnikowi przydarzyło się jeszcze jedno nieszczęście, bo jego losy rozgrywały się w stanie wojennym, ja wtedy większość czasu spędzałem w Algierii i po trosze także w Kanadzie.

CHUDZIŃSKI: To algierskie zaangażowanie spowodowało, że w latach 80. i 90. praktycznie zniknął pan z polskiego życia artystycznego?

KONIECZNY: Przez sześć lat miałem dużo realizacji w Algierii, ale nie rezydowałem tam stale. Projekt pomnika Witosa zrobiłem w Krakowie. Termin złożenia prac konkursowych wyznaczony został na kwiecień 1984 r. Ponieważ wyjechałem znowu z kraju, poprosiłem syna, żeby wysłał projekt. Wybrano trzy prace równorzędne ze wskazaniem mojego projektu do realizacji. Można wyobrazić sobie miny jurorów, kiedy po otwarciu kopert okazało się, że wybrany projekt jest mojego autorstwa.

CHUDZIŃSKI: Koledzy myśleli, że siedzi pan za granicą i mają konkurenta z głowy, a tymczasem... Proszę jednak wyjaśnić, jak to się dzieje, że artysta uważany za pieszczocha reżimu i czołowego rzeźbiarza PRL-u, w III RP odnajduje się jako twórca pomników papieża? Zwraca się do pana Licheń...

KONIECZNY: Nie Licheń, tylko Grzegorz Tuderek, prezes Budimexu, który tę świątynię budował i w ogromnej mierze fundował.

CIEPŁY: Ta świątynia jest atakowana za efekciarstwo, nadmierny monumentalizm...

KONIECZNY: No cóż, architektura tej bazyliki jest dość nietypowa, ale w sumie jest to coś niezwykłego, a wykonawstwo na najwyższy gwizd. Inny mój papież stoi w Bytowie. Zadzwoił do mnie w tej sprawie szef miejscowego Wydziału Architektury. Cóż, pomnik jest zawsze pomnikiem i dla rzeźbiarza stanowi ciekawe wyzwanie.

CHUDZIŃSKI: A ten ostatni sukces? Wjazd Kaziemierza Jagiellończyka do Gdańska?

KONIECZNY: Dostałem pierwszą nagrodę w konkursie ogólnopolskim. Zadanie nie było łatwe. Zgłosiło się 50 zainteresowanych artystów, jednak ostatecznie projektów nadesłano tylko 13. To miał być orszak i, co więcej, umiejscowiony na konkretnym placu między dwoma bramami. Rzeźby są nieco powyżej naturalnej wielkości, król na koniu, trzech rycerzy i dwie postacie witających mieszczan...

CHUDZIŃSKI: To było w 2009 roku? Co z realizacją?

KONIECZNY: Nagrodę, owszem, wypłacili, ale od tego czasu cisza. Ja się nie dowiaduję.

CHUDZIŃSKI: Ma pan też na koncie liczne mniejsze pomniki: Penderecki, Swinarski... Czy to wynik pańskich osobistych zainteresowań?

KONIECZNY: To przede wszystkim rezultat konkretnych zamówień. Swinarskiego zamówił Stary Teatr, jeszcze pod kierownictwem Jana Pawła Gawlika, a Pendereckiego zamówił dyrektor Filharmonii Bydgoskiej. Tam, we foyer, jest cała galeria wielkich postaci muzyki polskiej robionych przez różnych rzeźbiarzy.

CIEPŁY: Tu trzeba odnotować, że w 2000 roku otrzymał pan Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski...

KONIECZNY: Dostałem, owszem!

RATKOWSKI: A robił pan profesor prezydenta Kwaśniewskiego?

KONIECZNY: Nie... O, przepraszam, robiłem!

RATKOWSKI: Przed czy po przyznaniu odznaczenia?

KONIECZNY: Po. Chyba po... Przyszedł do mnie znowu Grzegorz Tuderek z sugestią, żebym mu pomógł wykombinować coś na imieniny Aleksandra i przyniósł ze sobą album ze zdjęciami Kwaśniewskiego, który dostali wszyscy członkowie jego Komitetu Honorowego przed wyborami. Ja zresztą też taki mam. Podczas przeglądania zwróciła naszą uwagę fotografia Kwaśniewskiego z kortu tenisowego. Zrobiłem więc statuetkę – „tenisistę”. Nawet podobny...

CHUDZIŃSKI: I tu aż się prosi, by przejść do ostatecznego tematu: artysta w świecie polityki...

KONIECZNY: W 1996 roku Rene Nowak mnie namówił na retrospektywną wystawę w Pałacu Sztuki. Nie dość, że mnie to dużo kosztowało, bo dawniej takie placówki dawały artystom przestrzeń za darmo, a teraz trzeba za to płacić, to jeszcze musiałem bardzo się przy tym napracować szukając eksponatów. Rene Nowak zrobił *Księgę pamiątkową*, do której wpisywali uwagi zwiedzający, a na jej okładkę trafiła moja praca z cyklu Dedal i Ikar. Na postumencie tej rzeźby jest utrwalony cytat z Owidiusza: *Omnia possidet, non possidet aera Minos*. I ktoś, pewnie z miłych kolegów, wpisał: „*Omnia posiadał w PRL-u*”. Trudno o większą głupotę. Wcale mnie władza nie rozpieszczała, bo na przykład minister Wroński od kultury, podobnie Tadeusz Kielan z KC mieli swojego pupila... Kielczanie chcieli realizować mój pomnik pomyślany na 1000-lecie państwa polskiego, rzecz formistyczną, postać Prometeusza. Ostatecznie żadnego nie wybrano. Wtedy kielecki sekretarz partii Zarajczyk zaprosił mnie i powiedział: – Oj panie profesorze, coś tam pana w Warszawie nie lubią...

CIEPŁY: Ale liczba realizacji pańskich projektów zdaje się wskazywać, że to jednak pan miał najlepsze układy w KC.

KONIECZNY: Trudno przeliczać wygrane konkursy, które były przecież anonimowe. A styl artysty nie jest też tak łatwo rozpoznawalny. Nie raz i nie dwa moje zwycięstwa były zaskoczeniem nawet dla znawców.

CHUDZIŃSKI: A kto namówił pana do posłowania? Był pan przecież posłem przez dwie kadencje i to nawet wtedy, kiedy przebywał głównie za granicą – w Algierii i Kanadzie?

KONIECZNY: To się wpisuje w system w PRL-u. Byłem już profesorem, rektorem, człowiekiem łatwym do zidentyfikowania. A w Krakowie utrwaliła się tradycja, że przewodniczącym Frontu Jedności Narodu był każdorazowo rektor UJ – najpierw Klimaszewski, potem Karaś. I właśnie Karaś nagle zmarł. Na jego miejsce potrzebny był ktoś rozpoznawalny. Wtedy Wit Drajch zaproponował mi tę funkcję. Zastrzegłem się, że nie mam czasu, ale obiecali, że znajdą się tam ludzie do pomocy. I rzeczywiście gdy było trzeba, pomagali. Przewodniczący FJN to nie była specjalnie ważna funkcja, ale coś tam można było zdziałać i nigdy nie wykreślałem jej ze swojego życiorysu. A potem poszło już automatycznie. – Będziecie towarzyszyć posłom. – Sejm był przedstawicielski, budowany wedle klucza: tyłu a tyłu robotników, ileś kobiet, paru lekarzy i...

RATKOWSKI: I kilku artystów...

KONIECZNY: A jakże! Był Gustaw Holoubek, potem był Jurek Trela... A dla odmiany członkiem KC był

Tadeusz Łomnicki. Wszystko wielkie, znane nazwiska.

CHUDZIŃSKI: **Panie profesorze, które z określeń, jakie pojawiają się przy pańskim nazwisku: twórca partyjny, zaangażowany bezprzymiotnikowy jest panu najbliższe?**

KONIECZNY: Mój Boże, mówiliśmy o tym, że mam w sobie bakcyła państwowotwórczego, którego przejąłem po moich przodkach. A partyjnych twórców było wielu, ale akurat mnie to wypominają.

RATKOWSKI: **Bo pana widać i ma pan określone dokonania.**

KONIECZNY: A mam. I wcale się nie dziwię, że atakują akurat mnie. Arcybiskup Życiński powiedział w telewizji, po śmierci papieża, że jego pomniki powinni stawiać nie ci, którzy tworzyli w PRL-u. A ja powinienem mu przypomnieć starą anegdotę o Styce, który malował Golgotę i Chrystusa ukrzyżowanego na kolanach. Wtedy usłyszał głos z góry: – Ty nie maluj mnie na kolanach, ty maluj mnie dobrze!

RATKOWSKI: **Kto dziś pamięta, jakie poglądy miał Michał Anioł albo twórca pomnika Sforzy we Florencji? Rzeźbiarz monumentalista skazany jest z natury rzeczy na stały flirt z klientem, który pomnik zamawia.**

KONIECZNY: Czasem klient krzywi się na formalną stronę dzieła i woli, żeby stało na placu coś, co jemu osobiście się podoba. W PRL-u wielkich ograniczeń nie było i na pewno plastyków, poza okresem stalinowskim, nikt za poglądy nie gnębił.

CIEPŁY: **Czy ma pan poczucie odrzucenia?**

KONIECZNY: Trudno mówić o odrzuceniu, kiedy właśnie wygrałem kolejny konkurs. Czasami słyszę, jak w Poznaniu, gdzie wygrałem kolejny konkurs, że interweniował miejscowy polityk: „Znowu Konieczny? To już nie ma miejscowych?” W PRL-u było to nie do pomyślenia. Związek Plastyków był organizacją, przed którą ministerstwo kultury, a nawet partyjni działacze trzęśli portkami. Literaci kłopoty robili, pisali listy, które cytowała Wolna Europa... Dlatego środowiska artystyczne budziły respekt. A i tak w ostatecznym rozrachunku liczy się sztuka.

RATKOWSKI: **Ten pański tak krytykowany Lenin, dziś w szwedzkim parku, bardzo się różni od figur wodza stawianych w niegdysiejszym ZSRR.**

KONIECZNY: Ten pomnik miał charakter. I też wygrał konkurs. Zresztą dzisiejsze konkursy są jeszcze trudniejsze i mniej sprawiedliwe. Unijne przepisy są koszmarnie! Żeby cokolwiek załatwić, musiałem nie tylko wypełnić ze sześć formularzy, ale jeszcze dostarczyć ksero dyplomu, udowodnić, że jestem rzeźbiarzem! Mam jeszcze kilka kserokopii w zapasie, na wszelki wypadek. Ogłoszono na przykład konkurs na pomnik Bolesława Wstydlwego. W założeniach napisali, że ma być realistyczny. I nagle konkurs unieważnili. Nikomu z 30 autorów prac nie powiedzieli nawet „pocałujcie nas w dupę!”

CHUDZIŃSKI: **Jaki jest pański stosunek do rzeźby niefiguracywnej?**

KONIECZNY: Mój pierwszy projekt pomnika też nie był figuralny. Ale w jakimś momencie doszedłem do wniosku, że człowiek jest najważniejszym elementem rzeźby i to trzeba wyrazić. Wszystkie usi-

łowania abstrakcyjne są wieloznaczne i szybko się starzeją, bo tak naprawdę nic nie mówią.

CHUDZIŃSKI: **Nie są świadectwem czasu? Pańscy przeciwnicy mówią, że realistyczna rzeźba monumentalna nie zmieniła się od XIX wieku, a przecież wiek XIX i XXI to dwa całkowicie różne światy!**

KONIECZNY: Między Egiptem starożytnym a współczesnością odległość jest jeszcze większa, jednak rzeźba egipska działa na nas chyba jeszcze silniej niż sztuka współczesna.

RATKOWSKI: **Rzeźba prekolumbijska w Ameryce zmierzała niekiedy bardzo wyraźnie w stronę abstrakcji, a sztuka islamu z konieczności jest tylko niefiguralna...**

KONIECZNY: Żyjemy w czasach, gdy nic już nas nie dziwi. Nie dziwią interpretacje Majów czy Azteków, Egipcjan czy Asyryjczyków, bo akceptujemy różne stylistyki. Spróbuję wyjaśnić to na przykładzie. W 1960 roku dostałem stypendium i pojechałem do Francji. W tym samym roku na dorocznej wystawie zwanej *Salonem młodych* Grand Prix otrzymał Jan Lebenstein, absolwent warszawskiej ASP, mój rówieśnik. Od razu pojawili się marszandzi, którzy zażądali od malarza, który przyjechał z Warszawy, trzydziestu obrazów miesięcznie. Marszand brał artystę na utrzymanie, składał obrazy na kupkę, a gdy miał ich już dużo, to robił szum i wyływał z tym na szerokie wody. To nie mieściło się w mentalności Janka i w gruncie rzeczy wielkiej, wymiernej finansowo, kariery nie zrobił. Z kolei mój inny kolega, Andrzej Zacharewicz co roku wyjeżdżał w czasie wakacji za granicę i zatrudniał się „za murzyną” u znanego artysty. Było ich tam sześcioro i z pracowni wychodziło kilkaset obrazów miesięcznie! Każdy milioner chce mieć modne dzieło, a zadaniem kapitalistycznego marszanda jest zapewnienie realizacji tych zachcianek! To nie mogły być żadne Matejki, a nawet Kossaki...

RATKOWSKI: **Ale Jacksony Pollocki już tak!**

KONIECZNY: Ano właśnie! To malarstwo nie może być zaangażowane po żadnej stronie barykady, bo to ogranicza rynek. Musi być komercyjne, neutralne i seryjne, żeby się wszędzie sprzedawało...

CIEPŁY: **Czy jest coś, co chciałby pan jeszcze zrobić? Czy jest temat, na który pan czeka, który się panu marzy?**

KONIECZNY: Nie mam żadnych planów, ale jestem bardzo zajęty. Będę też musiał długo żyć, bo ostatnio robię głównie nagrobki. To zajmuje trochę czasu. A tu ktoś, kto już ma miejsce w alei zasłużonych w Łodzi, wydzwania do mnie z narzekaniami, że odlew mojego Ikara zrobią mu dopiero po Wszystkich Świętych... Mówię mu, żeby nie nudził, bo nie ma się do czego spieszyć... Będzie przecież długo żył! No i sam też muszę sobie nagrobek zrobić...

Rozmawiali:

EDWARD CHUDZIŃSKI

STEFAN CIEPŁY

FILIP RATKOWSKI

Kraków, 14 lipca 2009 r.

ZYGMUNT BAUMAN

REQUIEM DLA KOMUNIZMU

Narodziny wizji komunizmu zbiegają się z nadejściem „twardej” fazy nowoczesności. Okoliczności narodzin musiały pozostawić na nim na tyle głębokie ślady, że przez półtora wieku owe ślady pozostały nie-naruszone przez kolejne próby i testy – okazując się na końcu niezatarte.

Od kołyski do grobu komunizm pozostał *bona fide* zjawiskiem „twardo-nowoczesnym”. W istocie komunizm był najbardziej (być może *tym* najbardziej) wiernym, oddanym i kochanym jak i (przynajmniej w intencjach) najbystrzejszym dzieckiem wśród potomstwa twardej nowoczesności; oddanym towarzyszem nowoczesności we wszystkich kolejnych krucjatach, i jednym z niewielu przyjaciół lojalnych względem jej ambicji, gotowym obstawać przy jej ambicjach nawet wtedy, kiedy zmienił się nurt historii, a twarde ambicje zostały zarzucone przez większość jej wyznawców, poddane, wyśmiane, potępione i/lub zapomniane. Niewzruszenie lojalny wobec zamierzeń, obietnic, dogmatów i kanonów twardej nowoczesności komunizm pozostał ostatnim na polu bitwy opuszczonym przez inne oddziały nowoczesnej armii; nie mógł jednak i nie zdołał przetrwać po przeminięciu twardej fazy. W płynnej fazie nowoczesności mógł być tylko antykwaryczną ciekawostką, reliktem minionych czasów. Nie miał nic do zaoferowania pokoleniom urodzonym i ukształtowanym w nowej epoce, nie miał żadnej rozsądnej

odpowiedzi na ich całkowicie zmienione oczekiwania, ambicje i troski.

W swojej pierwotnej „twardej” fazie nowoczesność była odpowiedzią na narastające słabości i niemoc *ancien regime'u*. Oddzielenie działalności gospodarczej od gospodarstwa domowego zadało śmiertelny cios staremu porządkowi. W efekcie wyprowadzona z gospodarstwa domowego działalność ekonomiczna uwolniła się z gęstej sieci więzi wspólnotowych, w którą uwikłane jest życie domowe. Kiedy zaś aktywność produkcyjna/dystrybucyjna została zrekonstruowana jako „biznes” wyzwolony z ograniczeń wspólnoty i cechu, wówczas spontaniczne, nieuświadomione odtwarzanie zwyczajowych/tradycyjnych więzi, które utrzymywały i podtrzymywały stary porządek, uległo dezintegracji. Na to wyzwanie *ancien regime* nie był przygotowany i nie mógł mu sprostać.

W zderzeniu z nowo uwolnionymi siłami kapitału, które zmiotły na bok i zignorowały odziedziczone reguły gry („znieuruchomiałe ulatnia się, wszelkie świętości zostają sprofanowane”, jak to określiło z nabożnym podziwem i admiracją dwóch zapaleńców znad Renu, Karol Marks i Fryderyk Engels) społeczno-polityczne instytucje *ancien regime'u* okazały się bezradne. Niezdolne poskromić, złagodzić czy regulować postęp nowych sił nie były też zdolne do ograniczenia (nie mówiąc o naprawie) straszliwych konsekwencji społecznych, spo-

tecznych efektów ubocznych czy „kolateralnych strat” jakie te siły pozostawiły na swojej drodze. „Twarde”, to znaczy tradycyjne, odziedziczone i okrzepłe formy życia i ludzkiego współistnienia zostały podwójnie zdyskredytowane: po pierwsze jako niezdolne do wdrożenia regulacji i przewidywalności działań nowych sił, a po drugie jako niezdolne do zminimalizowania, nie mówiąc już o skutecznym oporze wobec ich katastrofalnych konsekwencji społecznych.

Krótko mówiąc – przeszłość nie zdała egzaminu czasu. Wyszła z tej próby kompletnie zdyskredytowana. Zarówno dla dotkniętych cierpieniami jak i świadków było oczywiste, że musi zostać wymazana, spalona lub starta i że plac budowy musi szybko zostać uprzątnięty ze wszystkich pozostałości, by zbudować nowy wspaniały gmach. Daniel Bell zwięźle i poruszająco podsumował tę istotę „nowoczesnego ducha” (*The Cultural Contradictions of Capitalism*, Heineman 1976, str. 4) mówiąc o „ludzkiej samoświadomej woli do destrukcji przeszłości i kontroli przyszłości”. Nowoczesność zrodziła się jako zamiar przekreślenia spadku/ciężaru/balastu przygodności przeszłości, zaczynania od skreślenia. Czterdzieści lat później Leonidas Donskis retorycznie pytał:

„Czy projekty architektoniczne Le Corbusiera i jego sugestie wykreślenia z historii wszystkich istniejących miast i ich starych centrów, oczyszczenia z farb płócien, by przemalować je na nowo, czy tym wszystkim rekomendacjom czasem nie nadali entuzjastycznie życia najbardziej pilni modernizatorzy, bolszewicy i maiości. Czy nie mamy swojego sporego udziału w totalitarnych ruchach zaangażowanych w prześladowanie i destrukcję sztuki?”.

Destrukcja sztuki... Sztuka nowa jako akt destrukcji dawnej... Architektura, malarstwo i inne sztuki piękne tylko dostrzoiły się w stopniu, w jakim nowoczesność przekształcała całe ludzkie życie jednostkowe, grupowe i wszystkich w dzieło sztuki. Wszystko w życiu człowieka miało zostać zbudowane od nowa, ujęte i zrodzone od nowa, miało się dopiero stać... Nic nie miało być *z priori* od tego uwolnione i faktycznie nic nie było w ludzkiej determinacji wyemancypowania się z kajdanów historii poprzez wskazanie „twórczej destrukcji”. Nie było niczego takiego, co ludzki potencjał twórczej destrukcji nie mógłby zepchnąć ze swojej drogi lub przerobić i przebudować, lub wywołać *ab nihilo*. Jak będzie deklarował potem z charakterystycznym zadufaniem i pewnością: nie ma twierdź, których bolszewicy nie mogliby (i, domyślnie, nie chcieliby) zdobyć...

Pojęcie „bankructwa *ancien regime'u*” odnoszone początkowo do zniszczenia i zbliżającego się rozerwania tkanki społecznej, a także dezintegracji istniejącego porządku społecznego, traktowanego pod nieobecność alternatyw jako „ład jako taki”, to była jedyna alternatywa wobec chaosu i *pandemonium*. Nowoczesność była zdecydowaną i pełną wigoru reakcją na rozkład i upadek otrzymanych struktur ujmowanych jako społeczny nieład. To co, niekiedy retrospektywnie, określamy jako „projekt nowoczesności” było produktem szerokich, rozproszonych i rozpowszechnionych wysiłków przezwyciężenia nieuniknionego pograżenia się w chaosie; to co, po fakcie, zostało określone jako „narodziny nowoczesności”, zmierzało ku zastąpieniu stęchłych i gnijących, przestarzałych i oczywiście bezużytecz-

nych „twardości” dawnych czasów przez inne twarde struktury. Tym razem, jak liczono, struktury zdecydowanie lepszej jakości; twardości, jak miano nadzieję, twardszej od zdyskredytowanych poprzedników z tego powodu, że miały być celowo zbudowane i zaprojektowane w taki sposób, iż czyniły to ich odpornymi na wypadki dziejowe, a także na wszystkie terazniejsze i przyszłe przygodności.

W początkowej „twardej” fazie nowoczesność zabrała się do „ustrukturyzowania” dotychczas przypadkowych i luźnie skoordynowanych, niewystarczająco regularnych procesów; konstruując struktury i nakładając je na przypadkowe i przygodne procesy działające poprzez rozproszone, permanentnie poza kontrolą i często szalone siły. W swojej istocie „ustrukturyzowanie” oznacza „manipulowanie prawdopodobieństwami”: czynienie niektórych zdarzeń bardziej prawdopodobnymi przy jednoczesnym ograniczaniu możliwości zaistnienia innych. W skrócie nowoczesność zmierzała do zastąpienia odziedziczonych twardości, szkaradnie niezdolnych do zachowania regularności środowiska człowieka w nadziei ukazania ich zdolności generowania uporządkowanego, przejrzystego i przewidywalnego stanu rzeczy. Nowoczesność zrodziła się pod znakiem „pewności” i pod tym znakiem zapisała swoje spektakularne zwycięstwa. W początkowej „twardej” fazie nowoczesność była długim marszem w kierunku ładu rozumianego jako królestwo pewności i kontroli, a w szczególności pewności poddania i utrzymania kontroli nad irytująco niesforemami zdarzeniami i faktami.

Miano nadzieję wyeliminowania w długim marszu, znaczącym przez odkrycia naukowe i technologiczne wynalazki, kolejno wszystkich przyczyn obecnego zamieszania i przyszłych zakłóceń. Marsz miał być długi, ale w żadnej mierze bez końca. Od początku trajektoria prowadziła do linii końcowej. Długi marsz ku pewności i bezpieczeństwu, które tylko pewność mogła zapewnić, miał być zapewne przedłużającą się wspinaczką, ale zarazem jednorazowym wysiłkiem. Ukrytym założeniem było, że terazniejsza nieobecność przewidywalnego i kontrolowanego ładu, przygodność i przypadkowość, wypadki i nieprzewidywalność były anomaliami – odstępstwem od normy lub skutkiem ludzkiej niezdolności wypracowania „normalnego stanu świata” widzianego/postulowanego jako stan równowagi i regularności. Zadaniem było postawienie świata z powrotem na torach, z których się wykoleił z powodu błędu maszynisty lub zawodnej maszyny. Celem zmiany było doprowadzenie do świata, w którym więcej zmian nie będzie potrzebnych; zamiarem ruchu było dojście do stanu zniemumowania. Celem wysiłku był stan spoczynku, celem ciężkiej pracy był czas wolny.

Zarówno adepci pączkujących nauk społecznych jak i autorzy utopii byli zajęci konstruowaniem modeli „stabilnego stanu” społeczeństwa, i/lub samoregulującego się systemu społecznego; rodzaju ustawienia, w którym wszystkie przebiegające teraz, a także przyszłe zmiany, jeśli miały się wydarzyć, mogłyby być stymulowane jedynie przez czynniki zewnętrzne i pozanaturalne, podczas gdy fikuśny mechanizm wbudowany do właściwie zaprojektowanego społeczeństwa sprawi, że same zmiany staną się zbędne. Istniało (lub przynajmniej wierzono w to) tak wiele problemów, z którymi należało sobie poradzić i rozwiązać, ale zarazem

istniało przeświadczenie, że jeden rozwiązany problem zdejmuje go z agendy i jednym mniej trzeba się będzie zajmować. Było wiele ludzkich potrzeb obrzydliwie negowanych i oczekujących na zaspokojenie, ale sukcesywnie, wraz z zaspokojeniem kolejnej potrzeby, pozostawała jedna mniej do zaspokojenia. Miało to trwać do momentu, w którym nie będzie już znaczących zadań skłaniających do intensyfikacji pracy produkcyjnej. Misią postępu była praca w celu pozbawienia pracy...

Wszystkie te przekonania dzielili ci, którzy snuli rozważania nad biegiem historii i organizacją ludzkiej przyszłości. Lub raczej, wszystkie te założenia były wspólnymi narzędziami myślenia – ideami, którymi myślano, ale o których nie myślano. Tylko wyjątkowo któreś z nich awansowało na poziom świadomości i stawało się samo przedmiotem refleksji krytycznej. Z takich założeń wykuto oś, wokół której krążyły wszystkie inne myśli; alternatywnie można w tych założeniach widzieć części pola, na którym toczono wszystkie walki idei (a przynajmniej te, które miały znaczenie) i które każda z walczących stron zamierzała zdobyć. Stawką w tych bataliach był wybór najkrótszej, najmniej kosztownej i najmniej nieodpowiedniej drogi prowadzącej do celu postępu – do społeczeństwa, w którym wszystkie ludzkie potrzeby są zaspokojone, troski dręczące ludzi i zakłócające współistnienie rozwiązane. Społeczeństwo powszechnego dobrobytu i wygodnego życia, a także społeczeństwo ze stabilną gospodarką, bezpiecznie ustabilizowaną na poziomie adekwatnym dla ich niezakłóconego zaspokajania.

W tym kontekście skryzalizowała się konfrontacja odnośnie do wdrożenia tego wspólnego celu – jako konflikt pomiędzy socjalizmem i kapitalizmem. Promotorzy odmiany socjalistycznej potraktowali najpoważniej trójczołową obietnicę nowoczesności: wolność, równość i braterstwo tak, jak potraktowali poważnie założenie nienaruszalnego związku pomiędzy tymi trzema członami. Krytykowali obrońców i praktyków kapitalizmu, szczególnie w wersji *laissez faire*, najbardziej z nich radykalnej, jako czyniącą zbyt mało lub też zgoła nic by wcielić tej obietnicy. Oskarżali kapitalistyczną wersję nowoczesności o podwójny grzech: niesprawiedliwość i marnotrawstwo. Marnotrawstwo – produkcja regularnie ponad potrzeby, wielka część produktów ląduje bezpośrednio na wysypisku śmieci i rumowiskach. Można uniknąć tego rodzaju rozrzutności, kiedy potrzeby są określone i obliczone z wyprzedzeniem, a produkcja odpowiednio zaplanowana. Niesprawiedliwość: eksploatacja systematycznie niedopłacanej pracy wyłączała od udziału pracowników w dzieleniu przynoszonego przez postępek bogactwa narodu. Narracja socjalistyczna głosiła, że te dwie plagi mogą zostać na pewno przezwyciężone i prawdopodobnie zaniknąć całkowicie, jeśli nie będą w konflikcie prywatnej własności środków produkcji z logiką zaspokajania potrzeb, którą powinno się kierować przy wytwarzaniu wszelkich dóbr. Zniesienie prywatnej własności środków produkcji, która doprowadzi do podporządkowania produkcji logice nie dla zysku, doprowadzi do tego, że te dwie plagi zostaną zapomniane wraz z chorobliwą sprzecznością między społeczną naturą produkcji i prywatnym zarządzaniem jej środkami. W wersji marksistowskiej socjalizm miał być antycypowany w rezultacie nadejścia rewolucji proletariackiej. Coraz bardziej niezadowoloni ze swojej

pogłębiającej się pauperyzacji robotnicy wcześniej czy później zbuntują się wymuszając zmiany reguł gry na swoją (w pełni im należną) korzyść...

Ale wraz z tym jak mijały lata, rewolucja socjalistyczna zdawała się być coraz bardziej daleka. Częściowo dlatego, że widmo rewolucji przekształcało się w „samonegujące się proroctwo” popychając państwo (traktowane jako reprezentację klasy właścicieli fabryk) ku narzuceniu ograniczeń na apetyty poszukiwaczy zysku i nieludzkie warunki pracy. Częściowo poprzez powstanie organizacji samoobrony; wśród robotników fabrycznych prorokowana „pauperyzacja proletariatu” okazała się nie zachodzić. Oczywiście stawała się natomiast, choć mogło następować to z oporami, efektywna poprawa ich warunków życia i zaspokojenie klasowych aspiracji w ramach systemu kapitalistycznego. Tendencja ta stanęła w wyraźnej opozycji do oczekiwań wynikających z analizy marksistowskiej. Jak można było wyjaśnić tę sprzeczność?

Na przełomie XIX i XX wieków zaproponowano długą listę wyjaśnień. Jedną z najbardziej popularnych i wpływowych w tamtych czasach było przekupienie „burżuazji robotniczej”, wykwalifikowanej i wysoko opłacanej części robotników fabrycznych, którzy dzięki swoim przywilejom stawali się coraz bardziej zainteresowani w uznaniu *status quo*. Następnie udało im się zaszczerpić je bojowym klasowym organizacjom robotniczym, związkom zawodowym, a także raczkującym partiom politycznym w takim stopniu, by służyło to ich interesom. Innym, jeszcze bardziej wpływowym tłumaczeniem była teoria „fałszywej świadomości”. Szło owo wyjaśnianie jeszcze dalej głosząc, że system kapitalistyczny jako całość pozbawia swoje nieuprzywilejowane, wyłączone i dyskryminowane części możliwości poznania prawdy o swoim położeniu, w szczególności dojścia do przyczyn tej swojej kondycji, a także możliwości wyemancypowania się z własnej nędzy...

Teoria ta proponowana była w rozmaitych wersjach, o różnym stopniu komplikacji. Wszystkie prowadziły jednak do podobnej konkluzji: istnieje znikoma szansa na „rewolucję proletariacką”, która postawiłaby kres wyzyskowi i byłaby zainicjowana, poprowadzona i zobaczona wyłącznie przez samych robotników (obecnie, dla wyostrenia argumentacji, przemianowanych z lekką nutą lekceważenia, na „masy”). Lenin podkreślał, że proletariat pozostawiony swoim własnym zasobom i mądrości nie wzniesie się nigdy dalej ponad poziom „świadomości tradeunionistycznej”. Zrównując krytykę polityczną z ich intelektualną pogardą dla „mieszczkańskich filistynów”, inteligentcy towarzysze podróży obciążali „masy” wrodzoną niezdolnością i niechęcią do wzniesienia się ponad poziom ogłupiającej „kultury masowej”.

Taki był kontekst końca XIX i początków XX wieku, w którym zapaleni, niecierpliwi i lekkomyślni młodszy bracia nowoczesnego socjalizmu stworzyli korpus idei i praktyk, który przeszedł do historii pod nazwą komunizmu (przy czym uzurpowali sobie i zmonopolizowali termin ukuły przez Marksa-Engelsa w *Manifestie komunistycznym*, wypełniając go odniesieniami, których jego twórcy bynajmniej nie przewidywali, ani nie mieli na uwadze). Komunizm zrodził się jako łączny produkt rozczarowania „prawami historii”, frustracji z powodu braku postępu w „dojrzewaniu” proletariatu do swojego

przeznaczenia jako siły rewolucyjnej i narastającego podejrzenia, że czas „nie jest po stronie socjalizmu”. Że pozostawiając rzeczy samym sobie, ich obecnemu uorganizowaniu, bieg czasu z dużym prawdopodobieństwem uczyni perspektywę socjalistycznej transformacji jeszcze bardziej daleką, w rzeczywistości wątpliwą, a nie bliską i pewną.

Ślamazarnej historii należy się potężne popchnięcie, rozleniwionym masom mocne spięcie ostrogą; świadomość historycznej konieczności musi zostać do proletariackich domostw wprowadzona z zewnątrz, skoro jest mało prawdopodobne, by w nich się zrodziła i pojawiła. Rewolucja dlatego, że jest nieprawdopodobnym, by została zainicjowana przez „masy”, musi zostać zrobiona za „masy” przez rewolucyjnych specjalistów – „zawodowych rewolucjonistów”, którzy przekształcą „masy” w siłę rewolucyjną i pobudzą je (wyedukują, zaagitują i przymuszają) do rewolucyjnej roli, wobec przyjęcia której były tak oporne (niezdolne i może zbyt głupie). Można tego dokonać, nawet zanim kapitalistyczne uprzedmiotowienie wzniesie przed-nowoczesne wyzyskiwane masy do statusu klasy robotniczej brzemiennej rewolucyjnym potencjałem. Kiedy „zawodowi rewolucjonisci” są przygotowani i wdrużeni do rewolucyjnej partii uzbrojonej w znajomość „praw historii”, scementowani żelazną dyscypliną, wtedy kapitalistyczne *interludium* – kapitalistyczne oczyszczenie przedpola na zasadniczo wiejskim obszarze na kresach „rozwinętego świata”, takim jak carska Rosja, może być przeskoczony i ominięty; cała droga ku ideałowi, uporządkowanego, wolnego od konfliktów i niepewności społeczeństwa, od początku do końca może zostać przebyta pod znakiem „historycznej konieczności”, pilnowana, nadzorowana i kierowana przez depozytariuszy tej wiedzy. W skrócie komunizm, leninowska wersja socjalizmu, był ideologią i praktyką skrótów – niezależnie od kosztów.

Ta ideologia i strategia w praktyce okazała się tym, co Róża Luksemburg w swym sporze z Leninem zapowiadała, że będzie receptą na niewolnictwo. Ale nawet Róża nie mogła sobie w pełni wyobrazić całej skali okropności, przemocy, okrucieństwa, ludzkiego cierpienia wynikłego z tego eksperymentu. Doprowadzona do ekstremów gdzie indziej niepróbowanych obietnica nowoczesności racjonalnie zaprojektowanej i w racjonalnym porządku prowadzonym społeczeństwie okazała się wyrokiem śmierci na ludzką wolność. Doprowadzone do ekstremów gdzie indziej nieznanym, społeczeństwo traktowane przez swoich rządzących na sposób, w jaki ogrody są widziane i przycinane przez ogrodników, skupiło się na obsesyjnym i w końcu kompulsywnym przycinaniu, przesadzaniu i wykorzystaniu społecznych odpowiedników chwastów: ludzi, którzy nie pasowali do projektowanego ładu, a sama ich obecność zaciemniała jasność, słoneczność i czystość i/lub zakłócała harmonię projektu.

Tak jak we wszystkich ogrodach, także w społeczeństwie przekształconym w ogród przeznaczonymi do zniszczenia byli „nieproszeni” ludzie, którzy znaleźli się w miejscu nieprzeznaczonym, jak „chwasty” w rozmaitego typu „złych” niezaplanowanych miejscach (złych, ponieważ na planie przeznaczonych dla innego celu) wprowadzając spustoszenie do zaprojektowanej przez zarządzających harmonii i sugerujących wątpliwości względem fachowości rządzących-ogrodników,

możliwości zarządzania przez nich ich własną kreacją. Zamiast przybliżenia obiecanych wygód, w pełni przejrystego, przewidywalnego i wolnego od wypadków, a przez to bezpiecznego ludzkiego współistnienia – zadeklarowana walka ze szkodnictwem, przygodnością i nieczystością, która czekała na drodze, zdawała się nie mieć nigdy końca; w miarę swojego trwania wytwarzała swoje własne, ciągle nowe *casus belli*, nowe „chwasty”, które musiały być niszczone – ich rozprzestrzenianie się nie zdradzało inklinacji do zmniejszania się.

Podsumowując: komunistyczny eksperyment postawił pod znakiem zapytania zasadność nowoczesnej ambicji całkowitej kontroli nad ludzkim losem i warunkami życia. A także ujawnił straszliwe koszty działań w zaspokojeniu takiej ambicji. Tak jak narodziny komunistycznej wersji nowoczesności było nieuniknioną częścią świtu „twardej nowoczesności”, tak jej implozja i upadek były częścią i fragmentem upadku i zmięczenia „twardej nowoczesności”. Komunistyczne reżimy podzieliły los twardo-nowoczesnych ambicji zastąpienia odziedziczonych rzeczywistości społecznych poprzez skonstruowane „zgodnie z projektem” skrojonym na właściwie skalkulowane ludzkie potrzeby.

Komunistyczna alternatywa była traktowana jako lepsza z tego powodu, że miała być szybszą, krótszą, bez straty czasu i ponad granicami państw drogą wiodącą do wyeliminowania niepewności z ludzkiej kondycji. Drogą do zapewnienia ludzkiego istnienia, tak jak to sobie wyobrażała, śniła, widziała i obiecywała trwała faza ery nowoczesnej. Gdy jej pretensja do odnalezienia lepszej drogi okazała się, łagodnie mówiąc, wysoce wątpliwa, to zasadniczym powodem jej porażki, utraty łaski i zapomnienia nie było wtedy antycypowanym biegiem zdarzeń. Była celem, którym miał być mierzony sukces całej tej próby, i to właśnie ta miara rozmyła się i znikła z pola widzenia – nawet jeśli nie była świadomie i wyraźnie odrzucona. Pogrzebowe dzwony komunistycznego eksperymentu rozkołysała nowoczesność na wkroczenie do swojej „płynnej fazy”.

Bezpośrednia konfrontacja i współzawodnictwo z kapitalistyczną alternatywą nowoczesności miała sens tak długo (i tylko tak długo) jak stawka tej rywalizacji, zaspokojenie całkowitej sumy ludzkich potrzeb traktowano jako coś skończonego, stabilnego i obliczalnego, do czego były przekonane obie strony współzawodników. Ale w płynnym stadium nowoczesności kapitalizm funkcjonował poza tą konkurencją; postawił teraz na nieskończony potencjał ludzkich pragnień i wspieranie ich nieskończonego wzrostu; na pragnienie pragnące więcej pragnienia, nie na zaspokojenie, a pomnażanie wypływających okazji i wyborów; na pozostawienie luzem, a nie strukturalizowanie gry prawdopodobieństwa. „Mieszanie” i „przestrajanie” istniejących rzeczywistości stało się nie jednorazowym przedsięwzięciem, ale ciągłym, w założeniu trwałym w ludzkim losie – tak jak podłączanie i wyłączanie są permanentnym sposobem bycia ludzkich sieci. Do sprostania takiej formie życia całe pojęcie komunizmu było nieodpowiednio przygotowane i wyraźnie źle przystające. Nowe warunki uczyniły cele i narzędzia odziedziczone z „twardej” prehistorii w „płynnej” nowoczesności zbędnymi, a nawet kontrproduktywnymi.

Ubóstwo i szarość życia w reżymie, który uzurpował sobie prawo i przypisywał zdolność definiowania

i dekretoowania treści i rozmiaru ludzkich potrzeb (Agnes Heller *et al.*, sformułowali pamiętną definicję komunizmu jako „dyktatury nad potrzebami”, a rosyjski satyryk Vladimir Wojnowicz wyobrażał sobie mieszkańców przyszłej komunistycznej Moskwy, którzy rozpoczynają każdy dzień od wysłuchania oficjalnego obwieszczenia na temat ich dzisiejszych potrzeb) bardziej niż jakikolwiek występki wykluczyły komunizm z konkursu piękności, w którym umiałby rywalizować z kolorowym i uwodzicielskim rynkiem kapitalistycznym. Tym niemniej pozostaje otwartą i nierozstrzygalną kwestią, jak długo trwałaby konkurencja pomiędzy dwoma wersjami nowoczesności, gdyby obydwa konkurenci pozostali lojalni wobec wiary i przekonań „twardej” nowoczesności. Ale z nadejściem płynnej fazy nowoczesności upadek komunizmu stał się oczywistością.

Upadek. Czy oznacza to zgon? Czy oznacza to zamknięcie okresu, który zmarł bez testamentu i potomstwa, nie pozostawiając dziedzictwa poza ostrzeżeniem przed drogą na skróty, przeciw wyrównywaniu krawędzi i polityce „my wiemy lepiej co jest dla ciebie dobre”? Oto pytania...

Otóż zastąpienie „twardej” przez „płynną” nowoczesność nie jest prostą i czystą poprawą. Okrucieństwa i cierpienia, które cechowały „twardą” fazę, są już dzięki Bogu i historii przeszłością. Ale inne okrucieństwa i cierpienia, wcześniej nieznane lub znane tylko przelotnie, szybko wypełniają próżnię. Nas współczesnych dotyczą jako równie ohydne, jak cierpienia przodków, które tak łatwo przychodziło ich współczesnym lekceważyć i pomniejszać, skoro sami ich nie doświadczali. Przede wszystkim jednak możemy powiedzieć za Jurgenem Habermasem, że program komunizmu na razie nie został zrealizowany. Dzisiaj kondycja ludzka ma te same odstręczające znamiona, które zadecydowały o atrakcyjności komunizmu dla obywateli „twardej nowoczesności” (rażąco niesprawiedliwy podział bogactwa, powszechna bieda, głód, upokorzenie i pozbawianie godności ludzkiej), i na dodatek aspekty te przybierają na sile, skali i ohydzie.

W Indiach, na potyskującym klejnocie w koronie płynnej nowoczesności, w kraju postrzeganym jako najwspanialszy przykład ludzkich możliwości uwolnionych przez płynno-nowoczesne uwarunkowania garstka rozkwitających multimilionerów koegzystuje z 250 milionami ludzi, którzy muszą żyć za mniej niż 1 dolar dziennie, 42,5 proc. dzieci poniżej piątego roku życia jest niedożywionych. Spośród nich 8 milionów doznało trwałego, rzeczywistego i kaleczącego głodu, który opóźnia rozwój fizyczny i umysłowy; dwa miliony umiera każdego roku.

Ale bieda i jej wierni towarzysze – upokorzenie i brak perspektyw nie występują tylko w krajach, które znały ubóstwo, nieszczęścia i niedożywienie od najdawniejszych czasów. Nawiedza także kraje, w których – jak się wydawało – została przegnana raz na zawsze bez prawa powrotu. Dla przykładu: w 2009 roku o 14 tys. więcej dzieci niż w roku poprzednim uzyskało prawo do darmowych szkolnych posiłków, które mają złagodzić skutki związanego z biedą niedożywienia. Poczawszy od zwycięstwa Tony Blair’a przychód 10 proc. najbiedniejszych gospodarstw domowych spadał o 9 funtów tygodniowo. W tym samym okresie najbogatsze 10 proc. cieszyło się z przeciętnego wzrostu o 45 funtów na tydzień. Ceną

takiej nierówności jest o wiele więcej niż tylko głód i niedobór pożywienia, niezależnie jak bardzo dotkliwe mogą być dla swoich ofiar.

W społeczeństwach o największej nierówności, Wielkiej Brytanii i USA częstotliwość występowania chorób psychicznych jest trzykrotnie wyższa na dole skali nierówności. Stamtąd wywodzi się większość populacji więźniów, ich dotyka nadwaga, ciężkie nastolatki. Co więcej (przy całym ich bogactwie) poziom śmiertelności przewyższa wskaźniki wszystkich klas społecznych, łącznie z grupą najbogatszych. Choć generalnie wskaźnik zdrowia jest wyższy w krajach zamożnych, w krajach o równiejszym podziale bogactwa wskaźniki śmiertelności spadają wraz ze wzrostem równości społecznej. Może zaskakiwać, że wzrost nakładów na opiekę zdrowotną nie ma przełożenia na oczekiwaną długość życia, ma natomiast takie przełożenie, i to nader negatywne, wzrost nierówności.

Długa jest lista uznanych chorób społecznych, które dotyczą tak zwane rozwinięte społeczeństwa. Lista ta mimo wszystkich i domniemyanych wysiłków wciąż rośnie. Oprócz kilku wymienionych już dolegliwości zawiera m.in. zabójstwa, śmiertelność dzieci, wzrastający poziom problemów psychicznych i emocjonalnych, i brak wzajemnego zaufania, bez którego to zaufania nie do pomyślenia jest społeczne współistnienie. W każdym z wyżej wymienionych przypadków wskaźniki wypadają lepiej w miarę oddalania się od nierównych społeczeństw. Niekiedy różnice pomiędzy społeczeństwami o niskich i wysokich nierównościach są wstrząsające. Na szczycie listy nierówności są Stany Zjednoczone, na dole Japonia. W USA w więzieniach przebywa 500 na 100 tys. populacji, w Japonii mniej niż 50. W USA na otęłość cierpi 1/3 populacji, w Japonii mniej niż 10 proc. W USA na 1000 dziewcząt pomiędzy 15 a 16 rokiem życia zachodzi w ciążę 50, w Japonii tylko 3. W Japonii, Hiszpanii, Włoszech i Niemczech, społeczeństwach o stosunkowo równej dystrybucji bogactwa tylko 1 na 10 zgłasza problemy psychiczne, w państwach o mniejszej równości, jak Wielka Brytania, Australia, Nowa Zelandia i Kanada jest to 1 na 5 osób.

Takie są wszystkie statystyki; dane, ich średnie i korelacje. Niewiele mówią o związkach przyczynowych, które stoją za tymi korelacjami, ale prowokują wyobraźnię i nawołują do czujności. Odwołują się do sumienia, ale również do instynktu przeżycia. Rzucają wyzwanie zbyt powszechnemu ośpieniu etycznemu i moralnej obojętności, ale również pokazują ponad uzasadnioną wątpliwość, że idea, wedle której dążenie do powodzenia i szczęścia jako egoistyczne przedsięwzięcie wyłącznie pojedynczej jednostki na jej wyłączny rachunek jest z gruntu błędna. Że idea, że „każdy to może zrobić sam” jest fatalną pomyłką zaprzeczającą celom troski o samego siebie. Nie możemy się zbliżyć do tego celu, kiedy dystansujemy się od nieszczęść innych.

Są poważne powody, by świętować rocznicę upadku komunizmu, ale istnieją równie ważne powody, by się zatrzymać i pomyśleć co się stało z dzieckiem, kiedy wylewano wodę z kąpeli. To dziecko płacze. Płacze i domaga się naszej uwagi.

ZYGMUNT BAUMAN

Maj 2009

Przeł. Adam Komorowski

STANISŁAW KUZIŃSKI

KOMUNIZM I WOLNOŚĆ

W marksistowskiej teorii rozwoju społecznego ujmuje się następstwo poszczególnych typów ustroju jako przechodzenie od stanu fizycznego zniewolenia do coraz większej wolności, ale zarazem do zwiększającej się alienacji, a więc szczególnie bolesnej dla gatunku ludzkiego – według Marksa – postaci utraty wolności. Na tym właśnie polegało przejście od niewolnictwa do ustroju feudalnego, a następnie kapitalistycznego. W kapitalizmie robotnik swobodnie dysponujący swoją siłą roboczą sprzedaje ją właścicielowi środków produkcji. Jest wolnym sprzedawcą, a jednocześnie jest zniewolony przymusem jako wyobcowany najemita. Socjalizm oddający społeczeństwu we władanie środki produkcji uwalnia robotnika od tego nowego kapitalistycznego zniewolenia. Staje się on podmiotem wolności. Społeczeństwa tylko wtedy pokazują swoją przewagę, siłę przebicia, gdy w porównaniu z po-

przednimi formami zawierają wyższy stopień wolności. W koncepcji Marksa wolność jest zdobyta przez zbiorowość, klasę robotniczą. Wolność nie jest odniesiona do jednostki, uzyskuje ona wolność tylko jako część zbiorowości, a nie indywidualnie. Według wielu krytyków marksizmu, jak też wielu marksistów, w teorii tej tkwią elementy totalitarnego komunizmu. Wiąże się to z przywiązywaniem do komunizmu takich właściwości, jak odgórny egalitaryzm i zniesienie własności prywatnej. To zaś jest zafałszowaniem teorii Marksa. Mówił on bowiem o takiej własności, która daje władzę ujarzmięcia cudzej pracy.

Sprawa wolności i walka o nią była siłą sprawczą przemian ustrojów, co wiązało się ze zdolnością nowych stosunków produkcji do rozwoju sił wytwórczych. Niedopuszczalne jest oddzielne traktowanie stosunków produkcji i wolności, co było nagminne w przedsta-

niu marksizmu. Stosunki produkcji zaś, głównie stosunki własności oraz walka o większy zakres wolności otwierają nowe, potężne siły dźwigające na coraz wyższy poziom ilościowy i jakościowy siły wytwórcze, cały byt codzienny. Nowe narzędzia i przedmioty produkcji oraz wprowadzenie do wytwórczości ludzi wolnych od przymusu i zakazów przynosi rewolucję w produkcji. Nowe stosunki produkcji zwyciężają nie same przez się, lecz są wynikiem walki nowych klas z klasą stojącą na gruncie dawnego porządku.

W analizach Marksa czołową rolę odgrywa krytyka panowania ślepej siły rynku prowadzącej do dehumanizacji człowieka i właściwie będącą przeciwieństwem wolności rozumianej jako zdolność do panowania nad swym losem. Wynikała stąd koncepcja zastąpienia rynkowego podziału pracy przez zaplanowany przez władzę publiczną. Miał więc powstać na gruncie społecznej własności środków produkcji scentralizowany system racjonalnej organizacji kierującej się wytycznymi celami dobra wspólnego.

Doktrynalne i uproszczone zasady marksizmu znalazły się w skrajnej postaci w centralistycznej gospodarce, w systemie nakazów i zakazów. Okazał się on ostatecznie nieracjonalny i marnotrawny, głównie w końcowym etapie swej egzystencji. Stał się cywilizacyjnie niższym od kapitalizmu. Terapia anarchii okazała się gorsza od tej choroby. Nie oznacza to oczywiście uznania współczesnych teorii neoliberalizmu i apologetyki wolnego rynku za w jakimkolwiek stopniu uzasadnione. Przeciwnie, właśnie obecny kryzys neoliberalizmu ukazuje ponownie konieczność planowego regulowania przez państwo żywiołu rynkowego. Ani centralne sterowanie w znanej nam postaci, ani nieograniczona wolność rynku historycznie nie znalazły usprawiedliwienia. Wydaje się także przesadnym uproszczeniem twierdzenie, że społeczna własność musi prowadzić do tyranii. Może prowadzić i rzeczywiście legła u podstaw tyranii stalinowskiej. Lecz nie musi tak się stać. Jest bowiem całe spectrum systemów wiązania rynku z różnymi modelami planowania, własności prywatnej i publicznej.

Teza o wyższości społecznej własności środków produkcji została wykorzystana także dla usprawiedliwienia przemocy, a zwłaszcza poświęcenia żyjącego pokolenia dla dobra przyszłych pokoleń. Znajdowano w tym rzekomo naukową podstawę dla państwa wyposażonego w oficjalną, narzucającą się ideologię. Skoro bowiem pomyślność zależy od świadomego podporządkowania się konieczności dziejowej, to usprawiedliwiona jest powszechna indoktrynacja jako warunek ostatecznego tryumfu wolności. Nie ulega wątpliwości, że takie zarodki zdławienia wolności tkwią w marksistowskiej teorii. Publiczne zarządzanie całą gospodarką wymagało bowiem powszechnej kontroli i tym samym zaprzeczalo wolności. W tej tezie marksizmu tkwi możliwość, ale tylko możliwość uzasadnienia totalitaryzmu.

Marks nie sformułował ostatecznych cech pojęcia komunizmu. Wręcz przestrzegał przed uniwersalną i uproszczoną jego wersją. „Komunizm nie jest dla nas stanem, który należy wprowadzić, jest »ideałem«, którym ma się kierować rzeczywistość. My nazywamy komunizmem rzeczywisty ruch, który znosi stan obecny” (MED., tom 3, strona 38). Komunizm miał być społeczeństwem bezklasowym, bez własności służącej wy-

zyskowi. W pierwszej fazie, socjalistycznej, podział miał się dokonywać według wkładu pracy, w fazie komunistycznej według potrzeb, czyli byłby skrajnie egalitarny. Tu wraca myśl, że wolność i równość są wartościami niewspółmiernymi. Można tylko szukać płaszczyzn ich kojarzenia lub unikać niszczącego starcia. Niepodobna ich zastępować.

Idee Marksa odgrywały rolę organizującą działania w ruchu komunistycznym, były swego rodzaju słońcem utopii. Miały świadczyć o możliwości tworzenia wyższej formy społeczeństwa nad poprzednimi formami. Natomiast teoretyczne możliwości utożsamiania marksowskiej idei wolności z wcieleniem odstręczających cech ustroju o proveniencji socjalistycznej jest nieporozumieniem. Byłby to krok w kierunku obwiniania Marksa za stalinowskie represje, masowy terror, łagry, zniewolenie życia intelektualnego itd.

Można byłoby zasadnie twierdzić, że w każdej ideologii tkwią ziarna mogące usprawiedliwić nieczne praktyki stosowane w jej imieniu. Jan Paweł II mówił o grzechach Kościoła. A były one niemałe, zbrodnie inkwizycji, masowe rozpętywanie nienawiści antysemitkiej, fizyczne tępienie heretyków tam, gdzie Kościół miał władzę sądową i polityczną. Także, choć o tym papież nie mówi, Kościół popierał niewolnictwo i poddaństwo chłopów.

Socjalizm według Marksa miał zwyciężyć w najbardziej rozwiniętych ekonomicznie i cywilizacyjnie krajach. Tutaj wkraczamy w inną dziedzinę komunizmu. Historia bowiem nadała mu szczególne cechy. Zwyciężył on bowiem w krajach zacofanych, inaczej niż przewidywał Marks. Zachwiało to gruntownie całą jego konstrukcją teoretyczną. Był on dziełem nie tyle klasy robotniczej, lecz chłopstwa. Tak było nie tylko w Rosji, lecz także w Chinach, Jugosławii i na Kubie. Wszystkie te kraje przeszły przez okresy mniej lub bardziej totalitarne lub dyktatorskie. Czy to był skutek ich nieprawego z punktu widzenia Marksa, źródła? Historycy toczą i będą toczyć spory, czy w tych warunkach totalitaryzm był nieunikniony. Nie jest ważne, czy tak być musiało, czy nie, historycznie tak się stało i obciążało idee komunistyczne tym jarzmem.

To, że ustrój komunistyczny budowany był w Rosji przez aparat pochodzący z chłopstwa, najpierw wywodzący się z chłopskiej w swoim tronie armii wojny domowej, miało doniosłe znaczenie także dla kształtu i metod socjalizmu. Ludzie ci nie rozumieli sporów politycznych w partii ani problemów wolności jednostki. Chcieli odpowiedzi prostych. Pragnęli rozwiązań dających się wprowadzić w życie bezpośrednim nakazem, eliminacją każdego wątpliwego inteligenta, ulegającego skłonnościom „drobnomieszczańskim” itp. Posługiwali się argumentem siły, a nie siłą argumentów. Była to masa idąca w setki tysięcy nie tylko we władzach administracyjnych lecz także w gospodarce, wojsku, oświacie, policji, a zawdzięczała swój awans nowemu ustrojowi. Pokolenia następne, lepiej wykształcone, stanowiące górę hierarchii społecznej były zainteresowane w utrwaleniu swojej pozycji i możliwości wspinania się na drabinie hierarchii. Każdy przejaw niezależności i wolności był traktowany jako zagrożenie. Każde środowisko, każda instytucja wraz z przysłówiowym Związkiem Hodowców Kanarków musiała być kontrolowana i obsadzana przez zaufanych.

W masowych ruchach społecznych często dochodzi do głosu żądanie egalitaryzmu, równości w skrajnej postaci, choćby za cenę wolności. Tak było w jakobińskiej fazie Rewolucji Francuskiej. Ujawniło się w szczególności we wznoszącej się fali polskiej „Solidarności” lat 1981-1982. Zastosowano tam surowy rygorizm wewnętrzny, wymagający poświęcenia wolności osobistej dla organizacji. Powstał powszechny przymus moralny i izolacja sądzących inaczej. Żądano podporządkowania się wywołanym strajkom i bezwzględnego poparcia dla nowych, utopijnych i destrukcyjnych postulatów wobec władzy.

Tak więc mamy niejako trzy stopnie, na których rozpatrywać trzeba wolność w ujęciu komunistycznym. Podobną typologią posługuje się Andrzej Walicki dla wyjaśnienia genezy totalitaryzmu.

Pierwszym jest ogólny zarys ideologii Marksa i Engelsa jako idea wyzwolenia klasy robotniczej, jako ideał, a nie projekt ustroju zawierający potencjał mogący służyć zagrożeniu wolności jednostki. Drugim – ruch komunistyczny jako organizacja partii przyjmująca nazwę komunistyczna. Twórcą jej był Lenin. Sama nazwa została przyjęta w wyniku rozłamu socjaldemokracji rosyjskiej. Celem Lenina było odróżnienie rewolucyjnego charakteru bolszewickiej partii od jej reformistycznego nurtu. Była to partia nowego typu, kierująca się zasadą centralizmu demokratycznego, żądająca dyscypliny członków, umacniając w swych szeregach totalitarne zadatki ideologii marksistowskiej. Pozwalano na dyskusję, ale po przyjęciu uchwały żądano bezwzględnego posłuszeństwa. Niemniej jednak Lenin dopuszczał istnienie frakcji wewnątrz partii.

Trzeci stopień ewolucji komunistycznej wolności był jej ostatecznym pogrzebaniem w państwie stalinowskim wskutek zastosowania okrutnych, zniewalających i odrażających instrumentów sterowania społeczeństwem. Z całą siłą realizowano zasadę, że jednostka nie jest celem, tylko środkiem na drodze budowania szczęścia przyszłych pokoleń. Stalinizm posługiwał się ideologią marksizmu-leninizmu, ale pragmatycznie kierował się sprawą umocnienia państwa, a zwłaszcza jego siły zbrojnej. Sprzeczność pomiędzy ideologią a praktyką stanowiła tykającą bombę zapowiadającą zniszczenie systemu.

Jest jeszcze inny wymiar, w którym funkcjonuje komunizm i pojęcie wolności. To wymiar jego percepcji społecznej. Tu można zarejestrować tyleż zamętu, sloganów co ignorancji, insynuacji i złej woli. Usłyszeliśmy już o reaganowskim „imperium zła”, ale także quasi-religijnych wyznaniach deklamowanych zbiorowo z maoistowskiej *Czerwonej książeczki*. Nagminnie stało się utożsamianie ideałów komunizmu i marksistowskie pojmowanie rozwoju historycznego z ruchami komunistycznymi i rządami partii komunistycznych.

Przyjęcie nazwy komunistycznej przez różne partie niewiele świadczy o celach, polach działania, metodach pracy i charakterze. Chińska Partia Komunistyczna dopuszcza członkostwo przedsiębiorców kapitalistycznych, a gospodarkę buduje także w oparciu o kapitał prywatny. Partia Komunistyczna Korei Północnej jest pod tym względem przeciwieństwem partii chińskiej. Rosyjska Partia Komunistyczna jest obecnie reliktem KPZR, a działa na gruncie demokracji parlamentar-

nej i uznaje jej zasady. To samo można powiedzieć o Czeskiej Partii Komunistycznej. Ważą tu i gdzie indziej względy tradycji historycznych lub zwykłego przyzwyczajenia.

A PZPR nienoszącą nazwy komunistycznej, czy za taką można ją uznawać? Partia sprawowała również po 1956 roku monolityczną władzę polityczną. Był to elementarny wymóg jej wiarygodności w oczach sojusznika i protektora. Nieograniczona wolność prasy postawiłaby pod znakiem zapytania tę wiarygodność. Stało się to na Węgrzech, gdy utracono kontrolę nad mediami, a później w Czechosłowacji Dubczeka. PZPR pozostawiała liczne formy życia społecznego, intelektualnego, prywatnego poza swoim wpływem, dając możliwość rozkwitu życia narodowego i kulturalnego.

W związku z 20 rocznicą wyborów 1989 roku, które przyniosło zwycięstwo obozu posierpniowego, wszystkie niemal media przypominały wypowiedziane wówczas słowa Joanny Szczepkowskiej: „czwartego czerwca został obalony komunizm”. W ten sposób PRL został utożsamiony z komunizmem, co wielokrotnie i w rozmaity sposób później powtarzano i do dzisiaj staje się kanonem w odrodzonej nowej postaci nowomowy. Miało to uzasadnić wykluczenie „komunistów” z życia publicznego jako nominalnych tylko Polaków. Ale przecież ustrój panujący w PRL nazwany „realnym socjalizmem” był daleki od marksowskiego pojęcia komunizmu. Był ustrojem pragmatycznie próbującym poprawy swojego funkcjonowania, z nader miernymi skutkami. O komunizmie mówiło się wśród członków partii co najwyżej w sposób kpiarski, a narzucanie im miana „komunistów” byłoby przez nich odrzucone.

Rolę antywolnościowego tarana przyjęli dziś działacze kreujący się na bohaterskich i jedynych wojowników wolności, wyposażonych w tytuł najwyższej miary moralności stojącej nawet ponad wolą narodu wyrażoną w wolnych wyborach. „Przeciwnicy (lewica) nie tyle, że nie mają racji, oni nie mają prawa do swojej racji ani moralnego tytułu do ich głoszenia. Tego rodzaju przeciwnicy stoją na innym, niższym poziomie bytu politycznego. Z nimi się nie dyskutuje, nie polemizuje, nie konkuruje według reguł demokratycznych, ich się demaskuje, zwalcza, niszczy, kompromituje, delegalizuje i eliminuje” (Jarosław Dąbrowski, „Przegląd”, 17 07 2005). W ten sposób posługiwano się prymitywnym antykomunizmem bez komunistów.

Prostacki zajadły antykomunizm nie służy walce lewicy ze wszystkimi tymi stronami komunizmu, które uwidoczniły się w stalinizmie, dając o sobie znać w resztkowej formie w okresach późniejszych. W Karcie Praw Podstawowych UE znajduje się zasada, że nie wolno dyskryminować nikogo ze względu na „światopogląd, opinie polityczne i wszelkie inne”. Kto więc nakłada łańcuchy na wolność – „ekskomuniści” czy kombatanci byłej opozycji? Sam smok komunistyczny, czy bohaterscy zwycięzcy tego smoka? Komunizmu nie należy traktować jako zapowiedzi lepszej przyszłości lecz jako wyzwanie. Jest odwiecznym wyzwaniem, poszukiwaniem dróg godzenia wolności i równości, dobra wspólnego i godnego życia jednostki.

ZDZISŁAW SADOWSKI

KRYZYS ŚWIATOWY I PRZYSZŁOŚĆ LEWICY

I.

Wielki kryzys gospodarczy, jaki ogarnął świat w ubiegłym roku, uwypuklił z całą siłą to, co różni myśliciele w rozmaity sposób twierdzili od dawna: nie można pozwalać na to, aby mechanizm rynkowy był jedynym regulatorem losu człowieka¹. Myśl ta odeszła w zapomnienie około 30 lat temu, kiedy pod wpływem ogromnych zakłóceń związanych z dwoma kryzysami naftowymi, gospodarkę światową opanowała na kilka dziesięcioleci doktryna neoliberalna, reprezentująca nieograniczoną wiarę w swobodę rynkową². To ona odegrała zasadniczą rolę w doprowadzeniu do obecnego krachu. Problem polega teraz na tym, jakie wnioski powinno się i jakie uda się z tego wyciągnąć.

Co przyniesie kryzys, który w wielkiej liczbie krajów wstrząsnął wszystkimi dziedzinami życia? Rów-

nie wielkiego wstrząsu nie było od 80 lat. Ówczesny kryzys spowodował głębokie i długotrwałe załamanie gospodarki światowej i stał się traumatycznym doświadczeniem dla całego pokolenia. Nic dziwnego, że skala obecnego kryzysu i gwałtowność jego wybuchu wyzwoliły wszędzie ogromne obawy o kształtowanie się warunków życia w nadchodzących latach.

Na szczęście jednak jest mało prawdopodobne, aby nastąpiło powtórzenie ówczesnych zjawisk. Tym razem kryzys wybuchł w innych warunkach. Światowy system gospodarki rynkowej ma silnie zmienione cechy, a świadomość decydentów politycznych pozwoliła im reagować szybciej i bez szacunku dla przyjętych doktryn. Dzięki temu, choć początkiem kryzysu było gwałtowne załamanie się rynków finansowych, udało się nie dopuścić do paniki giełdowej, która w roku 1929 od razu dokonała spustoszeń i przyniosła groźne następstwa w postaci niebywale głębokiego spadku produkcji, masowego bezrobocia i długotrwałej stagnacji. Choć i tym razem w bardzo wielu krajach nastąpił poważny spadek popytu i produkcji przemy-

¹ „Zgoda na to, aby mechanizm rynkowy był jedynym regulatorem losu człowieka i jego naturalnego otoczenia... może doprowadzić społeczeństwo do zupełnej ruiny”. Karl Polanyi, *The Great Transformation*, 1944.

² Szerzej przedstawiłem ten temat w pracy: *Liberalizm i rola państwa w gospodarce*, „Ekonomista” nr 6/2006.

słowej, nie osiąga on ówczesnych rozmiarów i raczej nie grozi długotrwałą recesją. Gospodarka światowa, wprawdzie wrażliwa na załamanie największej potęgi gospodarczej, jaką wciąż są USA, korzysta obecnie z dodatkowych silników napędowych, które wówczas nie istniały, a mianowicie z nieustającego popytu na surowce, materiały i technologie ze strony szybko rosnących wielkich krajów, jak Chiny, Indie czy Indonezja. Kraje te wprawdzie też musiały odczuć kryzys wobec zwężenia rynków eksportowych, ale nie spowodował on tam wstrzymania wzrostu gospodarczego i dalszej ekspansji produkcji. Ich rozwój zmienia gwałtownie ich pozycję światową i cały układ geopolityczny, zmierzający ku odejściu od dominacji USA na rzecz wielośrodkowości. Można tylko mieć nadzieję, że przyczyni się to do lepszego współdziałania między potęgami światowymi w trosce o rozwiązywanie ogólnych problemów ludzkości.

Na razie nie zmienia to faktu, że dla Ameryki i Europy kryzys jest ciężkim przeżyciem. Wszyscy zastanawiają się nad tym, jak wpłynie on na przyszłość świata. Prognozy są zawsze zawodne, ale wiadomo, że po kryzysie gospodarka, a z nią życie społeczne nie wracają nigdy do punktu wyjścia. Kryzys musi pociągnąć za sobą zmiany strukturalne: niszczy wiele przedsiębiorstw i stwarza warunki dla powstawania nowych inicjatyw, które wprowadzają nowe technologie i nowe wytwory. Główną cechą obecnego kryzysu jest to, że ujawnił on zasadniczą wadliwość międzynarodowego systemu finansowego. W ciągu ostatnich paru dekad nastąpiło rozdzielenie rynków finansowych oraz skali i form obrotu kapitału finansowego, który osiągnął kluczową rolę w kształtowaniu losów gospodarki. Jak się okazało, przy pozorach wysokiej efektywności i korzystnego wpływu na wzrost gospodarczy, doprowadziło to do wyzwolenia się na wielką skalę najgorszych motywów ludzkiego działania i w końcu do załamania.

Pierwszym następstwem kryzysu powinna więc się stać rekonstrukcja międzynarodowego systemu monetarnego. Powinno się doprowadzić do rozwiązań regulacyjnych, zdecydowanie ograniczających ekspansję rynków kapitałowych oraz swobodę ruchów kapitałowych. Byłoby tragicznym błędem, gdyby nie udało się tego zrobić.³

Pojawiły się jednak również oczekiwania, że kryzys spowoduje odejście od systemu kapitalistycznej gospodarki rynkowej. Istotnie, reakcja wielu rządów na wybuch kryzysu, polegająca na wprowadzaniu środków nadzwyczajnych aż do nacjonalizacji banków, miała cechy rewolucyjnej zmiany filozofii gospodarowania. Były to jednak posunięcia doraźne. Nie ma podstaw do przewidywania, że nastąpi trwałe odejście od podstawowych zasad ustrojowych kapitalizmu.

Nie można bowiem zrezygnować z rynku jako podstawy funkcjonowania gospodarki. Rynkowy system organizacji gospodarki dowiódł w ciągu dwóch stule-

ci swej sprawności w promowaniu rozwoju i postępu przez wyzwianie przedsiębiorczości i kreatywności ludzkiej. Dowiódł jednak również, że jednocześnie wyzwała tendencje o wielkiej szkodliwości. Do nich właśnie zaliczały się współcześnie te zjawiska w sferze finansów, które spowodowały obecny kryzys. Ale były one tylko jednym z negatywnych oddziaływań rynku.

Dzisiejszy kapitalistyczny system rynkowy jest bardzo odmienny od form wcześniejszych. W gospodarce światowej dominująca pozycja przypada wielkim koncernom transnarodowym działającym w skali globalnej. Lokują one swoją produkcję i obsługę swoich potrzeb administracyjnych i handlowych w różnych krajach świata według zasad nazwanych po amerykańsku outsourcingiem i offshoringiem, co stało się możliwe dzięki informatyzacji i łączności internetowej. Ta zglobalizowana gospodarka opiera się na niebywale zwiększonej roli wiedzy jako samodzielnego i podstawowego czynnika wytwórczego. Zmienił się w rezultacie charakter konkurencji, która opiera się teraz na zdolności do szybkiego tworzenia i zastosowania nowej wiedzy, co wyraża się w wysiłku innowacyjnym. Jednym z głównych kierunków rozwoju wiedzy stała się informatyzacja życia, na której gruncie rozwija się nowa cywilizacja informacyjna. W tych nowych warunkach nastąpiła powszechna komercjalizacja wszystkich dziedzin życia społecznego. Nastąpiła też i postępuje coraz dalej serwicyzacja gospodarki, czyli ogromny wzrost roli i znaczenia usług w zatrudnieniu i wytwarzaniu dochodów. W wysoko rozwiniętych krajach świata udział przemysłu w wytwarzaniu produktu krajowego zmniejszył się do 20%, oddając pole usługom. Usługi obejmują najróżniejsze dziedziny działalności, od handlu i transportu do doradztwa finansowego, a dalej do edukacji, badań naukowych oraz kultury i sztuki oraz wreszcie do potęgi mediów oraz reklamy. Te nowe cechy decydują o sposobie działania współczesnej gospodarki i prawdopodobnie będą decydowały o kierunkach i sposobie jej rozwijania się w nadchodzących dziesięcioleciach.

Współczesne mechanizmy rynkowe przyczyniły się z jednej strony do ogromnego postępu nauki i techniki, przynoszącego korzystne zmiany w warunkach życia ludzi i potencjalnie stwarzającego możliwości ogólnej poprawy jakości życia. Z drugiej strony jednak wykazują silnie negatywne działania oboczne, z których tylko jednym było to, co stało się ze światowym systemem finansowym. Od kilku dziesięcioleci, przy wzroście przeciętnej zamożności i rozwoju wielu udogodnień w technicznych warunkach życia, szybko pogarsza się światowa sytuacja społeczna. Nastąpił ogromny wzrost rozpiętości dochodowych, wytwarzający masową biedę nawet w krajach najbogatszych i powodujący różne formy społecznego wykluczenia z chronicznym bezrobociem na czele.⁴ Na tym tle obserwuje się wzrost konfliktowości, wyrażający się w starciach i wojnach lokalnych, w napięciach międzynarodowych oraz w użyskaniu bardzo poważnego znaczenia przez terroryzm światowy. Jednocześnie trwają procesy niszczenia środowiska naturalnego, które przez masowy wyrąb lasów

³ Jednym z niełatwych problemów do ewentualnego rozwiązania będzie kwestia odejścia od dolara amerykańskiego w jego roli pieniądza światowego na rzecz nowego pieniądza międzynarodowego. Może to przyjąć formę wykorzystania wprowadzonej w podobnym celu 40 lat temu instytucji tzw. specjalnych praw ciągnięcia (SDR - *special drawing rights*). Miał to być pieniądz rezerwowy, umacniający system stałych kursów walutowych, stworzony umową z Bretton Woods dla zabezpieczenia gospodarki światowej przed skutkami wahań kursowych. Utracił znaczenie wobec generalnego odejścia od tego systemu na rzecz kursów płynnych.

⁴ Według *Human Development Report 2007*, górne 10% ludności zbiera 54% ogólnoswiatowego produktu brutto, natomiast 40% ludności otrzymuje 5% tego produktu, a łączny dochód 50 najbogatszych osób jest większy niż 416 milionów najbiedniejszych.

tropikalnych, zatrucie wód odpadami oraz emisję gazów przemysłowych do atmosfery zdołały doprowadzić do groźnych zmian klimatycznych. Te negatywne tendencje są to trwające procesy autodestrukcji, będące wynikiem działania mechanizmów rynkowych. Nie można liczyć na to, że same przez się kiedyś ustaną. Nie zakończy ich przezwyciężenie kryzysu ekonomicznego. Ludzkość stoi przed znacznie dalej sięgającym wyzwaniem. Trzeba się ustrzec przed postępującą destrukcją podstawowych warunków życia, przed zagubieniem rosnących mas ludzkich w ostatecznej nędzy i przed ogólnym kataklizmem światowym, który stałby się w końcu nieunikniony, gdyby dzisiejsze tendencje dalej miały działać.

Kryzys zwrócił uwagę na konieczność odejścia od tej postaci kapitalizmu, której cechą stała się dominacja kapitału finansowego. Wykazał również fałszywość doktryny neoliberalnej. Powinien więc pomóc w zorientowaniu działań ludzkich na zdecydowane przeciwdziałanie wszystkim tendencjom autodestrukcyjnym. Już wiadomo, że gospodarka oparta na rynku nie może być regulowana samoczynnie przez rynek. Działanie mechanizmu rynkowego musi być tak korygowane, aby przeciwdziałać wszystkim tendencjom autodestrukcyjnym, aby zapewnić ład społeczny eliminujący biedę, głód i wykluczenie, oraz ład ekologiczny nie dopuszczający do niszczenia przyrody i jej bogactw naturalnych.

Ale jak to osiągnąć? Podstawowy kierunek niezbędnych działań określa znana od dawna idea trwałego rozwoju, która dała początek różnym koncepcjom programów działania. Obecnie najlepiej wyraża ją *Strategia trwałego rozwoju* przyjęta przez Unię Europejską. Chodzi w niej o doprowadzenie do skutecznego skojarzenia rynku z rozumnym sterowaniem. Jak wiadomo, od pewnego czasu są podejmowane różne działania w tym kierunku. Potrzeba aktywnego przeciwdziałania negatywnym zjawiskom społecznym znalazła wyraz m.in. w postanowieniach ONZ dotyczących tzw. celów milenijnych (gdzie za podstawowy cel uznano walkę z biedą) oraz w *Europejskiej karcie socjalnej*. W porozumieniach międzynarodowych podejmowane są akcje zmierzające do ochrony klimatu i zapobieżenia globalnemu ociepleniu.

Mimo to negatywne tendencje uruchamiane przez rynek nadal się pogłębiają. Czy uda się przystąpić na serio do ich okiełznania po uporaniu się z kryzysem ekonomicznym? Kto ma kontrolować i korygować rynek? Nie mamy lepszej odpowiedzi na to pytanie niż wskazanie państwa jako podstawowego organu regulacji. Ale państwa są ułomne, decydenci kierują się bardzo doraźnymi celami, a na społeczeństwa składają się ludzie o bardzo rozmaitych poglądach, wybierając często do władzy niekoniecznie najświatlejszych reprezentantów. Jak wzmocnić skuteczność państwa?

A przecież trzeba jeszcze dodać, że programu rzeczywistej przebudowy systemowej nie da się zrealizować bez szerokiej zgody międzynarodowej i pełnej współpracy między indywidualnymi państwami. Tymczasem dobrze wiadomo z doświadczenia, że dochodzenie do niezbędnych uzgodnień międzynarodowych natrafia w konkretach na blokowanie przez różne doraźnie pojmowanych interesów państwowych.

W zasadzie więc sytuacja sprowadza się do tego, że – przy wszystkich różnicach poglądów – wiadomo,

co koniecznie powinno się robić, ale nie ma sposobu na skuteczną realizację tych zadań. Szukając rozwiązania tej sprzeczności dochodzi się do wniosku, że trzeba budować szeroki, międzynarodowy ruch obywatelski, zdolny do wywierania nieustającej presji na decydentów światowych.⁵ Nie spełnia jeszcze tego zadania ruch alterglobalistów, który wydaje się nie mieć ani pozytywnego programu, ani przejrzystych źródeł finansowania.⁶

II.

Nasuwa się spostrzeżenie, że tworzenie takiego typu ruchu obywatelskiego może być właściwym sposobem działania i kierunkiem orientacji nowoczesnej lewicy w skali ogólnoświatowej. Nie jest pewne, czy w dzisiejszych czasach podział na lewicę i prawicę ma jeszcze wiele sensu, ale należy do tradycji i wyraża fakt, że ludzie mają bardzo różne poglądy również w sprawach, o których tutaj piszę. Mianem lewicy określa się zwykle ten rodzaj ludzi, który kluczowe znaczenie przypisuje trosce o sprawiedliwość społeczną i pragnie tak budować ramy ustrojowe, aby tę sprawiedliwość zapewniać. Taki rodzaj ludzi jest potrzebny światu, ale nie jest to jednoznaczne z potrzebą zdobywania władzy w poszczególnych krajach przez partie określające się mianem lewicowych.

Tradycyjną ideową formą wyrazu dla lewicy stała się myśl socjalistyczna, która w ciągu XIX wieku nabierała kształtu nastawiając się na ostrą krytykę kapitalizmu i poszukiwanie innej formy ustrojowej. Takiej formy nie udało się jednak znaleźć. Idea ustroju sprawiedliwości społecznej wyglądała pociągająco w szkicu napisanym przez Karola Marksa. Ale próba wprowadzenia jej w życie w ZSRR doprowadziła szybko do wypaczenia początkowej idei, tworząc niszczący ludzi reżim totalitarny. W życiu gospodarczym stworzyła system sztywny, niezdolny do zbudowania zadowalających rozwiązań motywacyjnych, skłaniających do przedsiębiorczości i efektywnej pracy. Taki ustrój mógł nie dopuszczać do tworzenia się wielkich nierówności społecznych, ale nie mógł wyzwolić niezbędnej dla rozwoju kreatywności i innowacyjności ludzkiej. Okazało się, że odejście od systemu rynkowego i próba zastąpienia go przez działanie organów administracji państwowej prowadzą do nieuniknionych wynaturzeń. Państwo scentralizowane musiało sięgnąć po przymus administracyjny, który wypacza stosunki społeczne rodząc autorytaryzm i totalizm. W obecnym świecie nie ma już miejsca na powrót do tych dawnych socjalistycznych wyobrażeń o tym, jak powinien wyglądać ustrój sprawiedliwości społecznej. Trzeba określić go inaczej. Może właśnie w nawiązaniu do koncepcji trwałego rozwoju.

Wady mechanizmu rynkowego są dobrze rozpoznane. Wspomniana wyżej *Strategia trwałego rozwoju* przyjęta przez Unię Europejską, za priorytetowe kierunki działania uznaje zwalczanie biedy i wykluczenia społecznego oraz zagrożeń zdrowia publicznego, a także

⁵ Do takiego wniosku doszli autorzy słynnej prognozy ostrzegawczej z 1972 r. o granicach wzrostu, ale dopiero w trzeciej książce na ten temat: Meadows, Donella H., Randers, Jorgen, Meadows, Dennis, *Limits to Growth - The 30-Year Update*. Chelsea Green Publishing 2004, zob. Sadowski Z., *Granice wzrostu – nowa ocena sytuacji*, „Przyszłość” nr. 1, 2006.

⁶ Trudno przecież przyjąć, że masy manifestantów, biorących udział w akcjach protestacyjnych na różnych kontynentach, wędrują po świecie na własny rachunek.

walkę ze zmianami klimatycznymi, wstrzymanie procesów niszczenia fauny i flory oraz racjonalne gospodarowanie zasobami naturalnymi. Trwały rozwój wymaga skojarzenia swobodnej działalności gospodarczej w ramach mechanizmu rynkowego z takim aktywnym kształtowaniem polityki rozwoju przez państwo i organy ponadpaństwowe, które polega na wzajemnym wspomaganiu się polityki gospodarczej, społecznej i ekologicznej. Są to wskazania kierunkowe, które współczesna lewica powinna uznać za swoje.

W Unii Europejskiej lewica ma silną reprezentację – Partię Europejskich Socjalistów, która wyraża dążenia do Europy socjalnej i częściowo je realizuje. Realizowanie tych dążeń wydaje się polegać na podejmowaniu wysiłku legislacyjnego w dziedzinie polityki zatrudnienia i stosunków przemysłowych, w tym problematyki umów zbiorowych.⁷ W dochodzeniu do rozwiązań prawnych wysiłek koncentruje się na określeniu kompetencji Unii. W trybie traktatowym doszło i dochodzi do pewnych ustaleń, których nie można lekceważyć. Jednak doprowadzenie do ogólnego porozumienia okazuje się nader trudne.

Podejście prawnicze jest oczywiście ważne w tworzeniu systemu instytucjonalnego sprzyjającego trosce o problemy socjalne, a więc zasługującego na zainteresowanie i poparcie ze strony lewicy. Nie daje jednak odpowiedzi na zasadnicze pytanie o podstawy ideowe nowoczesnego myślenia lewicowego.

W centrum podstaw ideowych programów lewicowych jest i zawsze był człowiek, jego warunki życia, jego poziom wiedzy i kultury. Zauważmy jednak, że zupełnie to samo da się powiedzieć o demokratycznym liberalizmie, który od swoich narodzin był zorientowany na zapewnienie wszystkim obywatelom wolności indywidualnej, pełni praw obywatelskich, sprawiedliwości społecznej i godnych warunków życia. Tak rozumiał swoje cele Adam Smith, tworząc koncepcję liberalnej gospodarki wolnorynkowej i torując w ten sposób drogę rozwojowi kapitalizmu. Ale Adam Smith szkicował system, który jeszcze nie istniał. Historia pokazała, że mylił się, jeśli wierzył w jego doskonałość. Gdyby żył dłużej, musiałby się stać zdecydowanym jego krytykiem.⁸ Kapitalizm bowiem nie potrafił realizować tych celów.

Myśl liberalna długo zajmowała się obroną swobody rynkowej w przekonaniu, że to nie system był winien, lecz zakłócenia zewnętrzne. W końcu jednak stało się jasne, że wolny rynek nie spełnia pierwotnych oczekiwań rodząc niesprawiedliwość, rozwarstwienie i nędzę. Demokratyczny liberalizm ewoluował więc w stronę jego krytyki. Myśl liberalna (w odróżnieniu od kierunku zwanego neoliberalizmem) zrozumiała, że ideałów liberalizmu nie daje się realizować, kiedy istnieją wytworzone przez mechanizm rynkowy wielkie obszary biedy i bezrobocia, a rynek nie pozwala zapewnić masom społecznym należytych warunków życia i zdrowia.⁹

Krytyczny wobec kapitalizmu współczesny demokratyczny liberalizm staje się bliski myśli lewicowej, co

stwarza solidną podstawę dla umacniania się kierunku określanego mianem centrolewicy. Różnica między tymi dwoma potencjalnymi partnerami centrolewicy polega na tym, że w koncepcji liberalnej za najważniejsze uznaje się prawa jednostki, natomiast w tradycyjnej koncepcji socjalistycznej na czoło wysuwane jest dobro wspólnoty. Takie podejście do organizacji społeczeństwa określić można jako właściwe również dla kierunku zwanego solidaryzmem.

Teoria solidaryzmu wskazuje, że może on przyjąć postać albo solidaryzmu naturalnego, albo mechanicznego.¹⁰ Solidaryzm naturalny opiera się na dobrowolnych przekonaniach i osobistym zaangażowaniu członków wspólnoty. Doświadczenie wskazuje, niestety, że nie występuje to na potrzebną skalę w praktyce społecznej. Podejście solidarystyczne łatwo więc przyjmuje formę solidaryzmu mechanistycznego, który powierza państwu rolę organizacji odpowiedzialnej za dobro wspólnoty. Prowadzi to do koncepcji państwa organizatorsko-nadzorczo-represyjnego, które narzuca obywatelom zasady postępowania i współżycia. Z tej ideologii zrodziły się ustroje faszystowskie. Tak też koncepcja ustroju sprawiedliwości społecznej wyrodziła się w ZSRR w represyjny totalizm. We współczesnej Polsce podobną linię reprezentował program „Czwartej Rzeczypospolitej”, prowadzący w nader oczywisty sposób na manowce autorytaryzmu opartego na aktywności organów ścigania. Takim programom musi się przeciwstawiać zarówno myśl liberalno-demokratyczna, jak i socjaldemokratyczna.

Zarówno myśl socjaldemokratyczna, jak liberalno-demokratyczna stworzyły różne koncepcje i formy przeciwdziałania negatywnym skutkom socjalnym swobody rynkowej. Liberalna myśl keynesowska stworzyła formułę interwencjonizmu państwowego, który oznaczał prowadzenie przez państwo polityki korygowania rynku w kierunku pełnego zatrudnienia. Myśl socjaldemokratyczna rozwinęła koncepcję państwa opiekuńczego jako formy korygowania negatywnych skutków podziałowych funkcjonowania rynku. Formy te zdają egzamin w krajach skandynawskich. Liberalizm demokratyczny stworzył też koncepcję społecznej gospodarki rynkowej, która opiera się na idei tworzenia ładu konkurencyjnego w takich ramach instytucjonalnych, które ograniczają wadliwość rynku.

Dla współczesnej lewicy wydaje się ważne aktywne nawiązanie do wszystkich tych koncepcji liberalizmu krytycznego i socjaldemokracji, które wyrażają świadome dążenie do korygowania wad systemu rynkowego. Musi ona natomiast bardzo zdecydowanie odciąć się od tego zupełnie odmiennego nurtu, jakim jest tak zwany neoliberalizm, gloryfikujący swobodę rynkową i potępiający programy socjalne.

III.

W Polsce problem przyszłości lewicy ma szczególną postać z powodu głębokiego spadku poparcia społecznego dla partii określających się jako lewicowe. Od czasu, gdy arena polityczna została zdominowana przez dwie ostro skonfliktowane partie prawicowe, pojawia się coraz częściej pytanie, czy lewica

⁷ Hufschmid, Jorg, *Economic Policy for a Social Europe*, Palgrave Macmillan, 2005.

⁸ Rozwinąłem te myśli w swojej przedmowie do nowego polskiego wydania *Bogactwa narodów* Adama Smitha, Wydawnictwo Naukowe PWN 2007.

⁹ Zostało to sformułowane bardzo wyraźnie w wydanym w 1981 roku Manifestie rzymskim Międzynarodowego Stowarzyszenia Liberalistów.

¹⁰ Rozróżnienie to wprowadził znakomity teoretyk solidaryzmu Emil Durkheim w książce *O podziale pracy społecznej*, 1893 (wydanie polskie 1999).

może jeszcze powrócić do odgrywania poważnej roli w kształtowaniu losów kraju. Aby to mogło nastąpić, lewica musiałaby okazać się potrzebna i zdolna do przekonania znacznej części społeczeństwa polskiego o swojej potrzebnosci. Nie widać takiej zdolności w żadnej z istniejących partii pretendujących do miana lewicowych. Więc to nie w nich należy szukać odpowiedzi na nasze pytanie.

Wydaje się, że współczesna polska lewica powinna zająć się tworzeniem szerokiego ruchu obywatelskiego zgodnego z wyżej przedstawionymi ogólnymi założeniami. Ruch taki z biegiem czasu mógłby wyłonić z siebie nowoczesną partię polityczną. Najpierw jednak powinien zbudować własną wizję rozwoju kraju.

Głównym motywem tej wizji powinno stać się przyspieszenie ewolucji w kierunku nowoczesnej cywilizacji informacyjnej. Droga do tego prowadzi przez wielki wysiłek edukacyjny z naciskiem na uzbrajanie młodego pokolenia nie tylko w wiedzę techniczną, lecz w ogólny rozwój umysłowy oparty na myśleniu humanistycznym. Trzeba przy tym pamiętać, że młode pokolenie Polaków będzie się charakteryzowało w nadchodzących latach rosnącym udziałem młodzieży wiejskiej. O jej edukację trzeba więc zadbać przede wszystkim.

Tu powstaje potrzeba rozpowszechnienia zrozumienia tego, na czym polega sens rzeczywistej demokracji i rzeczywistego państwa prawa. Nie ma wątpliwości, że żaden program lewicowy nie może zrezygnować z postulatów świeckości państwa oraz pełnej równości praw i traktowania dla wszystkich grup i osób żyjących w Polsce bez względu na ich płeć, kolor skóry, wyznanie, skłonności seksualne, stan majątkowy czy stanowisko. Choć to duże wymaganie, które w praktyce jest wciąż dalekie od spełnienia, to jednak nie dosyć. Trzeba zrozumieć konieczność wyraźnego określenia roli państwa. Funkcje, o których wypełnienie powinno chodzić, może należycie wypełniać tylko państwo prawdziwie demokratyczne, świadome ekologicznych i społecznych wyzwań przyszłości, dobrze rozumiejące swoje obowiązki wobec obywateli, oparte na poszanowaniu praw jednostki i swobód obywatelskich, państwo nastawione na szerokie współdziałanie z samorządami i organizacjami pozarządowymi, i rozumiejące potrzebę bliskiej współpracy międzynarodowej oraz integracji europejskiej. Na państwie spoczywa obowiązek troski o sprawiedliwość podziału, w tym o zapewnienie obywatelom powszechnego dostępu do dóbr publicznych oraz podstawowych usług społecznych jak ochrona zdrowia i edukacja, a także właściwe funkcjonowanie rynku pracy.

Trzeba dopracować się państwa zdolnego do prowadzenia racjonalnej polityki gospodarczej nastawionej nie tylko na bieżące pilnowanie równowagi ekonomicznej, lecz na kształtowanie rozwoju kraju w długiej perspektywie. Nie można przy tym zadowalać się postulatem wysokiego tempa wzrostu gospodarczego. Wzrost gospodarczy jest wtedy pożądany, gdy zapewnia należyte uczestnictwo wszystkim członkom społeczeństwa i służy szybkiemu zmienianiu struktury gospodarki w kierunkach wskazanych przez strategię trwałego rozwoju. Wzrost gospodarczy powinien być nastawiony na eliminację biedy i wszelkich form wykluczenia społecznego, a jednocześnie na obronę środowiska naturalnego przez ochronę lasów, oczyszczanie wód, reduko-

wanie emisji gazów przemysłowych, przechodzenie do odnawialnych źródeł energii i rozwój właściwych form transportu.

Za kluczowy kierunek powinno się uznać systemowe działania tworzące bardziej sprawiedliwy ład społeczny. Najbardziej negatywnym skutkiem polskiej transformacji był wybuch masowego bezrobocia, które szybko osiągnęło poziom najwyższy w Europie i – mimo spadku w ostatnich paru latach – wciąż jest relatywnie wysokie, a kryzys jeszcze przez pewien czas może przyczyniać się do jego zwiększania. Konsekwencje masowego bezrobocia ujawniają się pod postacią rozległej strefy biedy, szerokiego marginesu społecznego, agresywności młodzieży pozbawionej perspektyw życiowych, rozchwania więzi społecznej i nasilenia się przestępczości, w tym przestępczości zorganizowanej. W rezultacie utrwalenia się rozległego obszaru biedy wytworzył się głęboki podział społeczeństwa na beneficjentów przemian i tych, których dotknęło niepowodzenie i znaleźli się w biedzie, często skrajnej, bez nadziei na poprawę losu. Podział dotyczy nie tylko bezpośredniego rozwarstwienia ekonomicznego, lecz także innych form wykluczenia, a zwłaszcza wykluczenia informacyjnego i kulturowego. Wszystkie te formy podziału przenoszą się na nastroje społeczne i sprawiają, że znaczna część społeczeństwa jest podatna na hasła populistyczne, co ma istotny wpływ na klimat polityczny.

Koniecznym celem działania jest walka z biedą. Wskaźnik około 12% ludności żyjącej poniżej absolutnego minimum wskazuje na to, że rozmiary biedy są niedopuszczalne i wymagają natychmiastowego podjęcia zdecydowanej akcji polityczno-gospodarczej. Prawdziwe rozwiązanie problemu biedy może przynieść tylko program wieloletni, dobrze opracowany i konsekwentnie realizowany. Wieloletni program walki z biedą powinien określić trwałe zasady działania rynku pracy, których zadaniem byłaby redukcja bezrobocia oraz trwałe zasady kształtowania płac, emerytur i zasiłków dla bezrobotnych, a także stopniowego zwiększania płacy minimalnej.

Dla realizacji tych wszystkich celów lewica polska powinna nastawić się na aktywne współdziałanie z Unią Europejską i włączenie się do realizacji jej strategii trwałego rozwoju. Trzeba odciąć się od anachronicznych dążeń do przeciwstawiania się Unii w imię troski o suwerenność narodową. Jako część Unii powinniśmy całym sercem włączyć się do jej wspólnych działań i dalszej ściślejszej integracji. Nie ma dziś rozwoju Polski poza Unią. Na programie unijnym powinniśmy się skupić wspierając procesy integracyjne i dążąc do szybkiego wejścia do unii monetarnej, czyli strefy euro.

Jest oczywiste, że obecny kryzys, choć dotyka Polskę w stosunkowo małym stopniu, nie ułatwia realizowania wyżej naszkicowanych zadań nowoczesnej lewicy polskiej. Ale kryzys i związany z nim spadek koniunktury jest dla Polski czynnikiem zewnętrznym. Nie można go opanować działaniami wewnętrznymi, które mogą tylko łagodzić niektóre jego przejawy. Trzeba go przeczeekać i myśleć o dalszej przyszłości budując podstawy racjonalnego działania.

ZDZISŁAW SADOWSKI

HENRYK DOMAŃSKI

CO MOŻE SIĘ KRYĆ ZA NISKĄ OCENĄ KLASY POLITYCZNEJ W POLSCE?

Klasa polityczna obejmuje osoby zajmujące najwyższe stanowiska i pozycje związane z władzą państwową. A więc w Polsce są to m.in. prezydent i jego współpracownicy, członkowie rządu, opozycja rządowa, posłowie i senatorzy, kierownictwo partii politycznych, wojewodowie, marszałkowie sejmików wojewódzkich, starostowie, burmistrzowie i inni przedstawiciele władzy lokalnej, a poza tym wszyscy, którzy podejmują decyzje wagi państwowej, realizują je lub bezpośrednio na nie wpływają. Nazywam ich klasą, ponieważ chodzi o polityków rozumianych jako kategoria społeczna. Oczywiście klasa polityczna nie jest klasą społeczną, taką jak robotnicy, właściciele wielkiego kapitału czy chłopci. Nie ma podstawowego atrybutu „klasowości”, jakim jest przekazywanie zajmowanej przez siebie po-

zycji (i władzy) dzieciom. W systemie demokratycznym nie dziedziczy się stanowiska ministra czy posła.

Debatować jest o czym, ponieważ ocena działalności polityków w Polsce jest niska. Powinno to w jakimś stopniu rzutować na stosunek rządzonych do członków tej klasy, a zapewne i na stosunek Polaków do państwa, prawa i demokracji utożsamianej z nowym systemem społecznym. Celowo podkreślam warunkowy charakter tej zależności, ponieważ niska ocena nie jest równoznaczna z brakiem legitymizacji. Legitymizacja polega na uznawaniu prawomocności władzy, czyli traktowaniu jej jako uprawnionej do rządzenia w świetle akceptowanych przez ludzi norm demokracji. Jednak kto wie, czy utrzymywanie się tego stanu w dłuższym okresie nie doprowadziłoby do wycofania legitymizacji.

Jak dotąd, w żadnym z demokratycznych państw do tego nie doszło, więc konsekwencje delegitymizacji są niewiadomą.

Krótko o faktach. Empiryczną ilustracją niskiej oceny polityków i systemu politycznego w Polsce może być niski stopień zaufania. W międzynarodowym badaniu Europejski Sondaż Społeczny respondenci z kilkudziesięciu krajów (reprezentujący dorosłych mieszkańców) odpowiadają na następujące pytanie: „Proszę wskazać na skali od 0 do 10, na ile osobiście ma P. (Pan/Pani) zaufanie do każdej z instytucji, które wymienię – 0 oznacza całkowity brak zaufania wobec instytucji, a 10 oznacza, że ma P. do niej całkowite zaufanie. Pozostałe liczby służą do wyrażenia opinii pośrednich. Na ile ma P. zaufanie do rządu, systemu politycznego, polityków, policji, partii, itd.”.

Ankieterzy wymieniają jeszcze kilka instytucji, które pominię. Pytanie to zadawane jest w kolejnych rundach ESS. Jeżeli chodzi o międzynarodową hierarchię tych postaw, to konsekwentnie, najwyższym poziomem zaufania do czterech instytucji wyróżniają się społeczeństwa skandynawskie. Najwyższe zaufanie do rządu, systemu prawnego i polityków jest w Danii, a do policji w Finlandii. Do ścisłej czołówki należą również Islandia, Norwegia, Szwecja, Luksemburg i Szwajcaria. Z kolei społeczeństwami, które można by określić mianem bezpośredniego zaplecza, w których zaufanie do instytucji kształtowało się na średnim poziomie są ustabilizowane demokracje: Austria, Holandia, Wielka Brytania i Niemcy. Na szczególną uwagę zasługuje Izrael jako nietypowe społeczeństwo wyrażające ambivalentne odczucia; darzące wysokim zaufaniem policję (6,26) i system prawny (6,60) przy stosunkowo niskim zaufaniu do polityków i rządu.

W najniższych partiach hierarchii zaufania lokowały się społeczeństwa postkomunistyczne. Można powiedzieć, że dający się w nich odczuć deficyt legitymizacji znajduje odzwierciedlenie w formie deficytów zaufania w stosunku do instytucji będących ostoją porządku prawnego i ładu. Najmniej korzystnie kształtowały się te postawy na Ukrainie, w Rosji, Bułgarii, Rumunii, Czechach, Słowacji, na Węgrzech i w Polsce.

Zgodnie z oczekiwaniami mieszkańcy Polski charakteryzowali się wyjątkowo niskim zaufaniem do klasy politycznej, czego odbiciem były niskie oceny polityków i rządu. W hierarchii zaufania do polityków społeczeństwo polskie wyprzedzało w 2006 r. tylko Bułgarię i Ukrainę – tak więc nie było najgorzej. Trochę wyższym zaufaniem cieszył się w Polsce system prawny – w 2006 r. Polacy oceniali go lepiej niż mieszkańcy Bułgarii i Ukrainy, a nie gorzej niż Rosji, ale relatywnie najwyższe oceny uzyskiwała policja. W 2006 r. zaufanie do policji kształtowało się w Polsce na poziomie 4,99 – wyprzedzaliśmy prawie wszystkie społeczeństwa postkomunistyczne, co (razem ze Słowenią), sytuowało na w tym wymiarze najwyższej. Oczywiście jest to dość słabe pocieszenie, jeżeli wziąć pod uwagę, że nawet pod względem zaufania do policji społeczeństwo polskie lokowało się w Europie dopiero na 19 pozycji na 24 możliwe.

Ustalenia te pozwalają ująć we właściwych proporcjach powszechne narzekania na niedojrzałość, brak kompetencji i niską jakość klasy politycznej w Polsce. W hierarchii prestiżu zawodów poseł na sejm i mini-

ster lokowani są przez społeczeństwo polskie na najniższych pozycjach, poniżej sprzedawcy, robotnika niewykwalifikowanego czy referenta. Należy podkreślić unikalny charakter tego zjawiska. We wszystkich innych krajach reprezentanci najwyższej władzy państwowej obdarzani są najwyższym prestiżem społecznym. Jeszcze istotniejsze jest to, że dokonało się to dopiero po zmianie systemu. W czasach PRL minister cieszył się wysoką estymą społeczną, lokując go w pierwszej piątce najwyższej ocenianych zawodów; prawidłowość tę stwierdzano we wszystkich badaniach prowadzonych od 1958 do 1988 r.

Zastanówmy się więc, z czego ta niska ocena wynika? Wydaje się, że w dotychczasowych rozważaniach ujmowano ten problem jednostronnie, zbyt dużo uwagi poświęcając uwarunkowaniom wynikającym z mankamentów klasy rządzącej. Tylko im przypisujemy winę za obecny stan rzeczy nie dostrzegając bardziej „obiektywnych” czynników, wynikających z prawidłowości o charakterze cywilizacyjno-globalnym. Poniżej przedstawiam alternatywną interpretację, która nie wyklucza sensowności krytycznego spojrzenia na polityków w Polsce, ale ujmuje to zagadnienie szerszej.

Czynnikiem niskiej oceny, który wydaje się być poza kontrolą jakiegokolwiek państwa i rządu, jest wzrost złożoności – gospodarki, mechanizmów demokracji i w ogóle otaczającego nas świata. Obejmuje to również zarządzanie społeczeństwami pociągając za sobą większe problemy w podejmowaniu trafnych decyzji przez osoby sprawujące najwyższe urzędy państwowe. Przykładem może być ostatni kryzys ekonomiczny z 2008 r., którego pierwotnym ogniwem było wykreowanie nadmiernego popytu na rynku nieruchomości w rozwiniętych krajach zachodnich, wspieranego przez nowe (tzw. „pochodne”) instrumenty finansowe uruchamiane przez banki. Niewiadomą jest kwestia ocieplenia klimatu.

Problemem są nie tylko nowe „pola ryzyka”, ale i jak sobie z nimi radzić. Czynią one świat mniej przewidywalnym, a związane z tym komplikacje stawiają polityków przed bardziej odpowiedzialnymi zadaniami niż kiedyś. Jeżeli założyć, że ludzie są tych prawidłowości świadomi, to nie powinno dziwić, że mają mniejsze zaufanie do klasy rządzącej, przy czym nie chodzi tu o spadek wiary w dobre intencje polityków, ale obniżenie się ich wiarygodności pod względem kompetencyjnym. Podobnie może być w Polsce. W myśl tej interpretacji niskie notowania polityków w sondażach opinii publicznej należałoby (przynajmniej częściowo) odczytywać jako świadectwo małej „ufności” do ich kwalifikacji zawodowych.

Drugim czynnikiem o wymiarze globalnym jest zjawisko, które w nawiązaniu do teorii ekonomicznej można określić prawem malejących przychodów. W odniesieniu do świadomości politycznej polega to na tym, że rządzeni coraz mniej doceniają pozytywne konsekwencje poczynań klasy rządzącej, których celem jest podniesienie dobrobytu, poprawa jakości życia, bezpieczeństwa osobistego i innych korzyści. Po przekroczeniu odpowiednio wysokiego poziomu zaspokojenia potrzeb społecznych, podobnie jak w dziedzinie produkcji i usług, każda kolejna ustawa czy decyzja rządowa, przynosząca np. poprawę stopy życiowej, traci na wartości. Z perspektywy obywatela poprawa

przestaje być odczuwalna i traktowana jako zasługa klasy rządzącej. Dotyczy to m.in. korzyści płynących z polityki socjalnej w zakresie ochrony zdrowia, ubezpieczeń czy kosztów kształcenia. Za zwiększającym się poczuciem bezpieczeństwa postępuje wzrost niezależności i skłonności do polegania na sobie – paradoksem jest to, że konsekwencją „czynienia dobra” jest utrata autorytetu przez władzę. Im bardziej się stara, tym jest gorzej. Oczywiście prawidłowość ta realizuje się tylko w długiej perspektywie czasowej. W krótkiej perspektywie wyborcy rozliczają rząd z konkretnych osiągnięć, dokonując oceny na podstawie własnej sytuacji materialnej, obniżania się poziomu bezrobocia czy wzrostu GDP w skali roku. Ale nie należy mieszać ufności z poparciem wyborczym.

Trzeba przyznać, że wyjaśnienie to bardziej pasuje do rozwiniętych krajów zachodnich, jako że społeczeństwa postkomunistyczne nie osiągnęły jeszcze tak wysokiego poziomu rozwoju. Statystyczny Polak w dalszym ciągu oczekuje od państwa pomocy, wydaje się więc mało prawdopodobne, aby spadek prestiżu polityków wynikał z ich malejącego autorytetu spowodowanego przywiązaniem naszego społeczeństwa do indywidualnych wartości i zanikaniem potrzeby posiadania parasola ochronnego. W przypadku Polski „prawo malejących przychodów” jest kwestią odległej przyszłości. Natomiast może już ono oddziaływać na niektóre kategorie społeczne (jak elita biznesu i nowa inteligencja) cieszące się – z racji posiadanych zasobów – wysokim poczuciem bezpieczeństwa i niezależności od władzy.

Czynnikiem obniżającym zaufanie do klasy politycznej może być również wzrost ogólnego poziomu edukacji i wiedzy. Zdaniem takich autorów jak S.M. Lipset, najpoważniejsze problemy z legitymizacją władzy zaczęły się po upadku monarchii stanowych.¹ We wcześniejszym okresie, w społeczeństwach tradycyjnych, których dominującą część stanowili rolnicy wierzone, że władza pochodzi od sił nadprzyrodzonych albo od Boga. Przekonanie to wspierał Kościół, nie podważały go walki o tron, wojny domowe, bunt feudalistów i chłopstwa. Władzę przekazywało się w ramach domu panującego jako rzecz bezdyskusyjną, chociaż można jej było nie lubić.

Przejdźmy do teraźniejszości. Jednym z aspektów demokracji jest sprawowanie przez obywateli kontroli nad władzą. Przełomowe znaczenie przejścia od tradycyjnej struktury społecznej do systemów rynkowych związane jest z kształtowaniem się nowego typu racjonalności, gdzie bezrefleksyjna akceptacja *status quo* ustępuje miejsca krytycznemu sądowi. W „społeczeństwach wiedzy”, do których należy i Polska, członkowie klasy rządzącej muszą się liczyć z coraz większą krytyką ze strony rządzonych, a im wyższy jest poziom wykształcenia, tym łatwiej jest społeczeństwu uchwycić błędy polityków. Wzrost wykształcenia powoduje, że coraz więcej ludzi występuje z pozycji eksperta kwestionując kompetencje klasy rządzącej. Na przekonanie to nakłada się wiedza o wzrastającej złożoności zadań stojących przed politykami i brak wiary, że mogą oni skutecznie przeciwdziałać zagrożeniom cywilizacji rynkowej.

Za odniesieniem tej interpretacji do polskiego kontekstu przemawia ekspansja edukacyjna szkół wyż-

szych. W latach 1990-2008 nastąpił ponad 4-krotny (z 112 do 455) wzrost liczby szkół wyższych. Liczba studentów zwiększyła się w tym czasie z 403,8 tys. do 1937 tys., liczba absolwentów z 65 do 410 tys., a współczynnik scholaryzacji brutto, czyli odsetek studentów wśród osób w wieku 19-24 lat zwiększył się z 12,9 do 51,1.² Niewiele mniejszą dynamikę miały szkoły policealne, gdzie liczba studentów zwiększyła się z 108,3 do 301,6 tys., liczba absolwentów z 41,9 do 88,8 tys., a wskaźnik scholaryzacji z 3,6 do 17,2.

Argumentem przeciw może być to, że przyrost wykształcenia nie przynosi natychmiastowych efektów. Nie należy oczekiwać, że tak od razu staniemy się bardziej efektywni ekonomicznie czy tolerancyjni wobec (powiedzmy) lesbijek i gejów. Niemniej dziwne byłoby przejście szybkiego kursu politycznej edukacji – należałoby jeszcze założyć, że skokowy wzrost odsetka absolwentów przełożył się na zgłębianie tajników władzy i wykreował zbiorowe przekonanie o byciu ekspertem. Natomiast (raczej wątpliwy), efekt przyspieszonej edukacji politycznej nie wyklucza szczególnego rodzaju pewności, która bywa udziałem określonej kategorii posiadaczy dyplomów. Nie jest tajemnicą, że na niektórych uczelniach łatwo jest zostać magistrem, a „łatwe” studia kreują mentalność nuworysza; zjawisko to występuje również na polu oświaty. Po uzyskaniu dyplomu można się już poczuć inteligentem przekonanym, że posiada się tak wiele mądrości, iż nie trzeba już padać na klęczki przed władzą.

Przemiany ustrojowe nasuwają myśl o jeszcze jednym czynniku delegitymizacji występującym i w Polsce. Rangę polityków obniża zjawisko określane mianem banalizacji problemów. Pierwszoplanowe zadania przypisane do polityki na szczeblu rządowym, dotyczące rozwiązywania międzynarodowych konfliktów, dyplomacji, czy zapewnienia obronności schodzą w odczuciu publicznym na drugi plan, wypierane przez zajmowanie się sobą, ataki personalne i wewnętrzne rozgrywki o władzę. Banalizacja polityki w Polsce nasiliła się od 2005 r., gdy na scenie pozostały tylko dwie zwalczające się, chociaż bliskie sobie pod względem programowym, partie: Prawo i Sprawiedliwość i Platforma Obywatelska. Obserwując zachowania członków polskiej klasy rządzącej można odnieść wrażenie, że polityka polega na zakładaniu podsłuchów, ujawnianiu działalności przestępczej, obrażaniu się i pozywaniu do sądu za nieostrożne stwierdzenia. Niepoważnymi problemami są nagłośnienie takich spraw jak niepłacenie alimentów przez Ludwika Dornę, problemy zdrowotne prezydenta, zniszczenie laptopa przez Zbigniewa Ziobrę, upodobanie Donalda Tuska do gry w piłkę w godzinach pracy czy awantury małżeńskie w USA z udziałem ministra sportu. Banalizacja prowadzi do ośmieszania się obu stron, czego przykładem – w odniesieniu do rządu PO – jest gra wokół ustawy medialnej. Symbolami banalizacji ostatnich lat mogą być: Renata Beger, Janusz Palikot, Stefan Niesiołowski. Polityka schodzi do poziomu kłótni o miedzę i wymiany inwektyw.

HENRYK DOMAŃSKI

¹ Lipset S.M., *Homo Politicus*. PWN, Warszawa 1995.

² Dane pochodzą z *Roczników Statystycznych GUS* 2008 i 1999. Dane dotyczące liczby absolwentów odnoszą się do okresu 1990-2007 r.

KRZYSZTOF KWAŚNIEWSKI

POLSKA MYŚL ZACHODNIA: PAMIĘĆ I POLITYKA HISTORYCZNA, A „DWIE TRUMNY”

Pamięć historyczna to – najkrócej sprawę ujmując – pamięć o historycznych wydarzeniach. Określenie to wydaje się wystarczające, choć o wiele subtelniej ujmuje to Pierre Nora pisząc, że pamięć zbiorowa to „to co pozostaje z przeszłości w przeżywaniu grup lub to, co te grupy robią z przeszłością”.¹ Zaś zdarzenia historyczne to wydarzenia ważne bądź dla całej ludzkości, bądź dla jakiejś odrębnej społeczności, najczęściej etnicznie i terytorialnie określonej i z tego tytułu przynajmniej przez pewien okres dziejów nawet względnie izolowanej (jeżeli to określenie przybiera instytucjonalną, państwową formę, jest to pamięć historyczna społeczności państwowej współokreślająca

zasadność istnienia danego państwa w danych granicach; za pamięć historyczną uważa się też zwykle pamięć o tych wydarzeniach, które uznane są za ważne z pewnej perspektywy czasowej, nie pod wpływem chwilowych nastrojów).

Już tu otwiera się jednak pole do dyskusji (i niezgodności) w poglądach, które zdarzenia były ważne historycznie, w jak szerokiej skali i czy ich znaczenie było dla danej zbiorowości pozytywne, czy negatywne. Jest zresztą rzeczą dyskusyjną, czy istnieje w ogóle jakaś historia uniwersalna, czy historia nie jest zawsze w jakimś przynajmniej stopniu tylko konkretyzacją w miejscu, czasie i społeczno-politycznym

układzie odniesienia jako „ciąg nowych odczytań przeszłości, pełen strat, ale i ponownych objawień, dziur w pamięci i kolejnych rewizji”.² Jej treść zależy więc od perspektywy; nie wszyscy są skłonni uznawać te same zdarzenia za ważne. Rzeczy ważne i istotne dla jednego społeczeństwa nie muszą być ważne dla innych, a tym bardziej dla całej ludzkości.

Dalej zależy ona także od wyników ciągłych przecieżeń badań, tez i hipotez, jakie zdarzenia miały, a jakie nie miały wpływu na inne (które?) i jaki duży był ten wpływ. Zależy wreszcie od tego, czy pamięć będzie z założenia bezstronna i kompletna, czy też (i w jakich zakresach) wybiórcza, tendencyjna. Można przecież nawet pisać o wyborze tradycji w sposób niepozostawiający w istocie czytelnikowi żadnego wyboru.³ Tendencyjność nie jest jednak tym samym co pewna odrębna perspektywa właściwa danemu agregatowi społecznemu jako podmiotowi pamięci. W nieokreślonym, ale z pewnością znacznym stopniu zależy też od tego, co i w jakiej formie stało się dla danej społeczności akceptowanym mitem, legendą, choćby nie miało pokrycia w prawdziwych faktach, a co z kolei stało się wręcz nawykowym już i bezrefleksyjnym („przysłowiowym”) przedmiotem niechęci, przemyślanym złośliwości, a wreszcie inwektyw i dawania upustu kopolalii.

Polityka historyczna może być rozumiana tylko jako działania zmierzające do kierowania społeczną pamięcią historyczną. *Wikipedia* polska z 2006 r. proponuje przyjęcie, że „Polityka historyczna (z niem. *Geschichtspolitik*) to:

1. Refleksja nad historią, oraz jej interpretacja dokonywana z uwzględnieniem aktualnej sytuacji politycznej danego kraju.

2. Tendencja w polityce polegająca na uznawaniu wpływu historii na współczesne problemy polityczne oraz uwzględnianiu w bieżącej działalności i w budowaniu programów na przyszłość uwarunkowań historycznych.

3. Kształtowanie świadomości politycznej społeczeństwa celem zjednoczenia go wokół danych programów politycznych

Przykładami stosowania polityki historycznej w praktyce jest wpływ państwa na kształtowanie szkolnych programów nauczania historii bądź decyzje władz o doborze historycznych nazw dla ulic czy placów. W skrajnych przypadkach polityka historyczna przybiera postać manipulacji historycznej, mitologizacji albo wprost fałszowania historii dla potrzeb politycznych” (wstępne posługiwanie się sformułowaniami *Wikipedii* uzasadnię w dalszym ciągu tekstu).

Dodać do tego można chyba jednak co najmniej dwa zastrzeżenia. Pierwsze – wpływ państwa na naginanie historii dla potrzeb politycznych występuje nie tylko „w skrajnych przypadkach”, lecz chyba zawsze, może być realizowane dyskretnie i z umiarem albo w sposób nachalnie prostacki. Drugie – zbyt częste i usilne lansowanie jednej tylko optyki historycznej musi budzić podejrzenie, iż jest to bardziej chęć zatarcia lub modyfikacji innych poglądów, a nawet zatarcia własnych błędów, niż wyrażenia rzeczywistości. Zresztą wiadomo, że prawdy, także historycznej nie ustala się, jak polityki, przez głosowanie. Felipe Fernandez-Armesto referując tezy nawet o „śmierci

prawdy w naukach humanistycznych” powołuje się na gorzkie twierdzenie Michela Foucaulta, że prawda „jest to kolejne pojęcie, celowo ukute jako narzędzie ucisku”,⁴ „zbiór reguł związanych obustronną relacją z systemem władzy, która je wytwarza”.⁵ Trudno o bardziej dobitną krytykę niewątpliwie politycznego posługiwania się „pamięcią historyczną”.

Jeżeli więc polityka taka stawia sobie jako cel to, aby pamięć historyczna była zawsze kompletna i obejmowała wszystkie chwalebne i wstydlive fakty i działania oraz wszelkie możliwe ich interpretacje bez lansowania którejkolwiek z nich i bez względu na to, dla kogo może to być korzystne lub niekorzystne – to mogłaby być godna poparcia i rozwijania. Ale taka „polityka historyczna” to właściwie nauka, nawet nie tylko historiografia (a i to z wyjątkiem „dworskiej”). W dodatku i historiografia zbadać może tylko, czy dane zdarzenia rzeczywiście nastąpiły, czy nie, natomiast już interpretacja, a zwłaszcza dobór tych faktów pozostaje też rzeczą dyskusyjną, jako że na poparcie prawie każdej tezy da się wybrać i przytoczyć wiele „obiektywnie prawdziwych”, „historycznych” faktów i zdarzeń. Pamięci historyczne bywają więc różne i z różnych perspektyw, nawet w historiografii. Są „niekończące się rzuty z pamięci w pamięć i nie ma innych dziejów” – pisał Artur Międzyrzecki.⁶

Politykę historyczną uprawiają jednak (także przy pomocy zawodowych historyków) zawsze jakieś zbiorowości o charakterze *lobby*, a nawet partii politycznych i dlatego jej bezstronność jest zwykle mniej lub bardziej wątpliwa. Jeżeli wydaje się więc ona dopuszczalna, to tylko w aspekcie podtrzymującym (istniejącym i bez jej udziału) społeczne *status quo* owych mniejszych społeczności (narodowych, państwowych), jako rodzaj pragmatyzmu pozwalającego pogodzić się w sposób możliwie konstruktywny z rzeczywistością. Ale i takiej polityki historycznej nie potrzebują społeczności, które zyskały duże znaczenie gospodarcze i polityczne, że dla ich prestiżu zbędne są dodatkowe argumenty, a pamięć historyczna *per saldo* i tak jest dla nich korzystna, nawet u przeciwników. Tylko słabi mogą zwalczać własne nacjonalizmy, silni mogą je tępić głównie u innych. Polityka historyczna może więc być potrzebna głównie społecznościom słabszym albo takim, które oprócz siły pragną dodatkowo legitymizować i wzmacniać swą politykę, np. tworząc wokół siebie mniej lub bardziej uzasadniony mit ofiary i wykorzystując go.

Wydaje się, że do zupełnie prostego omówienia tej problematyki najlepiej nadaje się rozróżnienie rodzajów tradycji według Jerzego Szackiego⁷ (bo tradycja to z pewnością nie aż „zbiorowa mądrość powstająca na podstawie więzi dziedzictwa, przekazywana z pokolenia na pokolenie” jak głosi *Wikipedia* polska z 2006 r., ale wszelki przekaz informacji o przeszłości):

1. Jeżeli przyjąć rozumienie tradycji jako przekaz, to jest ona konstytutywną cechą psychicznego i społecznego funkcjonowania każdego człowieka, całej ludzkości i poszczególnych, wyodrębnionych w niej społeczności, także narodowych i państwowych. Jej działanie zależy od wielu czynników, takich jak nasilenie i zasięg przekazów, możliwości i zdolności percepcyjne i recepcyjne zarówno obiektywne, jak i subiektywne (społeczno-kulturowa, ogólnospołeczna

i indywidualna kompetencja komunikacyjna). Pamięć historyczna obejmuje więc to z tradycyjnych przekazów, co jednostki i społeczności mogły, chciały i umiały zachować. Ponieważ na wiedzę składają się w zasadzie wszystkie przekazy, (także nieprawdziwe, których znajomość polega paradoksalnie na umiejętności ich falsyfikacji), przeto wpływanie na taką pamięć historyczną czyni politykę historyczną prawie wyłącznie cenzurą i propagandą, a to jest sferą działalności politycznych grup nacisku choćby udawały instytucje naukowe, i nie jest zgodne ani z przyjętym obecnie oficjalnie rozumieniem praw człowieka, ani nie pozwala na jej akceptację w jakiegokolwiek postaci.

2. Jeżeli przyjmujemy rozumienie tradycji jako wartości samej w sobie, to właściwie wszystko co zostało przekazane z przeszłości powinno być zachowane, a zatem być też przedmiotem refleksji. Wszelka jej selekcja wydaje się niedopuszczalna, a nawet może się rodzić potrzeba „uwznioślenia” wszelkiej tradycji, zaopatrzenia jej „kwantyfikatorem dodatnim” tak, aby – skoro ma być wartością – była na tyle uwznioślona, by stanowiła bardziej wartość pozytywną niż wstydlivy balast, albo przynajmniej potrzebę takiego jej interpretowania, by nawet zdarzenia godne potępienia i wstydlive widzieć tylko przez pryzmat ich przezwyciężenia i naprawienia (np. *Wikipedia* polska w wersji z 2006 r. mówi wyrażnie: „Uznawanie tradycji wiąże się z zachowaniem tego, co charakterystyczne i wartościowane dodatnio we własnej przeszłości”, zatem uznaje za tradycję tylko pamięć o przeszłości chwalebnej). Jeżeli więc istnieją jeszcze dziś tak skrajne poglądy, że ma to być „wartość” sama w sobie, to istnieje nawet duże prawdopodobieństwo, że wszelkie wydarzenia uważane (lub tylko przez dane lobby uznane) za mało chwalebne, zostaną ocenzone, a wydarzenia chwalebne (lub uznane za chwalebne) propagandowo wypuklone, a nawet wyolbrzymione (skłonne są do tego zwłaszcza społeczności przezwyciężające jakąś traumę). Może tu zachodzić takie zjawisko, że w miarę upływu czasu, przewartościowań i zmian orientacji (ideowych, religijnych, politycznych) oceny niektórych faktów i osób będą się nawet diametralnie zmieniać i w związku z tym pojawiać się w pamięci historycznej jako wzory bądź antywzory, lub nawet z niej zniknąć. Bywa, że te same działania inaczej interpretowane raz będą tytułem do pamięci chwalebnej, kiedy indziej do zapomnienia, a nawet potępienia. Polityka historyczna przy takim założeniu będzie więc zawsze dla pewnych zdarzeń trochę panegiryczna, a dla innych paszkwilańska, niechętna rzetelnym badaniom historycznym starającym się ustalić „całą prawdę i tylko prawdę” o faktach z przeszłości i o relacji faktów dotyczących historii danej społeczności w stosunku do historii szerszych społeczności i ludzkości.

Istnieje jednak sfera tradycji, której zachowanie może być dla społeczności narodowej wartością samą w sobie, bez uszczerbku dla prawdy i bezstronności. Jest to tradycja obejmująca odrębność języka i innych podobnych elementów kultury, zwłaszcza zwyczajów stanowiących tylko o „czystej” inności danej społeczności, a niepodlegających w ogóle wartościowaniu, niebędących ani zaletami, ani wadami, ani zasługą, ani winą. Jeżeli tylko o to chodzi, pielęgnowanie pamięci historycznej o tym jest zawsze uzasadnione

i nienaganne; to właśnie jest owo pielęgnowanie tożsamości narodowej, tak jak nie jest nim tendencyjność, apologetyzm (zwłaszcza przez „bicie się w cudze piersi”), panegiryzm, paszkwil (choćby i „sercem gryzi”). W tym wypadku wolno jednak z takiej pamięci i odrębności zrezygnować i jeżeli owa rezygnacja może być w ogóle poczytana za jakąś winę, to tylko wobec danej społeczności i lojalności odziedziczonej wraz z samym urodzeniem się i wychowaniem w danej kulturze, bądź przyjętej dobrowolnie z chęci przynależności do niej. Rezygnacja z takich atrybutów „etnicznej” i „kulturowej” narodowości jest jednak narodowym odstępstwem albo świadectwem stanu wynikłego z manipulacji i przynależności do „narodowości urojonej”.

Uprawianie „polityki historycznej” w związku z rozumieniem całej tradycji i pamięci historycznej jako wartości samej w sobie „w ogóle” jest szczególnie niebezpieczne. O chwalebnej wartości zachowywania tylko elementów „czystej” inności narodowej mówi się zaś rzadko, bo nie jest ona skierowana przeciw nikomu (tylko – czasem – obronnie) i kapitału politycznego nie można na tym zbijać, chyba jedynie dla podtrzymania odrębności jakiejś mniejszości narodowej, by widziała potrzebę posiadania oficjalnych reprezentantów.

3. Rozumienie tradycji historycznej jako dziedzictwa wydaje się najbardziej racjonalne. Oczywiście nie może to być dziedzictwo pojmowane jako – według *Wikipedii* polskiej z 2006 r. – „zasób rzeczy nieruchomych i ruchomych wraz ze związanymi z nim wartościami duchowymi, zjawiskami historycznymi i obyczajowymi, uznawany[!] za godny ochrony prawnej dla dobra społeczeństwa i jego rozwoju oraz przekazania następnym pokoleniom z uwagi na zrozumiałe i akceptowane [?] wartości historyczne, patriotyczne, religijne, naukowe i artystyczne, mające znaczenie dla tożsamości i ciągłości rozwoju politycznego, społecznego i kulturalnego, dowodzenia prawd i upamiętniania wydarzeń historycznych, kultywowania poczucia piękna i wspólnoty cywilizacyjnej”; ujęcie jakby inspirowane przez budowniczych „IV RP” (nie jest przypadkiem częste powoływanie się tu na popularne źródło, właśnie *Wikipedię* 2006, gdyż stanowi to dobrą ilustracją ofensywy pewnych sił i pewnego sposobu myślenia w obecnym czasie). Już terminologicznie określenie „dziedzictwo” nawiązuje do pojęcia dziedziczenia, w którym mieści się uznanie, że tradycja historyczna jest spadkiem. Nie można jednak niestety przyjąć go „z dobrodziejstwem inwentarza”, a więc z odpowiedzialnością za elementy ujemne tylko do rozmiaru zasobów stworzonych czy wniesionych przez elementy dodatnie. Uznanie integralnego charakteru dziedzictwa historycznego nie wyklucza, a wręcz zobowiązuje do prowadzenia polityki historycznej lecz właśnie w tym sensie, by znajomość zdarzeń historycznych była kompletna, pozbawiona zarówno elementów panegirycznych, a nawet apologetycznych, jak i masochistycznych, zaś starała się rozumieć i interpretować te wydarzenia nie tylko w skali odrębnej społeczności, ale całej ludzkości (co nie znaczy jednak, że ludzkość to np. Europa zachodnia, albo amerykański „Wielki Brat”).

Ale wszystko to musi być chyba podporządkowane jednemu najogólniejszemu twierdzeniu, że „pamięć historyczna” jest najczęściej zaledwie listkiem figowym

dla prób indoktrynacji historycznej uprawianej zwłaszcza na „rocznicowe” zamówienia. Bowiem w istocie każda opcja i każda rozsądna bądź szalona ideologia może z bezmiaru obiektywnych prawd historycznych wybrać potwierdzenia, zburzenia, uwznioślenia i zo-hydzienia wszelakich tez. Dlatego żadna interpretacja historyczna (nawet zawarta w dziełach naukowych) prawdą historyczną nie jest i być nie może; zawsze jest jakąś próbą zastąpienia „ich” prawdy „naszą” prawdą. Dlatego nawet wtedy, gdy usiłuje się tworzyć historię „wspólną” całego świata, Europy, czy np. polsko-niemiecką, albo polsko-rosyjską (polsko-ame-rykańskiej nikt na razie nie projektuje, co mówi także dość wyraźnie o „wspólnocie interesów” z tym sojusznikiem dzisiejszej Polski) zawsze i w ramach takich historii pozostanie margines na jakąś nie tyle historię, co własną historyczną linię polityczną. Jednak linia ta będzie miała sens, jeśli nie będzie ani gloryfikacją, ani paszkwilem na jakiegokolwiek elementy przeszłości, nie będzie podporządkowana żadnej opcji partyjnej, a zwłaszcza legitymizacji czy integracji na podstawie jakiegokolwiek nienawiści i zbiorowej odpowiedzialności (choć czasem musi piętnować takie postawy u innych i na zewnątrz, i na wewnątrz). Że wyeliminuje także tezy tych, którzy wiedzą, iż „najskuteczniejszy jest ję-zyk nienawiści, który brzmi jak język miłości”.⁸

Polityka historyczna, jeżeli ma być *polityką* właś-nie, musi także obejmować zagadnienie kompromisu. Przede wszystkim nie może to być kompromis wyłącz-nie „ogólnoludzki”, musi wypływać z uznania jakichś podmiotowości narodowych czy choćby tylko pań-stwowych, choć nie zamyka to sprawy uznania pew-nych działań i formacji za obiektywnie zbrodnicze, co odnosić się musi także do samoocen. Kompromis ten (ponieważ może być głównie kompromisem między *naszą* a *ich* prawdą historyczną) nie może jednak oscylować między tromtadacją a lizusostwem, musi być rozumny, jawny i wyraźnie określający zwłaszcza te sfery, w których optyka każdej ze stron musi być różna i „pozostają one przy swoich opiniach.” Przykła-dem może być hołd dla naszych (uczczonych przez nas) i waszych (tylko upamiętnionych przez nas na naszej ziemi) poległych. Oczywiście nie czci się ani nie upamiętnia osób poległych w sprawie uznanej po-wszechnie za zbrodniczą – i tu pozostaje jednak mar-gines polemiczny co do powszechności i obustronno-ści owego osądu.⁹

W gruncie rzeczy w polityce historycznej najczęś-ciej nie chodzi wcale o pamięć historii ani o wydoby-cie jej fragmentów z zapomnienia, przywrócenie proporcji i prawdziwego znaczenia zdarzeń i postaci czy bar-dziej obiektywne, pozbawione zamknięcia we własnej perspektywie spojrzenie. Chodzi o zniszczenie cudzej legendy lub o jej zmianę w „czarną legendę”, a ugrun-towanie lub wręcz stworzenie własnej legendy. Webe-rowska charyzma to przecież głównie talent otaczania się aurą legendy właśnie.

Wyznawcy i krzewiciele każdej, nawet najszlachetniejszej idei mają przecież na sumieniach tezy i czyny odrażające, podobnie jak wśród wyznawców i dokonai idei najbardziej zbrodniczych znaleźć moż-na jakieś pozytywne (choćby np. osławione autostrady hitleryzmu). Wszystko to są fakty dające się udowod-nić i udokumentować, a więc „historyczna prawda”. Ale

czy to, że ich opis nie jest fałszywy, oznacza, że jest to rzeczywiście prawda historyczna? Ujęcie historycz-ne to przecież nie tylko chronologia; ustalenie chro-nologii zdarzeń jest potrzebne właściwie po to, żeby wiedzieć, iż to co było później w żaden sposób nie mogło być przyczyną tego, co było wcześniej. Ujęcie historyczne to nie tylko ujęcie dynamiczne, staranie o ustalenie relacji przyczynowo-skutkowych. Ujęcie hi-storyczne to przede wszystkim ujęcie przyjmujące, że żadne zjawisko nie ma jednej przyczyny, tak jak żadna przyczyna nie ma tylko jednego skutku.

Nauka historii to właściwie ciągłe szukanie naj-trafniejszych kontekstów przyczyn dla danego skutku i różnych skutków danej przyczyny. Ale historii zawsze towarzyszy legenda, która obejmuje nie tylko fakty i przebiegi wymyślone lub zniekształcone. Legenda też ma swoje przyczyny i skutki. Często jest to zesta-wienie faktów prawdziwych, ale wyselekcjonowanych, a nawet przesadnie wyeksponowanych pozytywnie, bądź negatywnie („czarna legenda”) – w historii prze-cież często dąży się do tego samego. Psychologia do-szła ostatnio do wniosku, że nawet samo odwołanie się do np. możliwości stwierdzenia jakiejś „narodowej odpowiedzialności” już budzi u oceniających dany tekst przekorną „postawę ukrytą”.¹⁰ Treści historii od-powiadające owym „postawom ukrytym” można było-by chyba nazwać właśnie legendami.

* * *

Ale problem pozostaje i wymaga dalszego poważ-niejszego rozpatrzenia. Dobrze, że ukazało się na ten temat specjalne, obszerne i pogłębione opracowanie, z uwzględnieniem nowej literatury przedmiotu.¹¹ Tu jednak niech mi będzie wolno zająć się tylko jednym zagadnieniem, które, jak mi się wydaje, ogniskuje w sobie całe spiętrzenie nieporozumień i sporów, ale także nieoczekiwanych sojuszków i zaciekłych waśni, białych plam i upartych rewindykacji różnych (!) pa-mięci historycznych w Polsce. Chodzi mianowicie o poruszoną nie tak dawno kolejny raz sprawę cią-żenia nad tymi dzisiejszymi kontrowersjami polskimi „dwóch trumien”: Romana Dmowskiego i Józefa Pił-sudskiego,¹² że nawet nawiązano do tego określenia (choć chyba bardzo nieadekwatnie) w aktualnościach.¹³ Co powoduje, że kontrowersje te nieustannie wracają nawet w tych sporach, w których nie padają nazwiska ich promotorów, a chodzi o sprawy daleko wybiegają-ce poza przedstawiane ongiś perspektywy ideologicz-ne i polityczne i, co więcej, nawet wtedy, gdy spory toczą polscy eksponenci niezwiązani z tymi ideami albo wręcz im wrody? Wystarczy zresztą spojrzeć na polaryzację czy geograficzno-polityczny podział Polski uwidoczniony na nader instruktywnych kartogramach zamieszczonych w „Polityce” po ostatnich wyborach 2007 roku¹⁴ (nawiasem: czy naprawdę dużo brakowa-ło, by mogły one być faktycznie ostatnie, jak po 1926 roku?).

Wydaje się, że w zrozumieniu żywotności i ko-rzeni tych podziałów pomoc może w jakimś stopniu propozycja spojrzenia na nie przez pryzmat tak dys-kutowanych koncepcji „etnicznej” i „państwowej” teorii narodu (nie mówiąc już o dążeniach do całkowitego wyeliminowania tak „kłopotliwego” dziś pojęcia i zja-wiska narodu, jak to się dzieje w wielu słownikach i

encyklopediach terminów społecznych). Bo istota narodu, zwłaszcza w polskich realiach historycznych, mieści się chyba w tragicznym splocie, którego biegunami bywają niestety – jak w Molierowskim *Mizantropie* – tragizm śmieszności i śmieszność tragedii. Bywa w tym obecny także pierwiastek niedojrzałości polemik politycznych (i polityczno-historycznych), które zamiast sporu o rzeczywiste pryncypia, cele i środki ich realizacji toczą się na poziomie antagonizmów dających się sprowadzić do konfrontacji argumentów krwi, spermy i śliny – walki, presji demograficznej i obelg.

„Idea piastowska” to w zasadzie idea narodu etnicznego. Skupiona wokół znaczenia i rozwoju ośrodków „macierzystych” wielko- i małopolskiego, z rezerwą nawet wobec dość późnej akcesji mazowieckiej, związanej głównie z obliczoną (podobnie jak dla Niemiec Berlin) na ekspansję wschodnią stołecznością warszawską, akceptująca bardziej narodowe niż polityczne kryteria wyznaczania państwowego terytorium, bardziej autochtonizm, bliskość kulturową i ludową tradycję (nawet folklorizm) niż tylko (choćby pozytywnie aktywne) obywatelstwo i więzi formalnoprawne, a zwłaszcza odrzucająca powierzchowność naśladownictwa pod pozorem postępu cywilizacyjnego i podjęcia (rzekomych w gruncie rzeczy przy aktualnym polskim potencjale) „misji” cywilizacyjnych, czy też wdawanie się w „demokrację”, jak można by sparafrazować dawne określenie krucjat (widać teza Pawła Włodkowica o niedopuszczalności „nawracania” siłą znów popadła w zapomnienie nawet w jego ojczyźnie).

Idea to więc sprzyjająca bardziej „rodzimym” rewindykacjom na „stykowym pograniczu”¹⁵ na zachodzie (dziś już na szczęście niepotrzebnym), niż polskiej ekspansji kolonialnej na „prześciowym pograniczu” wschodnim, a więc i filostłowińska. I nie przeszkadzały temu piastowskiemu jej określeniu nawet udział piastowskich książąt we wspólnym z Niemcami łepieniu resztek Słowian Połabskich czy zrzeczenie się praw do Śląska na rzecz Grodów Czerwieńskich przez ostatniego piastowskiego króla, a następnie przez „króla-Piastę” Jana III, jako zapłata za przyzwoleń na zaszczyt odsieczy Wiednia. Uznano, że państwo i jego terytorium odbudowywać trzeba w nawiązaniu do dziedzictwa polskiego etnosu¹⁶ i kultury. Etnos można było, niestety, rozumieć i jako wspólnotę krwi, wręcz jako rasizm, i to była niewątpliwie dewiacja sporej części zwolenników tej orientacji, ale na ogół rozumiano go, tak jak kulturę, jako zasadę wspólnoty terytorialno-kulturowej umniejszaną i uzupełnianą w historii nie tylko przez zgony i narodziny, lecz także np. przez wynarodowienia i (dobrowolne, nie pod naciskiem) asymilacje, a wspólną także dla różnych orientacji politycznych. Taką na ogół ideologię prezentowała narodowa prawica w czasach, gdy nazywała się jeszcze Narodową Demokracją (współtworzoną przecież także przez polskich Żydów, por. np. Irena z Jawitzów Pannenkowa, autorka *Legendy Piłsudskiego* i współorganizatorka Narodowej Organizacji Kobiet albo pisarka Zuzanna z Krausharów Rabska). Ale rewindykacje przeradzały się zbyt często w ksenofobię i antysemityzm, a nawet rasizm, terytorializm i autochtonizm w zaściankowłość, swojskość w izolację, a nawet autarkię (powrót do starego: „Może Polak nie wiedzieć, co to morze, gdy pilnie orze” Sebastiana

Klonowica). Niemniej była to myśl polityczna, która zakładała jakąś aktywną politykę zachodnią – niekonięcznie konfrontacyjną, ale chroniącą od tej strony interesy i narodowe, i państwowe.

Później jednak postędekca stała się trochę podobna do Marii Walewskiej. Ponoć, według dokładnie przemilczanej w Polsce wersji¹⁷, dla fobii rodziny zrezygnowała z miłości do świetnego i bogatego Rosjanina, młodego generała Arkadija Suworowa (wnuka pierwszego rosyjskiego generalissimusa), z którym miała pierwszego syna Antoniego Bazylego [Wasyla?] Rudolfa, który nosił nazwisko Walewskich i nigdy nie poznał biologicznego ojca. Kupiono jej na męża zadłużonego starca, aby uratować „honor”, więc godzi się z losem, pozwala sobie i syna odseparować od pierwszego ukochanego. Ofiarowana przez rodaków (już bez względu na ów „honor”) cesarzowi Napoleonowi rodzi mu też syna Aleksandra Floriana Józefa, zasłużonego ale dla Francji, a dla Polski nie zyskuje prawie nic – z wyjątkiem apanaży dla paru Polaków (w tym dla swego brata, generała Benedykta Łączyńskiego). Nie potrafi nawet wystawić swej pozycji na przetarg, poprzestaje na zachowaniu lojalności docenionej przez Napoleona, ale dopiero na wygnaniu – i pozostaje na emigracji, ale już jako hrabina d’Ornano (i matka Rudolfa Augusta). Nie ma żadnej własnej, politycznej strategii, w każdej sytuacji chce tylko dyplomatycznie zrobić co można – i przypominać ciągle wszystkim polskim i obcym partnerom, tak jak ongiś Napoleonowi: „A Polska?”, tyle że zawsze bez jasnej odpowiedzi na Słowackiego pytanie: „Jaka?” To jest jej jedyna, ale – przyznajmy – w zamęcie chaotycznych prążyćmów walki o władzę bardziej niż o podstawy bytu społecznego – nie taka znów mała zastuga.

„Idea jagiellońska” natomiast, choć jej historyczne początki to pola Grunwaldu i nawet wojna trzy-nastoletnia, powoli zmieniała się w przeciwieństwo „piastowskiej”. Było to po prostu rezultatem tego, że Rzeczpospolita rozszerzyła się nagle tak ogromnie na wschód i w dodatku natrafiła tam na takie możliwości ekspansji, których nie było na agresywnym, silnym zachodzie. Unia z ruskim w ogromnej większości państwem litewskim powstała dla obrony przed agresją z zachodu, stworzyła impuls do kresowej „agresywności wewnętrznej” broniącego się z kolei przed majoryzacją żywiołu etnicznie polskiego, który, zajmując dominującą pozycję (wynikłą między innymi z pretekstu odgrywania roli misjonarskiej, także i mieczem krucjat nawet wobec prawosławnych chrześcijan) znalazł się mimo to w mniejszości i ludnościowo, i wyznaniowo, i (zwłaszcza) terytorialnie. Etniczna polskość była wprawdzie znacznie wzmocniana przez polszczące się (czasem i na zasadzie „narodowości wyobrażonej”) litewskie i ruskie warstwy uprzywilejowane, a nawet (mimo owego misjonarstwa i tylko do czasu rozbiorów) przez tradycyjnie legalistyczne (więc lojalne bardziej wobec państwa) drobnomieszczaństwo żydowskie, ale i tego nie wystarczyło w dobie budzenia się masowej świadomości narodowej, i to pod obcą władzą zaborców.

W tej sytuacji jedyną drogą do utrzymywania znaczenia społecznego polskich warstw uprzywilejowanych na tych ziemiach było przyjęcie już wtedy państwowego rozumienia narodu, kult kresowej ofen-

sywności, asymilacji obcych, konwersji i prozelityzmu wyznaniowego i narodowego (np. *gente Rutheni natione Poloni*, Polacy wyznania możeszowego, nawet „tutejsi”), postęp przez imitatorstwo Zachodu („paw i papuga”), sojusze widziane jako klientyzm na wzór „kaftanów” sułtańskich, też przecież czasem akceptowanych.

EkspONENTEM tej ideologii stał się obóz sanacyjny, którego polski twórca całe życie pozostał w duchu już nawet nie Białorusinem, lecz pretendującym do zwierzchnictwa nie tylko nad Białorusią Litwinem, zaś całą filozofię odbudowania Polski niepodległej (ale bardziej w Wilnie i Lwowie, a nawet Kijowie i Mińsku niż np. w Poznaniu i Katowicach, nie śmiąc nawet myśleć o Gdańsku, Szczecinie i Wrocławiu – o Pomorzu i Śląsku za niego myśleli np. Aleksandr F. Gilfierding¹⁸ czy Izmaïl I. Srezniewskij¹⁹) widział w zdobyciu i utrzymaniu władzy (nawet *per fas et nefas*), choćby tylko po to, by z państwa dopiero odtworzyć naród; dlatego i naród odbudowywać chciał nie tam, i nie głównie z tych, którzy i których rodzime terytorium dadzą się określić bardziej „etnicznie”, ale tam, gdzie była świeższa tradycja nawet nie polskiej państwowości, ale polskiej dominacji państwowej – to chyba miał na myśli, mówiąc o „obwarzanku”. Idea ta w stosunku do Zachodu zakładała (przynajmniej pośrednio) tylko dopominanie się o afiliację, akomodację nie tylko cywilizacyjną – i szukanie wsparcia dla własnej rusofobii.

Ale kolonializm mści się długo, po latach. Kolonialni *sahibowie* ograniczający się do *splendid isolation* znosić tylko muszą imigrację byłych kolonialnych poddanych i to często w charakterze osób o znacznie wyższym i materialnym, i (co dla nich szczególnie dotkliwie) nawet towarzyskim statusie społecznym. Natomiast kolonizatorom ulegającym kreolizacji przypada czasem los nostalgicznych *pieds noirs* albo zawodowych, dziedzicznych „wypędzonych” w „starej” (czyli będącej *Vaterlandem*, ale jednak nie będącej *Heimatem*) ojczyźnie. Zaś ci, którzy we własnym kraju stają się całkowicie neofitami „państwowej” narodowości kolonialnych panów w ich macierzystych ziemiach dawnych przestają w ogóle widzieć narodową ich (i własną już zarazem) ojczyznę, choć szczególną niechęcią do dawnych rodaków starają się podkreślić nieodwracalność swojej opcji.

Te dwa dość sprzeczne programy zaowocowały długotrwałymi i do dziś niewygasłymi sporami. Jawni lub nawet podświadomi (zarówno na prawicy, jak i na lewicy) zwolennicy orientacji sanacyjnej przeciwstawiają (do dziś) rzeczywiście zasługujące na potępienie endeckie awantury antysemitki i (na szczęście niezrealizowane wprawdzie nigdy) skłonności do systemu „wodzowskiego” twierdzeniom, że wyprawa kijowska i powstanie warszawskie były „moralnymi zwycięstwami”, a odrodzenie Polski w 1918 roku zawdzięczać należy głównie „czynowi zbrojnemu” Legionów, a nie koniunkturze historycznej wykorzystanej przez dyplomację, zaś osłabienie wszystkich zaborców po obu stronach walczących w I wojnie światowej było „genialnie przewidziane”, a zwycięstwem w 1920 roku przypieczętowane.

Wsparciem dla tych tez było i jest też to, że stanowiły one nie tylko trampolinę dla dyletantów (skąd my to znamy?), ale że przecież walczyło za nie i pono-

siło ofiary, a nawet niesprawiedliwe cierpienia, także wielu uczciwych ludzi, którzy nie mieli z tego żadnej osobistej korzyści. Wszystko to ma dowodzić słuszności (także po zamachu 1926 roku, nigdy nie osądzonym, a obecnie oficjalnie fetowanym np. przez polską Mennicę Państwową) prymatu państwa nad narodem, orientacji bez reszty antyrosyjskiej i ofensywnej na wschód. Zwolennicy (też świadomi albo podświadomi) orientacji endeckiej eksponują zasługi dyplomatyczne Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego na konferencji wersalskiej, ale i zasługi generała Tadeusza Rozwadowskiego w obronnym stadium wojny 1920 roku, rolę zwycięskich powstań: wielkopolskiego i trzech śląskich, nielegalność krwawego zamachu majowego 1926 roku (zginęło przecież 215 żołnierzy i 164 cywilów, to endecja poparła legalny rząd, a poza piłsudczykami PPS i nawet komuniści – zamach), klęskę września 1939 roku i Powstania Warszawskiego itp. W dodatku różnych interpretacji dostarczają na przemian różnej orientacji historycy, dzieleni też ostatnio mniej według sumienności i gruntowności badań, ale według tego, czy byli (lub twierdzą, że byli) w PRL w opozycji, czy też nie – no i czy wykonują polityczne zamówienie.

Tak prowadzone (do dziś!) spory z punktu widzenia historiografii mają jakieś znaczenie, ale nie stwarzają właściwie dla społeczeństwa żadnej konstruktywnej i pragmatycznej perspektywy pamięci i polityki nie tylko historycznej. W tych warunkach polityka historyczna może być głównie partyjną propagandą. Może ona jednak iść i w tym kierunku, by przedmiotem pamięci, refleksji i polemiki były sprawy istotne, bezpośrednio dotyczące interesów państwa (wyrażającego realne i aktualne interesy jego obywateli) i narodu (który to państwo utworzył nie tylko w interesie własnym, ale wszystkich tych, którzy wespół chcą w nim żyć, umacniać je i pracować dla niego – a nie rozsądzać czy wyprzedawać). Zaś polemiki rewanżystowskie, zajmujące się głównie oceną i przyczynami przeszłych sukcesów (i zasług) oraz klęsk (i win), a służące głównie gloryfikacji lub dezawuowaniu postaci historycznych, dawnych eksponentów różnych tendencji, jedynie przesłaniają i zastępują troskę o najważniejsze wytyczenie kierunków pozytywnych działań. Tendencję tę przeniesiono i na okres PRL, bez uwzględnienia niezaprzeczalnych osiągnięć i aktualnego wówczas kontekstu polityczno-geograficznego, który też, jak wszystko, miał dobre i złe strony. To taka polska „psychologia deformacji myślenia historycznego”²⁰ nie ograniczająca się jednak bynajmniej (jak przedstawia to ten autor) do marksistowskich dogmatyków.

A okres dominacji w Polsce ideologii skrajnie lewicowej (ale po 1956 roku w specyficznej polskiej wersji i obojętnie w jakim stopniu, i przez kogo bardziej czy mniej akceptowanej lub odrzucanej) nie zagasił tej kontrowersji, ale ją znacznie przekształcił przede wszystkim przez fakty dokonane, a w mniejszym stopniu przez bardziej lub mniej propagandową wersję polityki historycznej. Oto w latach 1939-1945 Polacy nie tylko przekonali się na własnej skórze, że nie zawsze „jakoś to będzie”, a realnie istnieć może fizyczne zagrożenie dla całych narodów i dla wszystkich poszczególnych ich członków za sam fakt przynależności do nich (czego mimo wszystko dotąd od zaborców nie

doświadczali). I zapamiętali to ci z nich, którym przyszło żyć w trzech różnych państwach (w tym jednym obcym, w czasie wojny) ale zawsze w tym samym, polskim narodzie. Zagrożenie to usunęli faktycznie nie ci ubłagani, ale właśnie ci niechciani sojusznicy ze wschodu. Piastowskie (chyba jednak bez cudzysłowu!) granice, brak wewnętrznych antagonizmów narodowościowych, likwidacja przeludnienia wsi przez uprzemysłowienie i urbanizację, masowe podniesienie przeciętnego poziomu wykształcenia – wszystko to przyszło nie bez ciężkich i długotrwałych starań, ale i bez przyjmowania na siebie ciężaru decyzji (a czasem może i nie bez żalu – bo bez możliwości ich topienia w „swarach potępieńczych”, też przecież jakoś zakodowanych w „pamięci historycznej”, zaś przez wielu odczuwanych jako „wolność” właśnie).

Integracja narodu i terytorium etnicznego przewyższyła właściwie wszystkie marzenia „narodowców”. Wielu Polaków doprowadziło to do akceptowania jednak tezy, że patriotyzm to nie mglisty solidaryzm społeczny, dbałość o interesy „wszystkich jednakowo”, ale ta ideologia, dla której interes narodowy to interes przeważającej większości tego społeczeństwa – i do dziś, mimo bardzo (może nawet zastanawiająco) usilnej indoktrynacji, przy tym przekonaniu mniej lub bardziej świadomie pozostają. To oni stworzyli w latach 80. niepopularną dziś anegdotę, jakby paralelną do losów Marii Walewskiej: Rodzina zmusiła pewną dziewczynę do poślubienia niekochanego mężczyzny. Ciężko jej było z początku. Ale z czasem zaczęli się coraz lepiej rozumieć, przyszły na świat liczne i bardzo udane dzieci, które uzyskały wykształcenie i stanowiska, dom był czysty, dobrze zaopatrzony i wyposażony, choć niebogaty, doczekali się wnuków i prawnuków, dla których też było niezłe miejsce w życiu i przy rodzinnym stole. I wtedy ci sami, którzy przedtem zmuszali dziewczynę do małżeństwa powiedzieli: „Nie, pomyliliśmy się, wyrządziliśmy ci krzywdę, teraz więc, żebyśmy mieli czyste sumienia, musisz się rozwieść!”

Przeciwnicy etnicznej, a zwolennicy państwowej koncepcji narodu mają dziś dodatkowe argumenty w postaci faktu narastającej (jeszcze?) hegemonii Stanów Zjednoczonych – od swego początku stanowiących postkolonialny amalgamat, i rozwiązanie ZSRR, a także Jugosławii i Czechosłowacji, opartych na koncepcji (choć nie zawsze praktyce) federacyjnej, a nawet konfederacyjnej. Jako gałązki oliwnej wobec zwolenników orientacji postendeckiej używają *Greuelpropagandy* w stosunku do najoczywistszych nawet osiągnięć PRL, a w ostateczności głoszą nieaktualność podziału na lewicę i prawicę.

Fundamentalny spór o aktualność dawnych pryncypiów zostaje w ten sposób (rzeczywiście, i na prawicy, i na lewicy) zapomniany i odsunięty w cień. Gorzej, nadal spór przenosi się na platformę inwektyw i „wycieczek osobistych”, legendy nurza się wzajemnie w koprolalii, a jedyną płaszczyzną porozumienia prawicy staje się owo wspólne obalanie legendy PRL (bo ona niewątpliwie też już istnieje). Zaś prosty pragmatyzm polityczny i ekonomiczny pozbawia lewicę – przynajmniej czasowo – gruntu pod nogami, a dość nerwowo szukając tożsamości pozwala się ona ograniczyć do walki z klerykalizmem, homofobią, sek-

sizmem i niedobitkami otwartego faszystwu²¹; dzieje się tak może i dlatego, że „klasa polityczna” stworzyła własny, wspólny krąg towarzyski i krąg interesów, w którym jej przedstawiciele ciągle straszeni są wykluczeniem i przede wszystkim dlatego, że ów istniejący jakoś w PRL pragmatyczny *modus vivendi* z prawicą (w wydaniu „staroendeckim”) został zburzony, a prawica sanacyjna nie widzi już przecież interesu w powoływaniu się na swą „socjalistyczną” przeszłość. „Usłużna” dyskredytacja polskiej tradycji Ziemi Odzyskanych (pod pretekstem pojednania z Niemcami), utożsamianie doktrynalnego antykomunizmu z negowaniem nawet najoczywistszego dorobku PRL i z rusofobią (pod pretekstem „bratniej pomocy” Ukrainie, Gruzji i „przywracania demokracji” na Białorusi), udział w rozbiciu Jugosławii²², podboju Iraku i Afganistanu, a nawet pozbawiona krzty realizmu politycznego nostalgia za podbojami polskich kresów wschodnich²³ nie są wyraźnie zwalczane przez dzisiejszą polską lewicę, odwrotnie, nieraz milcząc czy potakując w tych sprawach objawia ona nostalgię co najwyżej za przedsanacyjnym pseudosocjalizmem, a co najmniej uznanie takich potakiwań za jedyną możliwą różdkę oliwną wyciąganą do obecnej prawicy, rezygnując lekko z bezspornych „ogólnonarodowych” zasług powojennych lewicy, które stworzyły jej powojenną legendę w większym nawet stopniu niż u wschodnich i południowych sąsiadów.

„Historię XX wieku sprowadzono niemal wyłącznie do kwestii niepodległościowych. Stąd apoteoza II RP, w której nie rozwiązano kwestii chłopskiej, nie zwalczono analfabetyzmu, nędzy, represjonowano robotników, chłopów, mniejszości narodowe. Skutkiem podobnej optyki jest totalna krytyka okresu powojennego, brak uznania dla jego dokonań – choćby awansu społecznego i cywilizacyjnego, który nie miał analogii w całym wcześniejszym okresie historii Polski”.²⁴ Dodajmy, że tu właśnie uwzględnić należy także nowe, historycznie i etnograficznie uzasadnione, a w dodatku realnie istniejące granice, dzięki którym Polska nie przeżyła swej wojny o Bośnię ani nie grozi jej utrata swego Kosowa i bombardowania polskich miast w obronie „praw człowieka”. I nie są to wszystko konsekwencje przynależności Polski do Unii Europejskiej, lecz raczej próby jej deformacji. Ta przynależność miała Polskę chronić nie tylko przed zewnętrznymi zagrożeniami, i dlatego właśnie miała przecież w Polsce przeciwników, do dziś niechętnych dzieleniu się tym, co dla nich najbardziej upragnione – władzą. I tej przynależności też szkodzi najbardziej międzynarodowe ośmieszenie Polski na kanwie takiego właśnie konsensusu „towarzysko-kombatackiego”.

W Polsce splata się to też z wieczną wojną „dwóch trumien”, która do dziś bywa ważniejsza niż wszystkie inne podziały. Kłopot z tym, że utworzyły się dwie zbitki: 1) rodzimność, autochtonizm, etnicyzm, interes narodowy, słowianofilstwo, uznanie wpływu niemieckiego za najbardziej niebezpieczny, bo (choćby i pokojowo) wynaradawiający (głównie endecja); 2) obywatelstwo, naród państwowy, mieszańcy, interes państwowy reprezentowany przez „naszą” władzę, antysławizm, wrogość do Rosji (głównie sanacja). Stąd pewna łatwość współpracy „komunistyczno”-endeckiej, opartej na wspólnym (choć z różnymi uzasad-

nieniami) skoncentrowaniu na interesie samej Polski, a nie tylko uchwyceniu i utrzymaniu władzy (wspólne przyjęcie tezy, że interes narodu to interes jego ludowej *większości*, odmowa wojny domowej i w 1926 r., i przy Okrągłym Stole tak irytowały oponentów, że pojawiły się nawet tezy o nacjonalizmie jako najwyższym stadium komunizmu, nie mówiąc już o tezach uznających powrót Polski do Wrocławia i Szczecina za zgubny!)

Wszelkie próby porozumień ponad tym podziałem okazały się niemożliwe. A Polska jest skazana na ten wybór. I choćby pierwsza opcja pachniała nacjonalizmem – tylko ona może (paradoksalnie) przybliżyć Polskę do zdrowego ułożenia sobie stosunków międzynarodowych, a nawet odegrania przełomowej i dla Polski i dla jej członkostwa w Unii Europejskiej roli zwornika między Europą a Rosją czy nawet Eurazją. Bo w polskim przypadku akcent na etnicyzm, polskie terytorium narodowe, słowianofilstwo oznacza głównie porzucenie żałosnego (jawnego bądź ukrytego) kolonializmu na wschodzie (nie mającego zresztą, poza mrzonkami, żadnych szans realizacji), akcent na stare, polskie (a więc właśnie bardziej zachodnie!) terytoria: Małopolskę, Mazowsze, Pomorze, Śląsk i Wielkopolskę (kolejność alfabetyczna, nie historyczna), porzucenie obłędnej rusofobii i ułożenie wreszcie dobrych stosunków przede wszystkim ze Słowiańszczyzną – i z takim wyposażeniem pojednanie z Niemcami, obustronne i na warunkach naprawdę wzajemnych, równoprawnych i bezpiecznych.

Nie powinny w tym przeszkodzić także różnice religijne. Wiadomo, że największymi, chyba większymi niż prawosławie, wrogami związków z Polską był litewski i ukraiński kler zarówno rzymsko- jak i greckokatolicki (zresztą może to Kościół grecki jest dla rzymskokatolickiego „starszym bratem w chrześcijaństwie”?) Dlatego może kler Polski, a nawet Watykan w swej polskiej polityce tak skoncentrował się na niechęci, i na prozelityzmie w stosunku do prawosławia, bardziej niż wobec protestantów, a nawet muzułmanów (por. np. pośpiech w uznaniu rozbicia Jugosławii). Dlatego też nigdy polska chadecja nie śmiała rozumieć w pełni polskiej racji stanu – nawet w wydaniu podkreślającej związki z religijnością endecji.²⁵ I nawet w obliczu tego, że spora część „Zachodu” właściwie zawsze marzyła raczej o ułożeniu *modus vivendi* na granicach niemiecko-rosyjskiej i austrowęgiersko-tureckiej, a prawie wszystkie państwa słowiańskie tylko Rosji zawdzięczają to, że nie udało się ich wymazać z mapy Europy. Zapewne są w tej charakterystyce pewne przejawskrawienia, pozytywne i negatywne, ale tak to się chyba rysuje, choć nie zawsze w świadomości wielu dzisiejszych Polaków. Bo rzecz tkwi w całej masie nieporozumień zawinionych przez historię. Spróbujmy wymienić choć ich część.

Zarówno post-sanacja, jak i post-endecja są niewątpliwie orientacjami prawicowymi. Jednak różnice między nimi spowodowały, że w okresie dominacji lewicy, w PRL stanęły w obliczu zupełnie innych, pragmatycznych wyborów.

Sytuacja post-sanacji była i jest bardziej jasna. Znowu korzysta nie z własnej koncepcji, lecz z historycznego zbiegu okoliczności. PRL była w każdym niemal elemencie swej ideologii i praktyki politycznej

jej przeciwieństwem do tego stopnia, że stało się to przekleństwem polskiego życia politycznego po transformacji. Polska lewica pozwala sobie niefortunnie odebrać zasłużone przez jej dokonania prawo do hasel patriotycznych, jedynych rozsądnych (ale w jej wydaniu) i nośnych dla masowego, polskiego odbiorcy argumentów politycznych. Miast szukać wzorów w dojrzałych systemach demokratycznych, znajdowano je w zupełnie anachronicznej ideologii i polityce sanacyjnej głównie dlatego, że tak wyraziście przeciwstawionej PRL-owi. (O rodowodzie socjalistycznym, jak wspomniano, sanacja dawno zapomniała, a nowego kultu jednostki jakoś nikomu nie udało się w Polsce po wojnie regenerować i trzeba było poprzestać na setkach budowanych i odbudowanych pomników.)

Ciekawe, że właśnie ci, którzy najbardziej gorliwie domagają się pojednania – popełniają ten sam błąd logiczny co ci, którym teraz trzeba aż wybaczają. Albo usiłują (także Polacy wobec innych, ale i inni wobec Polaków) obwiniać swe ofiary tak, aby niejako doprowadzić do „równowagi” win, albo (w ostateczności) domagają się przebaczenia dla Niemców, Polaków, (czasem nawet i Żydów!) obejmując tym postulatem całą zbiorowość narodową, a więc stosując ten sam punkt widzenia, co ci, którzy krzywdzili lub mordowali innych właśnie nie pod innym pretekstem, ale jako Niemców, Polaków, Żydów. (Dla Rosjan nikt, mimo ich oczywistych zasług w zakończeniu wojennego koszmaru, nie domaga się jakiegokolwiek przebaczenia, a nawet zrozumienia, zwłaszcza w Polsce, co stwarza sytuację przedziwnych zaiste defektów w legitymizacji szlachetnych intencji tych wezwań.) Tymczasem wydaje się, że sprawę najlepiej stawia zdanie zasłyszane kiedyś w telewizji z ust romskiego socjologa rumuńskiego: „Kradnie złodziej, a nie Cygan!” Píše się, że według „kanonu tożsamości zbiorowej” mordercy „są... przecież także »nasi« – musimy się z nimi identyfikować tak jak z tymi, z których jesteśmy dumni z powodu ich wspólnej z nami przynależności narodowej jak Fryderyk Chopin, Mikołaj Kopernik, Jan Sobieski”.²⁶ Ale nie można być ukaranym sądowno za przestępstwo innego, choćby rodaka (albo funkcjonariusza tej samej instytucji). Tak samo skrzywdzony człowiek to niezabite zwierzę hodowlane, by za jego krzywdę zapłacić komuś innemu – choćby potomkowi.

Przestępstwo popełnia człowiek wobec człowieka, a społeczność, do której przestępca należy, obowiązana jest do osądzenia i ukarania go, bądź do eks-tradycji, a także do dbałości, aby takie przestępstwa były należycie piętnowane i nie ulegały rozpowszechnianiu, usprawiedliwianiu bądź gloryfikowaniu,²⁷ ale nie do zbiorowych sankcji ani do rozciągania braku przedawnienia za zbrodnie przeciw ludzkości na potomków, dalsze pokolenia i całą zbiorowość – i na tym chyba tylko polega zbiorowa *odpowiedzialność* w odróżnieniu od powszechnie odrzucanego pojęcia *winy* zbiorowej. Polityka historyczna więc polityką prowadzącą do rozpoznania i takiego właśnie potraktowania „złej” historii własnej zbiorowości, co wcale nie przekreśla ani nie umniejsza pamięci o historii zarówno „dobrej”, jak i (ostrzegawczo) „złej”.

W ogóle jakoś mało widać dziś refleksji nad tym, że jednym z głównych hasel polskiej „transformacji” i jej bojowników było dążenie do obalania „mitu etniczno-

ści”, który miał zarówno zdyskredytować niewątpliwie w tym zakresie osiągnięcia PRL i w jej rewindykacji terytorialnej, i w utwierdzeniu i budowaniu „panetnicznej” słowiańskiej wspólnoty stosunków i interesów. Dążenia te zgrabnie nawiązywały i do „proletariackiego internacjonalizmu”, i do szlachetnej idei braterstwa ludzi oraz szacunku dla praw człowieka bez względu na kulturowe różnice. Niestety, tylko część polskiej prawicy potrafiła dostrzec osiągnięcia możliwe w realizacji zasad ustrojowych „realnego socjalizmu”. Byli to ci, dla których „sprawa Polska”, cele władzy państwowej były ważniejsze od tego, kto i pod jakimi hasłami tę władzę sprawuje. I ci, którzy zrozumieli, że osiągnięcia kultury i cywilizacji są emanacją szerokich rzesz, których doświadczenia, inwencja i ofiarność pozwalają dopiero na odkrycia i twórczość wyłonioną przez nie elity, a nie są to autonomiczne osiągnięcia tej elity, których udziela ona dopiero łaskawie szerszym rzeszom, że idea narodu nie jest, jak twierdzą dziś niektórzy, stworzona przez elity w celach manipulacyjnych – choć i takie nadużycia bywają. Natomiast ci, dla których celem była na pierwszym planie sama władza i kreowanie siebie na elitę, a wszystko inne postrzegali tylko jako możliwe (ale nie zawsze nawet konieczne) skutki przejścia tej władzy, byli skłonni do traktowania tych haseł instrumentalnie. Przyjmując jako dogmat tradycje niepolskiej etniczności, lecz państwowości szybko użyli tych haseł bardzo wybiórczo przedstawiając się tylko na „salut daj na zachód, na wschód marsz!” – by sparafrazować tekst pieśni I Korpusu Wojska Polskiego.

Tymczasem w Polsce uwarunkowania historyczne i polityczne stworzyły tak paradoksalną sytuację, że prawica, aby być poważną, dobrą prawicą musi być lewicowa (czego dowodem jest choćby właśnie to, że najwięcej i najlepiej z programu endecji zrealizowała PRL), a im bardziej Polska chce być zachodnia, tym bardziej musi być wschodnia, bo zresztą „zachodniość” akuratnie w polskim wydaniu nie jest dla nikogo niezbędna. Jest to jednak kwestia pełniejszego rozróżnienia między politycznym realizmem czy choćby tylko pragmatyzmem, a zwykłym koniunkturalizmem. Jest to dylemat, czy ważniejsze jest dla lewicy przejawienie doktrynalnego internacjonalizmu w kosmopolityzm, czy społeczne dobro wykluczanej i wywłaszczanej (nie tylko ekonomicznie, lecz także, a może przede wszystkim kulturalnie i edukacyjnie) większości. Dla prawicy – czy wolność dla większości (także własnego narodu) od tego wykluczenia nie jest ważniejsza niż wolność do m.in. wynarodowienia, emigracji i anarchiczno-liberalnej fantastyki arywistów. I oczywiście wiele konsekwencji tych dylematów – także jako wytycznych dla konstruktywnej, a nie uprawianej za pomocą wygrażania wetowaniem polityki wewnątrz Unii Europejskiej.

Uważam, że refleksja nad tymi konsekwencjami musi być przewodnią myślą polskiej polityki nie tylko historycznej, także ponad podziałami lewica-prawica, a również takiej, która nie będzie kontynuacją zamierzanych podziałów i wynikających tylko z nich „miłości” i nienawiści, ale będzie podyktowana pragmatycznie widzianym dobrem „tego kraju”. To prawda, że „mity nie nadają się do negocjacji”, lecz to wcale nie znaczy, że „lepiej trzymać je z dala od polityki”.²⁸ Właśnie

w imię wspólnie akceptowanych mitów skrajnie odległe ideologie mogą się zdobyć na wspólną realizację dobra narodu i kraju – na wewnątrz i na zewnątrz. Tak już (prawie) było i tak znów być może.

KRZYSZTOF KWAŚNIEWSKI

¹ Cyt. wg J. Le Goff, *Historia i pamięć*, Warszawa 2007, Wyd. Uniwersytetu Warszawskiego, s. 152.

² Le Goff, op. cit. s. 170.

³ Por. M. Kula, *Wybór tradycji*, Warszawa 2003, DiG.

⁴ F. Felipez-Armesto, *Historia prawdy*, tłum. J. Ruszkowski, Zysk i S-ka, Poznań 1997, s. 210.

⁵ M. Foucault, *L'ordre du discours*, Paris 1971, s. 16.

⁶ Cyt. wg M. Janion, *Plac generała. Eseje o wojnie*, (wyd. II) Warszawa 2007, Sic!, s. 259.

⁷ J. Szacki, *Tradycja. Przegląd problematyki*, PWN, Warszawa 1971.

⁸ S. Chwin, *Dziennik dla dorosłych*, Wyd. Tytuł, Gdańsk 2008, (cyt. wg J. Rawik, *Miłość i nienawiść*, „Trybuna” r. 2009, nr 61).

⁹ Por. np. L. M. Nijakowski, *Domeny symboliczne. Konfliktu narodowe i etniczne w wymiarze symbolicznym*, Scholar, Warszawa 2006, s. 287-340.

¹⁰ N. Maliszewski, *Uprzedzenia: wolni od jawnych, spędani ukrytymi*, „Niezbędnik Inteligenta” wyd. 14, (dodatek do „Polityka” r. 2008, nr 10).

¹¹ L. M. Nijakowski, *Polska polityka pamięci. Esej socjologiczny*, Wyd. Akademickie i Profesjonalne, Warszawa 2008.

¹² A. Mencwel, *Dwie trumny wiecznie żywe*, „Rzeczpospolita” – „Plus Minus” z dnia 30 09 2006 r.

¹³ R. Krasowski, *Trumny Michnika i Kaczyńskiego*, „Polityka”, r. 2007, nr 41.

¹⁴ M. Janicki, W. Władka, *Dwie Polski*, „Polityka”, r. 2007, nr 44.

¹⁵ Rozróżnienie stykowego i przejściowego pogranicza por. zbytnie chętnie dziś zapominana praca: J. Chlebowski, *O prawie do bytu małych i młodych narodów*, Śląski Instytut Naukowy – PWN, Warszawa 1983, s. 30-31.

¹⁶ W rozumieniu sformułowanym w: Z. Staszczak (red.), *Słownik etnologiczny. Terminy ogólne*, Poznań 1987, s. 110.

¹⁷ I. Szolc, *Zakochana? Patriotka?* „Polityka” r. 2007, nr 47, „Pomocnik Historyczny” nr 4.

¹⁸ И. И. Гильфердинг, *Остатки Славян на южном берегу Балтийского моря*, Ст. Петербург 1862. (Por. też O. Kolberg, *Dzieła Wszystkie*, t. 36: *Pomorze*, Wrocław 1965, PTL-PWM, s. 305-457).

¹⁹ *Wieś śląska w 1840 r.: relacje z podróży naukowej I. I. Srezniewskiego po Śląsku*, opr. E. Kucharska, A. Nasz, S. Rospond, PTL, Wrocław 1973. Zarówno Gylferding (Hilferding), jak i Srezniewskij, uwzględnieni w *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN* 1962-1970, nie dostąpili tego zaszczytu już w *Nowej Encyklopedii Powszechnej PWN* 1995-1996, co może być przykładem i pamięci, i polityki historycznej po „transformacji”.

²⁰ M. Dymkowski, *Wprowadzenie do psychologii historycznej*, Gdańskie Wyd. Psychologiczne, Gdańsk 2003, s. 128 nn.

²¹ Por. np. W. B. Michaelis, *Pułapka na lewicę. Wolność, braterstwo... różnorodność?* „Le Monde Diplomatique – edycja polska” r. 2009, nr 2.

²² Por. zadziwiająco, za pomocą kilku płaskich, dziennikarskich etykietek dezawuowaną fundamentalną pracę: M. Waldenberg, *Rozbicie Jugosławii. Jugosłowiańskie lustro międzynarodowej polityki*, t.1, 1991-2002, t.2, 2002-2004, Scholar, Warszawa 2005.

²³ K. Kwaśniewski, *Polskie kresy wschodnie a Deutsche Ostmarken*, „Przegląd Zachodni”, r. 55, 1999, nr 3, s. 1-28, a zwłaszcza cytowany tam Daniel Beauvois.

²⁴ K. Piławski, *Przestrzeń lewicy – od demokracji do socjalizmu*, „Le Monde Diplomatique – edycja polska” r. 2007, nr 12.

²⁵ Znamienne wydają się tu losy i ewolucja poglądów Wojciecha Korfanteo, raz w życiu uwiecznionego przez Niemców, a dwa razy przez Polaków, dodajmy: „państwowcy” w swojej „polityce pamięci” zakazali nawet udziału w pogrzebie tego męża stanu, którego biografia naukowa powstała jednak tylko w PRL, w 1975 roku: M. Orzechowski, *Wojciech Korfanteo. Biografia polityczna*, Ossolineum, Wrocław 1975. Zadziwiająca jest też „pamięć” o przemilczanym dziś, upływającym Roku Korfanteo (por. dyskusja redakcyjna *Korfanteo w Roku Korfanteo*, „Śląsk” r. 2009, nr 3, s. 14-19).

²⁶ J. T. Gross, *Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka*, Pogranicze, Sejny 2000, s. 98.

²⁷ Por. np. A. Grabski, „Strach”, *lewica i polityka historyczna*, „Przegląd” r. 2008, nr 6.

²⁸ A. Krzemiński, *Walka na mity*, „Polityka” r. 2009, s. 24.

MARCIN KULA

NO TO SIĘGNIJMY DO ŹRÓDEŁ...

W dniach 16-19 września 2009 roku obradował XVIII Powszechny Zjazd Historyków Polskich. Takie zjazdy odbywają się okresowo, jeżeli tylko historia Polski na nie pozwala. Kiedyś odgrywały one dużą rolę. Obecnie, przy częstszym i łatwiejszym komunikowaniu się ludzi, przy zwiększeniu się znaczenia innych nauk społecznych i humanistycznych, także przy rozszerzeniu się kontaktów międzynarodowych ich rola jest mniejsza. Pozostają jednak wydarzeniem o uznanej wadze w życiu środowiska zawodowego. Ich znaczenie jest chyba szczególnie duże dla ośrodków akademickich, w których są organizowane. Każdy odbywa się w innym mieście. Ten ostatni, wrześniowy, odbył się w Olsztynie.

Hasło zjazdu zostało wyrażone słowami *Powrót do źródeł*. Nie jest dla mnie całkiem jasne, co w ogóle znaczy „hasło zjazdu”. Sam dla siebie formułuję owo hasło inaczej: „Wysłuchać pewnej liczby referatów, spotkać paru kolegów oraz, ewentualnie, uczestniczyć w takich sporach o historię, w których czuję się na swoim miejscu, a nie w walkach, w których w ogóle nie wiem, jak zabierać głos”. Jako karny członek korporacji zawodowej przyjąłem jednak oficjalne hasło zjazdu do wiadomości. Tak sformułowane ma ono dwa znaczenia: powrotu nas wszystkich do korzeni oraz przypomnienia, że podstawą naszych badań są źródła wytworzone przez minione epoki. Mając w pamięci te dwa znaczenia, pozwolę sobie wrócić na chwilę do tekstów, które sam wyprodukowałem równo ćwierć wieku temu, w związku ze zjazdem historyków w Poznaniu. Poczytałem wówczas kilka notatek, które tu przedrukowuję. Bądź co bądź, są to już dziś źródła historyczne, a zaznaczony w nich akcent dystansu wobec ówczesnych władz można uznać za element naszych źródeł w szerszym sensie tego słowa:

29 czerwca 1984

Bo Ty nie wiesz mój potencjalny Czytelniku kto to jest prof. Zahorski¹. Otóż jest to profesor zwyczajny Uniwersytetu Warszawskiego, specjalista od epoki napoleońskiej, człowiek tak daleko stojący od polityki, jak można stać daleko nie będąc śmieciarzem; człowiek najspokojniejszy pod słońcem, z kategorii „pozytywny bezpartyjny”. Pozytywny, bo zdarzało mu się przecież wykladać nawet w WAP-ie². Ma 60 lat, jest po zawale, pracuje jak wariat i książek ma do licha i trochę. Otóż ów prof. Zahorski przedwczoraj rano wychodził z mieszkania, by wsiąść do pociągu do Poznania, który

odchodzi o szóstej rano, a jechał, co istotne, na posiedzenie wyjazdowe Zarządu PTH³ poświęcone przygotowaniom do wrześniowego Zjazdu Historyków. Profesor jest prezesem PTH.

Więc znalazł się Profesor bladym świtem na klatce schodowej, gdzie doskoczyło do niego dwóch cywili i zabrało go do Pałacu Mostowskich. Dlaczego nie weszli do mieszkania? Bo, jak wytłumaczyli, im nie wolno wchodzić do mieszkań przed szóstą rano. Ma być praworządnie i elegancko!

Na Mostowskich odbyli z Zahorskim parogodziną rozmowę, by zadbać o to, ażeby Zjazd Historyków nie przebiegł źle dla Polski Ludowej; tak będzie lepiej dla PTH i jego, Profesora, osobiście.

Na tym się skończyło.

Od dwóch dni całe środowisko oczywiście o niczym więcej nie mówi. W zależności od specjalności historycy snują porównania w rodzaju: „coś takiego mogło się zdarzyć tylko za takiego cara...”, „za takiego króla...”, „za takiego...”. Aż w końcu na porównanie z Dzikim Zachodem ktoś słusznie mruknął: „Bzdury, na Dzikim Zachodzie zaatakowany też miałby pistolet i wszystko by przebiegło inaczej!”

W całej tej zabawie oczywiście najmniej idzie o realne załatwienie czegoś z Zahorskim. W tym celu mogli go wezwać, czy sami zamówić się do niego na przyjęcie w biały dzień. Idzie o zastraszenie środowiska. W imię dobra Polski Ludowej...

2 lipca 1984

Chodzi mi jeszcze po głowie to zatrzymanie prof. Zahorskiego. Nie weszli do mieszkania, bo przed godziną szóstą rano im nie wolno. Jest w *Dziadach* scena, gdy młody człowiek skarży się na ciężar kajdan. Policmajster – człek ludzki – sprawdził, czy waga zgadza się z przepisami. Zgadzała się.

1 sierpnia 1984

Staremu działaczowi partyjnemu (dziś w opozycji) opowiadałem o zatrzymaniu prof. Zahorskiego i o działaniach władzy, by wrześniowy Zjazd Historyków przeszedł po jej myśli. Pokiwał głową i powiedział jak o rzeczy najnaturalniejszej pod Słońcem: „No tak, boją się Sowietów!” (Jednym z tematów zjazdowych jest np. temat *Polityczne uwarunkowania Powstania Warszawskiego*).

9 września 1984

Zjazd Historyków w Poznaniu ostatecznie doszedł do skutku, a zły humor władz wyładował się tylko w nieprzystąpieniu nikogo z wielkich na otwarcie. I nagle okazało się, że nikogo z wielkich nie potrzeba!

Jedna refleksja nasuwała mi się przy słuchaniu referatów: były oczywiście lepsze lub gorsze, ale w sumie ten poziom zawodowy tej opluwanej z obu stron

¹ Andrzej Zahorski, 1923-1995, historyk z (kolejno) Instytutu Historii PAN, Wojskowej Akademii Politycznej, Uniwersytetu Warszawskiego. Od 1990 r. komendant Wojskowego Instytutu Historycznego. Od 1974 r. redaktor „Kroniki Warszawy”. W latach 1982-1988 prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego. Z jego prac chyba najbardziej znana jest książka „Napoleon”, wydana w 1982 r.

² Wojskowa Akademia Polityczna im. Feliksa Dzierżyńskiego.

³ Polskie Towarzystwo Historyczne.

(władzy i społeczeństwa), zdeformowanej rzekomo i rzekomo służalczej historiografii w PRL nie jest taki zły. Prawda, że przeciętny poziom lepszy w sekcjach zajmujących się dawniejszymi czasami, ale to jest chyba zjawisko ogólnoświatowe, tłumaczące się nie tylko naszą polityką. Może wynika ze specyfiki zawodu.

Miałem wrażenie dosyć dużego *consensusu* wśród zgromadzonych co do sekcji, referatów i referentów cenionych. Wybór nie pokrywa się oczywiście z oceną władzy – chociaż różnice raczej chyba polegają na dodawaniu nazwisk do „listy” widzianych przez rząd pozytywnie niż na przekreślaniu tych ostatnich. W odróżnieniu od filozofii czy ekonomii, wśród historyków mało jest oczywistych gangsterów czy zawodowych idiotów.

Prawda, nie byłem na obradach prorządowej sekcji dziejów Polski Ludowej, gdzie występowali prawie wyłącznie ludzie z Akademii Nauk Społecznych itp. (sekcję stworzono jako przeciwwagę dla „opozycyjnej” sekcji poświęconej elitom w Polsce Ludowej). Tam na pewno by się nie śmiano i nie klaskano, gdyby Jedlicki⁴ powiedział o budowie szpitala-pomnika Matki-Polki jako o absurdalnym ukoronowaniu mitu, czy stereotypu tejże Matki-Polki – a tak właśnie z grubsza powiedział Jedlicki i tak właśnie zareagowano na sekcji „Patrioci prawdziwi i fałszywi”. Ta z kolei sekcja była zgromadzeniem opozycyjno-snobistycznym. Sama istota losów narodowych. Czy wallenrodzizm jest taktyką godną zalecenia, czy otwiera drogę do kolaboracji? Mowa, rzecz jasna, o *Konradzie Wallenrodzie* Mickiewicza, żeby ktoś nie pomyślał!

Trochę ta sekcja przypominała kolejne nocne rodaków rozmowy. Ale skoro są one częścią losów tego kraju, nie dziwi, że od historii oczekuje się ich kontynuacji, co musi odbić się na zjeździe historyków. Dobrze, że się odbija. Byłoby znacznie gorzej, gdyby rozmowy pozostawały nocnymi rozmowami. Chociaż ja wolę sekcje inne. I sądzę, że normalne, przyzwoite badania, bardziej zbliżone do nauki, też są formą wzmacniania społeczeństwa obywatelskiego.

Jeśli, pisząc to, grzeszę pozytywizmem w odniesieniu do wizji nauki, to niech i tak będzie. Dla mnie nauka to stwierdzenia w rodzaju: „jeżeli *a*, to *b*”, „w sytuacji *a* zachodzi wysokie prawdopodobieństwo zjawiska *b*”, „mechanizm procesu *a* był następujący” itd. Nie znaczy to, oczywiście, bym sam tylko taką naukę uprawiał. Ba! Mam nawet przykre poczucie, że takiej nie uprawiam – ale chciałbym, byśmy taką uprawiali.

[*Tego samego dnia*]

Propagandowo-ideologiczna legitymacja systemu kupy się nie trzyma. Ileż to razy wywiedziono tezę, która da się bronić, niezależnie od uczuć, jakie wywołuje: Rosjanie nie pomogli Powstaniu Warszawskiemu, bowiem politycznie było ono skierowane przeciw nim. A tu na zjeździe, na sekcji „Międzynarodowe aspekty Powstania Warszawskiego”, występuje jakiś naukowiec z grupy prorządowej – *notabene* nazwisko dotychczas w historiografii chyba mało znane – i wywodzi tezę, że Rosjanie nie pomogli, bo wiadomość o wybuchu dotarła do Stalina z opóźnieniem. Podczas rozmowy Stalin nie

uwierzył Mikołajczykowi, telefonował nawet na front, ale potwierdzono mu, że powstania nie widać... Potem zaś samoloty zachodnie nie mogły startować z lotnisk radzieckich, bo zgromadzona tam benzyna się nie nadawała... A o tym wszystkim wiadomo z dokumentów, które towarzyszyli doktorowi pokazano kiedyś w Moskwie. Sam je widział. Na własne oczy.

Nie wiem oczywiście, co ów doktor widział. Proponowałbym jednak zdecydować się co do wersji propagandowej: Rosjanie nie mogli, czy Rosjanie nie chcieli? *Notabene* stwierdzenie, że armia w natarciu nie wiedziała co się dzieje za rzeką, rzuca poważny cień na jej wywiad. Oj, niedobrze! (Prawda, na tej sekcji nie byłem. To wszystko powołuję z opowiadań.)

11 września 1984

Chodzi mi jeszcze po głowie Zjazd Historyków. Czymś się różnił od katowickiego z 1979 r. Tam wszyscy snuli się po salach, a gdy potem pytano nas o przebieg, to każdy opowiadał tylko o wycieczce do kopalni. Tu ludzie byli jakoś podnieceni, nastawieni pozytywnie, chcieli coś ze Zjazdu zyskać i coś z siebie dać.

Wrzesień 2009, Olsztyn

Tyle źródeł, które znalazłem przy poszukiwaniach ograniczonych do własnej szafy. Nawet tak ograniczone przypomnienie zjazdu poznańskiego wydawało mi się jednak celowe dla podkreślenia, w jak innym świecie żyjemy dziś jako historycy. Czasem o tym zapominamy, zwłaszcza gdy obecnie polityka wciska się na nasze podwórko wszystkimi szczelinami. Zaczynając jednak od spraw elementarnych wypada zaobserwować, że żaden historyk, niezależnie od poglądów, nie został zatrzymany na własnej klatce schodowej w drodze na zjazd. Wszyscy piszą co chcą, czasem może nawet to, co im ślina na język przyniesie lub też to, co służy wątpliwym rozgrywkom politycznym. Zjazd odbywał się bez ciężającej nad nim polityki. Mimo całego mojego krytycyzmu i obaw, jakie żywię wobec kierunku rozwoju polskiej historiografii, muszę stwierdzić, że pojawiło się na zjeździe mnóstwo ciekawych problemów. Byłem pozytywnie zaskoczony, że chyba większość tytułów sympozjów była sformułowana problemowo⁵, co pozytywnie kontrastowało z naciskiem na chronologię i faktografię, jaki niestety często dominuje w ramach studiów historycznych (o zdarzającym się promowaniu kucia zamiast myślenia problemowego nie wspominając!).

W jakich punktach polityka pojawiła się aktywnie na zjeździe? Po pierwsze w przemówieniu prezydenta Lecha Kaczyńskiego, pod którego patronatem odbywał się zjazd. Sama obecność prezydenta, który

⁴ Prof. Jerzy Jedlicki z Instytutu Historii PAN. Profesorem został dopiero w 1989 r. Wpierw był silnie zniechęcony przez władzę, poczynając przynajmniej od momentu, gdy po październiku 1956 r. dokonał analizy posługiwania się źródłami historycznymi przez Wydział (potem Zakład) Historii Partii przy KC PZPR. Działacz i wykładowca Towarzystwa Kursów Naukowych, w stanie wojennym internowany.

⁵ Przykładowo: *Staropolski ogłód świata, Style życia w PRL. Historia i antropologia, Medycyna w literaturze i sztuce czasów nowożytnych jako wyraz świadomości społecznej, Rodzina, gospodarstwo domowe i pokrewieństwo na ziemiach polskich w perspektywie historycznej. Ciągłość czy zmiana?, Między zacołaniem a modernizacją. Społeczno-gospodarcze problemy ziem polskich na przestrzeni wieków, Największe wyzwania edukacyjne od średniowiecza do współczesności, Filozoficzne i pragmatyczne wymiary myślenia historycznego, Historyk wobec źródeł. Historiografia klasyczna i nowe propozycje metodologiczne, Pomagali czy tylko trwali? Znaczenie emigracji politycznej, Tożsamość narodowa i pamięć. W poszukiwaniu nowego paradygmatu w badaniach historycznych, Średniowieczne miejsca pamięci w kształtowaniu tożsamości narodowej, Miasta europejskie, gospodarka rynkowa, Autonomia jednostki, Węzłowe problemy z dziejów dawnej Rzeczypospolitej w pamięci historycznej, Spojrzenie na pogranicza. Nauczanie historii i mniejszości, PRL - forma państwowości polskiej czy zewnętrznej okupacji?*

sytuuje się nie w roli ponadpartyjnej głowy państwa, ale prezydenta „upolitycznionego” (jeśli tak można powiedzieć!), była wyjątkowo znacząca. Prezydent podtrzymał swoje zasadnicze tezy odnośnie do historii. Poparł IPN oraz wypowiedział się przeciwko „poprawności politycznej” w historiografii (co oczywiście można było rozumieć najogólniej, ale chyba było też z wskazaniem). Potwierdził potrzebę czujności wobec przedstawiania historii przez inne kraje. Przestrzegł, że wszystkie kraje prowadzą politykę historyczną, co jest istotne tym bardziej, że tworzona architektura Europy może się, jak mówił, okazać ciasna dla Polski. Opowiedział się za dalszym prowadzeniem polityki historycznej przez nas oraz wezwał wszystkich do dumy z własnej historii.

Prezydent skrzywił się wobec uznawania myślenia o historii za niepożądane, co jakoby (według niego) wystąpiło po 1989 r. Jako przyczyny tego zjawiska wskazał łagodne przejście ustrojowe, a także częściowo zrozumiały (jak powiedział) strach przed endeckim nacjonalizmem oraz nieuzasadniony (jak powiedział) strach przed ksenofobią.

Wszystko to prezydent wypowiedział jednak wyjątkowo łagodnie jak na niego oraz jego środowisko. Zastrzegł, iż „polityka historyczna nie oznacza jednak ujednolicenia poglądów naukowych”⁶. Podkreślił, iż jest to „tylko zespół działań, by historia, łącznie z słabymi stronami dziejów, była własnością jak największej liczby obywateli. By nie tracąc prawdy – także prawdy o słabych stronach dziejów – być dumnymi z własnej historii”.

Prezydent poszedł nawet tak daleko, że powiedział: „Rozumiem napięcie między polityką a podejściem nauki – zwłaszcza w świetle doświadczeń okresu 1945-1989”. Był relatywnie łagodny wobec historyków pracujących w okresie PRL: „Nie było w PRL tak, żeby nie badano historii. Wszyscy to wiedzą, że w historii powstało wiele cennych dzieł. Ale były rejon [tematyki], gdzie było inaczej. Stąd potrzeba odkłamania. Drugi obieg to w dużym stopniu historia. Niestety autorów takich jak profesorowie Aleksander Gierynski, Krystyna Kersten, Tomasz Strzembosz nie ma już wśród nas. Nieobecny i obecny należy się od głowy państwa podziękowanie”.

W sumie prezydent poczynił znaczące koncepcje – bo tak to oceniam – wobec środowiska, które w masie jest, jak mi się zdaje, raczej krytycznie nastawione do dominacji polityki nad historią, w tym także do polityki historycznej. W sumie prezydent uczynił gest wobec krytycznego środowiska, co też jest oczywiście gestem politycznym, ale w lepszym kierunku. Środowisko doceniło, jak mi się zdaje, ową relatywną łagodność. Część kolegów żartowała później, że szczęśliwie Lech Kaczyński nie skorzystał z okazji, by wypowiedzieć wojnę Niemcom i Rosji. Od siebie dodałbym, że szczęśliwie nie wypowiedział wojny znacznej części historyków, zwłaszcza tej w moim przekonaniu przytomniejszej.

W końcówce przemówienia prezydent mówił o potrzebie ochrony, a nawet umocnienia miejsca naucza-

nia historii w zreformowanej szkole. Na tej płaszczyźnie mógł liczyć na pełną zgodę ze środowiskiem.

Pewien akcent polityczny nadała zjazdowi rocznica 17 września. Prezydent odsłonił mianowicie kamień pamiątkowy ku czci 26 oficerów zamordowanych w Katyniu, których krewni są lub byli związani z Uniwersytetem Warmińsko-Mazurskim, albo z uczelniami go poprzedzającymi. Kamień położono przy zainaugurowanej jednocześnie alei Ofiar Katyńskich. Zasadzono przy niej 26 dębów dedykowanych pamięci ofiar. Jeden dąb posadził prezydent. Aleja – jak podczas inauguracji zjazdu zaznaczył rektor Józef Górniiewicz – prowadzi od miejsc, gdzie po wojnie znaleziono szczątki ofiary mordów dokonanych przez Armię Radziecką na Niemcach (może też na Warmiakach), aż do kamienia katyńskiego. Ponieważ prowadzi od wielkiego, nowego centrum uniwersyteckiego do domów studenckich, codziennie przechodzi nią mnóstwo studentów. – O to właśnie szło – mówił rektor – by historia była obecna wśród nas, nawet w momentach dla nas wesołych, jak np. podczas odbywających się tam juwenaliów.

Kamień i aleja to bardzo ciekawy przykład, jak instytucja (społeczność) buduje własną tożsamość przez odwołanie się do historii, a zarazem włącza się w ten sposób w historię narodową. W wypadku Olsztyna takie działanie stanowi jednocześnie umacnianie kontynuacji historii narodowej przez społeczeństwo przesiedleńców i umacnianie się jako część ogólnonarodowej wspólnoty; także - wzmacnianie narodowych korzeni po transplantacji na nowe miejsce. Temu ostatniemu celowi służyło też wspomnienie przez prezydenta, że jesteśmy na terenie I Rzeczypospolitej.

W przemówieniu, jakie wygłosił podczas uroczystości odsłonięcia kamienia, prezydent opowiedział się za stosowaniem do zbrodni katyńskiej określenia „ludobójstwo”. Muszę przyznać, że dla mnie samego napięcie w tej kwestii jest niezrozumiałe. Gigantyczna zbrodnia jest zbrodnią niezależnie od terminów prawnych, a wchodzenie we współzawodnictwo z innymi na zasadzie „też doświadczyliśmy ludobójstwa”, co czasem wyczuwam w dyskusji, zdaje mi się niesmaczne. Uczestniczący w ceremonii odsłonięcia ksiądz wezwał do modlitwy m.in. za odbudowanie dobrych stosunków Polaków i Rosjan, opartych na prawdzie, zorientowanych ku przyszłości. Nic dodać, nic ująć.

Z punktu widzenia antyksenofobii interesujące było też przemówienie Jacka Protasa, marszałka województwa Warmińsko-Mazurskiego. Podczas inauguracji zjazdu, podkreślając potrzebę świadomości wynikającej z wiedzy historycznej, określił on, że teren inspirował do dyskusji nad wielokulturowością, także nad polskością. Lokalna rzeczywistość wymaga analizy wielu kultur. Chcemy budować – mówił – na wielokulturowej przeszłości.

Odnaką Zasłużony dla województwa Warmińsko-Mazurskiego marszałek odznaczył prof. Roberta Trabę, autora pojęcia „otwarty regionalizm”, twórcę ośrodka Borussia, który zajmuje się wielokulturową tradycją regionu.

Także w tym wypadku powtórzę: nic dodać nic ująć – i oby tak dalej.

⁶ Przytoczone wypowiedzi prezydenta, w tym jego słowa podane jako cytaty, pochodzą z notatek na bieżąco robionych przez autora; mogą zatem nie być w pełni ścisłe.

JANUSZ TAZBIR

SZANUJMY ŹRÓDŁA, ALE IM NIE WIERZMY

Prowadząc na Uniwersytecie Warszawskim przez kilka lat seminarium z historii kultury zawsze przestrzegałem jego uczestników przed nadmierną wiarą w pamiętniki jako źródło historyczne. Daleko mi oczywiście było do zjadliwego sceptycyzmu Boya Żeleńskiego, który napisał był kiedyś, iż ludzie zwykli się zabierać do ich pisania z „nieodpartej potrzeby szczerości”, poczem... łżą jak najęci. Już na długo przed autorem barwnych wspomnień z przeszłości (*Znasz li ten kraj?...*) tak wybitny historyk, jakim był Tadeusz Korzon, zalecał traktowanie pamiętników z dystansem. Jego zdaniem

znajdujemy w nich materiał „zarazem pociągający i zdradny”. W jednym tylko miejscu, pisał Korzon (1893), „wolno zaufać pamiętnikarzowi: kiedy do młodych lat sięga po wspomnienia”. Dodajmy, że potem sam zwykł się być dość często puszczać na jakże zdradliwe fale konfabulacji.

Trudno o przełomie wieku XVIII na XIX pisać bez sięgania do pamiętników, biada wszakże badaczowi, który by potraktował je jako źródła w pełni wiarygodne. Nie trzeba zresztą o tym przekonywać, ludzi karmionych na przełomie XX i XXI stulecia setkami stron,

na których byli liderzy życia politycznego, usiłują nas z jednej strony przekonać, że inaczej potoczyłby się dzieje Polski, gdyby z jednej strony nie ów nieszczęsny *coitus interruptus* uniemożliwiający dalsze sprawowanie władzy. Z drugiej zaś fakt, iż ich najbliższe otoczenie składało się z durniów i łotrów, czy nawet wręcz zdrajców torpedujących wszelkie rozumne poczynania.

To samo co piszę o pamiętnikach, w jeszcze większym stopniu dotyczy kronik, zwłaszcza tych, które powstały w dobie średniowiecza. Złośliwi koledzy mediewistów utrzymują, że jeśli dla danego wydarzenia pozostało tylko jedno źródło, to mediewiści chcą nie chcąc zwykli wierzyć mu bez zastrzeżeń. Kiedy natomiast o królu, bitwie czy układach mówi parę przekazów źródłowych, wtedy „opukują” wszystkie nader podejrzliwie i żadnemu z nich nie dają pełnej wiary.

Następna pułapka, która czyha na czytelnika źródeł, wyraża się w istnieniu wśród nich całego mnóstwa falsyfikatów. Poświęciłem im ongiś osobną książkę zatytułowaną *Cudzym piórem...* (Poznań 2002). Wielkie falsyfikaty historyczno-literackie, tak charakterystyczne dla kultury nowożytnej Europy, zaczęły się pojawiać już w drugiej połowie XVIII stulecia. Nie znaczy to wcale, aby wcześniejsze wieki nie znały różnego rodzaju fałszerstw. Nagminnie podrabiano nadania i przywileje majątkowe, jak również tworzone urojone wywody genealogiczne. Pozostawały one jednak bez wpływu na literaturę piękną czy rozwój świadomości narodowej, podczas gdy głośne mistyfikacje doby nowożytnej służyły przede wszystkim ukazywaniu głęboko sięgających w przeszłość korzeni tradycji rodzimej literatury oraz kultury.

Już w 1773 roku pojawiły się tak zwane *Pieśni Osjana*, rzekome angielskie tłumaczenie poezji celtyckiej powstałej we wczesnośredniowiecznej Szkocji. Dość rychło jednak ustalono, iż mamy tu do czynienia z falsyfikatem, a za osobą fikcyjnego Osjana, syna Fingala, kryje się poeta szkocki James Macpherson (1736-1796). Nie przeszkodziło to tłumaczeniom *Pieśni* na wiele języków europejskich, w tym również i na polski. Do grona ich entuzjastów należeli Johann Wolfgang Goethe, Ignacy Krasicki i młody Adam Mickiewicz. Z utworami rzekomego Osjana nie rozstawał się Napoleon; wywarły one znaczny wpływ na literaturę doby Romantyzmu.

Pisząc swój utwór Macpherson korzystał z zachowanych fragmentów poezji celtyckiej. Podobnie rzecz się miała ze *Słowem o pułku Igora* powstałym jakoby ok. 1187 roku, a uważanym po dziś dzień przez większość badaczy rosyjskich za autentyk. To „szczytowe osiągnięcie całej literatury staroruskiej” (jak określają *Słowo* zarysy dziejów piśmiennictwa) powstało przypuszczalnie na kanwie jednego z utworów, który istotnie pochodzi ze średniowiecza. „Odkrywcą” *Słowa*, hrabia Aleksiej Musin-Puszkina, który miał na nie natrafić u schyłku XVIII wieku, sam lub korzystając z cudzej pomocy (niektórzy wymieniają nawet Jana Potockiego) przerobił pierwotny tekst wzbogacając go o liczne dodatki, utrzymane we wcale nie średniowiecznym duchu.

Powodzenie wszystkich falsyfikatów opierało się na jednej żelaznej zasadzie: rzekomy oryginał musiał zaginać. Do publikacji szedł odpis, z natury rzeczy, jak tłumaczono, niestaranny. Tak właśnie było i ze *Słowem o pułku Igora*; niebawem po pierwszej edycji tego

utworu (1800) oryginał spłonął ponoć w trakcie pożaru Moskwy (1812). Uczniowie Macphersona byli daleko mniej przezorni: pod naciskiem opinii publicznej ogłosili bowiem (1807) fragmenty *Pieśni Osjana* w języku celtyckim. Uczeń utwierdził się wówczas w przekonaniu, iż mają do czynienia z oczywistą mistyfikacją literacką, samego Macphersona nazwano zaś przy okazji „fałszerzem o miedzianym czole”.

Nieznane są również oryginały rzekomych zabytków literatury czeskiej odnajdowanych masowo w pierwszej połowie XIX stulecia. Początek dał tu Vaclav Hanka (1791-1861), „odkrywając” w 1817 roku w starej wieży kościelnej w miejscowości Kralove Dvore, tak zwany *Rękopis krółodworski*. Badacze wątpią wszakże, aby Hanka, który nie miał przygotowania filologicznego, sam był autorem tego falsyfikatu. Tak czy inaczej w ślad za wspomnianym *Rękopisem* poszły rychło inne „odkrycia” zabytków o równie nikłym stopniu autentyczności. Odkrycie wielu pomników wczesnośredniowiecznej czeskiej epiki oraz liryki krzepiło dumę narodu pozbawionego od dwustu lat niepodległości. Nic więc dziwnego, iż wszelkie próby podważenia autentyczności *Rękopisu krółodworskiego* budziły oburzenie czeskiej opinii publicznej. Rozpoczął się zażarty spór, któremu kres położono dopiero w początkach naszego stulecia. Krytyka naukowa, piórem m.in. profesora Tomasza Masaryka, późniejszego prezydenta Czechosłowacji wykazała, że mamy tu do czynienia z falsyfikatem. Ostatnio zresztą cały spór zaczyna odżywać na nowo: rozlegają się bowiem głosy, iż Hanka, idąc bezwiednie śladami Macphersona i Musina-Puszkina, przerobił w duchu romantycznych gustów jakieś autentyczne poezje, których oryginały następnie zniszczył.

Zagładzie miał też ulec oryginał najgłośniejszego chyba fałszerstwa naszego stulecia, jakim są tak zwane *Protokoły Mędrców Syjonu*. Sporządzone pod koniec XIX wieku, a ogłoszone po raz pierwszy w 1903 roku na łamach czasopisma „Russkoje Znamja” ujawniały zbrodnicze zamysły Żydów pragnących w podstępny sposób zawładnąć całym światem. W tym celu ponoć powołali oni do życia specjalną organizację, na której czele stoją wspomniani już *Mędracy Syjonu*. Choć już w 1921 roku wykazano, że *Protokoły* stanowią parafrazę pamfletu, jaki francuski dziennikarz Maurice Joly skierował (1864) przeciwko Napoleonowi III, to jednak liczba wierzących w ich autentyzm wcale nie maleje. Przyczyniają się do tego liczne reedycje zaopatrzone w przedmowy broniące tezy o prawdziwości antysemitckiego pamfletu. Na ogół mamy do czynienia z reprintami przedwojennych wydań. Równocześnie jednak pojawiają się i aktualne, poprzedzone wstępami, które w wydarzeniach dziejów najnowszych szukają dowodów mających potwierdzić autentyczność tego falsyfikatu. W przedmowie znanego ze swych antysemitkich poglądów Roberta Helebrandta, który opublikował *Protokoły* po czesku oraz po słowacku, znajdujemy wręcz obłądną tezę, iż rozpad Związku Radzieckiego oraz przemiany w krajach zależnych dawniej od Moskwy należy przypisać złowrogim knowaniem *Mędrców Syjonu*.

Na tle omówionych powyżej mistyfikacji historyczno-literackich oraz falsyfikatów polski dorobek w tej dziedzinie rysuje się nadzwyczaj skromnie. Żaden z autorów nie uzyskał bowiem rozgłosu poza granicami ojczyzny; jedyny powstały nad Wisłą pamflet, który liczbą wydań

oraz popularnością mógłby konkurować nawet z *Protokołami Mędrców Syjonu*, to *Monita secreta (Poufne rady)* pióra usuniętego z zakonu jezuitów Hieronima Zahorowskiego. Wydany po raz pierwszy w 1612 roku doczekał się wielu wznowień i przekładów. Podobnie jak *Protokoły Mędrców Syjonu*, tak i *Monita* zostały ułożone w formie tajnych instrukcji, pouczających członków Towarzystwa Jezusowego, w jaki sposób mają dążyć do zawładnięcia światem. Na próżno jezuita starali się wykazać, iż nie jest to dokument autentyczny. Za taki właśnie uważali *Poufne rady* uczeni radzieccy jeszcze w czasach nam współczesnych.

Tworzeniu podobnego typu falsyfikatów towarzyszyło w XIX stuleciu zjawisko wydawania rzekomo autentycznych „memoralików” (pamiętników) i wszelkiego rodzaju diariuszy. „Nie można jak ubolewać nad wznowioną dzisiaj gwałtowniej niż kiedykolwiek chorobą pisania urojonych historii i pamiętników” – ostrzegał w 1843 roku krytyk literacki Władysław Trębicki. Budziło to zrozumiałą podejrzliwość, której ofiarą padły nawet *Pamiętniki* Jana Chryzostoma Paska, uważane początkowo przez część badaczy za falsyfikat.

Nawet po latach opłacała się panu Paskowi miłość do zwierząt, której liczne przykłady znajdujemy na kartach jego *Pamiętników*. W książce uczonego jezuita Gabriela Rzączyńskiego (*Historia naturalis curiosa*, 1721) znaleziono bowiem opowieść o uczonej wydrze, którą pewien szlachcic z Mazowsza nazwiskiem Pasek podarował był zwycięzcy spod Wiednia. Dawało to świadectwo autentyczności *Pamiętnikom*, które jednak dość bezceremonialnie kastrowano. „Mój Łukaszewiczu – pisał Edward Rączyński do znanego historyka reformacji – jest u Paska artykuł o wydrze chowanej za króla Jana, której żołnierz na warcie dał uciec i za to został ukarany śmiercią, to trzeba zmytygować ze względu na cześć narodu i napisać tylko: a żołnierza ukarano jak należy”. Tak też i w wydaniu *Pamiętników* z 1836 roku postąpiono.

Przy tak bezceremonialnym stosunku do źródła trudno się dziwić, iż czytelnicy tracili orientację z jednej strony biorąc autentyczne pamiętniki za zmyśnione, z drugiej zaś wierząc we wszelkiego rodzaju mistyfikacje, tak chętnie stosowane przez powieściopisarzy ubiegłego stulecia. Ulubionym motywem było przypisywanie powieści nieżyjącemu już autorowi.

Przestrzegalbym wszakże przed traktowaniem naszych przodków, żyjących w ubiegłym stuleciu, z wyższością, jaką stwarza rozwój warsztatu badawczego oraz krytyki naukowej. Mimo niezaprzeczalnego postępu na tych polach rzekome *Pamiętniki* Bartłomieja Michałowskiego (1857), będące w istocie dziełem autora *Pamiętek Soplicy*, są nadal traktowane przez niektórych badaczy jako autentyczne źródło do dziejów upadku szlacheckiej Rzeczypospolitej.

Jeśli nawet daną kronikę lub pamiętnik uznamy za autentyczne, to należy stale pamiętać, iż były one poddawane kontroli i to podwójnej. W XIX wieku ze strony cenzury zaborczej oraz takiej, którą za Stanisławem Wyspiańskim określiłbym jako narodową. Szczególnie starannie cenzurowano teksty adresowane do obcego czytelnika w myśl zasady Edmunda Rączyńskiego, że nie należy odkrywać „przed obcymi słabości nieszczęśliwej matki” (to jest Polski).

Tak się niefortunnie złożyło, że pamiętniki Kajetana Koźmiana, nieprzejednanego wroga Mickiewicza, jego

syn Stanisław wydawał w r. 1867, a więc w momencie, gdy autor *Dziadów* był już obwołany wieszczem i uchodził za narodową świętość. Nic więc dziwnego, iż syn ocenzurował ojca. Kajetan pisał, że powstanie listopadowe miało „swego minstrela czy raczej wajdelotę”, który włożył się ze swoim Wallenrodem i balladami „z wściekłą, a niedołęzną zemstą śpiewając jadem i zuchwałością zaprawione pieśni, szczekał w nich na wszystko, co tylko towarzystwo ludzkie czci i szanuje, i przesyłając bezbożne bazgraniny do kraju, iluż nowych nie narobił ofiar”. Stanisław pozostawił jedynie skrót: „Mickiewicz był minstrelm, a raczej wajdelotą ostatniej rewolucji. *Oda do młodości* i *Wallenrod* najwięcej może przyczyniły się do wybuchu”. Dopiero w wydaniu z 1972 r. przywrócono pełny tekst Kajetana Koźmiana.

Najboleśniej chyba presji narodowej cenzury doświadczył Kazimierz Deczyński (1800-1838), autor powstałych na emigracji pamiętników, rozślawiony przez Leona Kruczkowskiego jako główny bohater *Kordiana i chama*. Nauczyciel szkoły parafialnej w Brodni koło Sieradza za przewożenie chłopom w ich walce z bezwzględny i okrutny dzierżawcą tych dóbr rządowych, Wincentym Czartkowskim, został z jego inicjatywy bezprawnie wzięty do wojska. Po wybuchu powstania listopadowego, w którym (wbrew temu, co napisał Kruczkowski) wziął udział, awansowany z sierżanta na podporucznika. Nie zmniejszyło to jednak nienawiści Deczyńskiego do szlachty i nie zatępiło pamięci o doznanych krzywdach. Dał im wyraz w pamiętniku, którego manuskrypt przekazał nieopatrznie kolegom emigrantom. Pod ich to naciskiem zaczął łagodzić treść zawartych w nim oskarżeń w przekonaniu, iż „istotnej prawdy wszędzie pisać nie można przez wzgląd na okoliczności nam towarzyszące”. Nawet tak złagodzoną wersję, przełożoną na francuski, ale ostatecznie nie opublikowaną, jej pierwsi czytelnicy uznali za szkalującą Polskę. Deczyńskiego okrzyczano zdrajcą i szpiegiem rosyjskim opłacanym przez carską ambasadę. W rezultacie pamiętnik wyszedł dopiero w r. 1907 staraniem Marcelego Handelsmana. Można śmiało założyć, że gdyby nie rozwój ruchu ludowego i wpływy socjalistyczne w Galicji, pamiętniki Kazimierza Deczyńskiego długo jeszcze pozostawałyby w szufladzie, zamknięte tam kluczem narodowej cenzury.

Nie wierzymy również kazaniom, które od czasów średniowiecza poczynając, a na czasach nam współczesnych kończąc, stale narzekają na upadek obyczajów i rosnącą ekspansję bezbożnictwa. Nawet w drugiej połowie XVII wieku, a więc już po wygnaniu arian (1658) i wprowadzeniu zakazu porzucania religii panującej, kaznodzieje przedstawiają Rzeczpospolitą jako kraj pełen libertynów czy nawet ateistów. Za każdym razem obecnemu pokoleniu przeciwstawia się chwalebne obyczaje przodków oraz ich przykładową dewocję, choć współcześni im kaznodzieje wygłaszali zgoła odmienne na ten temat opinie.

Parę słów o jubileuszomanii, którą w byłym Związku Radzieckim starano się zwalczać już w r. 1941. Czytamy o tym m.in. w specjalnym okólniku Rady Komisarzy Ludowych ZSRR wydanym wspólnie z Komitetem Centralnym Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) w kwietniu r. 1941. Jego autorzy (autor) stwierdzali, iż jubileusze tak bardzo się mnożą, że przekształcają się w istną „orgię jubileuszową”. Nie

bacząc na znaczne koszty, jakie za sobą pociągają, zwykło się je organizować nawet dla uczczenia trzyletniej, pięcioletniej i dziesięcioletniej rocznicy istnienia danej instytucji. Jeszcze gorzej bywa z jubileuszami osób, które urząda się przy każdej okazji: upływu czasu pracy, zajmowania się daną specjalnością, nie wspominając już o wieku. Co więcej, przy każdej takiej okazji żąda się nagradzania jubilatów orderami i medalami.

Okólnik żądał, aby instytucje po udowodnieniu rzeczywistych osiągnięć miały prawo obchodzenia jubileuszy wyłącznie po 20, 50 i 100 latach działalności. Następnie zaś po każdym półwieczu od poprzedniego jubileuszu. Wybitni działacze, politycy i uczeni, tylko na swoje 50, 60 i 75 urodziny. Pomyślano również o zmarłych, którzy zasłużyli się ojczyźnie „swą wybitną działalnością”. Tych z kolei pozwolono czcić tylko w okrągłe rocznice: po 20, 50, 75, 150 i 200 latach od daty śmierci, a następnie po każdych stu latach od ostatniego jubileuszu. Każdy jubileusz winien uzyskać akceptację władz centralnych. Okólniki sobie, a obchody sobie, skoro już 28 maja r. 1941 obchodzono uroczystie 25 rocznicę zgonu Iwana Franki.

Okólnik przeszedł bez większego echa, tym bardziej że już po dwóch miesiącach od jego wydania zaczęła się wojna niemiecko-radziecka. Jej zakończenie i kontynuacja stalinowskiej polityki kulturalnej przyniosły dalszą falę jubileuszy. Przetoczyła się ona również i przez PRL. Dopiero gdzieś w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia zaczęto dawać upust powszechnemu zniecierpliwieniu. W artykule pod tytułem *Obroty chronicznej głupoty* („Literatura” nr 34 z r. 1972) Piotr Wierzbicki pisał: „Idzie przecież o to, aby osobę Kopernika obrzydzić, ośmieszyć, skompromitować, aby ludzie zaczęli go mieć powyżej uszu, aby zaczęli wątpić w to, że był wielkim astronomem, w to, że był Polakiem, w to że w ogóle żył na świecie”. I dalej: „Zbzikowanie rocznicowe przeżyło wszystkie lekcje i wszystkie przełomy: jest wytworem głupoty chronicznej, głupoty nieuleczalnej, głupoty na którą szkoda argumentów”. Domyślny czytelnik tych słów na pewno sobie przypomniał, iż w taki właśnie sposób obchodzono przed dwoma laty stulecie urodzin niejakiego Lenina...

Wierzbicki oczywiście nie mógł o tamtych obchodach pisać. Podobnie Szymon Kobyliński (*Pierwsze poważne ostrzeżenie*, „Literatura” z 4 I 1979) za przykład szkodliwej i przesadnej jubileuszomanii ostrożnie dawał... Jana Kochanowskiego. „I tak jak w szkole – pisał – najskuteczniejszym zabiegiem dla odstręczenia od kogokolwiek z wielkich jest wałkowanie jego tekstów aż po ich kompletne rozpląszczenie (...) podobnie może się przydarzyć teraz z Kochanowskim w ogólnokrajowej skali. Zaświatujemy go ze szczerem.

Jeśli zaś podejmowane są inicjatywy wyniesienia ze szczególnym pietyzmem ojca naszej literatury pięknej na należne mu w świadomości narodowej miejsce, to dla wręcz przeciwnych niż dewaluacja, celów. Toteż skwapliwe, a zarazem – na skutek masowości mediów tłumne przyczynkarstwo, cytowactwo, podkreślaństwo i inne „ja też! ja też!” – odnieść tu może tylko negatywny skutek: z «wonnej lipy czarnoleskiej, gęsto niebem przetykanej» zostać może w efekcie przykre wrażenie samej lipności.

Brońmy już teraz Jana Kochanowskiego przed jego «nadgorliwymi wielbicielami».

Wniosek moralny? Skłonność do jubileuszy i obchodów jest ponadustrojowa i ponadnarodowa, a pomysłowość w ich wynajdywaniu wręcz niezmierna. Za co w końcu opłacamy historyków, jeśli nie za wynajdywanie sympatycznych nam rocznic? A w to co oni i nie tylko oni, przy okazji różnych okrągłych mniej lub bardziej rocznic piszą, po prostu nie wierzymy.

To samo dotyczy nekrologów i wspomnień pośmiertnych pisanych częstokroć szyfrem zrozumiałym jedynie dla wtajemniczonych. Jeśli więc czytamy na przykład, iż Wielki Zmarły miał olbrzymie poczucie odpowiedzialności za słowo, znaczy to po prostu, że pozostawił nader szczupły dorobek drukowany.

W okresie Polski Ludowej przynależność do AK czy nawet Batalionów Chłopskich zastępowano słowami „brał udział w ruchu oporu”. Obecnie czyni się to samo, jeśli zmarły był, co nie daj Boże!, członkiem Gwardii lub Armii Ludowej czy też podziemnej PPR.

W r. 1996 Tadeusz Klimowicz („Studia litteraria polono-slavica” t. 2) ukazał na przykładzie „Literaturnoj Gazety” jak należy łamać owe szyfry. Określił on zamieszczane tam nekrologi jako teksty, w których „programowo zakłada się (zgodnie z maksymą *De mortuis aut bene aut nihil*) mówienie niepełnej prawdy, przemilczanie spraw mogących deprecjonować dokonania zmarłego”. Tekst nekrologu „nadawał się idealnie do kreowania modelu świata opartego na pogardzie dla faktów”. Żłudna jest nadzieja, iż tekst wspomnień czy nekrologów stanowi ważne źródło wiedzy dla biografów. Stanowi faktycznemu najczęściej odpowiada tylko „data urodzin i śmierci”.

Nie darmo w czasach Polski Ludowej mawiano, iż całą prawdę zawiera ta strona danej gazety, na której się pisze o zgonie tego czy innego działacza. I tam zresztą faktom odpowiada jedynie data śmierci oraz informacja o czasie i miejscu pogrzebu. Jest to zresztą zgodne z tradycjami sarmackiej Rzeczypospolitej, kiedy to w pośmiertnych panegirykach z największych okrutników czyniono miłosiernych filantropów, a z rozpustników, zdrajców i pijaków – przykładnych obywateli, wzorowych ojców i mężów. „Szczególnie na trumny dygnitarzy i możnych, albo do ich stóp rzucono całą garścią kadzidła” pisał ks. Józef Palczar (1917). Już w XVII stuleciu nazywano autorów kazań pogrzebowych „bałwochwalcami”, którzy swoich słuchaczy „do świeckiej pompy zachęcają, od której by serca ludzkie odwozić potrzeba”.

Z powyższych wywodów wynika prosty wniosek: skoro nie sposób jest badać przeszłość bez znajomości źródeł, to wydawajmy ich jak najwięcej, ale zawsze w starannym opracowaniu kompetentnych fachowców. Czytajmy uważnie ich wstępy i komentarze, jak również przypisy prostujące błędy autora. I jeszcze jedno: przed czterystu laty wybitny dowódca, ale i nie zgorzły historyk, czego dowodem jest opis polskiej interwencji w państwie moskiewskim, Stanisław Żółkiewski przekazywał synom: „historyki czytajcie”. Otóż to właśnie: „źródła czytajcie, ale nie we wszystkie zawarte w nich informacje ślepo wiercie”. I jak ognia strzeżcie się falsyfikatów.

MARCIN POPŁAWSKI

CZY KONIEC SYSTEMOWEJ UTOPII?

„Odkryłem skazę w mojej ideologii” – w ten sposób wieloletni szef Rezerwy Federalnej (FED), Alan Greenspan tłumaczył się podczas przesłuchania w Kongresie USA. Faktem jest, że FED nie zrobił nic, by powstrzymać kryminogenne praktyki kredytowe, uparcie chroniąc sektor finansowy przed nadzorem rządowym. Co gorsza, utrzymywał przez lata na minimalnym poziomie stopy procentowe, mimo iż stopa oszczędności w Stanach Zjednoczonych była ujemna, najwyraźniej pragnąc przedłużyć w nieskończoność *boom* mieszkaniowy. Wbrew fundamentalnym zasadom cyklu koniunkturalnego, więc i liberalnego kapitalizmu, których winien być wydawcą się głównym strażnikiem.

Po przeszło półwieczu świat przekonał się o trafności myśli Keynesa zawartej w pojęciu „kapitalizmu kasyna”, dotyczącym klasy próżniaczej zarabiającej kolosalne pieniądze i – dzięki sojusznikom w establishmentie oraz w mediach – mogącej torpedować wszelkie próby wprowadzenia regulacji lub chociażby ograniczenia uposażeń prezesów korporacji. Wmawiającej od lat 70. XX w. przeciętnemu Smithowi wygodną dla siebie tezę, że *good manager is worth his weight in gold*. Efektem między innymi takiej propagandy była zmiana charakteru społeczeństwa amerykańskiego. Według Krugmana przeciętna płaca w USA wzrosła z 32,5 tys. USA w 1970 do 35,9 tys. w 1999 r., co, biorąc pod uwagę stopę inflacji w okresie 29 lat, daje miarę zubożenia Amerykanów. W tym samym czasie wynagrodzenia 100 czołowych prezesów korporacji (CEO) wzrosły 29-krotnie, przekraczając przeszło tysiąc razy wysokość pensji przeciętnego pracownika.

Po to między innymi, by utrzymać zachłanne zarządy drenujące zasoby finansowe banków przyznawano kredyty bez pokrycia na zakup nieruchomości tak zwanym *NINJA* (*No Income, No Job and No Assets*), odsprzedając następnie domniemane zyski w formie obligacji bankom inwestycyjnym, które emitowały kolejne papiery wartościowe. W sumie lewarowanie było przeszło 30-krotne, co daje też pojęcie o skali trudności w zidentyfikowaniu „toksycznych aktywów” i dlaczego nie oszacowano ich do tej pory. Komisja Nadzoru Giełdowego (SEC), mimo posiadanych uprawnień zapomniała o nieprzestrzeganiu standardów przez agencje ratingowe. Nie popadając bynajmniej w teorie spiskowe, dopiero na gruncie nieformalnych powiązań zarządów banków z establishmentem w Waszyngtonie staje się zrozumiałe, dlaczego Departament Skarbu, który mógł być inicjatorem nadzoru nad podejrzanymi instrumentami finansowymi, opierał się wprowadzeniu prawnych regulacji. Dziwnym zbiegiem okoliczności również matematyczne modele przewidywania ryzyka kredytowego okazały się jakoby wadliwe etc, etc.

Lista podobnych „błędów i wypaczeń” (celowo używam wyrażenia, które w Polsce stało się synonimem

systemowej utopii) zdaje się nie mieć końca, jednak nie wyjaśnia przyczyny powstania bańki kredytowej akurat w Stanach Zjednoczonych. Otóż wspomniane praktyki natrafiły tam na podatne podłoże, jakim była fetyszizacja rynku nieruchomości, w tym także na rodzimą skłonność Amerykanów do wszelkiego rodzaju hazardu, słowem tego, co Keynes w latach 30. określił jako zamiłowanie do spekulacji. Zresztą zapuścił głębiej analityczną sondę, odkrywając źródła w mrocznej psychice ludzkiej i nadając im miano „zwierzęcego instynktu”. Ów instynkt pchał przez lata przeciętnego Amerykanina do gry giełdowej, a gdy okazało się, że wcale niełatwo się w ten sposób wzbogacić, do inwestycji w nieruchomości.

Posiadanie własnego domu, a gdy się go miało na kredyt, kolejnego lokum, stało się rodzajem religii państwowej, w każdym razie przez państwo wszelkimi metodami wspieranej. Dość powiedzieć, że relacja wartości kredytów hipotecznych do PKB wynosiła w USA blisko 100 proc. wobec 50 proc. w Europie Zachodniej i 10 proc. w Polsce. Wzrost gospodarczy oparty na finansowaniu inwestycji mieszkaniowych, przy jednoczesnym, wynikającym z ideologicznych pobudek zaniechaniu mechanizmów nadzoru i regulacji to jeden z mechanizmów powstania owej bańki. Zarazem, w ciągu ostatnich 20 lat, udział banków w zyskach wszystkich firm amerykańskich wzrósł z 10 do 40 proc., a tym samym sektor finansowy, (także ubezpieczeniowy) stał się ogromną maszyną do zarabiania pieniędzy pozostającą w dużej mierze poza kontrolą powołanych w tym celu instytucji.

Najkrócej rzecz ujmując, skłonność do spekulacji finansowych wyparła autentyczną gospodarkę przedsiębiorczości, z której Ameryka mogła być dumna jeszcze w czasach Keynesa... Warto przytoczyć *in extenso* jedną z jego wypowiedzi z lat 30.: „W miarę ulepszania organizacji rynków występuje istotne niebezpieczeństwo, że spekulacja weźmie górę nad przedsiębiorczością (...). Amerykanin nabywając walor, przywiązuje nie tyle wagę do przewidywanej rentowności, ile do korzystnych zmian konwencjonalnej podstawy wartościowania, tzn. jest on według naszej definicji spekulantem. Spekulanci mogą być nieszkodliwi, gdy są niczym pianą na równym strumieniu przedsiębiorczości. Ale sytuacja staje się poważna, gdy przedsiębiorczość staje się pianą na wirze spekulacji. Gdy akumulacja jakiegoś kraju staje się ubocznym produktem gry hazardowej, wyniki są zawsze opłakane” (Keynes, [1936]1956: 202-203). Po upływie przeszło półwiecza, nic dodać, nic ująć.

Najogólniej ujmując przyczynę kryzysu oraz jego szybkiego rozprzestrzeniania się należy wskazać liberalizację finansową w okresie ostatnich trzech dekad. Podobnie jak w przypadku kryzysu azjatyckiego doprowadziła ona do wymknięcia się spod kontroli praktyki

udzielania kredytów, nadmiernej autonomii banków oraz liberalizacji przepływów kapitałowych, poprzez powstanie systemu powiązań umożliwiających przenoszenie się zjawisk kryzysowych z jednego kraju do drugiego. Wspólnym mianownikiem obu kryzysów była też nadmierna koncentracja inwestycji finansowanych kredytami bankowymi w sektorze budowlanym i nieruchomościach. Można zrozumieć „skazy w ideologii” czy przyjęcie niewłaściwych modeli do analiz, ale trudno określić inaczej niż jako kryminogenne niewyciąganie wniosków z powtarzających się błędów, jeśli dotyczy to jednostki odpowiedzialnej bądź współodpowiedzialnej za dobrobyt milionów ludzi.

Przełożenie się wspomnianych zjawisk na realną gospodarkę wywołało drugą fazę kryzysu, tj. recesję bądź stagnację w większości krajów świata, szczególnie dotkliwą dla tych, które zawiniły najmniej, państw o otwartej gospodarce i dodatnim bilansie handlowym i płatniczym z zagranicą, takich jak Japonia, Niemcy czy Rosja. Jest to zarazem pierwszy kryzys finansowy, który powstał w centrum globalnej gospodarki, a nie na peryferiach i w związku z tym tylko z trudem może być przez te peryferie absorbowany. Można rzec, że kraje peryferyjne, takie jak Łotwa, Islandia czy Ukraina płacą najwięcej za załamanie się gospodarki państw środka.

Należałoby w tym kontekście wyodrębnić fazę trzecią, tzw. „ryzyko rządowe” (*sovereign risk*), odnoszące się do samego państwa jako podmiotu suwerennego i związane z gwarancjami udzielanymi przez instytucje państwowe. Skoro państwo interweniuje i gwarantuje zobowiązania banków oraz pożyczki międzybankowe i depozyty, staje się jednocześnie remedium na wszelkie bolączki, takie jak upadłość banków, niewypłacalność funduszy, braki płynności, itp. Jest też oczywiste, że w końcu rynki zaczynają się dopytywać o wypłacalność owych gwarantów ostatniej instancji. Najprościej rzecz ujmując: ratując sektor finansowy same państwa stają na krawędzi bankructwa.

Dotąd dotyczyło to krajów, które określa się jako peryferyjne. Nie jest jednak wykluczone, a wręcz wiele na to wskazuje, że również Stany Zjednoczone i Wielka Brytania mogą z czasem ogłosić upadłość, co wywołałoby nieuchronnie fazę czwartą, polegającą na wyczerpaniu się środków w dyspozycji międzynarodowych instytucji finansowych. Jak długo bowiem państwa w rodzaju Chin i Japonii będą skłonne finansować dłużników, o których z góry wiadomo, że nigdy nie spłacą długów? I którzy zadłużają się coraz bardziej... Sytuacja taka mogła utrzymywać się przez dekady, dopóki była opłacalna dla obydwu stron i nie wywoływała większych turbulencji, przede wszystkim wewnętrznych. Podobnie jak to miało nastąpić w wieku XIX i aż do Wielkiego Kryzysu, kiedy utrzymywała się równowaga głównych ośrodków – Stanów Zjednoczonych, Europy i tzw. krajów surowcowych, oparta na bilansowaniu się w tym trójkącie wzajemnych deficytów handlowych.

Jedynе pytanie, na które można pokusić się dać obecnie odpowiedź, brzmi: co przyniesie najbliższa przyszłość? Jak dotąd wszelkie oficjalne prognozy dynamiki recesji czy produkcji przemysłowej, po upływie niewielu miesięcy wymagały korekty w dół.

Urzędowy optymizm daje się przynajmniej wyjaśnić zaklinaniem rzeczywistości oraz potrzebami bieżącej polityki. Podobną tendencję do optymizmu, a następnie

wycofywania się na „z góry upatrzone pozycje” wykazuje jednak większość niezależnych ekspertów, choć i tych trudno winić, biorąc pod uwagę, że całe pokolenie ekonomistów i publicystów edukowano w duchu *reaganomics* i *clintonomics*. Wychowani we wierze w stabilizującą moc wolnego rynku, na przekór faktom będą się przeciwstawiać wszelkim zmianom *status quo*, czy będzie chodziło o nową architekturę finansową, czy zwłaszcza, *vade retro satana*, regulację przepływów kapitałowych.

Ekonomistę musi niepokoić brak danych, które mogłyby stać się podstawą do analizy. Należy zauważyć, że nikt dotychczas nie skwantyfikował rozmiarów tego, co jest źródłem katastrofy, tj. wielkości wspomnianych toksyn i innych wątpliwych aktywów. Może więc ona oscylować między ok. czterema – jak utrzymują źródła oficjalne – a nawet 150 bilionami USD, jak głoszą niektóre źródła alternatywne. Gdyby miały potwierdzić się kwoty najniższego rzędu, kryzys na swym pierwszym etapie, rozumiany jako kurczenie się produktów krajowych, można by przezwyciężyć przy użyciu półśrodków, które G-20, UE i USA proponują. Z zastrzeżeniem, że nie może być mowy o powrocie do uprzedniej prosperity. W najlepszym razie świat czeka stagflacja, dająca możliwość wybrnięcia z narastającego obecnie zadłużenia.

Przyjmowane rozwiązania, najkrócej rzecz ujmując, sprowadzają się do trzech środków:

1) aktywa „toksyczne” zostają wykupione przez państwo i instytucje prywatne (finansowane przez państwo), zaś uwolniony w ten sposób system bankowy i finansowy jest z kolei w stanie finansować działalność przedsiębiorstw;

2) banki centralne obniżają stopy procentowe wprowadzając do obiegu gospodarczego tani kapitał, który z kolei generuje popyt, wzrost konsumpcji i inwestycji;

3) zgodnie z keynesizmem, uruchomione przez państwo wydatki, po wprowadzeniu do gospodarki, generują wzrost zatrudnienia i inwestycje, a w konsekwencji wzrost gospodarczy.

Przyjmuje się raczej po cichu, że przyrost inflacji nie stanowi istotnego zagrożenia, gdyż obecna, kryzysowa sytuacja sprzyja deflacji, tj. spadkowi cen. Ożywienie powinno nastąpić już w 2010, a najpóźniej w 2011 r., choć trudno określić, na czym te szacunki są opierane.

Ekonomiści alternatywni nie są w modzie, bo każdy z nas chciałby zachować nadzieję, a taką dają nam rządy, że wartość jego ruchomych i nieruchomych aktywów nie spadnie na łeb na szyję, a przede wszystkim zachowa swoje miejsce pracy. Niewątpliwie ekonomia ma wiele wspólnego z psychologią i utrzymanie ludzi w nawyku do inwestowania i konsumpcji ma głęboki sens ekonomiczny, bliski zresztą keynesizmowi.

Co stanie się jednak, gdy nie uda się opanować sytuacji, jeśli programy wykupienia aktywów toksycznych okażą się nie dość skuteczne albo z szafy zaczną wypadać kolejne szkielety w rodzaju Lehman Brothers? Otóż wobec katastrofy podobnych rozmiarów, sugerowanych rozwiązań jest niewiele. Najczęściej wymienianym remedium jest nacjonalizacja struktur żywotnych, między innymi banków, po to, by zagwarantować wypłacalność depozytów ludności i finansowanie przedsiębiorstw o charakterze strategicznym oraz szczególnym znaczeniu dla społeczeństwa.

W świetle poczynań rządów w polityce gospodarczej, odchodzących od paradygmatu wolnego rynku, staje się coraz bardziej oczywiste, że obecny kryzys przybiera szerszy niż tylko ekonomiczny wymiar, tworząc podstawy pod nowy sposób patrzenia na globalną gospodarkę i świat. Choć niechętnie i wstydliwie, do lamusa odchodzi wiara w „niewidzialną rękę rynku” (pojęcie pochodzi od Adama Smitha), obowiązująca w polityce gospodarczej od czasów Ronalda Reagana, ujęta w lapidarnym powiedzeniu tegoż prezydenta, że „państwo nie jest rozwiązaniem, państwo jest problemem”. Kryzys zresztą jedynie przyspieszył erozję wspomnianego paradygmatu, od lat poddawanego krytyce przez takich liberalnych ekonomistów jak Joseph Stiglitz, Jeffrey Sachs czy Paul Krugman. Tyle że dotąd proces ten postępował raczej w sferze idei, w literaturze ekonomicznej, i był ignorowany w praktyce przez rządy i międzynarodowe instytucje finansowe.

W sferze gospodarki realnej staje się powoli jasne, że nie będzie powrotu do dobrobytu opartego na spekulacyjnych balonach, w każdym razie nie za życia jednego pokolenia, bo i nie wiadomo, w jaki sposób miałyby to nastąpić. Przemysł, ongiś podstawa gospodarki amerykańskiej, obecnie bez pomocy państwa jest i pozostanie niekonkurencyjny. Trudno też, aby motorem wzrostu stało się dotowane rolnictwo czy usługi, poza finansowymi. Stany Zjednoczone musiałyby pobudzać wzrost skompromitowanymi metodami, co zresztą cały czas jest robione, nadymając te same bańki oraz deficyt budżetowy i dług zagraniczny do nieprawdopodobnych wręcz rozmiarów. Na szczęście dla samych Amerykanów, choć niekoniecznie dla gospodarki, powraca zapomniana od lat tendencja do oszczędzania.

W ogólnym klimacie erozji zaufania, pojedyncze lokalne wydarzenia mogą powodować paniczną wyprzedź aktywów i walut. Tego bodaj najbardziej obawiają się rządy i tym kieruje się także szef naszego resortu finansów, przyjmując pozę spokojnego męża stanu za każdym razem, gdy racjonuje kolejną porcję prognoz statystycznych, naśladując zresztą innych europejskich ministrów i premierów. Chwała mu za emanację spokoju, bo przecież ekonomia jest w dużym stopniu teorią samosprawdzających się przepowiedni. Jest też faktem, że jedynie państwa, instytucje finansowe i ich globalnie skoordynowane działania stanowią dziś w miarę pewny punkt oparcia, pozwalający mieć nadzieję na zatamowanie kryzysu. Nie idee czy konkretne pomysły, ale anglosaska flegma w naszym kraju wydaje się ciągle być w modzie, zatem miejmy nadzieję, że okaże się skuteczna *at least for the time being*.

Mój poważny niepokój budzi natomiast fakt, iż mimo ogromnych kosztów społecznych, jakie pociągnął za sobą liberalizm Sachsa i Stiglitz w latach 90. w Polsce, oraz neoliberalizm w skali globalnej, tkwimy wszyscy, tj. rząd, publiczność i społeczeństwo w okowach teorematów, modeli i pojęć, które właśnie się zdyskredytowały na oczach świata, w odróżnieniu od wspomnianych ekonomistów, którzy potrafili opamiętać się już na wiele lat przed kryzysem.

Słowo keynesizm nie pada w jakiegokolwiek rodzimej debacie. Zarazem w reszcie świata staje się wszechobecne, w końcu także w polityce gospodarczej. Czy więc w ogóle warto przypominać, że w początkowych latach Wielkiego Kryzysu (1929-33), a stopa bezro-

bocia była wówczas w USA nie większa niż w Polsce doby obecnej (*sic!*), sposób patrzenia na gospodarkę zaczerpnięty z klasycznej, liberalnej ekonomii przyczyniał się właśnie do pogorszenia sytuacji? Co też wywołało potrzebę przywołania Keynesa przez Roosevelta. Tymczasem w rodzimej debacie zakłada się bezmyślnie, że dla cięć, w tym obcinania środków na inwestycje i miejsca pracy, nie ma alternatywy. Koncentrując się na wydatkach pomija się dochody budżetowe, a przede wszystkim, o zgrozo, koszty społeczne. Błąd tego założenia wykazał zarówno w teorii jak i w praktyce ekonomicznej Keynes przy tworzeniu *New Deal*. Wskazał, iż wprowadzony do gospodarki pieniądź, przeznaczony na celowe inwestycje, jak roboty publiczne – poprzez istnienie tzw. efektu mnożnikowego – pobudza prywatne inwestycje, zatrudnienie i konsumpcję. A w konsekwencji również wzrost dochodów budżetowych.

Tę samą metodologię zastosowano wówczas skutecznie w wielu krajach Europy Zachodniej. Natomiast w Polsce po raz kolejny okazuje się, że jedyny tor postępowania rządzących niezmiennie polega na testowaniu wytrzymałości tkanki społecznej, najwyraźniej zakładając, że Polacy znów „wszystko zniosą”. Cóż, biorąc pod uwagę rodzimą historię, nie jest to oczekiwanie nieuzasadnione, ale czy etyczne i czy – zwłaszcza – ekonomiczne? Towarzyszy temu debata zastępcza w mediach, koncentrująca się w najlepszym razie wokół rozmiarów deficytu budżetowego państwa, jakby to było naprawdę przedmiotem troski Kowalskiego i jego rodziny.

Skoro już o tym mowa, był czas na skonstruowanie takiej struktury wydatków, a także deficytu oraz ustawodawstwa, aby umożliwić osiągnięcie efektu mnożnikowego i formowania się kapitału. Niestety, jak pisał sam Keynes we wstępie do swojego fundamentalnego dzieła, „Trudność polega nie na nowości idei, ale na tym, żeby się wyzwolić od starych poglądów, które są głęboko zakorzenione”. Innym przykładem debaty zastępczej są dywagacje na temat akcesji Polski do strefy euro, jakby narastający deficyt i nieprzewidywalny kurs złotych dawały jakąkolwiek szansę na spełnienie kryteriów konwergencji z Maastricht. Co najwyżej możemy dowodzić, iż kryteria te należałoby urealnić i trochę dostosować do zmieniającej się rzeczywistości.

Polska nie jest bynajmniej uodporniona na prawdziwy kryzys, który już dotknął sąsiadów i choć na razie wielu z nas chce w to wierzyć, utrata części rynków zbytu i spadek popytu wewnętrznego wkrótce uderzą, oby jak najmniej boleśnie. Dodam na koniec, co w rodzimej debacie uchodziłoby wręcz za herezję, że zdaniem Keynesa (w dziedzinie ekonomii był on tym, czym Platon i Kant dla filozofii, czemu żaden poważny ekonomista nie zaprzeczy), jedynym istotnym zadaniem państwa jest wzrost zatrudnienia, a deficyt budżetowy w czasie kryzysu nie ma znaczenia. Nie trzeba dodawać, że pewnie przewraca się w grobie widząc państwo posiadające nieodpłatne środki na infrastrukturę, budownictwo i ochronę środowiska, których nie jest w stanie w pełni wykorzystać w dobie największego kryzysu gospodarczego od II wojny światowej.

MARCIN POPŁAWSKI

20 lipca 2009 r.

HIERONIM KUBIAK

KRAKÓW JAKO METROPOLIA

wprowadzenie

Stefan Żeromski po pierwszym pobycie w Krakowie w 1889 r. tak opisał swój stan ducha: „Począłem włóczyć się po mieście, wciągać w siebie tę atmosferę polską z kamieni, z domów, z wież wiejącą starożytnością i na godzinę odrzuciłem wszelkie myśli, prócz rozkoszy oddychania tym miastem ducha, tego centrum polszczyzny” (cytat za *Kroniką Krakowa*. Wydawnictwo Kronika: Kraków 1996, s. 245). Wielu z nas – tych tu urodzonych i tych, których pod Wawel doprowadziły ścieżki wiodące do audytoriów szkół wyższych, i tych szukających po prostu pracy – podobnie przeżywa to szczególne miasto. Niestety, także dla wielu owe emocje są w ogóle obce. Jeszcze dla innych stanowią wyłącznie siłę „co (...) żywemu na nic ... tylko czoło zdoła” (Juliusz Słowacki, *Testament mój*), a niewielkie zobowiązanie.

Warto o tym pamiętać, zanim przejdziemy do analitycznej refleksji nad tym czym jest i czym może być Kraków dla Polaków, Kraków jako metropolia. I patrząc z tej perspektywy co my, mieszkańcy, jesteśmy Krakowowi winni, bo społeczności współczesnych miast żyją nie tylko tym, co już było, lecz przede wszystkim tym, co jest i co będzie. Aby mogli tworzyć rzeczy nowe, a nie tylko żyć na rachunek przeszłości, muszą się wzajemnie widzieć i słyszeć. Jak napisał José Ortega y Gasset w *Rozmyślaniach o Europie* (Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, 2006, s. 44), „*polis* (miasto) rodzi się w wyniku zamierzonego działania celowej woli. Posiada formalny charakter narzędzia dla... Jej źródłem jest zatem *télos*. On to nadaje formę, ożywia i jest *polis* i – jak wszystko czym jest *télos* – zawiera w sobie żywe i aktywne dążenie do *teleiosis*: do doskonałości”.

Według sondażu zrealizowanego w kwietniu 2009 r. przez PBS DGA na ogólnokrajowej próbie reprezentatywnej, prawie połowa Polaków chętnie zamieszkałaby w Krakowie na stałe, a 72 proc. uważa Kraków za najciekawsze miasto turystyczne w kraju. Jednak pod względem szans indywidualnego rozwoju i kariery zawodowej nasze miasto postrzegane jest dopiero na trzecim miejscu, za Warszawą i Wrocławiem. Czy zatem w Krakowie jest nadal tak jak Xawery Dunikowski, zapytany w 1955 r. o przyczyny przeprowadzki do Warszawy, powiedział jednemu z przyjaciół: „wolę leżeć w mazowieckim piasku niż w krakowskim błocie”? Czy rzeczywiście trudno jest tu dążyć do doskonałości,

tworzyć rzeczy nowe, nawet jeśli – czasami – są mylne jako rachuba? I dalej: czy rozwój metropolitalnych funkcji Krakowa zagraża innym społecznościom miejskim i gminom Małopolski, bo będzie, jak niektórzy sądzą, odbywał się ich kosztem? Odpowiedź na to i pokrewne pytania trzeba zacząć od uściśleń semantycznych i historycznych.

Metropolia: niepowtarzalna szansa dla wszystkich, czy pasożyt dla słabszych?

W czasach, gdy pod presją mediów elektronicznych stare nazwy są tak łatwo zastępowane zapożyczeniami, zwłaszcza zaczerpniętymi z języka angielskiego, warto nowym terminom i związanym z nimi nadziejom poświęcić uwagę szczególną. Oto przykłady. Jeszcze przed kilkunastu laty do opisu np. planu nowego domu wystarczały nam rzeczowniki „projekt” i „projektant” oraz czasownik „projektować”. Teraz (i nie tylko w językach zawodowych, lecz także w języku potocznym) potrzebne są nam już słowa *design*, *designer* i *designing*. Dawnego przedsiębiorcę budującego np. osiedle musimy dziś nazwać *developerem*. Podobnie stało się z nazwami złożonymi typu „duże miasto”, „wielkie miasto”, „zespół miejski” czy nazwą znacznie nowszą – „aglomeracja miejska”. Obecnie „obowiązujące” (by nie powiedzieć *trendy*) są: „metropolia”, „megapolis”, „konurbacja” *etc.* Nie spierajmy się jednak o brzmienie nazw i ich pochodzenie, bo przecież te pierwsze często miały także klasyczny rodowód (np. słowo „projekt” to łacińskie *projectum*). Nie dajmy się jednak zwieść pozorom, że w każdej z nowych nazw zawarta jest w istocie jakaś nieznaną dotychczas szansa dla jednych i zagrożenie dla innych. Najczęściej, poza modą językową, powstają one jako próba precyzyjniejszego określenia kolejnej, pod wieloma względami jakościowo różnej od poprzednich fazy rozwoju procesów żywiołowych lub ustawowego zdefiniowania praw i obowiązków nowych instytucji czy struktur osadniczych w ramach systemu państwowego, a także transpaństwowego (np. w ramach Unii Europejskiej).

Według najprostszego wyjaśnienia etymologicznego nazwa metropolia powstała z połączenia dwu słów starogreckich: *me'ter* oraz *polis*. Pierwsze z nich oznaczało matkę, a drugie – miasto. Połączone w jeden wyraz odróżniały miasta-państwa macierzyste od utworzonych przez nie osad zależnych (kolonii), pozostają-

cych z nimi w związkach gospodarczych i kulturowych (w tym religijnych). Z czasem terminem metropolia posłużyło się chrześcijaństwo, nazywając nim jednostkę administracyjną złożoną z kilku diecezji i zarządzaną przez jednego arcybiskupa/metropolitę. Znacznie później, bo zapewne dopiero w XIX w. termin ten wszedł do języka stosunków międzynarodowych oznaczając państwo podporządkowujące sobie z reguły siłą słabszych aktorów społeczności międzynarodowej. W końcu termin metropolia upowszechnił się także w urbanistyce i planowaniu przestrzennym, gdzie znaczył tyle co najważniejszy (z powodów kulturowych i ekonomicznych, w określonej prowincji lub całym kraju) ośrodek miejski oraz w administracji państwowej.

W większości współczesnych języków metropolia ma sens jeszcze inny. Zakłada w pewnym stopniu analogicznie do starożytnych Rzymian, że niektóre przestrzenie charakteryzują się swoistym *genius loci*, duchem opiekuńczym miejsca, działającym na podobnej zasadzie jak zrodzony z ognia arabski *dżinn*. *Genius loci* razem z *genius tribus*, duchem opiekuńczym pewnych wspólnot ludzkich generują warunek wystarczający dla twórczości niepowtarzalnej. Przestrzeń i ludzie dysponujący owymi szczególnymi możliwościami tworzą metropolię. Zatem prawdziwe metropolie nie są pasożytami wobec innych, lecz źródłem siły wszystkich. Jeśli przełożymy tę grecko-rzymską metaforę na język faktów sprawdzalnych, to okaże się, że metropolie to szczególny syndrom skumulowanego dziedzictwa kulturowego i żywej kultury symbolicznej, twórców i ich dzieł, instytucji pomnażających kapitał ludzki i społeczny, kształceniowych i badawczych, nowoczesnych miejsc pracy oraz instytucji ochrony zdrowia. Tak więc metropoliami w sensie społecznym i kulturowym stają się tylko te miasta i powiązane z nimi obszary, które spełniają wobec siebie i innych funkcje wyższego rzędu: ekonomiczne, naukowe i kulturalne, są kreatywne i tym samym niepowtarzalne. Ich powstania nie da się zadekretować. I w takim rozumieniu Kraków jest metropolią niezależnie od tego, jakie zmiany prawne wprowadzi Sejm.

Stan prawny

Obowiązujące obecnie przepisy reguluje ustawa z dnia 27 marca 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym kraju. Ich dalsze uściślenie zapowiada projekt ustawy o rozwoju miast i obszarach metropolitalnych, diskutowany w dniu 28 maja 2008 r. na posiedzeniu Komisji Wspólnej Rządu i Samorządu Terytorialnego. Według tego projektu, podstawą polityki miejskiej państwa ma stać się wsparcie rozwoju „tych miast, co do których z obowiązującej strategii rozwoju kraju i innych dokumentów wynika, że wsparcie to wpłynie szczególnie korzystnie na rozwój gospodarczy kraju jako całości i zmniejszenie dystansu rozwojowego dzielącego Polskę od innych państw Unii Europejskiej”. Projekt określa dalej, że poprzez priorytetowe wsparcie rząd chce osiągnąć następujące cele: wzrost konkurencyjności i innowacyjności gospodarki przez stymulowanie rozwoju opartego na wiedzy, poprawę stanu infrastruktury technicznej i społecznej (w tym komunikacyjnej) oraz zwiększenie spójności terytorialnej danego obszaru i istotny wzrost roli Polski w relacjach transgranicznych (por. rozdział 1, art. 3, ustęp 1).

Podstawą finansowego wsparcia ma stać się kontrakt metropolitalny zawarty z miastem na podstawie ustawy z 6 grudnia 2006 r. o zasadach prowadzenia polityki rozwoju kraju. Ma on obejmować zarówno inicjatywy realizowane w administracyjnych granicach miasta metropolitalnego, jak i obszarze przyległych do niego jednostek samorządu lokalnego.

Twórcy nowego prawa rozróżniają metropolie i obszary metropolitalne. Metropolie dzielą następnie na te o znaczeniu: 1. europejskim i krajowym oraz 2. regionalnym. Wśród pierwszych wymieniono w kolejności: m. st. Warszawę, „14 miast na prawach powiatu wspólnie tworzących metropolię górnośląską (*katowicką*) „Silesia”, Łódź, Kraków, „trzy miasta na prawach powiatu wspólnie tworzących metropolię trójmiejską” (*gdańską*), Wrocław i Poznań. Do drugiej, regionalnej, kategorii zaliczono: Bydgoszcz i Toruń, Szczecin, Lublin, Białystok i Rzeszów. (por. rozdział 1, art. 3, ustęp 2). Wreszcie, obszar metropolitalny to „ciągły kompleks osiedleńczy obejmujący co najmniej jedną metropolię jako centrum tego kompleksu oraz powiązane z nim funkcjonalnie bezpośrednio otoczenie” (por. rozdział 2, art. 6, ustęp 2).

Znamienne, że zarówno metropolie, jak i obszary metropolitalne wyróżnione zostały w diskutowanym projekcie ustaw na podstawie zmiennych mierzalnych, takich jak: liczba ludności, gęstość zaludnienia, funkcje. Poza zasięgiem ustawy znalazły się natomiast zmienne trudno mierzalne oraz w ogóle niemierzalne, związane z powstałymi w procesie historycznym wartościami dodanymi (w tym stanowiącymi podstawę nie tylko tożsamości regionalnej, lecz także narodowej) i kapitałem ludzkim (intelektualnym oraz twórczym swoistym dla kultury symbolicznej).

Nowelizacja prawa może i powinna wspierać rozwój polskich metropolii, obszarów i zespołów metropolitalnych. Jednak najlepsze nawet prawo nie jest w stanie zastąpić skumulowanego (lub nie!) w pewnej przestrzeni kapitału społecznego, kreatywnego potencjału powstającego pod wpływem interreagujących ze sobą różnorodnych środowisk, czy jeszcze inaczej: niepowtarzalnego klimatu dynamizującego poszukiwaniu nowych rozwiązań. Zatem rzeczywista refleksja nad metropoliami nie może ograniczyć się ani tylko do rozwiązań prawnych, ani funkcji użytkowych, ale musi także (czy nawet przede wszystkim) brać pod uwagę to, co nie wymierne, co pod wpływem meandrycznego procesu historycznego wytworzyło w pewnej przestrzeni niepowtarzalny kapitał kulturowy. Tę szczególną syntezę *genius loci* oraz *genius tribus*. Powtórzę więc raz jeszcze: wielkie współczesne miasta żyją nie tylko tym, co było i stanowi ich dziedzictwo, lecz głównie tym, co jego mieszkańcy – widząc i słysząc się wzajemnie – tworzą *hic et nunc* dając szansę także tym, którzy przyjdą po nich.

Kraków *ad infinitum*

Często powtarzamy, że „nie od razu Kraków zbudowano”. Rzadziej natomiast pamiętamy, że proces jego tworzenia ma charakter ciągły, zatem zależy również od nas. Lepiej więc powiedzieć: Kraków nie jest, lecz dzieje się. Ten punkt widzenia uwalnia ponadto od błędu prezytyzmu wymuszającego widzenie wielowiekowej przeszłości wyłącznie przez pryzmat czasu teraźniejszego.

Proces stałego rozwoju miasta rozpoczęty na długo przed symboliczną datą lokacji (1257 r.), został skutecznie przerwany w pierwszym ćwierćwieczu XVIII w. Liczba mieszkańców Krakowa – razem z Kleparzem i Kazimierzem – zmniejszyła się (m. in. w wyniku wojen, okupacji szwedzkiej, rosyjskiej i saskiej, pięcioletniej obecności na Wawelu garnizonu pod dowództwem francuskiego generała Antoniego La Motte'a, pożarów i zarazy) trzykrotnie (z ok. 30 tys. do ok. 10 tys.), a odtworzenie stanu pierwotnego zajęło aż 100 lat. Jednak w połowie XIX w. miasto liczyło nadal ok. 44 tys. mieszkańców. Zmiany zasadnicze przyniosły dopiero prezydentury dwu profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego: Józefa Dietla (1866-1874) i Juliusza Leo (1904-1918). Z inicjatywy i pod nadzorem pierwszego z nich zbudowano miejskie wodociągi i kanalizację. Drugi stworzył i zrealizował wizję Wielkiego Krakowa, obejmującego nie tylko „mały Kraków” prezydenta Józefa Friedleina (1893-1904), lecz także 14 nowych dzielnic (łącznie z Podgórzem). Wielki Kraków Juliusza Leo liczył już w 1915 r. prawie 167 tysięcy mieszkańców. W 1921 r., wg pierwszego spisu powszechnego po odzyskaniu niepodległości liczba ta wzrosła do ok. 184 tysięcy, a w przededniu II wojny światowej do 259 tysięcy. Po II wojnie liczba krakowian rosła gwałtownie. W 1946 r. było nas już ponad 299 tysięcy, w 1950 – 343 600, 1960 – 481 300, 1970 – 584 900, 1980 – 715 700. W 1990 r. z 750 500 mieszkańcami Kraków stał się – po Warszawie i Łodzi – trzecim największym miastem polskim. Przez dwadzieścia lat transformacji systemowych (1990-2009) liczba mieszkańców Krakowa ustabilizowała się na poziomie ok. 760 tysięcy. Tym niemniej w hierarchii największych miast w kraju Kraków awansował na drugie miejsce po Warszawie, wyprzedzając Łódź.

Co, poza ośmiokrotnym zwiększeniem się obszaru miasta (z 4150 ha w 1910 r. do ponad 32 000 ha w 1990 r.), decydowało w wieku XX, a zwłaszcza w jego drugiej połowie o krakowskich procesach demograficznych? Poza czynnikami typowymi dla całego kraju, przede wszystkim rozwój przemysłu i awans cywilizacyjny, w tym szczególnie migracje wewnętrzne i rewolucja oświatowa. Symbolem czynników pierwszej kategorii stała się dzielnica Nowa Huta i serce tej dzielnicy – Kombinat Metalurgiczny im. Lenina. Drugiej – krakowskie szkoły wyższe. Obie te kategorie informują też najlepiej o istocie zmian, jakie zaszły w Krakowie w okresie transformacji systemowych.

Huta im. Lenina, przemianowana później na Hutę im. Sendzimira, zatrudniała tylko w Krakowie w dniach swego największego rozkwitu około 40 tysięcy pracowników. Po prywatyzacji, już jako Mittal Steel Poland, do połowy lat 90. zmniejszała zatrudnienie do 23 tysięcy. W 2009 r., pod zmienioną nazwą na Arcelor Mittal Poland S.A. Oddział w Krakowie liczba pracowników tej firmy zmniejszyła się do ok. 5 tysięcy, a więc 8-krotnie w stosunku do zatrudnienia w końcu lat siedemdziesiątych. Podobny los, a w wielu przypadkach jeszcze gorszy (bo połączony z całkowitą likwidacją) spotkał także inne krakowskie branże przemysłowe. O skali zmian najlepiej świadczy fakt, iż największym zakładem pracy w mieście w 2009 r. stał się Uniwersytet Jagielloński, zatrudniający ok. 6 700 pracowników.

Przemysł krakowski wchodzi obecnie w trzecią fazę rewolucji wykorzystując potencjał intelektualny

krakowskich szkół wyższych, instytutów i ośrodków badawczych. Szare komórki stają się ważniejsze od siły fizycznej. O przekształcaniu się miasta w metropolię, a regionu w obszar metropolitalny w coraz większym stopniu decyduje niepowtarzalność tego, co Kraków ma do zaoferowania innym, Polsce i pozostałym 26 krajom Unii Europejskiej. Według informacji udostępnionych przez Zarząd Małopolskiej Agencji Rozwoju Regionalnego gospodarkę wcześniej zdominowaną przez tradycyjny przemysł ciężki wypierają teraz nowe technologie i przemysł IT. „Ikony światowej gospodarki”: Motorola, Google, IBM, MAN i Nidec (w Niepołomicach), Volvo (w Skawinie) są już obecne i w Krakowie i Małopolsce. ComArch zatrudnia 3 tys. pracowników. Akronim GOW nie oznacza już gospodarki opartej na węglu, lecz gospodarkę opartą na wiedzy. Czy zatem, w Krakowie (w Pychowicach?, w Niepołomicach?) powstaje Dolina Krzemowa? Czy wspólnie z Rzeszowem krakowski obszar metropolitalny stworzy Dolinę Lotniczą?

Krakowska społeczność akademicka ma za sobą równie dramatyczną historię jak całe miasto. I może właśnie ta historia najlepiej ilustruje dojrzewanie Krakowa do roli metropolii. Przez stulecia, poczynając od 1364 r. Polacy mieli tu swój najstarszy uniwersytet. Teraz, w pierwszym dziesięcioleciu XXI w. mają najlepszy w rankingach światowych (zarówno tzw. szanghajskim, jak publikowanym przez „The Times”), o wiele miejsc wyprzedzający np. Uniwersytet Warszawski. Co więcej, teraz nie jest to już tylko UJ, lecz wspólnota nauczających i nauczanych złożona z 23 szkół wyższych działających w Krakowie.

Choć zasadnicze zmiany w krakowskim środowisku szkół wyższych dokonały się w ostatnim dwudziestolecu, to jednak analizę tego procesu trzeba zacząć od przełomu XVIII i XIX w. Dziesięć lat po III rozbiorze, w roku akademickim 1804/1805 liczba studentów zapisanych na uniwersytet spadła do 158 studentów, a po klęsce Napoleona w wojnie z Rosją – do 36. Dopiero po pięćdziesięciu latach, w roku akademickim 1867/1868 kształciło się w Krakowie 500 studentów i dalej, z roku na rok było ich coraz więcej, aż do 3 428 w przededniu I wojny światowej. W międzywojniu krakowska społeczność studencka zwiększyła się ponaddwukrotnie, bowiem poza uniwersyteciem, który np. w roku akademickim 1931/1932 kształcił 7653 słuchaczy, a w r. 1938/1939 – 6110) istniały wtedy także trzy inne uczelnie: Akademia Sztuk Pięknych (powstała w 1873 r. jako Szkoła Sztuk Pięknych), Akademia Górnicza (od 1919 r., przemianowana później na AGH) i Wyższa Szkoła Handlowa (od 1925 r., obecnie po nazwę Uniwersytet Ekonomiczny). W 25 lat po drugiej wojnie światowej, w roku akademickim 1970/1971 było w Polsce 85 szkół wyższych i 330 800 studentów, z tego w Krakowie w 11 szkołach wyższych ok. 50 tysięcy studentów. Jesienią 1989 r. kluczowym dla późniejszych przemian systemowych, społeczność studencka w Polsce liczyła ponad 378 tysięcy, spośród których 48 344 studiowało w Krakowie.

Dwadzieścia lat później, pod koniec pierwszego dziesięciolecia XXI w. liczba szkół wyższych w Polsce spełniających warunki Międzynarodowych Standardów Klasyfikacji Instytucji Edukacyjnych (ISCED UNESCO) wzrosła do 448 (w tym 130 publicznych i 318 niepublicznych). Kształciło się w nich (na wszystkich typach

studiów) ok. 2 miliony studentów. Jak już wspomniałem wcześniej, 23 spośród nich (10 publicznych i 13 niepublicznych) istniało w Krakowie kształcąc ok. 200 tysięcy studentów. Połowa z nich pochodzi spoza Krakowa.

Aby właściwie ocenić wpływ szkół wyższych na rozwój i klimat miasta, trzeba pamiętać, że uczelnie to nie tylko studenci, lecz także pracownicy naukowo-dydaktyczni i dydaktyczni oraz bibliotekarze, administracja i pracownicy zatrudnieni na jeszcze innych etatach. Ilu ich jest? Przyjmując za podstawę proporcje właściwe dla UJ (ok. 47 tys. studentów i ok. 6,7 tys. pracowników) i AGH (ok. 33,5 tys. do 3,8 tys.) można w przybliżeniu założyć, że ok. 20 tys. osób jest związanych z krakowskimi szkołami wyższymi stosunkiem pracy. Jeśli jeszcze do tego dodamy zatrudnionych w instytutach i ośrodkach badawczych związanych z PAN i PAU oraz różnymi ministerstwami *etc.* to wtedy okaże się, że ok. 1/3 wszystkich osób zamieszkałych (na stałe lub okresowo) w Krakowie pozostaje w bezpośrednich związkach – poprzez studia lub pracę zawodową – ze szkolnictwem wyższym i instytucjami prowadzącymi badania naukowe.

Pomiędzy przemysłami IT i szkołami wyższymi powstaje wiele ośrodków pośrednich łączących kapitał intelektualny z kapitałem finansowym gospodarki nowego typu. I nie jest to już jak przed laty tylko przypadek AGH i Politechniki, lecz także uniwersytetów: Jagiellońskiego, Rolniczego, Ekonomicznego, Pedagogicznego. Przykładem nowych związków jest m. in. Krakowski Park Technologiczny, Centrum Innowacji i Transferu Technologii, Centrum Biotechnologii, Jagiellońskie Centrum Rozwoju Leków, Park LifeScience, Park Technologii Informatycznych, a pewnie także cały nowy kampus UJ budowany nie tylko z środków własnych uniwersytetu, a także wojewódzkich, państwowych i Unii Europejskiej. Te ostatnie (w tym np. Fundusz Spójności Zintegrowany Program Operacyjny Rozwoju Regionalnego czy Program Operacyjny Kapitał Ludzki), *notabene*, rozstrzygają o wszystkim. Wskazany kierunek rozwoju to również szansa dla całego krakowskiego obszaru metropolitalnego, m. in. dzięki zmodernizowanemu Portowi Lotniczemu w Balicach i „otwarcie nieba dla tanich linii lotniczych”, budowanemu już Drogowemu Krzyżowi Południa (łączącemu w funkcjonalną całość Małopolskę, Świętokrzyskie i Podkarpacie) oraz inwestowaniu w system usług wymagających szczególnego kapitału ludzkiego. Zmiany zarejestrował już rynek pracy. Co prawda sektor usług zatrudnia ciągle jeszcze dwa razy mniejszą część ogółu pracujących niż w starych krajach UE (30-40 proc. w Polsce i 70-80 proc. w najwyżej rozwiniętych krajach Unii), to jednak tendencja ogólna ma charakter nieodwracalny. Na dynamikę zmian wskazuje ponadto wskaźnik bezrobocia. Wg danych z marca 2009 r. należał on do najniższych w Polsce i wynosił 3,5 proc. w Krakowie oraz 10 proc. w Małopolsce.

Poza środowiskiem akademickim, integralnym składnikiem społeczności krakowian współdecydującym o metropolitalnym potencjale miasta są środowiska twórcze. Od XVI w. ich twarzą jest Wit Stwosz i Mikołaj z Krakowa. XVII/XVIII w. – Grzegorz Gerwazy Gorczycki. Od ostatnich dziesięcioleci XIX w. symbolizowali je: Jan Matejko, Helena Modrzejewska, Stanisław Wyspiański, krakowska bohema związana z Młó-

dą Polska, teatry Stary i Słowackiego. W międzywojniu m. in. Grupa Krakowska I. Po Październiku '56 – Grupa Krakowska II i w szczególności Piwnica pod Baranami Piotra Skrzyneckiego, pisarze światowej sławy (Stanisław Lem) i poeci (Wisława Szymborska, „królowa polskiej poezji”, laureatka Nagrody Nobla) oraz powiększający się szybko krąg absolwentów Akademii Sztuk Pięknych, Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej i Akademii Muzycznej. W 2007 r. szkoły te kształciły ok. 2000 studentów.

Dziś jest to wielobarwne środowisko związane z teatrami, galeriami, muzeami, filharmonią, orkiestrami i zespołami muzycznymi, uczelniami, fundacjami, klubami, pracowniami, wiązkami i stowarzyszeniami twórców kultury symbolicznej (jest ich obecnie, jak niektórzy twierdzą, ok. 70). Środowisko żyje jak każde wspólnota twórców przez dzieła, premiery, prawykonania, performance, festiwale, wystawy, happeningi, antykwariaty (choć brak takiego, który mógłby się równać z nowojorskim Stand Bookstore), prowokacje estetyczne i czasami również skandale. Żyje, bo jego potencjał generuje twórczość, i daje Krakowowi to co w nim niepowtarzalne. A czy Kraków wspiera mieszkających w nim twórców? Ten wątek należy już do innej opowieści...

Panorama społeczna Krakowa nie byłaby oczywiście pełna bez wskazania na pracujących tu lekarzy, prawników, architektów, konserwatorów, dziennikarzy i, wreszcie, księży. Życie i dzieło najbardziej niezwykłego spośród nich, Jana Pawła II uczyniło z Krakowa integralny znak na pątniczym szlaku współczesnej Europy. Łagiewniki już teraz odwiedza ok. 2 milionów pielgrzymów rocznie. I kto wie jak to będzie, gdy dobiegnie końca proces kanonizacyjny Jana Pawła II, a w Łagiewnikach otwarte zostanie centrum Jego imienia z wyrytym na portalu wezwaniem „Nie lękajcie się”!

Kraków od dziesiętków lat stanowi dla Polaków symbol ich narodowej tożsamości. I jest tak nawet wśród tych, którzy przyjeżdżają tu tylko raz w życiu z obowiązkową wycieczką szkolną. Czym natomiast jest dla przyjeżdżających tu każdego roku milionów, w tym cudzoziemców? W 2007 r. wśród odwiedzających Kraków z różnych powodów 8 milionów osób było 2,5 miliona cudzoziemców! Na ich przyjęcie oczekiwano 120 hoteli, 130 hosteli, tysiące kwater prywatnych i w miesiącach letnich ponad 15 tysięcy miejsc noclegowych w domach studenckich, a ponadto dziesiątki restauracji, kawiarni, klubów, instytucji kultury symbolicznej i muzeów. Ruch turystyczny, ten motywowany względami religijnymi i związany z różnorakimi potrzebami jednostkowymi, to nie tylko ważny przejaw dojrzwania Krakowa do roli jednego z ważnych metropolitalnych ośrodków – w Polsce i w Europie, lecz także szansa na dobre miejsce pracy dla jego mieszkańców.

Tradycje i formy refleksji nad metropolitalnymi funkcjami Krakowa

Nadzieje i szum informacyjny, w tym lęki wokół Krakowa jako metropolii nie należą do całkowicie nowych. Od dawna związane były z próbami budowania prognoz rozwoju miasta, polityką władz państwowych (*vide* działalność Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa) i samorządowych oraz planami urbanistycznymi.

Jedną z pierwszych takich prognoz opracowała Rada Naukowa Kraków 2000, powołana w 1971 r. przez Radę Narodową m. Krakowa „w celu prowadzenia badań, studiów oraz opracowania koncepcji rozwoju przestrzennego, gospodarczego i społecznego miasta (...) i Krakowskiego Zespołu Miejskiego w okresie do roku 2000” (por. Uchwała nr XVI/102/71). Ze strony inteligencji krakowskiej, a zwłaszcza profesury była to niewątpliwie znacząca, druga po Październiku'56 próba bezpośredniego włączenia się po kryzysie grudniowym 1970 r. w nurt *de Republica emendanda*.

Radzie przewodniczył prof. dr M. Mięśkowicz, a w jej skład weszli m. in. W. Cęckiewicz i J. Skiba (jako wiceprzewodniczący) oraz kierujący zespołami: J. Gajda (Funkcji Produkcyjnych Miasta), T. Skawina (Ochrony i Kształtowania Środowiska), J. Aleksandrowicz (Ochrony Zdrowia), A. Fajferek (Funkcji Usługowych Miasta), A. Kurz (Nauki i Kultury), W. Zin (Ochrony Zabytków), W. Kwaśniewicz (Socjologii, Demografii i Polityki Społecznej) oraz S. Juchnowicz (Syntezy Programowo-Społecznej). Krakowski Zespół Miejski – obok samego Krakowa – miał objąć: Niepołomice, Wieliczkę, Skawinę i Krzeszowice. Pierwsze wyniki poczynił tej Rady opublikowano w książce *Kraków 2000* (Wydawnictwo Literackie, 1974). To inspirująca książka i jednocześnie ucząca pokory, zwłaszcza wtedy, gdy pytamy o stopień zgodności prognoz nawet najlepiej pomyślanych i tylko trzydziestoletnich, z rzeczywistością, w tym żywiołowymi procesami.

Dziesięć lat później, wiosną 1981 r. własną wizję Krakowa XXI w. przedstawiło piąte forum dyskusyjne zorganizowane przez działające przy Akademii Górniczo-Hutniczej Koło Polskiego Klubu Ekologicznego oraz krakowski oddział Stowarzyszenia Architektów Polskich. Jest ona ważna głównie dlatego, że w opozycji do planów władz miasta wyraża niepokoje ruchów obywatelskich. Analizy powstałe przed forum oraz syntezę wypowiedzi w trakcie jego dwu sesji opublikowano w zbiorze materiałów *Quo vadis, Cracovia? Jaki jest Kraków, a czym i jaki ma być w przyszłości* (Kraków, 1981). Dokument końcowy opracowali architekci Stanisław Deńko i Andrzej Wyżykowski (SARP) oraz profesorowie Maria Gumińska (PKE-Akademia Medyczna), Andrzej Manecki i dr Adam Guła (PKE-AGH).

Po krytycznej ocenie stanu miasta w 1981 r. i przeglądzie przyczyn, które do niego doprowadziły autorzy dokumentu przeciwstawiają sobie dwie wizje: „Krakowa wielkiego” oraz „Krakowa małego”. Tę pierwszą określają jako „urzędową”, a tę drugą jako „społeczną”. Według pierwszej, „Kraków wielki” w 1990 r. miał liczyć 900 tys. mieszkańców, a w początku XXI w. od 1,2 do 1,4 miliona, wg drugiej, „Kraków mały” powinien pozostać docelowo 700-800-tysięcznym miastem. Forum opowiedziało się za „powstrzymaniem dalszego rozrostu aglomeracji krakowskiej” (s.18), ponieważ jest on dysfunkcyjny wobec podstawowych funkcji Krakowa „jako głównego ośrodka kultury i nauki, miasta sanktuarium narodowego, świadectwa naszej przeszłości, miasta – karty tożsamości Polaków” (s. 6). Zarzucając dokumentem urzędowym, z których wyłania się „Kraków wielki”, że „sprowadzają się one w zasadzie do zapewnienia środków finansowych i mocy przerobowych do realizacji planu” (s. 5), auto-

rzy *Quo vadis, Cracovia?* twierdzą, iż Kraków stracił już swą „dawną atmosferę i specyfikę”, a jednocześnie jeszcze „nie przyciąga jako wielkie miasto”. Podważają przy tym prawdziwość ilościowych wskaźników. Podawany w dokumentach wzrost liczby naukowców i studentów, a także turystów, ich zdaniem „daje fałszywy obraz”, bo „znane jest zjawisko odpływu z Krakowa wybitnych przedstawicieli kultury i nauki” (s. 6).

Po dramatycznej dekadzie lat osiemdziesiątych i zmianach systemowych w wyniku wyborów 1989 r. problematyka metropolii uzyskała dodatkowe impulsy. Z jednej strony, pierwszy rząd III RP zainicjował prace nad nowymi podstawami normatywnymi samorządów terytorialnych, z drugiej – zaczęły dojrzywać nowe inicjatywy oddolne zmierzające m. in. do wytworzenia sieciowego powiązania miast polskich. Wreszcie, po trzecie, procesy integracyjne Polski z Unią Europejską rozszerzyły zakres kontaktów miast polskich ze *Stowarzyszeniem Eurocities* oraz *Światowym Stowarzyszeniem Wielkich Metropolii Metropolis* i upowszechniły ich doświadczenia oraz cele.

Już w październiku 1990 r. na zgromadzeniu prezydentów Gdańska, Krakowa, Poznania, Warszawy i Wrocławia powstała *Unia Miast Polskich*, jedna z najważniejszych (obok *Związku Miast Polskich*, *Unii Miasteczek Polskich* i *trzech związków: Powiatów Polskich, Gmin Wiejskich RP* oraz *Województw RP*) orędowniczek nowych tendencji rozwojowych. Po podpisaniu w 2004 r. przez Polskę Traktatu Akcesyjnego, UMP reprezentuje miasta polskie w Komitecie Regionów Unii Europejskiej.

Równolegle powstało *Stowarzyszenie „Miasta w Internecie”* organizujące od 2006 r. konferencje koncentrujące się na problematyce wiedzy jako podstawy skuteczności i kreatywności samorządów terytorialnych. Poszczególne miasta zaczęły uruchamiać swoje portale miejskie, ambicją których jest stymulowanie wzorów demokracji partycypacyjnej na poziomie lokalnym. W naszym mieście jest to *Magiczny Kraków*, www.krakow.pl. Ponadto instytucje tej rangi co PAN syntetyzują swoje doświadczenie w zakresie prognozowania społecznego i gospodarczego, a także przestrzennego zagospodarowania kraju i tak PAN animuje konferencje Komitetu Prognoz „Polska 2000 Plus” na temat roli nauki w myśleniu o przyszłości. Starają się jej dotrzymać kroku szkoły wyższe i ich instytuty. Inspirującą rolę odgrywa tu związane z Uniwersytetem Warszawskim Centrum Europejskie Studiów Regionalnych i Lokalnych (EUROREG). Ostatnia (czerwiec 2009) ogólnopolska konferencja tego Centrum poszukiwała odpowiedzi m.in. na pytania: czy metropolia jest jeszcze miastem, czy istnieje kultura metropolitalna (w tym nowa architektura), co charakteryzuje oblicze społeczne metropolii, czy metropolia jest nową formą zarządzania i organizacji przestrzeni, czy powstawanie metropolii pozostaje w związku przyczynowo-skutkowym z procesami globalizacji, innowacji, migracjami (wewnętrznymi i międzynarodowymi) i ruchem turystycznym?

W samym Krakowie władze miasta, wspierane przez Stowarzyszenie Architektów Rzeczypospolitej Polskiej, Towarzystwo Urbanistów Polskich, Polskie Towarzystwo Ekonomiczne oraz inne organizacje pozarządowe próbowały ponowić doświadczenie Rady

Naukowej Kraków 2000 i utworzyć w kwietniu 2003 r. Krakowskie Forum Miejskie. Miało ono stać się „platformą profesjonalnej dyskusji” wspierającej wiedzę oraz doświadczeniem społecznym i profesjonalnym proces programowania kierunków rozwoju miasta i „podejmowania przez władze Krakowa kluczowych decyzji” związanych z tym procesem. Niestety, pomimo zgromadzenia reprezentatywnego grona przedstawicieli podstawowych środowisk opiniotwórczych, z powodów nie do końca jasnych przedsięwzięcie to kilku miesiącach zakończyło się niepowodzeniem.

Skuteczne natomiast okazały się później powstałe instytucje i programy wspierające dojrzewanie krakowskiej metropolii, takie jak: Małopolski Instytut Kultury, Małopolska Agencja Rozwoju Regionalnego i Zintegrowany Program Operacyjny Rozwoju Regionalnego, czy Instytut Rozwoju Miasta. Spore szanse ma także powstająca ostatnio Krakowska Strefa Designu, związana z Krakowską Strefą Ekonomiczną i wsparta potencjałem ASP, PK i AGH.

Jak wszystkim ważnym procesom, tak i dojrzewaniu Krakowa do roli metropolii oraz procesowi powstawania krakowskiego obszaru metropolitalnego towarzyszą również lęki i szumy informacyjne. Nie raz się z nimi nawet powstała w listopadzie 2008 r. Rada Krakowskiego Obszaru Metropolitalnego (KOM) złożona z prezydenta Krakowa i przedstawicieli 52 podkrakowskich gmin, choć wspiera ją (w ramach urzędu miejskiego) dobrze pomyślany Wydział Strategii i Rozwoju Miasta.

Wydaje się, że lęki i szumy informacyjne powstają z pięciu powodów. Pierwszy z nich ma swoje źródło w samym Krakowie i jest związany z postawą oraz systemem wartości tych środowisk, także profesjonalnych, które utożsamiając Kraków ze Starym Miastem czy szerzej: architekturą oraz przestrzenią minionych pokoleń kochają Kraków średniowieczny i koncentrują uwagę na problemach konserwacji. Cztery pozostałe generowane są przez społeczności zamieszkujące w przestrzennej otulinie Krakowa i ich elity administracyjne.

Co budzi obawy, a nawet opór wśród nich? Po pierwsze, analogicznie jak każda daleko idąca zmiana strukturalna, tak i proces dojrzewania metropolitalnych funkcji Krakowa burzy struktury zastane i wywołuje stres i lęk przed nieznanym. *Notabene*, miejscowy kapitał ludzki może rzeczywiście być nieadekwatny do nowych wyzwań. Po drugie, silny zewnętrzny wobec danej społeczności lokalnej ośrodek władzy metropolitalnej postrzegany jest jako potencjalny rywal, który może (o czym wiadomo z doświadczenia) zachowywać się nie *fair* w sytuacjach decyzyjnych, zwłaszcza gdy dzielone są środki państwowe i nawet unijne. Po trzecie, koszty utrzymania instytucji metropolitalnych mogą stać się dla samorządów lokalnych obciążeniem nieproporcjonalnym do ich potencjalnych korzyści. Po czwarte, małe struktury terytorialne są z reguły bardziej konserwatywne niż duże miasta, a wynikający stąd konflikt wartości przekłada się bezpośrednio na zachowania ich przedstawicieli w sferze publicznej. Mówiąc jeszcze inaczej, władze gmin ościennych wobec Krakowa boją się, że zostaną zmuszone do wejścia do struktury „supermiasta” i pozbawione swej dotychczasowej samodzielności, zwłaszcza w zakresie

planowania przestrzennego i zawierania porozumień (np. zwiększających ich szansę w rywalizacji o granty unijne) poza Radą KOM.

Znamienne przy tym jest to, że ujawnienie się owych lęków wywołały nie procesy żywiołowe prowadzące od lat do metropolizacji, lecz działania celowe związane z przygotowywanymi nowymi rozwiązaniami prawnymi, w których władze i społeczności gmin wchodzących do obszarów metropolitalnych nie łączą żadnych szans własnych. Zły jest zatem nie sam proces powstawania metropolii, lecz rodzaj inżynierii społecznej, z pomocą której owym procesem chce się sterować. Metropolia to nie nakaz współpracy gmin ościennych z miastem-metropolią, lecz szansa rozwoju translokalnego. Metropolia to nie nowy szczebel administracji, lecz taka – wytworzona w długiej perspektywie czasu – kumulacja kapitału ludzkiego i społecznego, która stymuluje rozwój korzystny dla wszystkich, a więc również społeczności o mniejszym potencjale: małych miast i gmin wiejskich.

Konkluzje

Sukces wszelkich planów, jak i rzetelność prognoz zależy w ogromnym stopniu od dokładności, z jaką potrafimy odczytać i przewidzieć żywiołowe ciągi zdarzeń, społecznych i kulturowych z natury, a nie technicznych lub prawnych. Niestety, rozpoznanie procesów żywiołowych, w tym tych warunkujących przyszłość Krakowa jest nadal nikle. Niewiele wiemy o nich w sposób rzeczowy, ukazujący związki przyczynowo-skutkowe w dłuższej perspektywie czasu, to znaczy taki, aby mógł służyć za podstawę programu rozwoju miasta. Zapewne dlatego ciągle jeszcze niewiele uczymy się z minionych doświadczeń. Rozpoczynamy dyskusję o wizji Krakowa nie od analizy jego funkcji ogólnonarodowych, roli w makro- i mikroregionie oraz refleksji nad egzystencjalnymi potrzebami i interesami różnych kategorii jego mieszkańców, nie od założonych celów i warunków koniecznych do ich osiągnięcia, lecz od sporów o rozwiązania cząstkowe, architektoniczne czy przestrzenne. Formy i ramy materialne stają się w tych dysputach, a czasami nawet jeszcze gorzej, bo w działaniach, nie instrumentami służącymi życiu, lecz dobrem samoistnym, do którego życie „powinno” się przystosować.

Nie ma żadnych istotnych, a więc dających się uzasadnić powodów, dla których musielibyśmy ów wzór podtrzymywać. Dlaczego więc jest nadal żywotny? Pewnie dlatego, że najtrudniej jest dotrzeć do opinii publicznej, a także do elit rządzących, z racjonalnymi argumentami. Najłatwiej – z emocjami. Logika racjonalnego myślenia jest bowiem zimna, a jej przyjęcie wymaga z reguły odpowiedniej kultury obywatelskiej. Ta zaś rodzi się nie z podręczników czy dekrétów, lecz z codziennego uczestnictwa w życiu miasta.

Metropolia nie powstaje z żądań adresowanych wobec innych ani z mocy prawa, lecz z tego, co jako niepowtarzalne ma tym innym do zaoferowania. Czym dysponuje Kraków? Wyjątkową kumulacją dziedzictwa kultury oraz niepowtarzalnym potencjałem środowisk twórczych. To z tych zasobów rodzi się ciągle od nowa i *metropolia i krakowski obszar metropolitalny*.

HIERONIM KUBIAK

JACEK PURCHLA

METROPOLIA CZY PROWINCJA?

Czy Kraków jest metropolią? Jako historyk cywilizacji zastanawiam się, czy w ogóle wypada zadawać tak sformułowane pytanie. Wszystkim nam przecież dźwięczą w uszach dumne słowa *Cracovia totius Poloniae urbs celeberrima...* wypowiedziane w czasach, kiedy widok Krakowa umieszczano bez wahania obok widoków największych metropolii środkowej Europy, choćby Pragi czy Wiednia. Fakt, iż Kraków przez wiele stuleci – jako stolica państwa polskiego – wypełniał funkcję dużej na owe czasy, wielonarodowej metropolii, obciąża nasze myślenie o późniejszych, a także i współczesnych losach tego miasta.

Tymczasem od początku wieku XVII Kraków tracił stopniowo swe wyjątkowe znaczenie polityczne, a za nim także gospodarcze, religijne, naukowe, kulturalne, komunikacyjne, strategiczne. Na przełomie XVIII i XIX wieku osiągnął dno swego sprowincjonalizowania, tracąc wraz z upadkiem państwa polskiego w 1795 roku resztki iluzorycznej już wówczas stołeczności i metropolitalności. Nie przypadkiem też Honoriusz Balzak w połowie XIX wieku nazwał dosadnie Kraków „trupem stolicy”.

By dziś ponowić pytanie – jak się okazuje nienowe – o metropolitalny charakter i metropolitalne ambicje Krakowa, trzeba uświadomić sobie nie tylko położenie miasta u progu XXI wieku, ale może przede wszystkim wyjaśnić magiczne pojęcie metropolitalności. Starogrecki termin *metropolis*, co dosłownie oznacza „matka miast” czy też „miasto matka” (od greckiego *meter* – matka i *polis* – miasto), robi współcześnie zawrotną karierę. W języku polskim funkcjonuje w różnych znaczeniach, zaczynając od miasta-państwa, które założyło kolonię; poprzez ojczyznę; na stolicy kończąc.

Z dotychczasowych wywodów wynika, że nie o wielkość miasta chodzi, choć niewątpliwie istnieje korelacja pomiędzy jedną a drugą kwestią. Pozostawmy więc dzisiaj platońskie pytanie o optymalną wielkość miasta i rachunek kosztów jego funkcjonowania bez odpowiedzi, odsyłając do znanych teorii na ten temat. Dla lepszego zrozumienia pojęcia metropolitalności, trzeba w tym miejscu przywołać popularną od czasów Wernera Sombarta teorię bazy ekonomicznej miast. Miasto jako organizm gospodarczy wypełnia bowiem dwójki rodzaju funkcje: egzo- i endogeniczne.

Te pierwsze to swoiste promieniowanie miasta, eksport jego produkcji i usług na zewnątrz, na rynek ponadlokalny. Ich skala i zasięg decydują o wzroście ekonomicznym miasta. Funkcje endogeniczne związane są natomiast z obsługą ludności miejscowej i jako takie nie przynoszą bezpośredniego wzrostu, choć decydują o standardzie życia miejscowej społeczności. Ponadregionalne funkcje egzogeniczne stanowią więc siłę na-

pędową i gwarancję metropolitalnego wzrostu. Poszerzają też zakres i jakość grupy funkcji endogenicznych. Inaczej mówiąc, chodzi o swoiste maksymalizowanie dodatniego bilansu handlowego miasta w kontaktach z jego strefą ekonomiczną.

Nietrudno zauważyć, że dla pomyślności miasta i jego charakteru zasadnicze znaczenie ma struktura oferowanych przez nie produktów i usług, swoista oferta handlowa miasta. Jest ona odbiciem modelu funkcjonalnego miasta. O metropolitalnym, czy też centralnym charakterze ośrodka decyduje przy tym nie tylko siła i zasięg oddziaływania, ale i złożoność wypełnianych przez niego funkcji. Stąd na pełne miano metropolii w naszym rozumieniu zasługują tzw. *diversified cities* – miasta o funkcjach złożonych i znacznej komplikacji wypełnianych funkcji wyższego rzędu. Pytanie o Kraków – metropolię staje się więc pytaniem o funkcje egzogeniczne (miastotwórcze) wypełniane dziś przez dawną stolicę Polski oraz możliwości ich zmiany. Jest to niewątpliwie pytanie na czasie. Prowokuje do niego nie tylko wspomniana już stabilizacja demograficzna miasta, ale przede wszystkim upodmiotowienie Krakowa, odzyskanie w 1990 roku samorządu, a więc suwerenności politycznej i ekonomicznej. Prowokuje wreszcie wielka transformacja ustrojowa, jakiej jesteśmy świadkami, która na gruncie politycznym i ekonomicznym zmienia również układ osadniczy, w tym rolę i wzajemny układ największych miast naszego kraju.

Model funkcjonalny Krakowa cechowała i cechuje heterogeniczność. Korzystne skutki tego zjawiska możemy docenić również po roku 1989. Miasto stosunkowo łagodnie przeszło przez trudny proces transformacji ustrojowej, umacniając przy tym funkcję jednego z największych ośrodków akademickich Europy Środkowej (Kraków uniwersytecki to dzisiaj armia ponad 150 tysięcy studentów). Odpowiadając na pytanie o funkcje Krakowa trzeba ustalić, jaki model metropolitalnego miasta chcemy kształtować. Przede wszystkim chodzi o metropolitalność generującą zmiany jakościowe i niebędącą w opozycji do historycznego dziedzictwa nagromadzonego w Krakowie. Z tym łączy się konieczność powrotu do zrównoważonego modelu rozwoju. Kraków od roku 1999 stolica dużego regionu: Małopolski – musi też szybko określić pożądaną sferę swych wpływów i swoje miejsce w sieci miast Europy. Są to kwestie strategiczne.

Okres Polski Ludowej zasadniczo zmienił proporcje pomiędzy poszczególnymi funkcjami egzogenicznymi Krakowa. Oparta o stalinowskie wzorce forsowna industrializacja, której symbolem stała się Nowa Huta spra-

wiła, iż Kraków jest dzisiaj wielkim ośrodkiem przemysłowym. Nie jest celem tego wystąpienia jakkolwiek analiza funkcji przemysłu w strukturze ekonomicznej Krakowa. Odnotujmy tylko, iż do niedawna zatrudnienie w przemyśle krakowskim stanowiło około 1/3 ogółu zatrudnionych, a w roku 1990 prawie połowa wartości produkcji przemysłowej Krakowa została wytworzona przez przemysł metalurgiczny. Efektywność ekonomiczna sektora przemysłowego podlega dziś – choć pod polityczną kontrolą – weryfikacji rynku, a jego struktura ulega bardzo szybkim zmianom. Nie negując ważności tego sektora gospodarczego, chciałbym – nawiązując do tytułu artykułu – skupić się na tych funkcjach egzogenicznych, które historycznie decydowały o ponadregionalnym znaczeniu, a więc i o metropolitalnym charakterze Krakowa.

Ten metropolitalny charakter – mimo dynamicznego rozrostu Krakowa wywołanego przede wszystkim czynnikiem industrialnym – był poddawany w ciągu ostatnich dziesięcioleci poważnym ograniczeniom. Zaważyły na tym w dużej mierze czynniki polityczne. Okres powojenny charakteryzował się przede wszystkim silną tendencją do centralizacji państwa. Model policentryczny państwa został ostatecznie zastąpiony modelem monocentrycznym, a hasło „cały naród buduje swoją stolicę” oznaczało również arbitralnie prowadzoną redystrybucję dochodu narodowego, z uprzywilejowaniem Warszawy, przede wszystkim kosztem pozostałych dużych miast. Sprzyjał temu system nakazowo-rozdzielczy i ubezwłasnowolnienie naszych miast.

W tym kontekście negatywne dla Krakowa skutki przyniosła reforma administracyjna kraju z połowy lat siedemdziesiątych. Wiele funkcji ponadregionalnych Krakowa zostało wówczas ograniczonych administracyjnie do granic kądłubowego województwa. Reforma ta wzmocniła natomiast mniejsze ośrodki, zarówno stare województwa: Katowice, Kielce, Rzeszów, jak i nowe „metropolie”: Bielsko-Biała, Częstochowa, Tarnów, Nowy Sącz, Tarnobrzeg. Bolesnym skutkiem tego prowincjonalizującego trendu stała się stosunkowo trudna dostępność komunikacyjna Krakowa. Dotyczyło to zarówno niedorozwoju komunikacji lotniczej, jak i stosunkowo słabych więzi transportowych Krakowa w międzynarodowej komunikacji kolejowej i drogowej.

W ten sposób Kraków wypełniał też w ograniczonym zakresie swe funkcje komunikacyjne w stosunku do całego obszaru Polski południowej. Jednym z zasadniczych warunków pełnej metropolitalności Krakowa i argumentem za metropolitalnym charakterem miasta jest właśnie jego „samodzielność komunikacyjna” – system szybkich bezpośrednich połączeń lotniczych, kolejowych i autostradowych z najważniejszymi centrami Europy Środkowej. Brak takich połączeń degraduje miasto.

Liczący około 750 tysięcy mieszkańców Kraków jest znacznie większy, niż zakładali planiści przed pół wiekiem i – co ważne – przeżywa dzisiaj okres demograficznej stabilizacji. Nie oznacza to wcale zahamowania rozwoju, chodzi raczej o spowolnienie rozrostu, do jakiego doszło w poprzednim okresie kosztem obniżenia jakości życia. Mimo wielu negatywnych zjawisk, które były doświadczeniem XX wieku, Kraków przechował, a nawet w wielu dziedzinach powiększył potencjał swego oddziaływania o ponadregionalnym charakterze. Potencjał ten – ciągle jeszcze w dużym stopniu uśpio-

ny – stanowi naturalny kapitał, z jakim nasze miasto wchodzi w XXI wiek. Kapitał ten to metropolitalne funkcje Krakowa oparte o wyjątkowe znaczenie jego dziedzictwa kulturowego, a także potencjał intelektualny i artystyczny miasta. Choć dzisiaj wielu ludziom Kraków zdawać się może metropolią ułomną, ułomną swoim ubóstwem i sprowincjonalizowaniem, te właśnie wymienione wyżej funkcje pomóc mogą w wzmocnieniu centralnego charakteru Krakowa w regionie i poszerzeniu strefy oddziaływania.

Kraków należy do tych starych miast naszego kontynentu, gdzie przeszłość i tradycja w zasadniczy sposób determinują współczesny rozwój. Jest też pomiędzy Warszawą, Berlinem, Pragą, Bratysławą, Wiedniem i Budapesztem jedynym tak dużym miastem o historycznie ukształtowanych funkcjach metropolitalnych, zdegradowanym do roli prowincjonalnego ośrodka. Dzisiaj dziedzictwo kulturowe Krakowa odczytać trzeba nie tylko w wymiarze narodowym, ale i uniwersalnym.

Potencjał dziedzictwa to naturalny kapitał, z jakim Kraków wchodzi w XXI wiek. To pierwsza funkcja metropolitalna, która i dziś determinuje jego pozycję w Europie. O jej sile przesądza utrwalaony w XIX i XX wiekach archetyp duchowej stolicy narodu. Podtrzymuje on istotną rolę Krakowa jako czynnika integrującego Polaków, a zarazem decyduje o bardzo wysokiej rozpoznawalności miasta w Europie i świecie. Dziedzictwo kulturowe ma także wymiar materialny: to znakomicie zachowana historyczna tkanka urbanistyczna i najwyższej klasy zabytki – ponadlokalny wymiar tego zasobu potwierdziło m.in. wpisanie Krakowa już w roku 1978 na listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO. Nie wolno też zapominać o społecznym aspekcie dziedzictwa: Kraków – jedyne wielkie miasto historyczne w obecnych granicach Polski, które przetrwało tragedię II wojny światowej niezniszczone w sensie fizycznym – to symbol ciągłości i trwania. Drugą, łączącą się z poprzednią, funkcją metropolitalną Krakowa jest jego potencjał intelektualny i artystyczny. Kulturotwórcza siła Krakowa przejawia się i w tym, iż często określa się go jako kulturalną stolicę Polski. Z faktem tym łączy się trzecia funkcja – Kraków stał się centrum międzynarodowej turystyki.

Ciągle słabo docenianym potencjałem Krakowa są także świadczone tutaj usługi wyższego rzędu, jak np. wyspecjalizowane leczenie, które funkcjonować winno w powiązaniu z uzdrowiskami karpackimi. Także doradztwo prawne, konsulting oparty o potencjał intelektualny, różnorodne biura projektowe w zakresie architektury i budownictwa stanowią istotny element metropolitalnego oddziaływania miasta. Funkcje te ugruntowują przy tym heterogeniczność modelu ekonomicznego Krakowa, łącząc potencjał intelektualny miasta z rozwijającym się sektorem gospodarczym.

Patrząc dzisiaj na Kraków jako na proces, zasób, potencjał, funkcję, nie można nie dostrzec szybkiej zmiany modelu i mechanizmów wzrostu. Miasto wykorzystało moment historyczny jako szansę istotnej zmiany prorozwojowej. Zmianie tej nie można odmówić znamion sukcesu. Jest on przy tym splotem i wypadkową zjawisk, które wykraczają poza granice Krakowa i tworzą zupełnie nową rzeczywistość społeczno-polityczną na całym obszarze Środkowej Europy. Kraków po roku 1989

równie szybko przeżywa zmianę reguł gry i zmianę idei miasta. W krótkim czasie z miasta totalitarnego stał się miastem liberalnym. Ale w realiach Europy pokomunistycznej miasto liberalne to przede wszystkim efekt zdezerowania fali rozwojowej z nieprzygotowaniem państwa do jej „zagospodarowania”. *Notabene*, ta gwałtowna zmiana reguł gry wywołała dezorientację tzw. zwykłych ludzi, którzy w okresie przejściowym często nie potrafili identyfikować swoich interesów grupowych.

Kraków jest dziś szczególnym przypadkiem – przykładem sukcesu w przewyżczeniu balastu komunizmu, a równocześnie symbolem ostrego kryzysu planowania przestrzennego, kryzysu zagrażającego krajobrazowi kulturowemu. Po lekcji konsekwentnej i rygorystycznej kontroli przestrzeni publicznej w wieku XX mamy dziś miasto bez planu! I wcale nie dlatego, że nie ma tu wybitnych urbanistów i architektów, nie wspominając o armii konserwatorów zabytków. W roku 2003 miasto znalazło się w swoistej próżni planistycznej. To cofnięcie cywilizacyjne nastąpiło w dodatku w czasie, gdy Polska i Kraków nadrabiają w pośpiechu zapóźnienia wynikające z „minionej epoki”.

Problemy, o których mowa, nie dotyczą tylko Krakowa i oczywiście nie są tylko problemami współczesności. Werner Hegemann w wydanej w roku 1930 głośnej książce *Das Steinerne Berlin. Geschichte der Größten Mietskasernenstadt der Welt* portretuje Berlin końca wieku XIX jako miasto szalonej spekulacji gruntowej i niekompetentnego samorządu. Trudno nie dostrzec analogii, choć rozwój Krakowa nie jest przecież wywołany wzrostem demograficznym.

W wyniku gwałtownej zmiany realiów ekonomicznych i presji kapitału niezrównoważonej stosownym modelem ustrojowym mamy dziś w Polsce „miękkie” i scentralizowane państwo oraz słaby samorząd o niewielkich kompetencjach. Zwłaszcza samorządy wielkich miast zostały w roku 1990 wyposażone w kompetencje niewspółmiernie małe do zadań, jakie przed nimi postawiono. Rozwojem miasta nie wystarczy bowiem administrować. Trzeba nim mądrze zarządzać, a nawet jego rozwój kreować.

Zachodzące dziś nieuchronne zmiany pociągają za sobą zmianę pamięci zbiorowej, zmianę świadomości, samoświadomości i tożsamości. Dylemat Krakowa po roku 1989 polega na tym, czy przyzwolić na bezwonną kolonizację czy też postawić na kreację opartą na przechowanym kanonie wartości. Czy wybór został już przesądzony?

Kraków – metropolia dziedzictwa – święci prawdziwe triumfy na europejskim rynku turystyki kulturalnej, a równocześnie przeżywa spektakularny kryzys planowania i zarządzania przestrzenią. Kryzys wizji opartej na wartościach, kryzys przywództwa, kryzys państwa nie tylko degenerują krajobraz miasta, ale też są czynnikiem prowincjonalizującym. W tym sensie prowincjonalizacja to przede wszystkim funkcja kryzysu miasta rozumianego jako *civitas*. Owa łacińska *civitas* ewokuje w języku angielskim dwa magiczne słowa, które są osią naszych rozważań: *city* i *civilization* – miasto i cywilizacja. Peter Hall, autor głośnej książki *Cities in civilization* szukając charakterystycznych pól analizy relacji pomiędzy fenomenem miasta a fenomenem cywilizacji, podkreśla, że współczesnym ideałem miasta jest harmonia: sztuki, technologii i organizacji.

Pytanie o funkcje Krakowa i jego metropolitalny charakter nie podlega więc dzisiaj dyskusji. Chodzi raczej o wyjaśnienie, jaki kształt i zakres metropolitalnego charakteru miasta należałoby się spierać. W moim przekonaniu chodzi o metropolitalność generującą przede wszystkim zmiany jakościowe i niestojącą w opozycji do historycznego dziedzictwa nagromadzonego w Krakowie. Z tym łączy się konieczność powrotu do zbilansowanego modelu heterogenicznego (mieszanego) funkcji miejskich, który gwarantuje łagodniejsze przechodzenie przez trudny proces transformacji ustrojowej. Kraków musi też szybko zakreślić pożądaną strefę swych wpływów metropolitalnych. Powinien też jasno określić swój stosunek do aglomeracji Górnego Śląska, a także swoje miejsce w sieci miast Środkowej Europy. Są to kwestie o strategicznym znaczeniu. Mieszkańcy Krakowa muszą sobie też uświadomić, że metropolitalność oznacza otwartość i wieloetniczność oraz szybki wzrost przyjazdów do miasta. Trzeba więc też odpowiedzieć na pytanie, kogo w naszej polityce metropolitalnej preferujemy? Na te m.in. kwestie winien szybko odpowiedzieć odrodzony samorząd miejski.

Odrodzona w 1990 roku gmina samorządowa jest nie tylko gwarantem suwerenności miasta, ale spełniać też winna rolę głównego motoru metropolitalnych ambicji Krakowa. Umacnianie samorządu miejskiego to również wzmacnianie jego funkcji metropolitalnych. Zachodzi tutaj oczywiste sprzężenie zwrotne pomiędzy podstawowym celem samorządu, jakim jest pomnażanie bogactwa miasta, a rozwojem funkcji metropolitalnych. Zrozumienie tego faktu jest niezwykle istotne w kontekście ustrojowej słabości naszych gmin i ich walki o szerszy zakres kompetencji. Pograżona w tej walce gmina często nie uświadamia sobie, że poza bezpośrednimi sposobami oddziaływania posiada wiele instrumentów natury pośredniej, politycznej i ekonomicznej. Historia wielu miast ukazuje, jak pewne mechanizmy i decyzje polityczne przesądziły o ich losach w następnych stuleciach. Rozwój metropolitalnych funkcji jest ważnym elementem decentralizacji państwa i jego ponownej regionalizacji.

Anglicy zwykli mawiać *Towns summarize civilization*. To prawda, że nasze miasta skupiają jak w soczewce cały rozwój – a także niedorozwój – otaczającej nas cywilizacji. Znana ekonomistka amerykańska Jane Jacobs poszła jeszcze dalej. W głośnej książce pt. *Cities and the Wealth of Nations. Principles of Economic Life* Jacobs stara się wykazać, że cały rozwój gospodarczy świata współczesnego oparty jest na interakcji pomiędzy miastami o funkcjach metropolitalnych. W książce tej, napisanej we wczesnych latach osiemdziesiątych pojawia się też Kraków. Pojawia się jako swoisty antyprzykład wśród innych metropolii środkowej Europy, których ekonomia została po drugiej wojnie światowej, jak pisze Jacobs – „zaaresztowana”. Od dwudziestu lat sytuacja naszych wielkich miast – w tym Krakowa – ulega zasadniczej zmianie. Zmiana ta jest wyzwaniem dla nas wszystkich. Wymaga też nowego spojrzenia na Kraków. Przecież w dyskusji nad dzisiejszym pytaniem „Kraków metropolia – ale jaka?” nie może nas zabraknąć!

TADEUSZ TRZMIEL

ROZWÓJ METROPOLITALNY KRAKOWA - PERSPEKTYWY

Ponad 1000-letni Kraków, który w 1257 roku otrzymał prawa miejskie, jest dziś europejską metropolią, jednym z najszybciej rozwijających się polskich miast i powszechnie rozpoznawalną wizytówką naszego kraju na świecie.

Kraków jest symbolem tradycji, kultury i nauki. To tutaj w 1364 roku król Polski Kazimierz Wielki założył pierwszy w Polsce i drugi w tej części Europy uniwersytet. Na centrum naszego miasta składają się zabytkowe przestrzenie wpisane na listę pierwszych dwunastu skarbów światowego dziedzictwa kultury UNESCO z żydowskim Kazimierzem i największym średnio-wiecznym rynkiem w Europie, który niedawno został uznany za najpiękniejszy plac na świecie.

Kiedyś biło tu serce królewskiej stolicy, dziś nasze miasto łączy w sobie funkcje współczesnej metropolii z niepowtarzalną atmosferą życia akademickiego, kulturalnego, artystycznego i towarzyskiego. W mieście papieża Jana Pawła II oraz dwojga laureatów literackiej Nagrody Nobla działają sławne teatry, mieszkają i tworzą znani kompozytorzy, poeci i pisarze. Coraz bogatsza i bardziej urozmaicona oferta artystyczna umacnia pozycję Krakowa – Europejskiej Stolicy Kultury 2000 roku – jako kulturalnej stolicy Polski i ważnego ośrodka środkowo-wschodniej Europy.

Obecnie jesteśmy świadkami swoistej mody na Kraków. W 2006 roku amerykańska Agencja Orbitz uznała Kraków za jedno z siedmiu najmodniejszych miast świata, a wcześniej miesięcznik „Travel & Leisure” umieścił go wśród pięciu najpopularniejszych miast europejskich obok Florencji, Rzymu, Wenecji i Istambułu. W 2008 roku „The Observer” i „The Guardian” zakwalifikowały Kraków na drugiej pozycji wśród najatrakcyjniejszych miast świata. Tę atrakcyjność dostrzegają dziś turyści, którzy w liczbie około 8 mln rocznie odwiedzają nasze miasto.

W opinii specjalistów Kraków zyskał też opinię lidera w przyciąganiu inwestycji zwłaszcza w dziedzinie usług okołobiznesowych i wysokich technologii. Liczba firm BPO i R&D stawia nasze miasto na czołowej pozycji w kraju. Widocznym znakiem, że Kraków przyciąga inwestorów jest dynamicznie zwiększająca się nowoczesna powierzchnia biurowa. W chwili obecnej Kraków z powierzchnią 200 tys. m² plasuje się na drugim miejscu w kraju, a w perspektywie 2009/2010 roku ma już oferować inwestorom 400 tys. m².

Z Krakowem związane są m.in. Ernest&Young; RR Donnelley, Onet, Interia i Google. W Krakowie zainwestowały m.in. AMS, Lotos, Linde Gaz Polska, Ahold Central Europe. Umacniają swoje więzi z miastem, rozwijają się i zwiększają zatrudnienie Comarch, Motorola, Pliva, IBM i Capgemini. Kraków na miejsce swoich inwestycji wybrały m.in. HCL Technologies – indyjski potentat w sektorze outsourcingu, Electric 80 – włoska firma z branży automatyki laserowej czy działające na globalnych rynkach banki UBS, HSBC. Nowe inwestycje tworzą nowe miejsca pracy dla wysokokwalifikowanych specjalistów, wykorzystują największy atut Krakowa, jakim jest kapitał ludzki – absolwenci krakowskich uczelni wyższych.

Krakowski ośrodek naukowy – drugi co do potencjału w Polsce współtworzą w chwili obecnej 23 szkoły kształcące około 200 tysięcy studentów, Polska Akademia Nauk, Polska Akademia Umiejętności, jednostki naukowo-badawcze, ośrodki badawczo-rozwojowe, jednostki współpracy naukowo-wdrożeniowej, czyli centra zaawansowanych technologii oraz transferu technologii. Do tego dodać należy jeszcze specjalną strefę ekonomiczną – Krakowski Park Technologiczny. To potężny potencjał naukowy.

Niepowtarzalny klimat, atrakcyjność i walory Krakowa sprawiły, iż w ostatnich latach Kraków stał się

drugim pod względem liczby mieszkańców miastem w Polsce. Obecnie mieszka tu około 756 tys. osób.

To, że Kraków przyciąga turystów, inwestorów, uczestników międzynarodowych konferencji nie jest dziełem przypadku, ale efektem odważnej polityki inwestycyjnej i przemyślanej strategii miasta. Znaleźliśmy się w I lidze polskich miast, które mogą pochwalić się skutecznością pozyskiwania funduszy unijnych i największym wysiłkiem inwestycyjnym. Jesteśmy także krajowym liderem inwestycji proekologicznych.

Kraków, który powszechnie jest uznawany za nowoczesną metropolię, od kilku lat tworzy wraz z władzami województwa małopolskiego struktury prawno-organizacyjne dla usankcjonowania Krakowskiego Obszaru Metropolitalnego. Należy w tym miejscu wspomnieć o uchwale Sejmiku Województwa Małopolskiego z dnia 22 grudnia 2003 r., która wyznaczyła zasięg obszaru metropolitalnego. Kolejnym krokiem mającym na celu zwiększanie przyszłej współpracy i zapewnienie wzrostu konkurencyjności gmin i miast Małopolski w dłuższym horyzoncie czasowym było podpisanie 22 listopada 2007 roku przez 36 wójtów gmin, 15 burmistrzów miast oraz prezydenta miasta Krakowa *Deklaracji o utworzeniu Rady Krakowskiego Obszaru Metropolitalnego*. Do działań Gminy Miejskiej Kraków oraz województwa małopolskiego w ramach polityki metropolitalnej należy zaliczyć zawarcie *Porozumienia w sprawie współpracy w dziedzinie utylizacji odpadów* podpisanego 12 października 1999 roku pomiędzy GMK a powiatem krakowskim oraz gminami ościennymi. Rada Miasta Krakowa podjęła 21 listopada 2007 r. uchwałę w sprawie realizacji przez *Gminę Miejską Kraków zintegrowanego aglomeracyjnego transportu zbiorowego*. Trwają prace na szczeblu rządowym, mające na celu legislacyjne unormowania dotyczące obszarów metropolitalnych. W dniu 28 maja 2008 roku na posiedzeniu Komisji Wspólnej Rządu i Samorządu Terytorialnego powstał kolejny projekt *ustawy o rozwoju miast i obszarów metropolitalnych*.

Kraków wzorem europejskich metropolii angażuje się w przedsięwzięcia, których celem jest unowocześnianie zarówno zewnętrznej dostępności komunikacyjnej Krakowa jak i miejskich systemów transportowych.

Niezmierznie ważnym czynnikiem, decydującym o rozwoju Krakowa jest wspomniana już zewnętrzna dostępność komunikacyjna miasta. Składają się na nią trzy elementy systemu komunikacyjnego: transport lotniczy, transport kolejowy oraz transport drogowy. Od 2004 roku, gdy zaczęli latać tzw. tani przewoźnicy, jesteśmy świadkami dynamicznego rozwoju powstałego w 1964 roku, Międzynarodowego Portu Lotniczego Kraków-Balice. Drugi co do wielkości obsługi pasażerów port w Polsce dysponuje blisko 60 bezpośrednimi połączeniami międzynarodowymi obsługiwanymi przez ponad 20 linii lotniczych. Port gości około 3 mln pasażerów, do 2012 roku planowane jest dostosowanie portu do obsługi 6 mln pasażerów rocznie. Z lotniska do centrum miasta dzięki bezpośredniemu połączeniu torowemu można dojechać w 15 minut.

Zewnętrzna dostępność komunikacyjna to również Krakowski Węzeł Kolejowy, który tworzy przecięcie ważnych szlaków północ-południe oraz wschód-zachód. System kolejowy jest systematycznie modernizowany do prędkości 160 km/godz. Miasto Kraków

wraz z samorządem województwa buduje system Szybkiej Kolei Aglomeracyjnej, obsługujący miejscowości oddalone od Krakowa w promieniu 60 km.

Ostatnim elementem podsystemu transportu składającego się na zewnętrzną dostępność komunikacyjną miasta jest transport drogowy. Mam tu na myśli autostradę A4, która stanowi fragment drogi międzynarodowej E40, leżącej w III transeuropejskim korytarzu transportowym. Kontynuując bieg niemieckiej autostrady z kierunku Drezna, A4 przebiegać będzie od Jędrzejowic przez Wrocław, Katowice, Kraków i Rzeszów do przejścia granicznego z Ukrainą. Fragment autostrady A4 równocześnie jest południową obwodnicą miasta. Planowana zaś droga ekspresowa S7 ma połączyć aglomeracje: gdańską, warszawską i krakowską oraz przejście graniczne ze Słowacją. Droga ekspresowa S7 na odcinku krakowskim stanowi wschodnią obwodnicę miasta. Po wybudowaniu północnej obwodnicy na odcinku 12,3 km Kraków będzie dysponował kompletną obwodnicą, tzw. Ringiem krakowskim.

Obecnie w naszym mieście 60 proc. przewozów realizowanych jest przez transport zbiorowy, 40 proc. to transport indywidualny. Kierunki rozwoju systemu transportowego Krakowa opisane zostały w perspektywie 20 lat w dokumentach uchwalonych przez Radę Miasta Krakowa (*Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania; Strategia rozwoju miasta; Polityka transportowa Krakowa*). Krakowska komunikacja zbiorowa, która wg ostatniego rankingu Forbes'a jest na dziewiątym miejscu na świecie, to przede wszystkim system tramwaju tradycyjnego, rozbudowywany poprzez sześć linii Krakowskiego Szybkiego Tramwaju. Aktualnie w realizacji znajduje się I linia KST – 17, 6 km z obszarowym systemem sterowania ruchem z priorytetem dla tramwaju. Miasto dzięki wsparciu funduszy rozwoju regionalnego UE zrealizowało projekt Zintegrowany System Transportu Publicznego etap I, w ramach którego zmodernizowano istniejące linie tramwajowe, zakupiono nowy niskopodłogowy tabor oraz wprowadzono elektroniczny system sprzedaży biletów-Krakowska Karta Miejska. Przygotowywany obecnie projekt ZSTP etap II, pozwoli na budowę nowej linii tramwajowej, modernizację istniejących z przystosowaniem do parametrów KST i na wymianę kolejnych wagonów tramwajowych na nowoczesny tabor.

Komunikacja autobusowa stanowi podstawę na trasach nieobjętych komunikacją tramwajową. Krakowską komunikację autobusową wyróżniają przede wszystkim nowoczesne niskopodłogowe autobusy w większości z silnikami Euro4 oraz pilotażowo wprowadzane autobusy zasilane gazem CMG. Ważnym elementem sprawności funkcjonowania komunikacji zbiorowej w mieście jest określony dla niej priorytet w systemie organizacji ruchu realizowany poprzez wspólne pasy tramwajowo-autobusowe separowane od innych użytkowników ruchu, wydzielenie na głównych ciągach komunikacyjnych III pasa dla komunikacji autobusowej oraz system sterowania ruchem, w którym uprzywilejowane są pojazdy miejskiej komunikacji zbiorowej.

Miasto zintensyfikowało zaniechaną przez dziesięciolecia budowę sieci parkingów podziemnych. We wrześniu zostanie oddany do użytkowania wybudowany przez inwestora prywatnego (w ramach kon-

cesji na roboty budowlane) pierwszy, pod placem Na Groblach. Następne powstaną m.in. w rejonie Muzeum Narodowego, Uniwersytetu Rolniczego i Nowego Kleparza.

Swoją funkcję metropolitalną Kraków chce zaznaczyć szeregiem nowych inwestycji, które wpisują się w *Strategię rozwoju miasta*. Do najważniejszych zadań strategicznych, zawartych w *Wieloletnim planie inwestycyjnym miasta Krakowa* należy m.in. budowa centrum kongresowego, które ma być zlokalizowane przy rondzie Grunwaldzkim. Planuje się rozpoczęcie budowy owego centrum jeszcze w tym roku. Drugą sztandarową inwestycją jest budowa hali widowiskowo-sportowej w Czyżynach. Przyszła hala spełniać będzie funkcje ponadregionalne nie tylko w wymiarze sportowym, ale również turystycznym, handlowym i kulturalnym. Może stać się ważnym miejscem spotkań biznesowych, konferencji, zjazdów i kongresów. Budowa hali zwiększa szanse Polski na organizację rozgrywek sportowych o zasięgu międzynarodowym. Od kilku lat trwa modernizacja miejskiego stadionu piłkarskiego Wisła Kraków, latem rozpoczęto modernizację miejskiego stadionu Cracovii, który po zakończeniu budowy w 2011 roku stanie się obiektem nowoczesnym i niezwykle atrakcyjnym. Powstają też nowe centra rekreacji i sportu – jednym z nich jest tor kajakarstwa górskiego – jeden z najnowocześniejszych w świecie ośrodków przygotowań olimpijskich porównywalny z torem olimpijskim w Sydney.

Ruszyła budowa Muzeum Sztuki Współczesnej, w którym swoje kolekcje pragną prezentować Wiedeń i Florencja. W połowie 2010 roku krakowianie i turyści przejdą pod płytą Rynku Głównego podziemnym szlakiem turystycznym, który będzie stanowić unikatowe pod względem ekspozycyjnym i poznawczym podziemne muzeum, nieporównywalne z żadnym innym w Europie.

Zrównoważony i kompleksowy rozwój Krakowa to również dynamiczny w ostatnich latach wzrost nakładów inwestycyjnych przeznaczonych m.in. na likwidację zapóźnień cywilizacyjnych związanych z infrastrukturą komunalną. W 2002 roku 22 tysiące mieszkańców żyło bez dostępu do sieci wodociągowej, 45 tysięcy bez dostępu do sieci kanalizacyjnej, a 80 proc. ścieków trafiało do Wisły bez oczyszczania. Obecnie blisko 98 proc. mieszkańców korzysta z sieci wodociągowo-kanalizacyjnej. Od 2006 roku trwa modernizacja systemu ciepłowniczego miasta, która pozwoli na wymianę ponad 100 km sieci ciepłowniczej. Niedawno zakończono modernizację składowiska odpadów komunalnych Barycz, które obecnie jest najnowocześniejsze w kraju. Zmodernizowano oczyszczalnię ścieków Płaszów, która spełnia najwyższe europejskie standardy, a Kraków jest jedynym miastem w Polsce, w którym ścieki w 100 procentach oczyszcza się mechanicznie i biologicznie.

Tego rodzaju przedsięwzięcia potwierdzają, że Kraków stawia na ekologię. Inwestycje w tym zakresie mogły być zrealizowane tylko dzięki ich współfinansowaniu ze środków unijnych. Kraków okazał się liderem w ich pozyskiwaniu.

KRAKÓW JAKO METROPOLIA

(doroczne sympozjum „Kuźnicy”)

9 maja 2009 r. odbyło się w gościnnej Sali Fontany Muzeum Historycznego Miasta Krakowa doroczne sympozjum „Kuźnicy”. Tym razem tematem spotkania był: „Kraków – europejska metropolia”.

Referaty przygotowali: Hieronim Kubiak (*Kraków jako metropolia*), Jacek Purchla (*Metropolia czy prowincja?*), Jerzy Hausner (*Metropolia w czasach kryzysu*), Tadeusz Trzmiel (*Rozwój metropolitalny Krakowa – perspektywy*), Andrzej Kurz (*Dojrzewanie do metropolii*), Andrzej Kadłuczka (*Kraków historyczny*), Tadeusz Popiela (*Metropolitalne funkcje krakowskiej medycyny*), Leszek Polony (*Kraków muzyczną metropolią?*), Jerzy Huczkowski (*Krakowski rynek antykwaaryczny – zasięg i szanse*).

W tym numerze publikujemy referaty:

- Hieronima Kubiaka (str. 47-52)
- Jacka Purchli (str. 53-55)
- Tadeusza Trzmiela (str. 56-58)
- Andrzeja Kurza (str. 59-66)
- Leszka Polonego (str. 67-69)

ANDRZEJ KURZ

DOJRZEWANIE DO METROPOLII

Metropolia to organizm miejski, który przez system związków – przede wszystkim wpływu i wymiany – z innymi społecznościami rozwija się szybciej niż inne i skuteczniej na inne oddziałuje. Czyli wiąże lokalne z tym, co ponadlokalne: regionalne, państwowe, europejskie, globalne.

Czym są polskie metropolie i jakie może być ich miejsce w strategii rozwojowej kraju, wskazywał Jerzy Hausner w Narodowym Planie Rozwoju, mówiąc o metropolitalnych obszarach rozwoju gospodarczego i rewitalizacji miast, a dziś słyszeliśmy także poglądy Hieronima Kubiaka i Jacka Purchli w tej kwestii.

Na kształtowanie się metropolii w historii wpływało wiele czynników najczęściej o charakterze żywiołowym, ale też i świadomie zaprogramowanym. We współczesności i przyszłości prawdopodobnie te ostatnie będą odgrywały większą rolę.

Oczywiście, aby miasto mogło być metropolią, musi reprezentować odpowiednią wielkość i potencjał w różnych dziedzinach, dysponować walorem atrakcyjności i popularności, być organizmem sprawnym, otwartym i dostępnym nie tylko komunikacyjnie ale politycznie i socjo-psychologicznie. I zapewne także

powinno chcieć być metropolią, tzn. dążyć do tego w świadomości i działaniach elit i struktur władzy.

Kraków w swej przeszłości był już metropolią polską i europejską, a dziś jest jedynym obok Warszawy ośrodkiem miejskim w Polsce, który może do roli europejskiej metropolii aspirować. A ściślej, jak przypomina prof. Purchla, do kategorii ok. 30 tzw. europolii – miast europejskich, pełniących funkcje ponadlokalne. Główny potencjał Krakowa, decydujący o jego ponadnarodowej roli, tkwi – i wszyscy się z tym zgadzają – w jego roli historycznego centrum europejskiej kultury i europejskiej świadomości, w nagromadzeniu wielkiej, dobrze zachowanej, a w ostatnich dziesięcioleciach dobrze utrzymywanej substancji zabytkowej i zabytkowej przestrzeni miejskiej. A może przede wszystkim w jego wielowiekowych związkach równocześnie z Zachodem i Wschodem.

* * *

Zajmę się tutaj tylko metropolitalną rolą Krakowa w historii najnowszej, powojennej, zwłaszcza że Kraków dwudziestolecia międzywojennego nie odgrywał w Polsce roli pierwszoplanowej.

Okres okupacji hitlerowskiej, paradoksalnie, nie obniżył narodowej i międzynarodowej pozycji Krakowa. Odwrotnie. Kraków, uczyniony stolicą Generalnego Gubernatorstwa stał się dość ważnym miejscem okupowanej przez Niemcy Europy, rozwinął swą infrastrukturę, a przede wszystkim ogromnie powiększył swój obszar miejski. Zaś dzięki świetnemu manewrowi wojsk marszałka Iwana Koniewa, wyzwolony wraz ze Śląskiem bez poważniejszych zniszczeń materialnych nabrał w Polsce Ludowej ogromnej dynamiki rozwojowej. Wobec zupełnego zrujnowania przez Niemców stolicy Polski – Warszawy przejął wręcz rolę głównego, narodowego centrum kultury i nauki, a zarazem bardzo ważnego ośrodka myśli i działalności obywatelskiej. Stało się to wyraźne jeszcze w 1944 r., po upadku Powstania Warszawskiego i skupieniu się w Krakowie resztek centralnych instytucji i kadr kierowniczych państwa podziemnego.

Sprzyjała temu procesowi, ale równocześnie i ideom kompromisu z nową władzą bardzo silna pozycja krakowskiej kurii metropolitarnej z arcybiskupem księciem Adamem Stefanem Sapiehą, który w czasie okupacji i zaraz po niej odgrywał rolę zwierzchnika Kościoła katolickiego w Polsce i przewodnika narodu. Charakterystyczne, że wśród przedstawicieli społeczeństwa polskiego, biorących udział w pertraktacjach, które doprowadziły do powołania Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej w Warszawie i jego uznania międzynarodowego, czyli do powstania Polski Ludowej – obok reprezentantów tych sił politycznych na emigracji, które były skłonne po wojnie do porozumienia z wielkimi mocarstwami, czyli do kompromisu ze Związkiem Radzieckim na gruncie umów teherańskich i jałtańskich, i obok reprezentantów polskich sił proradzieckich z komunistami na czele – większość stanowili wybitni krakowianie. Wśród nich znalazł się nieoficjalny reprezentant arcybiskupa Sapiehy, prezes Polskiej Akademii Umiejętności, prof. Stanisław Kutrzeba oraz profesorowie Adam Krzyżanowski i Zygmunt Żuławski – znany działacz socjalistyczny, formalny przewodniczący podziemnej WRN, przebywający przez cały okres okupacji w Krakowie i okolicach.

Również w zaproszonej przez wielkie mocarstwa na konferencję poczdamską delegacji Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej grupę doradców stanowili profesorowie krakowskich uczelni, a mianowicie Waleri Goetel i Andrzej Bolewski z Akademii Górniczej oraz Stanisław Leszczycki z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Najważniejszym jednak czynnikiem powojennego skoku rozwojowego Krakowa i jego dojrzewania do roli metropolii stał się szybki i na ogromną skalę rozwój instytucji i środowisk kultury i nauki – odradzających się po okupacyjnych zniszczeniach oraz nowo powstających. Obok szeroko otwierającego się na studentów z roczników wojennych i z awansujących kulturalnie środowisk chłopskich, a także robotniczych Uniwersytetu Jagiellońskiego, w którym rolę główną odgrywa powojenna profesura w znacznym stopniu skupiająca się ideowo wokół metropolity Sapiehy i związanego z nim przedwojennego i powojennego rektora, prof. Tadeusza Lehra-Splawińskiego, rozwija się niezwykle szybko, bogato wyposażana przez nowe władze Akademia Górniczo-Hutnicza przygotowująca kuali-

fikowane kadry dla procesu skokowej industrializacji kraju. Wielką rolę w pobudzaniu twórczości naukowej i tworzeniu dla niej pomyślnych warunków odgrywa niezwykle po wojnie aktywna Polska Akademia Umiejętności działająca kilka lat pod przewodnictwem prof. Kazimierza Nitscha, później przekształcona w potężny oddział scentralizowanej Polskiej Akademii Nauk. Krakowskie środowisko intelektualne i obywatelskie odgrywa szczególną rolę we włączaniu Ziem Zachodnich do politycznego i kulturalnego organizmu Polski.

Powstaje w Krakowie sieć uczelni artystycznych – obok przedwojennej Akademii Sztuk Pięknych również Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna oraz Teatralna. Tworzą się pisma społeczno-kulturalne o ogólnopolskim charakterze i wielkich nakładach: „Przekrój”, „Twórczość” i „Życie Literackie” a przede wszystkim powołany przez metropolitę Sapiehę „Tygodnik Powszechny”, najważniejsze przez następnych 50 lat pismo polskiej inteligencji inspirowanej przez katolickie idee społeczne. „Tygodnik Powszechny”, obok powstałej po Październiku '56 socjalistycznej i państwowej „Polityki”, był otwarty na Zachód, otwierał Polaków na Europę. Powstają też w Krakowie znakomite, o ogólnopolskim zasięgu wydawnictwa książkowe: jedyne w kraju Polskie Wydawnictwo Muzyczne oraz Wydawnictwo Literackie. Rozwijają się nadzwyczaj żywe w latach 1945-1949 środowisko pisarskie, malarskie, teatralne, muzyczne i muzealne z ich odnowionymi a głównie nowo utworzonymi instytucjami i sporą bazą materialną.

Nie starcza środków na szerzej zakrojoną konserwację zabytków, ale powołany zostaje duży wydział konserwacji na Akademii Sztuk Pięknych oraz silny oddział Pracowni Konserwacji Zabytków, a więc stworzono strukturalne podstawy wielkiego procesu odnowy, instytucjami ochrony zabytków kierują wybitni fachowcy przedwojennej proweniencji, a odważnym inicjatywom w tej dziedzinie patronują autorytety rangi dr. Bolesława Drobniera i prof. Karola Estreichera. Systematycznie, choć wolno rozwija się proces odnowy zabytków wzgórza Wawelskiego, którym kierują przez kilkadziesiąt lat (1949-1989) jako dyrektor Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu prof. Jerzy Szablowski oraz prof. Alfred Majewski (1951-1983) jako dyrektor Odnowienia Zamku.

To powstałe w drugiej połowie lat 40. wielkie zagłębie kulturalno-naukowe nawiązuje liczne kontakty międzynarodowe i czyni pozycję Krakowa znaczącą nie tylko w skali ogólnopolskiej. Kraków staje się drugim obok Warszawy miastem, do którego udają się prawie wszystkie oficjalne międzynarodowe delegacje polityków i ludzi kultury o największych nazwiskach. Wkrótce po wojnie powstają w Krakowie konsulaty ZSRR i Francji – wraz z francuskim ośrodkiem kultury.

Jeśli dodać do tego bogate kontakty z Międzynarodówką Socjalistyczną i jej partiami na Zachodzie rozwijane przez organizację Polskiej Partii Socjalistycznej, która w Krakowie reprezentowała wielką siłę polityczną, zdolną w pierwszych powojennych latach konkurować z dominującą w kraju, bo dysponującą aparatem przymusu i brutalnym wsparciem sowieckim Polską Partią Robotniczą, otrzymamy obraz procesu przywracania Krakowowi jego roli metropolitarnej, obok odradzającej się i wspomaganej słusznym, przez nikogo

niekwestionowanym wysiłkiem całego narodu stolicy – Warszawy.

Ten proces szybkiego dojrzewania Krakowa do funkcji metropolitalnych uległ gwałtownemu zahamowaniu pod koniec lat 40. i z początkiem lat 50., kiedy w warunkach „zimnej wojny” zaostrzyły się procesy centralizacji w państwach po wojnie od Związku Radzieckiego uzależnionych, ich sowietyzacji i stalinizacji, dominacji aparatów terroru i prymitywnej indoktrynacji. Nastąpiło przerwanie związków z Zachodem i poszukiwań narodowych dróg rozwoju. Również aktywność twórcza środowisk kulturalnych i naukowych Krakowa została w tym czasie poddana ideologicznej presji, cenzuralnym ograniczeniom i policyjnej inwigilacji, chociaż większość instytucji i środowisk kultury i nauki istniała i funkcjonowała nadal, a sieć edukacyjna wręcz się rozwijała.

Jednakże czynnikiem podstawowym dla rozwoju miasta, zdecydowanym bez społecznej dyskusji przez władze centralne, stała się od końca lat 40. budowa wielkiego, wkrótce okazało się że największego w Europie kombinatu metalurgicznego Nowa Huta produkującego głównie surowce, tzn. surową żelazną i stal niższej jakości, ale za to w okresie szczytowym w ilości 7 milionów ton rocznie, czyli pięć razy więcej niż cała Polska przedwojenna. Polityka intensywnej industrializacji, w warunkach wymuszanej przez Związek Radziecki militaryzacji gospodarki wymuszała zmianę charakteru rozwoju miasta i jego społecznej stratyfikacji. Podnoszona wówczas idea proletaryzacji Krakowa nie miała jednak nic wspólnego z powtarzaną dziś nawet przez niektórych historyków ideą ukarania w ten sposób Krakowa za wynik referendum z czerwca roku 1946, niekorzystny dla władzy. Rozumiana przez władze jako zbawienna dla Krakowa proletaryzacja polegała na imporcie masy niekwalifikowanej siły roboczej, świeżych wychodźców ze wsi, i przekształcenia ich w prymitywnych, pionierskich warunkach w robotników wielkoprzemysłowych.

Taki proces gwałtownej industrializacji (doszła do tego budowa w podkrakowskiej Skawinie wielkiej huty aluminium) zagroził Krakowowi nie tylko katastrofą ekologiczną w końcu lat 70., lecz i niebezpiecznym naruszeniem równowagi społecznej. Zakończył się on jednak, z różnych przyczyn, już w początku lat 80., a pozostawił, obok dominujących zagrożeń, które trwały przez życie jednego pokolenia, również wiele przeobrażeń umacniających szczególną pozycję Krakowa wśród miast Polski.

Nastąpił mianowicie szybki wzrost liczby mieszkańców Krakowa, znaczne odmłodzenie struktury wiekowej oraz zmiany w strukturze społeczno-zawodowej. Powstała bardzo silna warstwa nowej inteligencji technicznej, nieźle wykształconej w krakowskich uczelniach, mającej otwarte perspektywy awansu i wykazującej dużo zawodowej inicjatywy, a także dysponującej, choć krępowaną przez sztywność i restrykcyjność systemu, szansą kontaktów ze Wschodem i Zachodem i ich myślą techniczną. Masa przybyszów ze wsi przekształcała się więc w nowoczesną klasę robotników, pracowników przemysłu, przekonywanych przez oficjalną propagandę o swej szczególnej pozycji w hierarchii społecznej. Wzrastała szybko liczba nowobudowanych mieszkań, choć ujawniły się rażące

i utrudniające życie dysproporcje w rozwoju infrastruktury miejskiej i systemu zaopatrzenia. Szybko rozwijająca się scholaryzacja i ułatwiony, masowy dostęp do instytucji i dóbr kultury powodował stały wzrost poziomu kulturalnego i cywilizacyjnego wszystkich warstw społeczeństwa.

Okres brutalnej stalinizacji i terroru systemu według narzuconego radzieckiego wzorca ustrojowego trwał ok. 5 lat i zakończył się wraz z odwilżą po śmierci Stalina, a wielka zmiana przyszła po bardzo głębokim zwrocie w polityce władzy i w życiu społeczeństwa, nazwanym polskim Październikiem '56. Związany z nim wybuch krytycyzmu w środowiskach społecznych, demaskowanie bezprawia i prześladowań politycznych uprawianych przez aparat terroru, krytyka ograniczeń swobody słowa, ujawnienie nierówności i serwilizmu w stosunkach ze Związkiem Radzieckim, sprzeciw wobec fałszowania historii i agresywności propagandy, a równocześnie żądanie liberalizacji życia publicznego – cały ten ruch szczególnie silny w środowiskach inteligentnych i studentów, ale również robotniczych i zwany odnową socjalizmu i demokratyzacją, sięgał w Krakowie najgłębiej i tu okazał się najtrwalszy. Znalazł swe naturalne przedłużenie we wspieranych przez władze centralne obchodach 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego i związanym z nimi dużym programem inwestycyjnym i organizacyjnym w środowisku krakowskiej nauki.

Cechą szczególną okresu 1956-1965 w Krakowie było ożywienie silnego po wojnie środowiska byłych działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej, którzy po zjednoczeniu tej partii w 1948 r. z komunistyczną Polską Partią Robotniczą zostali zepchnięci do roli drugorzędnej, a nawet poddawani byli prześladowaniom. Po Październiku '56 stary socjalista, dr Bolesław Drobner został przez żywioł polityczny wyniesiony do funkcji I sekretarza KW PZPR, czyli rzeczywistego władcy województwa i miasta, a następnie zastąpiony przez przedwojennego PPS-owca, a w czasie okupacji bojownika WRN i więźnia Oświęcimia, Lucjana Motykę, który funkcję I sekretarza KW sprawował przez blisko 8 lat. Miasto Kraków stanowiące do tej pory powiat miejski w wielkim, słabo zurbanizowanym województwie zostało dzięki inicjatywie Drobnera podniesione w systemie administracyjnym kraju do rangi samodzielnego województwa. Na czele władz miejskich stanęli ludzie związani z powojenną PPS – najpierw profesor Akademii Ekonomicznej, Wiktor Boniecki a następnie, na lat 10, wytrawny działacz samorządowy Zbigniew Skolicki.

To wszystko wraz z powołaniem nowego, opartego na ludziach dobrze wykształconych Komitetu Miejskiego partii powodowało, że w instytucjach i środowiskach miasta uzyskało przewagę nowoczesne myślenie typu socjaldemokratycznego, otwartego na świat i sprzyjającego metropolizacji Krakowa. Polityka władz lokalnych tworzyła atmosferę i zachęty sprzyjające rozwojowi, a w konsekwencji realizacji inicjatyw instytucji i środowisk decydujących o ponadregionalnej i ponadnarodowej funkcji Krakowa oraz jego związków z ośrodkami europejskimi, szczególnie w dziedzinie nauki i kultury, ale także postępu techniczno-cywilizacyjnego. Równocześnie przedmiotem wysiłku lokalnego i nacisku na instytucje centralne stały się sprawy przywrócenia równowagi w rozwoju krakowskiego organizmu miejskiego

naruszonego przez forsowną industrializację. Tu jednak sukcesy są mniejsze z powodu podporządkowania całego systemu właśnie wysiłkowi przemysłowo-militarnemu oraz nowym inwestycjom, przy zaniedbaniu substancji dawniejszej.

Dla przygotowania metropolitalnej roli Krakowa podstawowe znaczenie miały inwestycje i przedsięwzięcia związane z 600-leciem UJ: budowa kilkunastu wielkich obiektów uczelnianych i miasteczka akademickiego zamierzonego na 20 tys. mieszkańców, przydział zwiększonych środków dewizowych na aparaturę naukową, książki i kontakty międzynarodowe oraz wspieranie wielkiego studenckiego ruchu kulturalnego i turystycznego – wszystko to otwierało naukę i kulturę Krakowa na świat, szczególnie na Zachód. Waler symboliczny miało nadanie 31 uczonym zagranicznym, wśród których znaleźli się laureaci Nagrody Nobla, doktoratów *honoris causa*. Przedstawicielom światowej nauki Kraków ukazał się jako otwarte miasto europejskiej kultury. Warto przy tym zauważyć, że żaden z rektorów kierujących programem 600-lecia (profesorowie: Stefan Grzybowski, Kazimierz Lepczyński, Kazimierz Wyka, Mieczysław Klimaszewski, Leon Tochowiec, Tadeusz Ruebenbauer) nie był członkiem partii, wszyscy byli wybitnymi uczonymi i mieli piękną kartę obywatelską z okresu wojny, okupacji i powojennej odbudowy, a partnerską współpracę z powojenną władzą uważali za rzecz naturalną.

Silne zaplecze uczelniane pozwala krakowskim środowiskom naukowo-technicznym, cieszącym się szczególnym zainteresowaniem władz centralnych i silnych struktur przemysłowych, rozwinąć kilka nowoczesnych ośrodków naukowo-badawczych, wśród nich Instytut Fizyki Jądrowej nawiązujący współpracę z podobnymi ośrodkami na Zachodzie i Wschodzie.

Z wielkich inicjatyw i inwestycji tego okresu związanych z kulturą, rolę metropolitalną Krakowa przygotowywały i rozwijały szczególnie: powołanie corocznego międzynarodowego festiwalu filmów krótkometrażowych i budowa dla niego zaplecza kinowo-hotelowego, międzynarodowe biennale plakatu z zapleczem wystawowym, budowa dużego, o znaczeniu ogólnopolskim ośrodka telewizyjnego z pełnym zapleczem produkcyjnym, utworzenie wytwórni filmów animowanych, wkrótce o sławie światowej. Powstają nowe duże muzea farmacji i lotnictwa, a większość muzeów istniejących, wśród nich historii miasta, archeologiczne i etnograficzne otrzymuje nowe wielkie siedziby w zabytkowej substancji miejskiej. Muzeum na Wawelu odzyskuje przechowywane od czasów wojny zagranicą zbiory, m.in. światowej sławy kolekcję arrasów, odnowiony zostaje najstarszy gmach uniwersytecki – Collegium Maius mieszczący muzeum UJ.

Wysiłkiem władzy miejskiej odnowiono Rynek Główny z całą podziemną infrastrukturą i nawierzchnią, Sukiennice i fasady wielu kamienic. Do kościoła Mariackiego powrócił zgrabiony przez hitlerowców ołtarz Wita Stwosza, przeprowadzono odnowę zagrożonych katastrofą budowlaną zabytkowych kościołów. Rozpoczyna się odnowa zabytków kultury żydowskiej: najstarszej w Polsce bożnicy, w której powstaje muzeum judaistyczne, oraz jednego z najstarszych w Europie żydowskich cmentarzy wraz z bożnicą Remuh. Powstają inicjatywy gromadzenia społecznych środków

na odnowę zabytków oraz pierwsze próby zorganizowanego ratowania substancji mieszkaniowej Starego Miasta.

Międzynarodowe zainteresowanie budzą studenckie inicjatywy kulturalne i kabaret Piwnica pod Baranami. Na światową arenę wkraczają tacy krakowscy twórcy jak Stanisław Lem, Sławomir Mrożek, Andrzej Wajda, Wojciech Has, Jerzy Skarżyński; w Krakowie zaczyna się wielki okres twórczości Jerzego Grotowskiego.

Jednakże miasto nie odzyskuje równowagi rozwojowej, mimo że do głosu dochodzi świadomość zagrożeń ekologicznych i niedostatku miejskiej infrastruktury. Wciąż ciąży nadmierny wzrost przemysłu surowcowego i niebezpieczny niedorozwój i usług. Nie znajduje zrozumienia u władz centralnych np. inicjatywa zlokalizowania w Krakowie fabryki samochodów ani zwiększenia nakładów na budownictwo mieszkaniowe i rozwój infrastruktury w starym Krakowie. Niedostatek środków pozwala na jedną tylko wielką inwestycję komunalną: rozpoczęcie budowy nowego ujęcia wody z Raby w Dobczycach, co rozwiązuje jeden z palących problemów miasta.

Przy tym wszystkim nowy plan zagospodarowania przestrzennego Krakowa, opracowany pod kierownictwem Stanisława Hagera próbuje łagodzić dysharmonię rozwojową miasta. Krakowski Komitet Miejski PZPR zalecił w 1964 r. wprowadzenie do prac nad tym planem przygotowań do budowy metra, względnie szybkiego tramwaju, częściowo podziemnego. Po rozwiązaniu Krakowskiego Komitetu w 1965 r. władze miejskie odstąpiły od tych wytycznych, uznanych w Warszawie za zuchwałe, i powróciły do koncepcji metra na początku lat 70. Dość zaawansowane prace projektowe odłożono znowu w połowie lat 70. na rzecz promowanej wówczas przez władze centralne (skądinąd też słusznej) budowy autostradowej obwodnicy miasta.

Warto zaznaczyć, że trasę szybkiego ruchu z Krakowa do Zakopanego zaczęto – z inicjatywy Lucjana Motyki i przy cichym poparciu Józefa Cyrankiewicza – budować na początku lat 60. i zdołano doprowadzić do Myślenic.

Z inicjatywy również Krakowskiego Komitetu Miejskiego zostaje w 1963 r. zlikwidowane lotnisko w Czyżynach, hamujące rozwój budownictwa mieszkaniowego, uniemożliwiające ujednolicenie przestrzeni miejskiej Krakowa i Nowej Huty. Po interwencji KM wojsko udostępnia komunikacji cywilnej lotnisko w Balicach.

Nowy stosunek Stanów Zjednoczonych do Polski Ludowej i przyjęcie przez nie oddzielnej polityki wobec Polski sprzyja zaangażowaniu się rządu USA w budowę w Krakowie kliniki pediatrycznej oraz ustanowienia konsulatu generalnego. Kraków, obok rozwijanych nadal specjalnych stosunków z Kijowem, nawiązuje porozumienie z Bordeaux i innymi miastami bliźniaczymi oraz szczególne stosunki z Opolem.

Są to wszystkie elementy „metropolitalnego myślenia i działania” w popaździernikowym Krakowie.

W wyniku specyficznego porozumienia kardynała Stefana Wyszyńskiego z władzami opróżniony tron krakowskiego metropolity obejmuje Karol Wojtyła, biskup o niezwyklej przeszłości krakowskiego studenta, robotnika i aktora podziemnego teatru, duchowny

o wielkiej charyzmie, skupiający wokół siebie – podobnie jak jego poprzednik i mentor, metropolita Sapieha – nie tylko bardzo silnie intelektualnie, duchowo i obywatelsko środowisko „Tygodnika Powszechnego”, lecz rosnące grono ludzi nauki i kultury oraz młodzieży, ludzi myślących niezależnie od narzucanych przez władzę stereotypów. Nowy metropolita nawiązuje aktywne stosunki z zachodnimi kręgami katolickimi i zajmuje ważne miejsce w odnawiającej i umacniającej Kościół działalności II Soboru Watykańskiego.

W „myśleniu metropolitalnym” Krakowa i w jego umacniającej się pozycji w Europie pojawia się szczególnie czynnik.

Lata 1965-1970 nacechowane były narastającym społecznym rozczarowaniem po okresie nadziei wywołanych przemianami październikowymi. Władza ratowała się ucieczką ku hasłom nacjonalistyczno-populistycznym. W Krakowie decyzje centralne doprowadziły w 1965 r. do zastąpienia ekipy kierowniczey Lucjana Motyki ekipą obcego Krakowowi, związanego w partii z nurtem populistyczno-komunistycznym, sekciarskim, Czesława Domagały. Podjęła ona próbę rozprawienia się z kosmopolitycznym otwarciem krakowskich środowisk inteligentnych i okiełznania krakowskich osobliwości. Nastąpiło zamrożenie śmielszych inicjatyw, zaostrezenie cenzury, donosicielstwa i agresji propagandowej wobec środowisk i jednostek twórczych przejawiających niezależność. Jednak krótkotrwałość tego okresu i częściowo skuteczna reakcja obronna atakowanych środowisk spowodowały, że szkody przyniesione przez ten okres miały charakter ograniczony.

Przeobrażenia powiązane z buntem robotniczym i krwawymi wydarzeniami grudnia 1970 r. na Wybrzeżu oraz wyłonienie przez partię nowej ekipy kierowniczey Edwarda Gierka, skłaniającej się ku modernizacji gospodarki, zwiększeniu powszechnej konsumpcji i dostępności usług, rozwojowi za pomocą kredytów z Zachodu przyniosły też związane z tym nieuchronnie ożywienie międzynarodowych kontaktów instytucji i jednostek, liberalizację w środowisku nauki, kultury i w sferze mediów.

Kraków okazał się znowu szczególnie przygotowany i dojrzały do podjęcia działań rozwojowych, zwłaszcza że po natychmiastowym odwołaniu Domagały zyskał, podobnie jak w Październiku’56, nową, wyróżniającą się w stosunku do całej Polski ekipę kierowniczą. Na jej czele stanął związany pochodzeniem i początkiem studiów z regionem krakowskim i UJ, a później pracujący w służbie konsularno-dyplomatycznej na Zachodzie, Józef Klasa, nadzwyczaj śmiały zaangażowany w idee i działania modernizacyjne, otwarcie Krakowa na świat i międzynarodowe kontakty. I jakkolwiek nowatorski rozmach Klasy przekroczył wytrzymałość, wyobraźnię ekipy centralnej – ograniczonej do horyzontu technokratycznego – i po 5 latach doprowadził wręcz do jego odwołania z Krakowa, choć pogorszenie koniunktury międzynarodowej zamknęło polskiej gospodarce możliwości pozyskiwania nowych kredytów, co razem z błędami ekipy kierowniczey wpędziło kraj w długoletni stan kryzysu, to jednak tym razem rozmach działań zmierzających do zdobycia przez Kraków pozycji metropolitalnej okazał się trwały. Co nie znaczy, że nie był okresami

osłabiany, nawet poważniej zahamowany w krótkim ale najtrudniejszym społecznie okresie stanu wojennego, kiedy władza sięgnęła po narzędzie przemocy i propagandowej agresji.

W strategii władz krakowskich od roku 1971 daje się zauważyć zrozumienie potrzeby zrównoważenia rozwoju aglomeracji miejskiej i poprawy warunków bytowych, szczególnie mieszkaniowych, rodzin pracowników, a przede wszystkim wykorzystania szansy Krakowa w procesie decentralizacji – wprowadzonym w pierwszych latach przez zorientowaną na prowincjonalny Śląsk ekipę Gierka – i w promowanym wówczas rozmachu inwestycyjnym. Władze krakowskie tego okresu okazały się podatne na inicjatywy środowisk wskazujących na szczególne możliwości Krakowa w dziedzinie twórczości kulturalnej i naukowej, umacniania i budowania służących im instytucji i infrastruktury. Zwołana w październiku 1971 tzw. Narada Wawelska przedstawicieli środowisk twórczych, z udziałem kierowników państwowej polityki kulturalnej, którymi byli wówczas wyróżniający się liberalizmem i otwartością Józef Tejchma i Wincenty Kraśko (po niewielu latach odwołani i zastąpieni przez twardogłowych) rozwinęła, nie unikając ostrej krytyki zjawisk poprzedniego 5-lecia, program liberalizacji i wspierania twórczości, zwiększenia dopływu środków, wzbogacania mediów oraz znacznego poszerzenia dostępu do dóbr kultury w dziedzinie literatury i wydawnictw, teatru, muzyki, plastyki, muzealnictwa, rozrywki, a także przyspieszenia konserwacji zabytków.

Powołano np. stały zespół doradczy dla władzy miejskiej, złożony z wybitnych przedstawicieli środowisk nauki i kultury pod nazwą Rady Naukowej Kraków 2000, który przygotował i ogłosił perspektywiczny program rozwoju Krakowa jako metropolitalnego centrum kultury, nauki, kwalifikowanej turystyki i wysokiej jakości usług. Rozwój ten miał zarazem wpłynąć na modernizację struktury i unowocześnienie krakowskiego przemysłu i silniejsze powiązanie go z działalnością ośrodków naukowo-badawczych. Na czele rady, która zgromadziła liczne grono wybitnych uczonych i działaczy, a w późniejszym okresie przekształciła się w komisję krakowskiego oddziału Polskiej Akademii Nauk, stanęli prof. Marian Mięśowicz i prof. Witold Cęckiewicz.

Podjęta zostaje również inicjatywa opracowania Planu Zagospodarowania Przestrzennego Zespołu Miejskiego, zrealizowana w r. 1974 pod kierownictwem Krystiana Seiferta. Do planowania rozwoju Krakowa zostają włączone okoliczne miasta (Wieliczka, Skawina) i gminy. Plan ten próbuje stworzyć nową równowagę w rozwoju terytorialnym i funkcjonowaniu organizmu miejskiego, a także wzmocnić ochronę przestrzeni zabytkowej. W r. 1975 udaje się pozyskać rządowe decyzje inwestycyjne, sprzyjające poprawie systemu komunikacyjnego w centrum Krakowa. Jednakże niedostatek środków i ciągła koncentracja polskiej polityki gospodarczej na nowych inwestycjach produkcyjnych i mieszkaniowych, przy zaniedbaniu procesów rozbudowy infrastruktury miejskiej i odnawiania substancji istniejącej, nie pozwala na konsekwentne przeprowadzenie zaplanowanych wcześniej inwestycji, w szczególności w rejonie Dworca Głównego.

Powiązanie władzy centralnej z tendencjami technokratycznymi sprzyja przede wszystkim szybkiemu rozwojowi w Krakowie uczelni technicznych i ekonomicznej oraz wzmocnieniu pozycji związanych z nimi środowisk, ale jest to równocześnie okres wzmocnienia roli Uniwersytetu Jagiellońskiego, rozwoju jego bazy materialnej i związków z ośrodkami nauki światowej. W szczególności powstaje wówczas Instytut Polonijny UJ, wielki, szybko powiększający się ośrodek naukowo-dydaktyczny podejmujący badania, które wiążą Polskę ze światową Polonią, kształcący w znajomości kultury, historii i życia społecznego Polski nie tylko młodzież polonijną, lecz i studentów różnych narodowości z krajów Zachodu i Wschodu. Inicjatorem i twórcą instytutu oraz jego długoletnim dyrektorem był prof. Hieronim Kubiak. Instytut ten i jego inicjatywy szczególnie umocniły pozycję Krakowa w opinii międzynarodowej.

Kraków tego okresu w jeszcze większym stopniu niż poprzednio staje się celem wizyt międzynarodowych a także międzynarodowej turystyki. Symbolem międzynarodowej pozycji Krakowa może być ciąg konsulatów Stanów Zjednoczonych, Francji, NRF i NRD w zabytkowych kamienicach ul. Stolarskiej.

Lata 70. stają się drugim po okresie popaździernikowym '56 czasem eksplozji twórczości krakowskich środowisk, odbijającym się mocnym echem na arenie międzynarodowej i w międzynarodowych kontaktach. Dość wspomnieć o twórczości Krzysztofa Pendereckiego (w latach 1972-1987 także rektora Akademii Muzycznej), złotym okresie Starego Teatru z dziełami reżyserskimi Konrada Swinarskiego, Jerzego Jarockiego i Andrzeja Wajdy, wielkich widowiskach Krzysztofa Jasińskiego, nowym okresie twórczym i międzynarodowym sukcesie teatru Tadeusza Kantora, niezwyklej wystaw Muzeum Narodowego, (wśród nich *Polaków portret własny* oraz *Żydzi polscy*), wysunięciu się Wydawnictwa Literackiego na czoło polskiego ruchu wydawniczego (w tym m.in. olbrzymi sukces serii literatury iberoamerykańskiej oraz dwujęzycznej serii poezji światowej) i wielu innych. Rozbudowuje się krakowski ośrodek telewizyjny, wzbogacony m.in. o wielką halę – studio w Łęgu, umożliwiającą produkcję filmową na dużą skalę, a programy krakowskiej telewizji w dziedzinie teatru, rozrywki i popularyzacji kultury stanowią znaczącą pozycję na ogólnopolskiej antenie.

Reforma administracyjna Polski wprowadzająca w r. 1975 strukturę 49 województw i likwidująca powiaty, narzucona arbitralnie, bez publicznej dyskusji, podzieliła region krakowski, lecz zachowała dla aglomeracji miejskiej prawa wojewódzkie, co miało duże znaczenie dla możliwości dalszego budowania metropolitalnej pozycji Krakowa.

Równocześnie wyraźnie dochodzi do głosu w środowiskach inteligenckich, ale i w ośrodkach krakowskiej władzy, zrozumienie niebezpiecznego konfliktu między nowoczesnymi, metropolitalnymi szansami rozwoju ośrodka miejskiego a ciągłym centralnym naciskiem na wzrost produkcji przemysłu surowcowego, skoncentrowanego w Nowej Hucie i Skawinie. Do tego dołącza się dodatkowe zagrożenie ekologiczne Krakowa jako uboczny skutek działania powstającego w niewielkiej odległości giganta metalurgicznego – Huty Katowice. Narasta niebezpieczeństwo katastro-

fy ekologicznej, trwałego zagrożenia zdrowia ludności miejskiej, a także zniszczenia zabytkowej substancji Krakowa decydującej o jego wartości dla narodowej kultury i międzynarodowej atrakcyjności.

Rodzą się próby zrównoważenia nacisku lobby technokratycznego, przekonania władzy i elit do myślenia szerszymi kategoriami i podjęcia wysiłku zapobiegającego katastrofie, przywracającego równowagę w rozwoju ośrodka miejskiego. Obok postulującej to w sposób całościowy Rady Kraków 2000 formułowaniem wskazań dotyczących ochrony substancji zabytkowej zajmuje się powołana przy prezydencie Krakowa, niewielka Rada Ochrony Zabytków pod przewodnictwem rektora Politechniki Krakowskiej, prof. Władysława Muszyńskiego z przeważającym udziałem naukowców z tejże uczelni, wśród nich ogromnie zaangażowanego prof. Janusza Bogdanowskiego. Domaga się ona szczególnie przestrzegania nowoprzyjętej na forum międzynarodowym Karty Weneckiej. Podobne zabiegi czyni działający z wielką dynamiką, bardzo popularny także jako indywidualność telewizyjna i mający wpływ na władzę, profesor Politechniki Wiktor Zin.

W powiązaniu z wieloletnimi działaniami polskiej dyplomacji kulturalnej na arenie międzynarodowej, szczególnie prof. Krzysztofa Pawłowskiego, udaje się w czerwcu 1978 wpisać krakowskie Stare Miasto z Wawelem i Kazimierzem, a także najstarszą kopalnię soli w Wieliczce na niezwykle prestiżową, pierwszą i liczącą zaledwie 12 pozycji, listę Światowego Dziedzictwa Kultury i Przyrody firmowaną przez UNESCO. Ten ogromny dowód uznania wartości dziedzictwa kulturalnego Krakowa i Polski znacznie ułatwił nie tylko ochronę krakowskich zabytków, ale przede wszystkim wsparł wysiłki tych, którzy widzieli kulturalny Kraków jako europejską metropolię i do tego dążyli.

Na tej fali, wykorzystując równocześnie swoją szczególną pozycję w systemie władzy centralnej (został w grudniu 1977 na krótko zesłany do Krakowa na funkcję I sekretarza Komitetu, po konflikcie w łonie rządu z ówczesnym premierem) Kazimierz Barcikowski uzyskuje zgodę Edwarda Gierka na powołanie ogólnopolskiego Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa na czele z przewodniczącym Rady Państwa, prof. Henrykiem Jabłońskim. Komitet ten w r. 1985 otrzymuje silny i trwały fundament finansowy w postaci ustawy sejmowej o Narodowym Funduszu Rewaloryzacji Zabytków Krakowa, przyjętej dzięki inicjatywie wybitnych działaczy państwowych – prof. Henryka Jabłońskiego, dr. Kazimierza Barcikowskiego i prof. Kazimierza Secomskiego. Zaczyna się proces trwającej do dziś systematycznej i na wielką skalę odnowy krakowskich zabytków i zabytkowej przestrzeni miejskiej. Staje się to zjawiskiem na skalę światową, podstawą przyciągania do Krakowa międzynarodowej turystyki i międzynarodowego zainteresowania, dając m.in. wspaniałą scenerię dla wielkich wydarzeń kulturalnych. Forum Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa staje się też miejscem nieśmiałego z początku, a potem coraz żywszego protestu przeciw naruszaniu przez wielki przemysł równowagi ekologicznej miasta i niszczeniu substancji zabytkowej.

W tym samym okresie dochodzi do historycznego wydarzenia o charakterze międzynarodowym, związa-

nego ściśle z Krakowem, jego środowiskiem duchowym i kulturalnym. Na Stolicę Apostolską zostaje powołany jako papież Jan Paweł II dotychczasowy metropolita krakowski, charyzmatyczna postać w życiu publicznym Krakowa i Polski, kardynał Karol Wojtyła. Wywołuje to natychmiast światowe zainteresowanie Krakowem jako krajobrazem kulturalnym i środowiskiem duchowym, w którym ukształtował się przyszły zwierzchnik i przewodnik światowego Kościoła katolickiego. Następuje seria pielgrzymek Jana Pawła II do kraju ojczystego, w czasie których wizyta w rodzinnym Krakowie jest zawsze punktem centralnym, czyniącym Kraków miejscem dobrze znanym opinii całego świata. Postać papieża-Polaka, krakowskiego studenta, robotnika, aktora podziemnego teatru i wybitnej postaci kulturalnego ruchu oporu w czasie niemieckiej okupacji, a następnie księdza i biskupa staje się przedmiotem szczególnego zainteresowania, a następnie i kultu. Oddziaływanie Jana Pawła II jest ważnym czynnikiem wielkiej zmiany ustrojowej w Polsce i w Europie, a zarazem jednym z fundamentów pogłębienia przez Kraków pozycji metropolitalnej w Europie.

Przełom lat 70. i 80. staje się dla Krakowa w ogóle punktem zwrotnym w postawach środowisk społecznych i elit, także w polityce władz miejskich, wzmacnia i utrwala tendencje prowadzące do nadania miastu charakteru metropolii i zharmonizowania rozwoju miejskich środowisk i struktur.

Właściwa Krakowowi próba porozumienia władzy, w której do głosu dochodzą liberałowie, z organizującą się od r. 1976 i rosnącą w siłę opozycję daje między innymi rezultat w postaci uznania wybitnej roli ruchów ekologicznych i przyjęcia ich postulatów. Decyzją wszystkich władz krakowskich i w rezultacie ich nacisku na rząd dochodzi w r. 1981 do zlikwidowania szczególnie szkodliwej dla zdrowia krakowian produkcji surowcowej Huty Aluminium w Skawinie oraz podjęcia pierwszych kroków do zmniejszenia szkodliwych emisji Huty im. Lenina.

Rada Miasta przyjmuje uchwałę programową określającą Kraków jako miasto nauki, kultury, kwalifikowanej turystyki, wysokich usług, wskazuje kierunki zrównoważonego rozwoju, ograniczania przemysłu surowcowego, radykalnej ochrony środowiska i odnowy substancji zabytkowej jako głównej wartości miasta. Te strategiczne wytyczne krakowskiej władzy stają się podstawą opracowania i przyjęcia nowego Ogólnego Planu Przestrzennego Zagospodarowania Miasta opracowanego pod kierownictwem Zygmunta Ziobrowskiego. Dalsze przekształcenia planu, dokonywane pod tym samym kierownictwem, miały na celu umocnienie metropolitalnych funkcji Krakowa.

Jednak wprowadzenie stanu wojennego oddaje władzę i inicjatywę w mieście na kilkanaście miesięcy w ręce aparatu przemocy, po czym następuje okres społecznej frustracji i stagnacji, aby dopiero pod koniec lat 80. ustąpić miejsca nowym, tym razem w skali ogólnopolskiej, próbom porozumienia i kompromisu prowadzącego na drodze demokratycznej do wielkiej zmiany ustrojowej po Okrągłym Stole i wyborach parlamentarnych w czerwcu 1989 r.

Rozwijają się w tym czasie nowe przesłanki i nowe instytucje prowadzące Kraków do pozycji

i strategii metropolitalnej, a inicjatywa w tej mierze przesuwana się ku dotychczasowym środowiskom opozycyjnym, które obejmują władzę w Polsce i w mieście. Jej istotą staje się powrót systemu samorządowego i wyłonienie w wolnych wyborach nowych władz miejskich. Wiążą się z tym także elementy kontynuacji inicjatyw wcześniejszych, ale i ujawniają sprzeczności wewnątrz rozbitej rady miejskiej i skłóconych ugrupowań ją stanowiących, co wywołujące paraliż decyzyjny.

Wielkim krokiem w budowaniu metropolitalnej pozycji Krakowa stało się odbyte w maju 1991 r., już w warunkach Polski w pełni suwerennej i demokratycznej, sympozjum Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie poświęcone dziedzictwu kulturalnemu Europy. Był to rezultat polskiej inicjatywy dyplomatycznej, podjętej w trakcie spotkania państw sygnatariuszy Aktu Końcowego KBWE w r. 1986, proponującej zorganizowanie za pięć lat w Krakowie takiego właśnie sympozjum, uświadamiającego wielość wątków kulturalnych zbiegających się w Europie Środkowej, ciągłość tradycji kulturalnej i różnicowanie jej wykorzystania.

Sympozjum zgromadziło delegacje państw sygnatariuszy Aktu Końcowego KBWE z ministrami kultury i edukacji, przedstawicielami instytucji kulturalnych i twórców. W trybie wolnych dyskusji, w których reprezentowano różne poglądy odbijające głębokie zmiany ustrojowe zachodzące w Europie, opracowano dokument końcowy określający stan posiadania w sferze wspólnych dóbr europejskiej kultury materialnej i niematerialnej oraz program odnowy tego dziedzictwa, a także warunki swobodnego przepływu idei, informacji i wartości inspirujących twórczość.

Goście sympozjum obradującego w świeżo odrestaurowanym gmachu Teatru im. Słowackiego uczestniczyli także w wydarzeniach zorganizowanego w tym czasie wielkiego Festiwalu Fine Arts, który zaprezentował imprezy artystyczne europejskiej klasy, z udziałem najwybitniejszych krakowskich twórców. Odbywające się w scenerii zabytkowych, znakomicie odnowionych przestrzeni Krakowa imprezy pokazały kulturalną i duchową atrakcyjność miasta. Dobra, nacechowana nowoczesną wyobraźnią organizacja sympozjum i festiwalu, w której uczestniczyła wielka grupa młodych krakowian ze środowisk kultury i nauki, była w dużej mierze zasługą działającego zaledwie od kilku miesięcy Międzynarodowego Centrum Kultury, stworzonego i kierowanego przez prof. Jacka Purchlę. Międzynarodowa działalność centrum, nieustannie poszerzana, a skupiająca się na badaniach naukowych, edukacyjnych oraz dokumentowaniu europejskiego dziedzictwa kulturalnego i tożsamości oraz na współczesnych problemach kultury i jej związkach z gospodarką, podnosi rolę Krakowa jako europejskiej metropolii odgrywającej szczególną rolę w Europie Środkowej i Wschodniej. Centrum stało się w tej mierze instytucją dla Krakowa i Polski wręcz podstawową.

Przełom lat 80. i 90. przynosi nową falę zainteresowania Krakowem także jako miastem wielkiej poezji i poetyckiej atmosfery. Laureat Nagrody Nobla z roku 1981, Czesław Miłosz po powrocie do Polski obiera Kraków jako miejsce swego zamieszkania, ak-

tywności twórczej i oddziaływania na świat. A kiedy w r. 1996 krakowska poetka Wisława Szymborska również otrzymuje Nagrodę Nobla, Kraków staje się miejscem spotkań poetów świata i ich czytelników. Jeśli dodać do tego ówczesną sławę i oddziaływanie Stanisława Lema, a także Sławomira Mrożka, przez kilkanaście lat miasto promieniuje na świat wysokiej kultury i otrzymuje jeszcze jedną szansę przyciągnięcia międzynarodowego zainteresowania.

Lata 80. były w Krakowie okresem nowego otwarcia w stosunkach polsko-żydowskich i odnowienia, we współczesnych warunkach, wielowiekowej, żydowskiej obecności na ziemiach Polski oraz związków kulturalnych Polaków i Żydów. W r. 1987 prof. Józef Andrzej Gierowski, rektor UJ powołuje pod swoim kierownictwem Międzynarodowy Zakład Historii i Kultury Żydów w Polsce, który nawiązuje liczne międzynarodowe kontakty naukowe. W styczniu 1987 r. Jan Błoński publikuje na łamach „Tygodnika Powszechnego” artykuł pt. *Biedni Polacy patrzą na getto*, dotyczący postaw Polaków wobec Holokaustu. Artykuł wywarł wielki wstrząs moralny. W całej dekadzie lat 80. Wydawnictwo Literackie inicjuje cykl publikacji historycznych i wspomnieniowych związanych z dziejami i losem krakowskich Żydów, zapoczątkowując rozwijającą się w następnych latach wielką falę wydawnictw z tej dziedziny.

W r. 1988 dwóch działaczy kultury, entuzjastów – Krzysztof Gierat i Janusz Makuch – organizuje pierwszy Festiwal Kultury Żydowskiej. Staje się on imprezą coroczną, gromadzącą najwybitniejszych artystów z obszaru kultury żydowskiej całego świata, animujących współudział wielotysięcznej widowni w manifestacjach artystycznych, które ożywiły krakowski Kazimierz i jego odnowione zabytki. Przyczyniło się to do przeobrażenia tej najbardziej po wojnie zaniedbanej dzielnicy Krakowa w wielkie centrum kultury i turystyki, przyciągające wielomilionową rzeszę przybyszów z całego świata.

W r. 1993 z inicjatywy obywatelskiej zostaje powołane Centrum Kultury Żydowskiej, które z rosnącym rozmachem podejmuje systematyczną działalność w dziedzinie dialogu polsko-żydowskiego, zasadzoną na imprezach publicznych wysokiej próby intelektualnej, kulturalnej i artystycznej. W latach następnych powstaje kilka instytucji i przedsięwzięć działających na tym samym polu. Kraków staje się żywym centrum pamięci żydowskiej historii i kultury.

* * *

Jakkolwiek zmiana ustroju Polski, która stała się w pełni suwerennym i demokratycznym państwem prawa, a w szczególności przywrócenie systemu samorządowego wyzwoliło w Krakowie wiele inicjatyw, które otworzyły Kraków na świat i przybliżyły do roli międzynarodowej metropolii, to jednak trzeba było 10 lat, aby Rada Miasta mogła podjąć uchwałę w sprawie Strategii Rozwoju Krakowa wyznaczającą zespolenie różnorodnych inicjatyw. Strategia ta umożliwia sterowanie długookresowym, zrównoważonym rozwojem miasta w nowych warunkach ustrojowych i społeczno-gospodarczych. Określając silne i słabe strony Krakowa, i zagrożenia jego rozwoju, stawia sobie za cel poprawę jakości życia w mieście

bezpiecznym, realizującym szczegółowe programy w zakresie opieki socjalnej, mieszkalnictwa, infrastruktury technicznej i społecznej oraz odnowy środowiska przyrodniczego.

Według założeń tej strategii największym kapitałem Krakowa jest jego dziedzictwo kulturowe, które pozwoli miastu umocnić metropolitalną rolę europejskiego ośrodka nauki, kultury i sztuki, turystyki i usług, a także nowoczesnego przemysłu. Miasto powinno się stać potencjalnym miejscem inwestowania, również przez firmy światowe, lecz takiego, które zapewni zarazem rozwój infrastruktury oraz powstrzyma dekapitalizację istniejącego potencjału i zagospodarowania miasta.

Nowa Strategia Rozwoju Krakowa stara się dać miastu dobrą szansę konkurencji z innymi metropoliami krajowymi i zagranicznymi w wypełnianiu jego funkcji (w wybranych dziedzinach), a zarazem wpisać się harmonijnie w długofalową strategię rozwoju kraju i regionu małopolskiego. Za inwestycje strategiczne na najbliższy okres rada miejska uznała rozwój systemu komunikacyjnego (w tym budowę Krakowskiego Centrum Komunikacyjnego, Krakowskiego Szybkiego Tramwaju oraz mostów: Zwierzyńskiego i Kotlarskiego), a także budowę wielofunkcyjnej hali sportowej na 15 tys. widzów w Czyżynach oraz Centrum Koncertowo-Kongresowego dla 2 tys. osób w rejonie ronda Grunwaldzkiego.

Tę strategię uzupełniają w tworzeniu metropolitalnych funkcji Krakowa porozumienia władzy miejskiej z samorządem województwa i samorządami gmin okalających Kraków, tworzących Krakowski Obszar Metropolitalny. Porozumienia takie odegrały szczególną rolę w rozbudowie lotniska Kraków-Balice, położonego tuż poza granicami miasta. Rozwój komunikacji lotniczej Krakowa i połączenie lotniska z nowo zbudowanym, wciąż modernizowanym węzłem komunikacji kolejowej, autobusowej i miejskiej w samym centrum Krakowa ma zupełnie podstawowe znaczenie dla funkcjonowania miasta i wypełniania jego funkcji metropolitalnych.

Jednakże rozbięcie polityczne Rady Miasta, nacisk wewnątrz niej różnych grup interesów powoduje, że do dnia dzisiejszego nie został przyjęty plan przestrzennego zagospodarowania miasta, fundamentalny warunek harmonii rozwojowej i możliwości bycia metropolią. Sytuację ratuje, lecz tylko częściowo, wprowadzona przez ustawę sejmową zasada bezpośrednich wyborów prezydentów miast, co czyni prezydenta organem silnie niezależnym od rady i umożliwia podejmowanie decyzji wypełniających założenia strategii rozwojowej miasta.

Ale to już sprawy współczesności, a nie historycznych rozważań o dojrzewaniu Krakowa do roli europejskiej metropolii. Jednak jeszcze raz powrócić musimy do udowodnionej historycznie tezy, że przy niedostatku społeczeństwa obywatelskiego (niezależnie od ustrojowej postaci państwa) rolę decydującą w rozwoju Krakowa i jego metropolitalnej funkcji odgrywają światłe elity i światli liderzy. Ci, którzy rozumieją niezbędność przestrzegania zasady ciągłości i kontynuacji jako przesłanki dobrej zmiany.

ANDRZEJ KURZ

LESZEK POLONY

KRAKÓW MUZYCZNĄ METROPOLIĄ?

W naszej refleksji o życiu muzycznym współczesnego Krakowa cofnijmy się najpierw myślą do jego historii, bowiem płyną z niej ważne nauki. Początki publicznego życia muzycznego w naszym mieście sięgają czasów przełomu XVIII i XIX wieku. Były to czasy kryzysu i upadku polskiej państwowości, co bardzo niekorzystnie zaważyło na rozwoju życia muzycznego w XIX-wiecznym Krakowie. W Europie to stulecie przyniosło ogromny rozwój i demokratyzację kultury muzycznej. Muzyka przestała być wyłącznie rozrywką dworów i arystokracji, pozyskała szeroki krąg odbiorców w warstwie mieszczańskiej, powstawały filharmonie i teatry operowe, rozwijało się bujne życie koncertowe. Kraków pozostający pod kuratelą państw zaborczych, a potem na peryferiach państwa austriackiego borykał się jednak z zasadniczymi trudnościami i barierami rozwoju.

Wspomniane przemiany w kulturze muzycznej na przełomie XVIII i XIX w. celnie opisał Ambroży Grabowski, wspominając za pułkownikiem Wojciechem Morshynem:

„Koło r.1770 w całym Krakowie znajdowały się dwa klawikordy albo spinety, instrumenty na kształt fortepianu, na których grała starościanka Skotnicka i druga panna (...) teraz, tj. około r.1820 przyjdź do domu każdego kupca albo mieszczanina krakowskiego, a niezawodnie ujrysz córkę jego siedzącą przed fortepianem i grać się uczącą, a niezadługo przyjdzie ten czas, że już krawcówny i szewcówny muzyki uczyć się będą”.¹

Wśród pionierów krakowskiego życia muzycznego trzeba wymienić dwie postaci. Pierwszą – księżdz Wacław Sierakowski, prefekta wawelskiej kapeli katedralnej. Był autorem pierwszego polskiego podręcznika muzyki „dla młodzieży krajowej”, założył w Krakowie w 1781 roku szkołę muzyki i śpiewu, przede wszystkim jednak – organizował w swojej rezydencji Pod Zerwikapturem przy ul. Grodzkiej, na wzór francuskich *concerts spirituels*, koncerty publiczne, na których wykonywano kantaty kompozytorów polskich i włoskich. Ich publiczność przekraczała 200 osób, co było liczbą niebagatelną w 10-tysięcznym Krakowie, skoro dziś nie można niekiedy osiągnąć takiego audytorium w mieście blisko milionowym. Tak więc ksiądz Sierakowski zainicjował w Krakowie zarówno szerzej dostępną edukację muzyczną, jak i publiczne życie koncertowe.

Spśród pierwszych enterprenierów teatralno-operyowych trzeba wymienić Jacka Kluszewskiego, starostę brzegowskiego, który poczynszy od 1787 roku zaczął wystawiać w Krakowie, w specjalnie wydzierżawionym na ten cel Pałacu Spiskim opery włoskie, następnie także polskie. Kluszewski był więc zarówno twórcą krakowskiej opery jak i teatru dramatycznego; w 1798 roku przebudował na cele teatru trzy kamienice przy placu Szczepańskim, które stały się siedzibą krakow-

skiej sceny, Teatru Miejskiego, później Konserwatorium, a wreszcie Starego Teatru.

1 listopada 1817 roku można uznać za datę powstania krakowskiej filharmonii. Pod przewodnictwem ks. Sebastiana Sierakowskiego, brata Wacława, prorektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, powstało Towarzystwo Przyjaciół Muzyki. Organizowało koncerty z muzyką chóralną, symfoniczną i kameralną. Odbывały się one w sali hotelu Knotza, nazwanej później salą Saską. Wraz ze śmiercią Sebastiana Sierakowskiego w 1824 roku działalność Towarzystwa zaczęła zamierać, by wygasnąć ostatecznie w 1844 roku. Kolejne ważniejsze inicjatywy koncertowe podjęło od 1866 roku Towarzystwo „Muza” oraz w 10 lat później – jej następca, Towarzystwo Muzyczne.

Dalsze dzieje krakowskiego życia muzycznego w XIX wieku związane są szczególnie z nazwiskami Franciszka Mireckiego, ks. Marceliny Czartoryskiej i Władysława Żeleńskiego. Mirecki utworzył w Krakowie w 1838 roku szkołę śpiewu dramatycznego oraz podjął próbę reaktywowania teatru operowego. Księżna Marcelina, znakomita pianistka, uczestniczyła w koncertach „Muzy”, wykonując z orkiestrą dzieła fortepianowe Mozarta, Beethovena i Chopina, inicjowała także koncerty historyczne poświęcone muzyce polskiej. Żeleński wraz z księżną Marceliną przekształcił w 1888 roku szkołę Towarzystwa Muzycznego w Konserwatorium, inicjując w naszym mieście wyższą edukację muzyczną. Przez 40 lat odgrywał rolę muzycznego dyrektora czy zgoła muzycznego dyktatora Krakowa.

Angelica Catalani i Karol Lipiński, Franciszek Liszt i bracia Wieniawscy, Antoni Rubinstein, Józef Joachim i Johannes Brahms, Marcelina Sembrich-Kochańska, Fritz Kreisler, Pablo Sarasate, Ignacy Jan Paderewski, Wanda Landowska – oto niektóre, najważniejsze nazwiska w pocście wielkich muzyków europejskich, którzy koncertowali w Krakowie w XIX czy na początku XX wieku. A jednak trudno uchylić się od refleksji, iż życie muzyczne miasta, niekiedy ożywiające się, niekiedy znów zapadające w letarg, naznaczone było piętnem peryferyjności i prowincjonalizmu. 17 stycznia 1873 r. „Czas” pisał:

„Rzadkie miasto, gdzieby muzyka tak była zaniebana jak w Krakowie, pomimo że na każdym piętrze każdego domu najmniej jeden fortepian się znajduje. Ale fortepiana są dzisiaj meblem, który ma zastąpić dawniejsze grające zegary, szafki lub tabakierki”.²

Zaś w 1945 roku Józef Reiss w następujących słowach podsumowywał dzieje krakowskiej opery:

„Z trudem montowano nową operę, która z braku funduszków utrzymać się nie mogła i upadała; następnie znowu się dźwigała, by wreszcie ulec przemocy rzeczywistości! Ale tkwiący głęboko w »organizmie« Krakowa

¹ J.Reiss, *Almanach muzyczny Krakowa*, t.I. Kraków 1939, s. 15

² *Op. cit.*, s.87.

kompleks operowy znowu swój głos podnosił i znowu na czas jakiś zaspokajano owe tęsknoty”.³

Okres międzywojenny nie przynosi przełomu w życiu muzycznym Krakowa. Godna uwagi działalność Biura Koncertowego Eugeniusza Bujańskiego czy Dyrekcji Koncertów Władysława Bolońskiego, występy wybitnych solistów, wykonania tak znaczących dzieł nowej muzyki jak *Króla Dawida Honeggera*, *La Demoiselle flue* Debussy’ego, czy *Harnasiów* Szymanowskiego, działalność koncertowa i operowa Bolesława Wallek-Walewskiego nie zmieniają ogólnego obrazu Krakowa jako miejsciny znajdującej się „na szlaku” między centrami życia muzycznego, zwłaszcza Wiedniem i Warszawą oraz Wiedniem i Lwowem, który już w XIX wieku, jako stolica Galicji wygrywa konkurencję z dawną stolicą Polski.

Warto także zadać sobie pytanie, co wniósł w życie muzyczne Krakowa blisko 45-letni okres Polski Ludowej. Nie sposób nie odnotować tu takich ciekawych historycznych epizodów, jak dyrektura Bohdana Wodiczki (w jakże trudnych politycznie czasach), a później Henryka Czyża w krakowskiej Filharmonii, Tadeusza Ochlewskiego i Mieczysława Tomaszewskiego w powstałym po II wojnie światowej w Krakowie Polskim Wydawnictwie Muzycznym, Kazimierza Korda i Ewy Michnik w krakowskiej Operze czy też rektorowanie Krzysztofa Pendereckiego w krakowskiej PWSM, a następnie Akademii Muzycznej w latach 1972-1987. Nie można też pominąć osoby Stanisława Gałońskiego, twórcy zespołu Capella Cracoviensis oraz pierwszego krakowskiego festiwalu muzycznego o europejskim formacie: *Muzyka w starym Krakowie*. To on pierwszy sprowadził do Krakowa światowej sławy wykonawców muzyki dawnej.

Wymienione wybitne postaci wniosły niewątpliwie w życie muzyczne Krakowa powiew wielkiego świata. Można tedy sformułować pierwszy warunek „metropolitalności” ośrodka muzycznego, ważniejszy niż jakiegokolwiek warunki w sferze bazy materialnej. To rola wielkich osobowości, postaci o wybitnym formacie duchowym, intelektualnym i artystycznym, zdolnych do wywołania twórczego fermentu, kształtowania oryginalnego repertuaru, podejmowania nowych projektów, inicjowania współpracy międzynarodowej. Wynika stąd pierwszorzędna rola polityki kadrowej w instytucjach muzycznych, w szczególności obsady ich kierownictwa artystycznego. O tym będzie jeszcze mowa.

Jak na tym historycznym tle przedstawia się teraźniejszość? Doczekaliśmy się wreszcie w 2008 roku otwarcia własnej siedziby opery. Nie jest to może opera na miarę naszych marzeń w XXI wieku. *Nomen omen* nie jest to Metropolitan Opera, ale w każdym razie ta nowa siedziba stanowi dobrą podstawę dla rozwoju w Krakowie teatru muzycznego z prawdziwego zdarzenia. Marzy mi się w Krakowie teatr operowy żywy i współczesny, obejmujący repertuar operowy wszystkich epok, od baroku po nasze czasy. Zdumiewająca żywotność opery zadaje kłam twierdzeniu o śmierci tego gatunku. Wszelako jego współczesność nie jest kwestią powierzchownej teraźniejszości inscenizacji, lecz twórczego odczytania głębokich treści wybitnych dzieł operowych. Wspaniałe to pole działania dla wybitnego dyrygenta czy reżysera, znawcy opery. Na czele placówki stoi wszelako zdolny menedżer.

Przez dwa stulecia pozostawiły nas w tyle na polu opery nie tylko Warszawa, Lwów i Poznań ale ostatnio także Wrocław, w którym dyrekcję opery objęła, po wygnaniu z Krakowa, właśnie Ewa Michnik, profesor tutejszej Akademii Muzycznej. To przyczynek do atmosfery w tym dusznym mieście: z początkiem lat 70. ubiegłego stulecia Kraków rozstał się w podobny sposób z Kazimierzem Kordem, niedawno zaś w wyniku nieporozumień z lokalnymi władzami doszło do przeniesienia z Krakowa do Warszawy Wielkanocnego Festiwalu Ludwiga van Beethovena.

Stało się bardzo niedobrze. Festiwal Beethovenowski jest – moim zdaniem – najpoważniejszą obecnie międzynarodową imprezą muzyczną w Polsce. Jest mianowicie festiwalem muzycznym o najszerzej formule programowej – muzyka samego Beethovena stanowi tu bowiem punkt wyjścia dla najrozmaitszych paraleli i konfrontacji. Festiwal jest forum największych sław, recitali i koncertów najznakomitszych solistów, zespołów kameralnych i symfonicznych, a zarazem debiutów muzycznych, występów artystów różnych generacji. Towarzyszące mu sympozja, organizowane przez krakowską Akademię Muzyczną, to międzynarodowe forum muzykologiczne, na którym spotykają się najwybitniejsi przedstawiciele nauki o muzyce. Odbywające się w ramach festiwalu mistrzowskie kursy interpretacji prowadzone przez tak prominentne postaci światowej wokalistyki jak Christa Ludwig czy Teresa Berganza dopełniają obrazu tej imprezy.

W to miejsce Kraków organizuje obecnie cztery poważne, międzynarodowe festiwale muzyczne. W miejsce Wielkanocnego Festiwalu Ludwiga van Beethovena powstały Misteria Paschalia, festiwal muzyki dawnej związanej z okresem Wielkiego Tygodnia i Wielkanocą. Oferuje wyszukane, niekiedy zapoznane pozycje repertuarowe (w tym roku np. oratorium *Il Faraone Sommerso* neapolitańskiego kompozytora Francesca Nicolì Fago) oraz najwyższy światowy poziom wykonawstwa muzycznego, np. udział takich gwiazd wokalistyki barokowej jak sopranistka Maria Grazia Schiavo czy kontralt Sara Mingardo i Sonia Prina albo takich formacji muzycznych jak Wenecka Orkiestra Barokowa, I Sonatori de la Gioiosa Marca, Europa Galante czy francuski zespół Le Poème Harmonique.

W trzecim tygodniu września organizowany jest festiwal muzyki poważnej Sacrum-Profanum. Jego piąta edycja poświęcona muzyce niemieckiej, określona została na łamach „Tygodnika Powszechnego” jako „cud nad Wisłą” – z racji nadzwyczajnego jakoby w „konserwatywnym Krakowie” przyjęcia muzyki nowoczesnej w wykonaniu tak sławnych zespołów jak London Sinfonietta, Ensemble Modern, Klangform Wien, Asko, Schoenberg Ensemble – (z muzyką Hansa Wernera Henzego, Helmuta Lachenmanna, Wolfganga Rihma i Karlheinz Stockhausena). Głośnym i entuzjastycznie przyjętym przez publiczność pomysłem są finałne koncerty w „przestrzeni postindustrialnej”, czyli jednej z hal w huty im. T. Sendzimira. W rankingu tygodnika „Polityka” festiwal już dwukrotnie został uznany za najważniejsze wydarzenie muzyczne roku. Miano wydarzenia roku 2008 przyznała mu także „Gazeta Wyborcza”, wysoką ocenę zyskał ponadto w opinio-
twórczym brytyjskim miesięczniku „Gramophone”.

³ A. Woźniakowska, *Czy Kraków zasługuje na operę?*, Kraków s. 13.

Uznanie zdobył sobie także Festiwal Muzyki Polskiej zainicjowany przez redaktora naczelnego PWM Andrzeja Kosowskiego we współpracy ze Stowarzyszeniem Muzyki Polskiej. Ideą festiwalu jest promocja muzyki polskiej wszystkich epok, wydobywanie z zapomnienia wartościowych dzieł, przy tym zaś zapewnienie rodzimej muzyce wykonania na światowym poziomie. W konsekwencji owocem imprezy jest wprowadzanie muzyki polskiej do repertuaru najwybitniejszych zespołów i solistów, w krwioobiegu międzynarodowego życia muzycznego. Tak więc mieliśmy okazję usłyszeć na przykład słynną brytyjską orkiestrę Academy of St. Martin-in-the-Fields w *Serenadzie* Karłowicza czy w *Orawie* Kilara, amerykański Kronos Quartet w kwartetach smyczkowych Pendereckiego, Mykietyna, Lutosławskiego i Góreckiego, czy wreszcie Nigela Kennedy'ego w *Koncertach skrzypcowych* Młynarskiego i Karłowicza. Festiwalowi towarzyszą okolicznościowe wystawy, spotkania z wykonawcami, kursy mistrzowskie, sesja naukowa poświęcona muzyce polskiej. Przy ściśle ukierunkowanym profilu, jakże doniosłym z punktu widzenia rodzimej kultury muzycznej, jest to festiwal o szerokiej formule programowej, stawiający sobie ambitne cele kulturotwórcze, upowszechnieniowe, edukacyjne.

Ten pobieżny przegląd festiwalowego ruchu muzycznego stwarza istotnie wrażenie metropolitalności. Powstaje wszakże pytanie: czy codzienne życie koncertowe nie odbiega nazbyt od tego świątecznego poziomu? A ponadto czy Kraków nie rozprasza nazbyt swoich ograniczonych środków finansowych? To jakoby ich brak doprowadził do konfliktu władz miejskich z organizatorami Wielkanocnego Festiwalu Ludwiga van Beethovena. Z niedostatkiem środków finansowych zmagali się ustawicznie organizator Muzyki w starym Krakowie Stanisław Gałoński. Czy zatem nie lepiej skoncentrować środki na jednej wybranej imprezie, która przyniesie muzycznemu Krakowowi szczególną renomę: jak Wroclavia Cantans Wrocławowi, zaś Warszawska Jesień Warszawie?

Powstaje również pytanie o profil poszczególnych festiwali, przyswiecającą im myśl programową i ich kulturowy sens. Tygodniowy cykl koncertów z udziałem najznakomitszych zespołów i solistów, nawet ukierunkowany repertuarowo, nie jest jeszcze festiwalem muzycznym w pełnym rozumieniu tego pojęcia. Jest bardziej przedsięwzięciem marketingowo-biznesowym z dziedziny importu artystycznego niż wydarzeniem kulturowym.

Najtrudniej jest mi mówić o własnym podwórku, to jest krakowskiej Akademii Muzycznej. Ujmę jej rozwój od momentu założenia w Krakowie Konserwatorium Towarzystwa Muzycznego wiele mówiącą metaforą: od Żeleńskiego do Pendereckiego. To niewątpliwie rozwój od lokalności do uniwersalności. Nie ulega wątpliwości wysoka renoma niektórych kierunków nauczania: kompozycji, teorii muzyki, wielu dyscyplin instrumentalnych. Szczególna rola i znaczenie krakowskiego środowiska kompozytorskiego na czele z Krzysztofem Pendereckim zaznaczają się już od lat 60. ubiegłego stulecia. Dzięki działalności krakowskiej szkoły teorii muzyki pod kierownictwem światowej sławy chopinologa Mieczysława Tomaszewskiego, Akademia Muzyczna urosła także do rangi ważnego ośrodka myśli muzykologicznej. To wszystko decyduje o coraz większym napływie studen-

tów z zagranicy, w tym z krajów Dalekiego Wschodu, Japonii, Korei, Chin. Rozwija się wymiana zagraniczna studentów i profesorów. Wielkie kariery wirtuozowskie zdarzają się z natury rzeczy rzadko, talenty nie rodzą się na kamieniu, ale warto w tym kontekście nadmienić, iż absolwenci Wydziału Instrumentalnego zasilają zarówno orkiestry krajowe jak i zagraniczne, by wspomnieć przykładowo koncertmistrzów Filharmonii Berlińskiej Daniela Stabrawę, czy filharmonii w Lille Stefana Stałanowskiego.

Trzeba też dodać, iż Kraków utrzymał i rozwinął w czasach przemian ustrojowych znaczącą rolę jako ośrodek edytorstwa muzycznego w postaci Polskiego Wydawnictwa Muzycznego. Graniczy to właściwie z cudem, bowiem w ciągu tych 20. lat ta zasłużona instytucja była ciągle wystawiana na rozmaite niebezpieczeństwa, kilkakrotnie stając się po prostu partyjnym łupem. Pełna edytorskiej inwencji działalność jej obecnego redaktora naczelnego Andrzeja Kosowskiego zdobyła sobie powszechne uznanie w środowisku muzycznym. Pod jego egidą wydawnictwo w wydatny sposób rozwinęło działalność w kraju i na międzynarodowym rynku wydawniczym.

Przemiany po 1989 roku stworzyły niewątpliwie nowe szanse rozwoju Krakowa jako ośrodka muzycznego. Czy uczyniły z Krakowa metropolię muzyczną? Kraków posiada ku temu wszelkie atuty: środowisko wybitnych kompozytorów, muzyków-wykonawców i muzykologów; cenione w świecie wydawnictwo muzyczne; uczelnię muzyczną uzyskującą czołowe pozycje w rankingach uczelni artystycznych; orkiestrę filharmoniczną, którą – jak dowiódł jej nowy szef Paweł Przytocki – stać na wysoki poziom artystyczny; ciekawy, prężnie rozwijający się ruch festiwalowy. Sądzę jednak, że ambitne zadanie dorównania znaczącym europejskim ośrodkom życia muzycznego stoi ciągle jeszcze przed nami. Gdy idzie o bazę życia muzycznego, nie spełniliśmy dotąd warunków jego realizacji. Po wybudowaniu siedziby opery, jak i wcześniejszym pozyskaniu przez Akademię Muzyczną lokalu przy ul. Św. Tomasza, problemem pozostaje ciągle brak nowoczesnych sal koncertowych tak dla muzyki symfonicznej jak i kameralnej. Dawny Dom Katolicki, świetnie zaadaptowany na potrzeby filharmonii, pozostaje własnością Kościoła. Nie chciałbym wywoływać wilka (w tym wypadku wilka w ornacie) z lasu, ale obawiam się, że dzierżawa budynku prędzej czy później może zostać instytucji nagle wymówiona.

Znacznie ważniejszym wydaje mi się wszakże klimat, w jakim rozwija się życie muzyczne. Składają się nań najrozmaitsze czynniki, począwszy od zainteresowań samej publiczności, poziomu ogólnej kultury muzycznej poprzez atmosferę i styl pracy w instytucjach muzycznych, aż po politykę władz miasta, w tym, *last but not least* odpowiednie dotacje finansowe. Raz jeszcze pragnę wskazać podkreślić rozstrzygającą rolę wielkich osobowości artystycznych. Konflikt wokół kierownictwa krakowskiej Filharmonii i ostateczna rezygnacja jednego z najwybitniejszych polskich dyrygentów Tadeusza Strugały z objęcia dyrekcji tej instytucji to najgorszy z możliwych przykładów fatalnego klimatu – nie tyle z powodu złej woli, co ignorancji. Obok biedy, to ona najczęściej niszczyła w naszym mieście życie muzyczne.

CZESŁAW BANACH

POLSKA SZKOŁA: WYZWANIA I OCZEKIWANIA

„Szkoła jest podstawową instytucją edukacyjną.
[...] Podwyższenie jakości wszystkich aspektów
wychowania szkolnego powinno być podstawowym
celem kierownictwa politycznego każdego kraju, nie-
zależnie od warunków”.

Raport UNESCO *Edukacja: jest w niej ukryty skarb*

„Idzie era szkoły”
Peter S. Drucker

Konstatacje

Szkoła – jako podstawowa i powszechna instytucja edukacyjna jest wartością społeczną oraz wielofunkcyjnym systemem kształcącym i społecznym.

– Transformacja systemowa oraz integracja europejska i procesy globalizacji wymagają odpowiedzialnego określenia celów, funkcji oraz cech szkoły – dziś i w przyszłości, a także zapewnienia jej warunków do ich efektywnej realizacji.

– Szkoła nie nadąża w sposób zadowalający za charakterem zmian społecznych, naukowych, gospodarczych i kulturowych oraz potrzebami, prawami, powinnościami, a także oczekiwaniami młodzieży i dorosłych.

– Szkoła nie jest wystarczająco zorientowana na wielostronne kształtowanie i samodzielny rozwój oraz funkcjonowanie praktyczne człowieka. Dominuje w niej funkcja kształcąca nad funkcjami ogólnorozwojowymi i socjalizacyjnymi. Za dużo w niej teorii, a za mało praktyki w kształtowaniu osobowości 5 mln 600 tys. uczniów, ich umiejętności oraz planów edukacyjnych, zawodowych i życiowych.

Przyczyny słabości i krytyki szkoły

Różne „nauki o szkole” badają jej zadania i metody pracy oraz ukazują związki z radykalnie zmieniającymi się wyzwaniami rzeczywistości, a przede wszystkim z programowymi wymaganiami i oczekiwaniami społecznymi.

Edukacja i szkoła wymaga przemyślanych reform i zmian, wynikających z potrzeb i zadań społeczeństwa, transformacji ustrojowej oraz wyzwań i zadań współczesnych procesów integracyjnych, rewolucji informacyjnej, „społeczeństwa wiedzy” i „gospodarki opartej na wiedzy”.

Zmiany ustaw oraz programów rozwoju edukacji i szkół są zbyt częste, oscylują między centralizacją a decentralizacją, a także mierzeniem ilościowym i jakościowym efektów dydaktyczno-wychowawczych.

Nauki o szkole

Proces upowszechniania i uspołeczniania szkoły w świetle „nauk o szkole” oraz jej efektywności pedagogicznej oznacza:

- decentralizację i demokratyczność kierowania i zarządzania szkołą, efektywną realizację „podstaw programowych” oraz programów i podręczników;
- stwarzanie wewnątrzszkolnego systemu kierowania i zarządzania oraz rozwój samorządności uczniowskiej, nauczycielskiej i rodziców, a także planowanie i ocenianie szkoły z udziałem wszystkich jej przedmiotów;
- wzbogacanie teorii i praktyki wychowania patriotycznego, obywatelskiego i regionalnego oraz europejskiego.

Chociaż obecnie więcej uwagi poświęca się kształtowaniu umiejętności i celom wychowawczym szkół, to jednak stosują one często środki i metody, które nie wyrównują w pełni szans edukacyjnych. Jedną z przyczyn słabości szkoły jest sposób funkcjonowania „lokalnej polityki oświatowej”.

Pojawiają się opinie pedagogów, psychologów, filozofów i socjologów o tym, że szkoła przygotowuje uczniów do rozwiązywania testów i egzaminów, a nie do rozwiązywania problemów i kształtowania swoich osobowości. Dlatego T. Lewowicki¹ konstatuje:

„Zarzuca się szkole [...] rażącą dysfunkcyjność, hamowanie rozwoju osobowości uczniów, ograniczanie jej podmiotowości i wolności, utrudnianie nieskrępowanej aktywności poznawczej i twórczej, budzenie lęku i nudy”.

Dysponujemy dziś bogatą literaturą na temat szkoły współczesnej. W opracowanej przeze mnie *Bibliografii wydawnictw zwartych 1985-2005 o współczesnej szkole*² zamieściłem 450 pozycji zwartych. Jednak tysiące nauczycieli, pracowników naukowych oraz przedstawicieli 100-tysięcznej armii pełniących funkcje kierownicze w oświacie nie ma często dostępu do literatury, a przede wszystkim chęci jej studiowania. W systemie doskonalenia nauczycieli i dyrektorów pospieszenie i nadmierne ekspozycja zajęcia warsztatowe i przedmiotowe.

Należy jednak stwierdzić, że reforma systemu edukacji poszerzyła przedmiotowość, samodzielność i autonomię szkół i dyrektorów oraz unowocześniła system kierowania i zarządzania nadzoru pedagogicznego i organów prowadzących szkoły. Czynnikiem sprzyjającym poprawie warunków i jakości pracy szkół oraz wyrównywania szans edukacyjnych będzie to, że w latach 1995-2015 zmniejszy się liczba dzieci i młodzieży w wieku 7-18 lat z 7274 do 4734 tys.³, natomiast problemem stanie się konieczność zmniejszenia liczby zatrudnionych nauczycieli.

Nauczyciele o polskiej szkole

Nauczyciele dość nisko oceniają kondycję polskiej szkoły oraz pozytywny proces jej zmiany, a także warunki ekonomiczne szkół i nauczycieli. Za najważniejsze słabości i wady szkoły nauczyciele uznają:

- niedostatek środków materialnych i finansowych,
- przeładowane programy i słabo określone standardy,
- istnienie wielu przeszkód w stosowaniu nowoczesnych metod i środków dydaktycznych,

- słabość systemu edukacji nauczycielskiej w uczelniach oraz systemu doskonalenia nauczycieli i oświatowej kadry kierowniczej,
- niezadowalający stopień demokratyzacji w szkole oraz bierność społeczna młodzieży,
- nastawienie części nauczycieli tylko na realizację zadań dydaktycznych i niedocenywanie roli pozostałych celów oraz funkcji i zadań szkoły,
- małą atrakcyjność szkoły w porównaniu do innych źródeł informacji, a także organizacji edukacyjnych i wychowawczych.

Środowisko nauczycielskie ma przeświadczenie o spełnianiu ważnej funkcji społecznej, zaś przyczyn porażek i słabości szkoły dopatruje się przede wszystkim w czynnikach zewnętrznych.

Z badań E. Putkiewicz i innych⁴ wynika, że „Więcej niż 50 proc. respondentów (nauczycieli) uważa, że szkoły nie uczą samodzielnego myślenia, 50, że nie rozwijają zainteresowań, 40 proc., że nie zapewniają równego startu uczniom pochodzącym z różnych środowisk. Prawie co piąty nauczyciel wątpi w to, że szkoła zapewnia uczniom wysoki poziom wiedzy”.

Model szkoły wielofunkcyjnej wymaga więc nowych, odważnych i odpowiedzialnych działań oraz świadomości tego, że słabości i dysfunkcje życia w szkole znajdują odzwierciedlenie w treściach i metodach pracy oraz w systemie jej organizacji, a także w egzekwowaniu jej celów i zadań.

Uczniowie o polskiej szkole

Mimo nieustających prób reformowania szkoły niewiele zmienia się na korzyść w opinii uczniów o szkole, dlatego ich zdaniem, a także rodziców nadmiernie poszerza się edukacja korepetycyjna. Zarzuty młodzieży pod adresem szkoły dotyczą:

- relacji nauczyciel – uczeń, która uznawana jest w większości nie za podmiotową, a za przedmiotową i nakazowo-dyrektywną,
- nieatrakcyjności programowej i metodycznej szkoły, co stanowi krytykę programu nauczania i podręczników oraz dominacji kształcenia werbalnego i encyklopedycznego, a także niezadowalającego realizowania oczekiwań i potrzeb oraz postulatów młodzieży,
- niezadowalającego wyposażenia szkół, w stosunku do wymagań programowych oraz stosowania metod i zasad nowoczesnej dydaktyki,
- małej aktywności społecznej szkoły w środowisku lokalnym,
- niewystarczającej troski o zdrowie i rozwój fizyczny uczniów.

Opinie uczniów o szkole są bardziej krytyczne niż nauczycieli. Uczniów charakteryzuje przeciążenie, lęk, zagrożenie oraz przedmiotowe traktowanie. Dlatego znaczna część młodzieży ucieka w prywatność i przejawia niechęć do angażowania się w życie zbiorowości szkolnej i środowiska.

Równocześnie większość uczniów oczekuje w szkole na dialog, podmiotowość i wsparcie w różnych problemach życiowych i edukacyjnych. W książce D. Chętkowskiego⁵ uczniowie stwierdzają:

¹ Lewowicki T., *Przemiany oświaty*, Warszawa 1994, s.85.

² Banach C., *Bibliografia wydawnictw zwartych 1985-2005 o współczesnej szkole*, Warszawa 2005.

³ Stępniewski I., *Zmiany demograficzne w populacji szkolnej oraz przewidywana liczba uczniów*, Warszawa 2002.

⁴ Putkiewicz E. i inni, *Nauczyciele w przeddzień reformy edukacji. Raport z badań*, Instytut Spraw Publicznych, Warszawa 1999, s. 83.

⁵ Chętkowski D., *Z budy. Czy spuścić ucznia z łańcucha*, Kraków 2003, s.70, 162.

„Plan wychowawczy szkoły to fikcja. [...] nie przystosowują nas do dorosłego życia, [...] czujemy się samotni, nierozumiani, przytłoczeni trudnościami”. Chętkowski kontynuuje: „Rośnie pokolenie, które nie identyfikuje się ze szkołą. A rodzice? Nie mają czasu rozmawiać, patrzą na stopnie, reszta ich nie interesuje. Jest problem tylko wtedy, gdy stopnie są złe”.

Młodzież oczekuje w szkole na dialog i samorządność oraz możliwość wpływania na to, co ma i powinno się dziać w szkole, a o czym traktują cele i programy dydaktyczno-wychowawcze oraz literatura o szkole, nauczycielach i uczniach. Sytuację pogarsza również to, że większość rodziców rzadko wyraża oficjalne oceny i postulaty pod adresem szkoły oraz niechętnie angażuje się w różnorodną pomoc. Prawie nie funkcjonują w szkołach programy i formy tzw. „pedagogizacji rodziców”. Wielu z nich stwierdza, że jest gorzej niż było kiedyś.

O programach rozwoju szkoły

Wielu specjalistów zarządzania i kierowania zwraca uwagę na różne koncepcje i elementy „programów rozwoju szkoły”, a także na potrzebę oceny ich realizacji, monitoringu i ewaluacji. Zaświadczają o tym szczególnie następujące prace: Dzierzgowska I., Wlazło S., *Mierzenie jakości szkoły podstawowej, poradnik*, Warszawa 2000; Elsner D., *Kierowanie zmianą w szkole. Nowy sposób myślenia i działania*, Warszawa 2005; Nalaskowski A., *Niepokój o szkołę*, Kraków 1995; Nowosad I., *Perspektywy rozwoju szkoły. Szkice z teorii szkoły*, Warszawa 2003; Pielachowski J., *Organizacja i zarządzanie oświatą i szkołą*, Poznań 2007; Radziwiłł A., Jakubowski J., Sawicki M., w rozmowie z K. Romanowską, *Dobra szkoła. Szkoła w życiu – życie w szkole*, Warszawa 2004; Szempruch J., *Planowanie rozwoju szkoły*, Lublin 2007; Kropiwnicki J. (red.), *Szkoła w rozwoju*, Jelenia Góra 2000; Śliwerski B., *Program wychowawczy szkoły*, Warszawa 2001; Witek S., *Zarządzanie reformowaną szkołą*, Warszawa-Kraków 2000.

Podobnie *Standardy oceny jakości pracy szkół i placówek* znajdują się w wielu pracach pedagogicznych oraz w rozporządzeniu MEN. Załącznik rozporządzenia Ministra Edukacji Narodowej i Sportu z dnia 23 kwietnia 2004 r. *Standardy oceny jakości pracy szkół i placówek*⁶ zawiera 16 standardów oceny jakości szkoły w czterech częściach oraz 151 przykładowych wskaźników.

K. Denek⁷ uznaje taką szkołę za dobrą, która „stymuluje rozwój dzieci i młodzieży, aktywizuje młode pokolenie i przygotowuje je do funkcjonowania w realiach gospodarki rynkowej:

- uczy współpracy i porozumienia,
- wprowadza w trudny świat przeżyć dzieci i młodzieży,
- buduje u młodych ludzi harmonię, kulturę i wrażliwość na prawdę, piękno i miłość,
- uczy, jak pięknie żyć,
- zapoznaje z technikami kierowania sobą,
- uczy skutecznego uczenia się i zapamiętywania,
- uczy, jak należy się uczyć, doskonalić, postępować w życiu i dokonywać samokontroli,
- uczy samooceny i samodzielności”.

W pracy *Polska szkoła i system edukacji. Przemiany i perspektywy*⁸ przedstawiłem model szkoły uczącej się i otwartej – „szkoły przyszłości”, którą charakteryzują następujące cechy i działania:

1. „Samorządność i podmiotowość jako przeciwieństwo służebności szkoły skrępowanej przez gospodarkę i politykę,
2. indywidualizacja nauczania – uczenia się wielostronnego,
3. swoboda poszukiwań, poznawanie praw człowieka, pluralizm, tolerancja, wieloświatopoglądowość,
4. motywowanie i stymulowanie w poszukiwaniu wiedzy, zdobywaniu umiejętności oraz doświadczeń,
5. otwarcie na wyzwania cywilizacyjne i problemy „małych ojczyzn”,
6. znacząca rola inicjatyw uczniowskich, ich działań samorządowych i samowychowawczych oraz uczestnictwa w życiu społecznym środowiska i kraju,
7. zapewnienie równości startu i szans edukacyjnych całej młodzieży,
8. stosowanie obok tradycyjnych metod i środków dydaktycznych także nowoczesnych metod, przygotowania do autoedukacji” (s. 112).

Reformowanie szkoły oraz kształtowanie jej kultury pedagogicznej i organizacyjnej stanowi proces wielopłaszczyznowy i ustawiczny. Problematykę cech połączonych szkoły przedstawiłem w pracy *Szkoła naszych oczekiwań i marzeń, potrzeb, projekcji i działań od A do Ż*⁹. Znalazło się w niej 200 cech i zadań oraz różne obszary szkolnych powinności i praw. Wszystkie one powinny być przedmiotem badań, ocen i projekcji oraz efektywnych działań. Bez ideałów i wartości oraz celów, reguł życia i mądrej organizacji pracy nie będzie możliwa jakościowa zmiana szkoły, a także jej akceptacja społeczna.

Oczekiwana przez nauczycieli, studentów, uczniów i pracowników nauki jest szkoła aksjologiczna, aktywizująca, autonomiczna, demokratyczna, efektywna, etyczna, gospodarna, humanitarna, indywidualizująca, innowacyjna, kompetentna, multimedialna, nowoczesna, obiektywna, patrząca w przyszłość, radosna, środowiskowa, uspołeczniona i upodmiotowiona, wychowująca i życzliwa. Jednak szkoła zmienia się ciągle zbyt wolno jako system społeczny i organizacyjny oraz samorządne środowisko społeczno-pedagogiczne.

Szkoła jako organizacja ucząca się i system społeczno-pedagogiczny

„Współczesna szkoła wymaga gruntownej odnowy. [...] Nauka o nowoczesnej szkole powinna mieć charakter interdyscyplinarny, wielofunkcyjny polimetodyczny” – pisze Józef Kuźma¹⁰

Szkoła – jako organizacja ucząca się i efektywny system społeczno-pedagogiczny – jest ważnym miejscem dla uczniów w procesie ich rozwoju i przygotowania do życia. Stanowią ją uczniowie, nauczyciele, pracownicy administracji i obsługi oraz rodzice i środowisko lokalne. Powinny być one zintegrowane w realizacji

⁶ *Standardy oceny jakości pracy szkół i placówek*, Minister Edukacji Narodowej i Sportu z dnia 23 kwietnia 2004 r.

⁷ Denek K., *O nowy kształt edukacji*, Toruń 1998, s.69.

⁸ Banach C., *Polska szkoła i system edukacji*, Toruń 1997.

⁹ Banach C., *Szkoła naszych oczekiwań i marzeń, potrzeb, projekcji i działań od A do Ż*, Poznań 2005.

¹⁰ Kuźma J., *Nauka o szkole*, Kraków 2005.

wspólnych celów, a także mieć zapewnione warunki do wypełniania zadań i potrzeb, praw i powinności.

W opiniach i ocenach funkcji i zadań oraz cech szkoły przeważa krytycyzm i ostrożna nadzieja.

Konkluzje i wnioski

„Szkoła jest przede wszystkim dla ucznia” (Zygmunt Mysłakowski).

1. Szkoła – jako społeczność i organizacja – powinna mieć świadomość, że darzona jest zaufaniem, ale jest ciągle postrzegana w sposób krytyczny w płaszczyźnie metod i środków działania.

2. Szkoła powinna skuteczniej wspomagać wielostronny rozwój uczniów i kształtowanie ich świata wartości oraz scalać oddziaływanie różnych źródeł wiedzy. „Programy rozwoju szkoły” powinny być zintegrowane ze środowiskiem rodzicielskim i lokalnym. Aby kreować „szkołę przyszłości” powinniśmy efektywnie wykorzystać wyniki badań naukowych i ruchu innowacji pedagogicznej, w tym nauk o edukacji, szkole i uczelni oraz o aspiracjach i dylematach współczesnych Polaków.

3. Rozwój samorządności i demokracji w szkole wymaga zapewnienia nauczycielom, młodzieży i rodzicom bieżącej informacji na temat planów i działań oraz sposobów ich oceniania i wartościowania.

4. W praktyce kreowania szkoły dobrze zorganizowanej mieścić się powinno wiele wartości i cech, a szczególnie takich jak: humanistyczne i holistyczne podejście do zadań, wielostronna aktywność uczniów, podmiotowość, indywidualizacja procesu nauczania – uczenia się, samorządność i umiejętność współpracy, swoboda poszukiwań i służba prawdzie, demokracja i poznawanie świata, aby lepiej go rozumieć i kierować sobą, dążność do zapewnienia równego startu i szans edukacyjnych młodzieży, troska o zdrowie i rozwój fizyczny wychowanków.

5. Sfery materialno-ekonomiczna i organizacyjna szkoły wymagają szczególnej ochrony w sytuacji ciągle niezadowolającego udziału edukacji w produkcie krajowym brutto oraz ubożenia wielu rodzin.

6. Nauczyciele, uczniowie i rodzice powinni być świadomi ocen stanu szkoły dokonywanych przez siebie, nadzór pedagogiczny i organy prowadzące szkoły oraz nauki o wychowaniu, aby stwarzać warunki do odpowiedzialności za organizację pracy i życia w szkole.

Wielość programów i podręczników do wyboru przez szkołę to szansa i zarazem poważny problem wymagający namysłu, odpowiedzialności i perspektywicznego spojrzenia na proces dydaktyczno-wychowawczy w szkole. Powinny one być oceniane przez podmioty życia szkolnego i lokalnego oraz nadzór pedagogiczny, a także instytucje doskonalenia nauczycieli. Będzie to stanowić szansę dokonywania odpowiedzialnego wyboru najlepszych programów i podręczników.

7. Podejmowanie działań wychowawczych i kształceniowych oraz innych w szkole i środowisku lokalnym powinno służyć poznawaniu siebie, a także współpracy z innymi przy kształtowaniu i realizacji swoich planów edukacyjnych, zawodowych i życiowych.

8. Polska szkoła przeorientowuje swoje cele, zadania i plany oraz metody i środki pracy. Wizja i program szkoły powinny ukazywać zarówno szanse, jak i zagrożenia teraźniejszości i przyszłości oraz być częścią reformy systemu edukacji na tle dynamicznych

i wielowarstwowych procesów integracji europejskiej oraz zjawiska – wyzwania podważania się świata wiedzy co pięć lat! J. Szempuch¹¹ w pracy *Planowanie rozwoju szkoły* przekonuje, że: „Wielkość zadań edukacji oraz zmiany jakościowe i ilościowe stanowią o szczególnej złożoności działania w kierunku kształtowania w praktyce modelu szkoły przyszłości”.

9. Sukcesem ilościowym ostatnich 18 lat jest wysoki wskaźnik solaryzacji: ponad 80 proc. populacji na poziomie średnim i 49 proc. na poziomie wyższym. Problemem powinna być obecnie jakość i efektywność kształcenia i wychowania, aby móc sprostać idei „uczenia się przez całe życie”.

Na wiele istotnych wyzwań, zagrożeń i zadań w polskiej edukacji i szkole XXI wieku zwraca uwagę w swoich studiach, ekspertyzach i projektach z pogranicza pedagogiki i socjologii edukacji Z. Kwieciński¹² w pracy *Między patosem a dekadencją. Studia i szkice socjopedagogiczne*.

Aby zaprezentowane konkluzje i wnioski móc zrealizować, należy prowadzić otwartą i rzetelną debatę na temat przyszłości, obecnego stanu edukacji i szkoły oraz jakości i statusu zawodowego nauczycieli. Oznacza to także świadczenie pomocy w pokonywaniu trudności w realizacji pożądanej wizji i modelu szkoły nowoczesnej i efektywnej.

Nie powinniśmy zapominać, że miarą i oceną wartości i roli szkoły powinny być nie tylko kryteria „szkolne”, ale także „życiowe”, „zawodowe”, „społeczne” i „kulturowe”. Chodzi przecież o to, aby młodzież i dorośli ludzie umieli funkcjonować w różnych formach aktywności oraz samorealizować się i rozwijać jako „kapitał (zasób) ludzki”. C. Kupisiewicz¹³ postuluje w *Szkole XX wieku*, aby świadomie i konsekwentnie „przechodzić od szkołocentryzmu do szkoły zintegrowanej – „szkoły przyszłości”, która obok funkcji tradycyjnych, tzn. nauczania, uczenia i wychowania oraz w pewnym zakresie opieki, powinna także spełniać funkcje nowe [...] funkcja koordynacyjna [...] percepcji planów kształcenia oraz ewaluacji rezultatów uzyskiwanych w wyniku realizacji owych planów”.

Szkoła przyszłości, szkoła naszych oczekiwań, potrzeb i rosnących możliwości jest pragnieniem i wyzwaniem. Jest ona odpowiedzialnym i złożonym zadaniem wszystkich podmiotów życia szkolnego i polityki edukacyjnej, a także świata mediów kształtujących opinie oraz projekcje teraźniejszości i przyszłości.

Raport dla UNESCO pt. *Edukacja: jest w niej ukryty skarb*¹⁴ zawiera dyrektywę organizacji szkolnictwa i całego systemu edukacji:

„Uczyć się, aby wiedzieć, aby zdobywać narzędzie rozumienia; uczyć się, aby działać, aby móc oddziaływać na swoje środowisko; uczyć się, aby żyć wspólnie, aby uczestniczyć i współpracować z innymi, [...]; uczyć się, aby być, dążenie, które jest pokrewne trzem poprzednim”.

CZESŁAW BANACH

¹¹ Szempuch J., *Planowanie rozwoju szkoły*, Lublin 2007, s.68

¹² Kwieciński Z., *Między patosem a dekadencją. Studia i szkice socjopedagogiczne*, Wrocław 2007.

¹³ Kupisiewicz C., *Szkoła XX wieku*, Warszawa 2006, s.109.

¹⁴ *Edukacja: jest w niej ukryty skarb*, (red. J. Delors), Warszawa 1998, s. 85.

JERZY PIĄTKOWSKI

WIERSE

Poszło o szanty

Długo by gadać – ruszyłem na piwo
i od wejścia na te akweny zbytku
widzę – knajpą ostro kołysze

Kudłate i warkliwe towarzystwo
basiory – wypasione i morskie

Niuchają w moją stronę ... czy wiem
który z nich Sloccum Joshua
Wagner ... Chichester ... Teliga
Jaskuła – a który z nich Baranowski

Stanowią chudy kęsek
z miejsca „szanghajowany” w przejściu

Potulnie podążam
jak młodziak z szekłą w garści
i z myjką w wiaderku

Stare wygi radośnie kołyszą się
i gulgoczą

Uczestniczę i ja – w Szanti-festiwalu
W Szanti-festiwalu ...

Pięści bębnią
czerstwe jak bochenki chleba
dzwoni szkło ... i morze burzy się i wyje

Czuje ... emocji będzie co niemiara
bo moja przekora
pokazuje swoje małuśkie żądelko

[.] Wolałbym dziurę w burcie
powiadam – niż z wami wyrzucać treści
jak choroba morska

z a n i e m ó w i l i

- i lampy entuzjazmu w nich przygasły
Odłożyli bez słowa kufle i wiosła

[...] Jesteście zbałamuceni – ciągnąłem
za sznureczki w koszulinie odwagi

Dla mnie wszystko czym zapełniacie gardła
to nie pieśń żeglarzy! – Ale skarga ...
Skarga uprowadzonych murzynów
Niewolników

- Czuje ... chcą bić
ale jak człowiek za burtą ... chwytam
za spadające koło ratunkowe

Prowadźcie przed bosmana – wyłudzam

Pod sąd ... pod sąd pokrzykują
i stawiają
przed wyeksploatowaną brodę grubasa

[...] Nie bądź taki Stevie Wonder
mówi mi w nos

i bez ogródek Starzec Morski

Ojciec zapewne 50 córek
pewny siebie jak Nelson pod Trafalgarem

Zobaczmy co potrafisz awanturniku znikąd
„Beczka piwa na pokład!”
- komenderuje

Poczułem na karku ... zimny okład
zakołysało raz i drugi nawą
Podano dwa kufle ... i obarczono je pianą

Na moje szczęście podeszła do Starca Dni
jakowaś piękność i wdziecząc się
naszeptowała mu coś do ucha

Rychło zebrał w sobie otyłości
i szedł potulnie
acz chwycenie na nawietrzną burtę

Beczka jest dla wszystkich!
- zawołałem
do osuszonych języków

Zakotłowało od wyciągniętych rąk

Bosman nie wracał ... zmieniał długo wachtę
więc przetrwałem

Nim świt zastukał – w iluminatory i bulaje
urywałem natrętów
jak guziki od starej kapoty

W drodze do domu zarzekałem się ...
Może naiwnie – nigdy więcej

Nigdy więcej festiwalu z żeglusami

Decyzja zapadła

- *Zdzisławowi Warzyńskowi* -

Żołnierze czekają na szczepienia ...
jednostka świadoma celu – jedzie do Azji
Odwołano loty i koncerty jazzowe w Kansas City

[...] w telewizji ptasia grypa
Ludzie śledzą czy nie spadł na pobliskie wody
jakiś zakażony wróbelek

[.] Straż parkowa ... goni z alejek starsze kobiety
z wnukami – ściga żerdzią gołębia
który dostał w głowę od jastrzębia

Ale oni uśmiercają kilka łabędzi i pakują w worki

Komisja z Ministerstwa obejrzy

jak „Błękitny cyrk” Chagalla

Żołnierz z młodszego rocznika

przypadek

- zgłasza niejasne objawy
Wyuczono go w koszarach ... co to są lśniące
i chromowane zderzaki życia

Woli poleżeć w izolacie ...
pograć w karty ... bo to lepsze
niż zasuwać krokiem defiladowym

- Telewizja ma ustrzec społeczeństwo
od paniki ... pokazuje wilgotne siedliska
lasów Tasmanii – skrzypy z okresu dewonu
i maleńkie pastorały paproci

Jako lekarstwo ... na stres
Proponuje by włączyć delikatne melodie
- Diany Krall albo Ennio Morricone

Zaleca bicz szkockie ... jacuzzi
drenaż limfatyczny ... parafango
albo masaż pestkami z czarnych winogron

Gadatliwy brodaczy chyba ... monachijski
Poleca wino *Unico* z Kastylii
Czyli z ziemi zamków
koniecznie z Ribera del Duero ... mówi
bo leżakuje w beczkach z amerykańskiego dębu

Za moment – jesteśmy już w Afryce
kamera podgląda górskie goryle ...
goni za wstęgami najstarszej na ziemi rośliny

„Babuleńka” w zmarszczkach chlorofilu
liczy sobie ... ponad 2000 lat – mówi botanik
Teraz kamera podąża za rogami antylopy
i wszystko przyspiesza

a więc ... jesteśmy w Etiopii – odświeżenie
prezentują się okrągłe domy z kamienia
- czerwień cegły ... dachy pokryte trawą

Ktoś mędrkuje
W Nubii było więcej piramid niż w Egipcie
- jak tam już chcecie mówić ...
a nuda medialna każe gmerać za innym kanałem

Wracam jak tramwaj do Paryża

W soczewkach niosę kasyno w Monte Carlo
Kapie złoto i purpura ... alegorie... witraże
żyrandole z brązu i Atrium wyłożone marmurem
okała rząd jońskich kolumn

Tłumy mężczyzn w strojach wieczorowych
fantasmagoria pod niebem zafundowanym
przez architekta Charlesa Garniera

- we krwi narasta patos Marsylianki
Toczy się gra ... w inwazji piękna
szukają światła grawerowane kielichy i pucharki

Migają trójkątne kapelusze ... wiatr bawi się
perukami – przegania pantofelki i harcapy z kokardą

Dryfują pudrowane damy – słodka trucizna
i erotyczna udręka ... suknie z głębokimi dekolami
w rękach haftowane chusteczki
poprawiają nerwowo kapelusze z kwiatami

Siadają by pozować do portretu u Queintina de la Tour
boją się prowokacyjnego humoru Fragonarda
najlepszego z uczniów Bouchera

O biedna ty ... kochanico Francuza
wchodząca w stan ... ubestwienia

Przemywam twarz zimną wodą – nie pomaga
Wszystko wraca jak podany tokaj ... z potężną
życiową treścią o smaku pieczonego chleba
Kipi młodością – Paryż

Pergaminy z tropiku

Tropik puszczy drga jak przy rytmie samby
Pięta wystukuje jamby – wiąże słowa

Zachęca storczyki i spadające liany
bromelie – grzyby owadomorki ... pleśń
Wilgocią napętnia splekaną urnę liścia

I życzliwy jest dla mnie
Jak pachnące ziołami dymy jesienne
„koci mruk zmęczonego serca”

Z ufnością zbieram ... niby chrust
- oktostychy jak ongiś w Niderlandach
Bracia Wspólnego Życia

Czasem lęgnie się jak mól w starych szpargałach
- słabość ... i mam ochotę już rzucić
moje „myśli nadwartościowe”

w butelce

przytkanej korkiem tęsknoty
na hulaszce grymasy morza

Na sękaczu ... w którym widzę podobieństwo
z karłowatą wiśnią – siedzi ostrodrobna sowa

tajemnicza niczym liczba Avogadra
bajeczne rzęsy ... duże powieki
niemal jak u naszych kamedułów uśpione okna

Młode tapiry taplają się
w bagiennej faktorii i maskują
niczym antyterrorystyczna jednostka SAS
przed atakiem na Falklandy

Ale zamknijmy tamte wrota inwazji

Nie chcę wyżej nosa gęby nosić
jak absolwent Accademii del Cimento
księcia Medyceusza ...

ale skąd mogę wiedzieć
co podać na twój obłożony złośliwością język

Może kawałek wielkiego nietoperza
którego jak gołębia gotują obok
podtapiając jego głowę drewnianą warzechą

Dzieci krążą niczym alergen pyłkowy
pośród tej bogatej oferty

A tu jeszcze leżakują
w obitym metalu miski
wąsate chrząszcze ... termity i larwy
hodowane w gnijących liściach palmy

Świat zjada wszystko ... niepomny na ból
śledzi jedynie – dokąd mu człapie ...

ruchliwa dieta białkowa

OLGA TOKARCZUK

A TERAZ UWAŻAJCIE!

*Razu pewnego obrawszy niebezpieczną drogę,
Człowiek prawy z pokorą kroczył
Doliną śmierci.*

Jestem już w takim Wieku i na dodatek w takim Stanie, że przed Snem powinnam porządnie umyć nogi na wypadek, gdyby mnie w nocy miało zabrać Pogotowie.

Gdybym tego wieczoru sprawdziła w Efemerydach, co dzieje się na Niebie, w ogóle nie kładłabym się spać. Tymczasem zasnęłam bardzo mocno; wspomogłam się herbatą z chmielu i jeszcze na dodatek wzięłam dwie tabletki waleriany. Dlatego, gdy w środku Nocy zbudziło mnie dobijanie się do drzwi, gwałtowne, bez umiaru i przez to Złowróbnne, nie mogłam dojść do siebie. Zerwałam się i stanęłam przy łóżku chwiejnie, bo rozespiane, rozdygotane ciało nie mogło przeskoczyć z sennej Niewinności w jawę. Zrobiło mi się słabo i zachwiałam się na nogach, jakbym miała na chwilę stracić Przytomność. Zdarza mi się to niestety ostatnio i ma związek z moimi Dolegliwościami. Musiałam usiąść i powtórzyć sobie kilka razy: jestem w domu, jest noc, ktoś wali w drzwi, i dopiero wtedy udało mi się wziąć w garść. Szukając po ciemku kapci usłyszałam, że ktokolwiek walił przed chwilą do moich drzwi, teraz obchodzi dookoła dom mruczając do siebie. Na dole, w schowku na liczniki Elektryczne mam Gaz obezwładniający, który dostałam od Dionizego z powodu mojego strachu przed klusownikami, i właśnie o tym teraz pomyślałam. Udało mi się wyszukać w ciemnościach znajomy chłodny kształt aerozolu i tak uzbrojona zapaliłam Światło na zewnątrz. Patrzyłam na ganek przez boczne okienko. Śnieg zaskrzypiał i w polu mojego widzenia pojawił się sąsiad, którego nazywam Matogą. Rękami obciskał wokół bioder poły starego Kożucha, w którym czasem widywałam go przy pracach wokół

domu. Spod niego wystawały nogi w pasiastej piżamie i ciężkich butach do górskich Wędrówek.

– Otwórz – powiedział.

Rzucił okiem z nieukrywanym zdziwieniem na mój letni lniany garnitur (sypiam w tym, co latem chciało wyrzucić Profesorstwo, a co przypomina mi dawną modę i lata mojej Młodości; w ten sposób łączę Pożyteczne z Sentymentalnym) i bez pardonu wszedł do środka.

– Ubierz się proszę, Wielka Stopa nie żyje.

Zmroziło mnie. Czułam, że nie ma czasu na zadawanie pytań, więc bez słowa wciągałam wysokie śniegowce i narzuciłam na siebie polary z wieszaka, na chybił trafił. Śnieg padał na zewnątrz i w plamie Światła padającego z gankowej lampy zamieniał się w powolny senny prysznic. Matoga stał przy mnie w milczeniu, wysoki, szczupły, kościsty jak postać naszkicowana kilkoma ruchami ołówka. Przy każdym poruszeniu opadał z niego śnieg jak z obsypanego cukrem pudrem faworka.

– Jak to „nie żyje”? – zapytałam w końcu ze ściśniętym gardłem otwierając drzwi, ale nie odpowiedział.

On w ogóle niewiele mówi. Zapewne ma Merkurego w milczącym Znaku, sądzę, że w Koziorożcu albo w Koniunkcji, Kwadracie czy może Opozycji z Saturnem. Może to też być Merkury w Retrogradacji – daje wtedy skrytość.

Wyszliśmy z domu i od razu ogarnęło nas to dobrze znajome zimne i wilgotne powietrze, które każdej zimy przypomina nam, że Świat nie został stworzony dla Człowieka i przynajmniej przez pół roku okazuje nam to, jak bardzo jest nam nieprzyjazny. Mróz brutalnie natarł na nasze policzki, a z ust popłynęły białe obłoki pary. Światło przy ganku zgasło automatycznie

i szliśmy przez skrzypiący śnieg w całkowitych ciemnościach, nie licząc czołowej lampki Matogi, która dziurawiła te Ciemności w jednym przesuwającym się miejscu, tuż przed nim. Ja dreptałam w ciemnościach za jego plecami.

– Nie masz latarki? – zapytał.

Owszem, miałam, ale gdzie, tego mogłabym się dowiedzieć dopiero rano, przy dziennym Świetle. Zawsze tak jest z latarkami, że widać je tylko za Dnia.

Dom Wielkiej Stopy stał lekko na uboczu, ponad domami innych. Był jednym z trzech zamieszkałych przez cały rok. Tylko on, Matoga i ja mieszkaliśmy tutaj nie bojąc się zimy; pozostali mieszkańcy szczelnie zamykali swoje domy w październiku, spuszczały wodę z rur i wracali do miast.

Teraz skręciliśmy z nieco odśnieżonej drogi, która biegnie przez naszą osadę i dzieli się na odnogi dochodzące do każdego z domów. Do Wielkiej Stopy prowadziła wydeptana ścieżka w głębokim śniegu, tak wąska, że trzeba było stawiać stopy jedno za drugą i nieustannie zachować równowagę.

– Nie będzie to miły widok – powiedział odwracając się do mnie i na chwilę oślepiając mnie zupełnie.

Nie spodziewałam niczego innego. Chwilę milczał, a potem powiedział, jakby chciał się wytłumaczyć:

– Zaniepokoiło mnie światło w jego kuchni i ujada nie suki, takie rozpaczliwe. Nie słyszałaś nic?

Nie, nie słyszałam. Spałam otumaniona chmielem i walerianą.

– Gdzie ona jest teraz?

– Zabrałam ją stamtąd, wziąłem do siebie, nakarmiłem i chyba się uspokoiła.

Znowu chwila milczenia.

– On zawsze chodził wcześniej spać i gasił światło, oszczędzał, a tym razem świeciło i się i świeciło. Jasna smuga na śniegu. Widać z okna mojej sypialni. Więc tam poszedłem, myślałem, że może się upił albo coś robi temu psu, że tak wyje.

Minęliśmy zrujnowaną stodołę i za chwilę latarka Matogi wywabiała z ciemności dwie pary świecących oczu, zielonkawych, fluorescencyjnych.

– Popatrz, Sarny – powiedziałam podnieconym szeptem i chwyciłam go za rękaw kożucha. – Podeszły tak blisko pod dom. Nie boją się?

Sarny stały w śniegu prawie po brzuch. Patrzyły na nas spokojnie, jakbyśmy je zastali w trakcie wykonywania jakiegoś rytuału, którego sensu nie możemy pojąć. Było ciemno, więc nie umiałam rozpoznać, czy to są te same Panny, które przyszły tu jesienią z Czech, czy jakieś nowe? I właściwie dlaczego tylko dwie? Tamtych było co najmniej cztery.

– Idźcie do domu – powiedziałam do nich i zamachałam rękami. Drgnęły, ale nie ruszyły się. Spokojnie odprowadziły nas wzrokiem aż pod same drzwi. Przeszedł mnie dreszcz.

Tymczasem Matoga tupiąc otrząpywał buty ze śniegu przed drzwiami zaniedbanego domku. Małe Okienka uszczelniono folią i papierami, drewniane drzwi pokrywała czarna papa.

Ściany sieni wyłożone były drewnem do palenia w piecu, nierównymi polanami. Było to nieprzyjemne wnętrze, nie ma co mówić. Brudne i zaniedbane. Wszędzie czuło się zapach Wilgoci, drewna i Ziemi – mokrej,

żarłocznej. Swa-
Tłustą warstwą.
Drzwi do ku-
łam leżące na p-
aledwie dotkna-
mogłam znowu
Leżał w dzi-
przy szyi, jakby
nier. Powoli p-
tym strasznym
wpatrzono gdzie
czegoś bardzo
zerwany koło c-
walczyło samo-
ło mi się zimno
i miałam wraże-
szego Środka r-
łam to ciało żyw-
– Mój boże -
Matoga wzru-
– Nie mogę
czeski zasięg.
Wyciągnęłam
łam numer, któ-
li w moim telef-
głos. Tak to tutaj
granicę państw-
zatrzymuje się n-
że stała kilka dr-
trudno było prze-
– Trzeba b-
– poradziłam m-
– Zanim prz-
dział Matoga to-
lubiłam, jakby
i powiesił go na
lić, żeby tak zo-
w końcu naszym
Patrzyłam na
py i trudno mi t-
bałam się tego
wet za mało – n-
– wydawał mi s-
uważałam go n-
poplamionej poc-
bezsilny i niegro-
tek trudnych do
loną od wszystk-
no, przerażliwie
zasłużył na śmi-
ten sam los, i M-
będziemy kiedy-
Spojrzałam
pocieszenia, ale
nego łóżka, ba-
próbowałam po-
mi wtedy do gł-
w pewnym Sens-
ganu, którym by-
Istoty od niego.
dobra może być
dek Odkazający
myślałam, i wła-

JANUSZ A. MAJCHEREK

WOJNA KULTUR ZAMIAST WALKI KLAS

Głębokie podziały polityczne, wywołane i obserwowane w ostatnich latach w polskim społeczeństwie, mają źródła kulturowe: konflikty polityczne są przejawem i wyrazem konfliktu kulturowego. Chodzi przy tym nie tylko czy nie tyle o antagonizm przeciwnych kultur, co radykalnie odmienne formy kulturowej partycypacji.

Pojęcia „wojna kultur” w zastosowaniu do analizy źródeł podziałów i konfliktów politycznych użył kilkanaście lat temu James D. Hunter, odnosząc je do procesów dywersyfikacji i antagonizacji zachodzących w społeczeństwie amerykańskim.¹ Do takiego znaczenia i interpretacji nawiązała też Gertrude Himmelfarb w przetłumaczonej na język polski książce *Jeden naród, dwie kultury*.² Znakomity polski antropolog kultury Wojciech J. Burszta przekonująco wykazał, że procesy i zjawiska w ten sposób ujmowane i charakteryzowane mają swoje odpowiedniki w Polsce, odzwierciedlając

się w tutejszych stosunkach politycznych.³ Można je także wskazać w innych społeczeństwach. Ciekawym przykładem jest np. Turcja, usytuowana na kulturowym pograniczu islamsko-europejskim i doznająca wewnętrznych konsekwencji o charakterze kulturowo-politycznym.

Pojęcie wojny kultur wypiera i zastępuje dziś w analizach politycznych i społecznych wygasająca i coraz bardziej wątpliwą walkę klas, do której usiłują się odwoływać już tylko epigoni tradycyjnej lub heroldzi skrajnej lewicy.

Różne kultury, różne formy partycypacji

Pod tak rozumianym pojęciem wojny kultur kryje się antagonizm dwóch ich systemów i form przejawiania.

Pierwsza to kultura tradycyjna, ukształtowana wokół wartości (zwłaszcza religijnych) uważanych i traktowanych jako niezmiennie i nienaruszalne, oparta na

¹ Hunter James Davison, *Culture Wars: The Struggle to Define America*, Basic Books, N. York 1991.

² Himmelfarb Gertrude, *Jeden naród, dwie kultury*, Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, Warszawa 2007.

³ Burszta Wojciech Józef, *Tożsamość w wojnie kultur*, [w:] Mamzer H. (red.), *W poszukiwaniu tożsamości. Humanistyczne rozważania interdyscyplinarne*, Wyd. Naukowe UAM, Poznań 2007.

silnych więzach wspólnotowych o charakterze znanym w literaturze socjologicznej (za F. Tönniesem) jako *Gemeinschaft*, przede wszystkim rodzinnych (przy tradycyjnym rozumieniu rodziny), odwołująca się do poczucia przynależności i podporządkowania nadrzędnym celom realizowanym pod nadzorem i kontrolą uświęconych instytucji oraz charyzmatycznych przywódców.

Druga zaś jest otwarta, kontestatorska wobec tradycji i konserwatywnych wartości, gotowa i chętna do ich rewizji i zmiany, oparta na dobrowolnych związkach partnerskich i organizacjach typu *Gesellschaft*, nieformalnej przynależności grupowej i okazjonalnej kooperacji, zindywidualizowana i przygodna.

W istocie nie są to więc dwie kultury, dające się traktować *ex aequo*, jak dwie alternatywne opcje. Pierwsza jest bowiem monolityczna i zamknięta (w granicach niezmiennej i nienaruszalnej tradycji oraz uświęconych przez nią reguł), ta druga jest pluralistyczna i otwarta (na różne wpływy). Idąc za określeniem czołowego polskiego kulturalisty Andrzeja Szahaja, można stwierdzić, że jedna to kultura losu, zaś druga to kultura wyboru.⁴ Nie tylko jednak w tym sensie, że do pierwszej należy się (jak twierdzą jej przedstawiciele i obrońcy) z przeznaczenia czy wręcz jakiejś historycznej lub społecznej predestynacji, a do drugiej z wyboru i mocą swobodnej decyzji. Uczestnictwo w drugiej polega właśnie na dokonywaniu wyboru, a ponieważ każdy może dokonywać innego, więc jest to kultura ludzi dokonujących różnych wyborów, zatem różniących się. Konserwatyści i komunitaryści sztydzą, że to kultura supermarketu, której uczestnicy dobierają sobie elementy swej kulturowej tożsamości jak klienci wielkiego sklepu towar z półek. Ale określenie „supermarket kultury” wcale nie jest przez samych jej uczestników i wielu teoretyków traktowane jako pejoratywne.⁵ Obrońcom tradycyjnej tożsamości kulturowej mogą się zaś odgryzać po baumanowsku, że ta z kolei jest ze spiżarni (albo i dosadniej: z zamrażarki).

Los, przymus, wybór

Przed 1989 r. kultura (narodowego) losu stanowiła w Polsce ostoję w konfrontacji z zagrażającą jej kulturą (komunistycznego) przymusu. Do pierwszej garnęli się więc niemal wszyscy uciekający przed urzędowo gwarantowaną dominacją drugiej i czynnie lub biernie przeciwstawiający się jej samej lub procedurom ustanawiania jej dominacji.

Symptomatycznym tego przejawem stała się masowa obecność w Kościele, instytucji postrzeganej jako niewralgiczna dla tradycyjnej kultury polskiej i odpowiednio silna, by jej bronić. Pod wpływem zjawisk opisanych przez Adama Michnika w książce *Kościół, lewica, dialog*, a może i jej samej, doszło do swoistego „odwrócenia sojuszy”: laicka lewica, odwołująca się do tradycji socjalistycznej i w okresie powojennym popierająca w jej imię przemiany systemowe określane przez władze PRL mianem „socjalistycznych”, zwróciła się rozczarowana przeciw autorytarnym metodom ich ustanawiania i w latach 70. związała się z „lewicą katolicką”, a potem z hierarchicznym i ludowym Kościołem. Stan wojenny

przypieczętował i umocnił ten związek, reprezentowana przez Kościół kultura ludowo-narodowa spłótła się z opozycyjnym etosem i dała mu kulturową legitymację, uczyniła swoim i swojskim. Ludzie kultury niezależnej w Kościele lub pod jego patronatem i ochroną prezentowali zaś swoje dokonania i propozycje.

Gdy w wyniku politycznego przełomu zanikła instytucjonalna opresja kultury przymusu, pojawiła się charakterystyczna dla liberalnej demokracji kultura wyboru. W tym samym czasie wewnątrz polskiego Kościoła ujawniły się natomiast roszczenia do uzyskania administracyjnie zapewnionego prymatu dla tradycyjnej kultury przez tenże (tzn. katolicki) Kościół reprezentowanej. Kultura (polskiego) losu zaczęła być przekształcana w nową kulturę przymusu, a Kościół w jej gwaranta. Zawsze bardziej kulturowy niż *stricto* wyznaniowy katolicyzm polski miał się stać obowiązujący jako kulturowa norma i reguła (nawet bez względu na wyznanie lub jego brak u konkretnych Polaków). Powróciła przedwojenna i przedsoborowa formuła „katolickiego państwa narodu polskiego”. Pojawiły się nawet sugestie ustanowienia w Polsce republiki wyznaniowej.⁶

Stosunek do Kościoła stał się miernikiem kulturowej identyfikacji i przynależności. Kumulacja tego zjawiska nastąpiła zwłaszcza po śmierci Jana Pawła II, gdy zbiorowe przeżycie (spontanicznej i dobrowolnej) wspólnoty w żałobie po wielkim rodaku i nauczycielu Polaków szybko zastąpiła agresywna ofensywa integristycznego obozu, dziś mającego zdecydowaną przewagę w Kościele instytucjonalnym. W tym samym czasie i w reakcji na te procesy nasiliło się odchodzenie od tak sytuującego się i taką rolę grającego Kościoła, wyrażające się systematycznym spadkiem uczestnictwa w obrzędach liturgicznych oraz wręcz raptownym zmniejszeniem liczby chętnych do stałej służby, czyli stanu duchownego, a nawet spektakularnym jego opuszczeniem przez kilku znanych księży. Przy wciąż bardzo wysokiej deklarowanej religijności, Polacy coraz częściej traktują Kościół jako jedną z licznych instytucji dostarczających oferty, z której można korzystać wybiórczo. Wcześniej było tak głównie z etyką seksualną, dziś jest z prawie całym nauczaniem i działalnością Kościoła. Dla rosnącej rzeszy Polaków stał się on częścią kultury wyboru, czemu z kolei jego przedstawiciele i ortodoksyjni wyznawcy stanowczo się przeciwstawiają wzmacniając integralność jego doktryny. Ale to czyni go jeszcze trudniej akceptowalnym dla coraz liczniejszych pozostałych członków społeczeństwa, którzy nie chcą wzrostu jego roli w życiu społecznym i kulturze. A ci są już większością.

Zmiana kulturowego otoczenia

Procesy tu zarysowane mają główne społeczne źródło w spektakularnym awansie edukacyjnym milionów młodych Polaków, związanym przeważnie ze zmianą dotychczasowego miejsca zamieszkania, a więc środowiska i otoczenia kulturowego.

Rozgraniczenie (nie zawsze zresztą precyzyjne i wyraźne) między dwiema zantagonizowanymi formacjami kulturowymi ma bowiem także – czy przede wszystkim – charakter terytorialny. Kultura tradycyjna ma swe ostoje w zamkniętych, małych, wiejskich i ma-

⁴ Zob. Szahaj Andrzej, *Zniewalająca moc kultury*, Wyd. UMK, Toruń 2004; por. tegoż, *E pluribus unum? Dylematy wielokulturowości i politycznej poprawności*, Universitas, Kraków 2004.

⁵ Zob. Mathews Gordon, *Supermarket kultury. Kultura globalna a tożsamość jednostki*, PIW, Warszawa 2005.

⁶ Zob. np. Szczerski Krzysztof, *Polska – republika wyznaniowa*, „Presje”, Teka Piąta (2005).

łomiatieczkowych wspólnotach osiadłych, typowych dla Polski wschodniej. Kultura wyboru jest zaś charakterystyczna dla silniej zurbanizowanych terenów z ludnością napływową, zwłaszcza w zachodniej części kraju. Jej bastionami są największe miasta (a z dziesięciu największych tylko jedno leży na wschód od Wisły, tak samo jest w drugiej dziesiątce), będące jednocześnie ośrodkami akademickimi, do których napłynęła owa wielka fala studentów. A jak wiedzą antropologowie i socjologowie miasta, to środowisko z natury swej i od zawsze wielokulturowe, w nim więc zwłaszcza lokuje się i manifestuje właśnie kultura wyboru.⁷ Zanurzenie w niej z reguły oznacza definitywne uwolnienie od kulturowej presji i społecznej kontroli zamkniętych wspólnot macierzystych. Zachodzi to jeszcze wyraźniej w przypadku tych, którzy znaleźli się choćby tymczasowo w wielkich miastach zachodnioeuropejskich, co po wstąpieniu do Unii Europejskiej przytrafiło się też ogromnej rzeszy Polaków, przeważnie wywodzących się właśnie z owych wiejskich i łomiatieczkowych środowisk. W sensie kulturowym już do nich nie powrócą. Znaleźli się w zasięgu kultury wyboru i afirmatywnie ją przyswajają oraz zaczynają w niej partycypować. To oni dokonali spektakularnej przedwyborczej mobilizacji, która przesądziła o odsunięciu od władzy PiS w 2007 r. W ten sposób kulturowe przemiany znalazły wyraźne odzwierciedlenie w procesach politycznych.

Jak w kulturze, tak w polityce

Ukształtowanie i konfliktowe usytuowanie dwóch przeciwstawnych formacji kulturowych (wojna kultur) znalazło więc wyraz w konflikcie politycznym (wojna politycznej) i decyduje o jego przebiegu oraz wynikach. Przy pewnych uproszczeniach to właśnie wojnę kultur można uznać za źródło i tło antagonizmu między III i IV Rzeczpospolitą.

Oczywistym i agresywnym propagatorem słabnącej w tym konflikcie kultury tradycyjnej (kultury narodowego losu) jest PiS. Według doktryny wielokrotnie deklarowanej przez przywódców i aktywistów tej formacji, jest tylko jedna wspólnota kulturowa (naród), jedna polityczna forma jej organizacji (państwo narodowe), jedna forma uczestnictwa (bezkrytyczna afirmacja), jeden system wartości (chrześcijański), jeden jego gwarant (Kościół katolicki). Tę monolityczną doktrynę partia ta usiłowała narzucić całemu społeczeństwu podczas dwuletniego okresu rządzenia. Paradoksalnym, choć przewidywalnym tego rezultatem było wywołanie głębokich podziałów i silnych antagonizmów. W imię umocnienia narodowej i kulturowej jedności trwale podzielono i zantagonizowano społeczeństwo, którego większość nie chciała, aby kulturę losu zamieniono na kulturę przymusu, a kulturę wyboru unicestwiono lub poddano restrykcjom. Zwycięstwo i wciąż wysokie poparcie dla PO, wyraźnie opierające się na pewnych grupach i środowiskach społecznych, jest wyrazem uznania, ale i oczekiwania, że Platforma będzie strażnikiem kultury wyboru, gwarantem jej utrzymania i ochrony.

Zatem wyborcy i zwolennicy PO nie oczekują, że przeformuje ona i zaprowadzi dominację jakiejś jednej konkretnej kultury, przeciwnej forsowanej i narzuca-

nej przez PiS, lecz że ochroni model kulturowy gwarantujący swobodę wyboru kulturowej identyfikacji i przynależności. PiS dąży do ustanowienia kulturowej jednolitości, od PO oczekuje się gwarancji kulturowej różnorodności.

Nie ma pewności, czy wszyscy politycy Platformy zdają sobie z tego sprawę. Jej konserwatywne skrzydło obsiadło kilku aktywistów dążących do ograniczenia kultury wyboru i narzucenia społeczeństwu rozmaitych rygorów pod dyktando Kościoła. Spektakularnym tego wyrazem jest wewnątrzplatformiany konflikt wokół ustawowych regulacji zapłodnienia *in vitro*, będących przedmiotem intensywnego lobbingu ze strony biskupów. Coraz rzadziej chodzący do kościoła Polacy nie oczekują jednak wcale by Kościół przychodził do nich i narzucał im swe regulacje za pośrednictwem czy ze wsparciem instytucji państwa. Owszem, kultura wyboru dopuszcza też wybór wartości tradycyjnych i postaw konserwatywnych (w tym, oczywiście, religijnych), ale jako wybór właśnie, a nie przymus. Jeśli Platforma sprzeniewierzy się przyznanej jej roli obrończyni kultury wyboru i zacznie narzucać na nią ograniczenia, jej zwolennicy z pewnością szukają innego gwaranta.

Czy może nim być lewica? Badania socjologiczne pokazują, że jej elektorat jest kulturowo zbliżony do wyborców PO. Taktyka zwalczania rządu PO wspólnie (nawet jeśli w sposób nieuzgodniony) z PiS jest sprzeczna z kulturowym usytuowaniem i kulturową samoidentyfikacją lewicowego elektoratu. Nowe kierownictwo SLD próbowało dokonać pewnej autoidentyfikacji kulturowej, lecz zbyt jednostronnej i powierzchownej, wyrażanej sprzeciwem wobec dominacji Kościoła katolickiego w dyskursie publicznym oraz klerykalizacji państwa. Towarzyszyły temu zaś deklaracje sugerujące odwoływanie się do klasyfikacji i identyfikacji klasowych, występowanie w imieniu grup i środowisk uplasowanych na niskich szczeblach ekonomicznej i społecznej stratyfikacji. Nie od dziś wiadomo, że te warstwy są kulturowo tradycjonalistyczne, bliskie Kościołowi i PiS, stanowią wręcz społeczno-kulturową bazę Radia Maryja. Przemieszczenie kryteriów kulturowych i klasowych (socjalno-ekonomicznych), czyli wyprowadzenie części wspólnej z grup wyróżnionych przy ich zastosowaniu, prowadzi do wyłonienia niewielkiej grupki elektoratu socjal-liberalnego zamykającej się jednocyfrową liczbą procentową. W tym zakresie społecznego poparcia operuje obecnie lewica i nie przekroczy go, jeśli nie wyzbędzie się przywiązania do zdezaktualizowanych kryteriów klasowych i opartych na nich identyfikacji, silniej odwołując się do kulturowych, nabierających dominującego znaczenia w polskiej (i nie tylko polskiej) polityce.

A procesy kulturowe, o których tu mowa, mają swoją dynamikę, której tendencja jest wyraźna (potwierdza ją także Diagnoza Społeczna 2009). Tradycyjna kultura zamkniętych wspólnot jest losem kurczącej się mniejszości Polaków, rosnąca większość z nich żyje w kulturze wyboru i nie zgodzi się z niej zrezygnować, a więc będzie szukać politycznych reprezentantów gwarantujących im, że nie będą musieli. Jeśli takimi wiarygodnymi reprezentantami nie staną się przedstawiciele lewicy, ta coraz bardziej dominująca grupa obywateli będzie trwać przy PO, nawet z coraz bardziej zaciśniętymi zębami.

JANUSZ A. MAJCHEREK

⁷ Zob. np. Golka Marian, *Wielokulturowość miasta*, [w:] A. Ziedler-Janiszewska (red.), *Pisanie miasta – czytanie miasta*, Wyd. Fundacji Humaniora, Poznań 1997.

ZBIGNIEW BAUER

ZAPISKI Z ŻYCIA HYBRYD

1.

Kiedy pod URM, Sejm czy siedzibę prezydenta RP przyjadą górnicy, hutnicy, stoczniovcy, policjanci, rolnicy, ludzie ze „zbrojeniówki” albo nawet słabe kobiety w formie pielęgniarek i kiedy wyciągną z kieszeni mu-try, kulki z łożysk tocznych, zza pleców pały i styliska od kilofów, odpalą petardy, podpalą opony i kukły, wywalą tony zjełczałego żarcia, zaczną wyć fabrycznymi syrenami, gwizdać, pokazywać malowniczo, co zrobią zaraz rządowi, posłom, dyrektorom różnych spółek – robi się ciekawie. Kiedy te pały pójdą w ruch, kulki i mu-try naruszają fasady szacownych siedzib, rozprysnie się farba i pierwszy policyjny kask, rozpoczną swoją robotę policyjne sikawki, a potem zaczną dymić gaz i do akcji wkroczy broń gładkolufowa – robi się niebezpiecznie. A kiedy adrenalinę podkręca wyciągane z plecaków puszki piwa i chodnikowe płyty – robi się z tego *news*.

News powstaje ze zderzenia sprawiedliwego wku-rzenia z knajactwem, słusznej złości z menelstwem, szczytnych haseł z prymitywną łobuzerką. Bo to jest widowiskowe, to naprawdę „kręci” i tylko z takiej okazji pan lub pani z takiej czy owakiej telewizji ma okazję w swoim *standuperze* zadać kilka wyglądających na inteligentne retorycznych pytań o zgodność treści protestu z jego formą. Kiedy z oburzeniem pytano u nas, czemu z okazji rocznicy „jesieni ludów” w 1989 roku pokazywano tylko obalanie muru berlińskiego, a nie polski Okrągły Stół, próbowałem przekonać krytykantów do starej zasady, że ciekawe zdarzenia nie muszą robić automatycznie ciekawej telewizji. W telewizji nie będą ciekawe wielogodzinne monologi i pertraktacje pań i panów skupionych wokół egzotycznego mebla, nawet jeśli owe panie i panowie dokonują właśnie przełomu w historii. Kiedy runie jakiś mur, kogoś zastrzelą lub powieszą i kiedy uda się to jeszcze pokazać milionom ludzi na świecie – to wtedy dopiero uwierzą, że przełom się dokonał. Z gadania przełomy nie powstają: z wieszania – i owszem.

Pomyślałem sobie o tym w trakcie krakowskiego Kongresu Kultury Polskiej (23-25 września 2009 r.), kiedy obserwowałem blisko półtoratysięczne zgromadzenie twórców, działaczy, wyznawców i kibiców, kłębiące się w salach i okolicach Auditorium Maximum UJ. Niektórzy przyjechali do Krakowa wiedzeni pasją i szlachetnym zapałem, niektórych zaproszono dla dodania powagi zgromadzeniu (albowiem zawsze okaz mastodonta podnosi rangę widowiska); jedni potraktowali Kongres naiwnie jako okazję zgłoszenia swoich racji, inni jako uczestnictwo w rytuale, a jeszcze inni – i ci wyraźnie przeważali – jako wydarzenie towarzyskie. Odbывало się ono, co należy mocno podkreślić, w klimacie totalnego „olania” przez *mainstreamowe* media: w trakcie obrad – do czego przynajmniej się bez

skruchy – podglądałem popularne portale i serwisy internetowe. Co mówią? Jak komentują? Oczywiście – wyłączam tu, mocno zawodne i działające z czkawką, strony samego Kongresu (ruch był tam taki jak w muzeum Guggenheima w noc wigilijną). Główne telewizje i portale komercyjne w ogóle Kongresu nie zauważyły, a TVP spuściła sprawę do kanału Kultura, uznając ją w ten sposób za załatwioną. Ponieważ wierzę w teorię, iż media mówią nam nie tyle, jak coś mamy oceniać, ile co jest ważne, odniosłem wrażenie, że problemy polskiej kultury nie są ważne dla tych mediów, które mają najsilniejszy wpływ na Polaków. Czyżby uznali, że nie są częścią tej kultury i że pochodzą z jakiegoś abstrakcyjnego obszaru, który z tym wszystkim, o czym w Krakowie mówiono przez prawie trzy dni, nie ma żadnych punktów stykowych?

Zabawny paradoks: ponieważ pamiętam (byłem tam akredytowany jako dziennikarz) „historyczny” Kongres w grudniu 1981 roku, który przypominał film dokumentalny wyświetlony w trakcie przerwy w obradach plenarnych w pierwszym dniu obecnego Kongresu – pamiętam też osobliwe zabiegi organizatorów starających się, by wówczas do Teatru Dramatycznego nie dostała się ekipa „Dziennika Telewizyjnego”, propagandowej tuby wrażeń władzy. Spodziewano się desantu od strony knajpy Trojka i, jak mnie pamięć nie myli, próby infiltracji jakoś udaremniono. Tolerowano wyłącznie ludzi z „Pegaza”. Teraz luminarze wręcz nerwowo rozglądali się za kamerami, których próżno było wypatrywać. Oczywiście – mowa o tych najważniejszych kamerach.

Naszła mnie także myśl inna: czy gdyby wtedy, w 1981 roku, obrad Kongresu nie przerwało wprowadzenie stanu wojennego, gdyby spektakularnie nie zablokowano wejścia do Teatru Dramatycznego, a części uczestników zgromadzenia nie internowano – to czy ten Kongres sprzed 28 lat byłby nazywany „historycznym”? Zapewne w jakichś pokongresowych księgach (znając ówczesne zasady wiem, że ukazałyby się albo w drugim obiegu, albo wcale, albo po pięciu latach i to mocno okrojone) ukazałyby się wystąpienia zawierające frazy wręcz spiżowe dla historii powojennej polskiej myśli, ale spłynęłyby kompletnie niezauważone po rodakach zajętych poszukiwaniem w sklepach czegoś, co nie byłoby przysłowiowym octem. Władza zapewne przysłuchiwałaby się im uważnie przez dziesięć do piętnastu minut, po czym uznałaby, że to i tak za dużo. Być może paru znamienitszym spośród zgromadzonych w Teatrze Dramatycznym twórców przydzieliłoby się jakieś stypendia, coś by się „rzuciło” na „odcinek upowszechniania” oraz zapewniło, że Polska Ludowa przywiązuje do kultury wagę najwyższą. I tyle. Paradoksalnie: to czołgi na ulicach i żołnierze LWP grzejący się w grudniowy niedzielny poranek przy kosiakach

(nie pamiętam już, czy tych koksiałów nie ustawiono znacznie później) wprowadzili tamten Kongres do historii. Tak rodzą się przejmujące metafory: porcelanowa (jak w znanym wierszu Stanisława Barańczaka) kruchość intelektu wobec brutalnej „gąsienicy czołgu”. To jest news! Ale w „tamtej” telewizji tego słowa chyba nie znano. Poza tym metafory są znacznie groźniejsze od bomb i od razu należy je rozbrajać – dla dobra każdej władzy.

2.

Jest coś, co obydwie te kongresy dzieli i jest coś, co je łączy. Podobieństwo wynika stąd, że w trakcie obu mówiono o wolnościach twórczych, z tym że w 1981 roku chodziło o uwolnienie kultury z więzów politycznych, a tym razem – jeżeli dobrze zrozumiałem – problemem najważniejszym stał się terror rynku, z którym artyści nie potrafią sobie poradzić. Podobne jest to, że w trakcie obu kongresów twórcy apelowali do władz, jednak dwadzieścia osiem lat temu było to żądanie, by władza trzymała łapy z daleka od kultury – a dziś dało się niemal usłyszeć pragnienie, by władza nie cofała pomocnej dłoni, by się kulturą zajęła, gdyż jest to jej jeśli nie psi, to z pewnością konstytucyjny obowiązek. Być może to jakaś aberracja – ale w 1981 roku chodziło o przekonanie władców PRL, by przestali przestrzegać konstytucji zbyt gorliwie (art. 72, 73 i 75 mówiły wyraźnie o obowiązkach państwa w tym zakresie), dziś jest to pragnienie, by Konstytucja RP była rygorystycznie przestrzegana, choć w obecnym dokumencie o roli państwa w obszarze kultury mówi się raczej mgliście i wyłącznie w kontekście „zapewnienia dostępu” do dóbr oraz nieograniczania twórczych praw.

Są i inne różnice: Kongres z 1981 roku miał cechy rzeczywiście spontanicznej inicjatywy środowisk twórczych i intelektualnych, w związku z tym władza odebrała ją jako polityczną manifestację, rodzaj „oddolnego” ruchu, który w systemie PRL (o innych krajach bloku radzieckiego nawet nie wspominając) był nie do pomyślenia. Dziś każdy może zgłaszać dowolne postulaty i organizować cokolwiek, jednak bez gwarancji, że znajdą się na to publiczne fundusze. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego zbierając w Krakowie we wrześniu przeszło tysięcosobowe grono twórców i działaczy kultury wykonało skuteczny (w jego mniemaniu) piarowy ruch: partia Donalda Tuska, którego nieobecność na Kongresie kilkakrotnie mu wypomniano, oskarżana o „zdradę” inteligencji i jej interesów usiłowała w ten sposób zrobić wrażenie, że jest wręcz odwrotnie. Nie wiem, czy ktoś jeszcze dziś wierzy, że Platforma Obywatelska jest partią „inteligentką”. Od początku było wiadomo, że jest to partia ludzi interesu, by nie powiedzieć: „geszefciarzy” i to bardziej średniego niż wyższego sortu, gdyż sort wyższy trzyma się od jednoznacznych politycznych deklaracji z daleka słusznie zakładając, że jedynie taka postawa zapewnia trwałość wielkiemu biznesowi. Nie istnieje więc żaden powód, dla którego obecna „siła przewodnia” miałaby wykazywać szczególną pieczołowitość w kontaktach ze środowiskami twórczymi – chyba że są to twórcy o takiej renomie i statusie materialnym, że utrzymywanie z nimi zażyłości jakoś się „opłaci”.

Tym bardziej nie istnieje żaden powód, by taką pieczołowitość okazywała partia braci Kaczyńskich.

Jej elektorat jedynie w niewielkim procencie składa się z ludzi kultury i nauki wiernych wartościom konserwatywnym. Konserwatyzm PiS nie należy przy tym do konserwatyzmów „oświeconych”, podobnie jak nie można nazwać „oświeconym” liberalizmu Platformy. Różnice między Prawem i Sprawiedliwością a Platformą Obywatelską należy rozpatrywać nie w kontekstach ideologicznych i poprzez koncepcje intelektualne, lecz wyłącznie w perspektywie prostackiej gry politycznej, knajackiej walki o władzę, co zresztą na każdym kroku widać. W tej grze środowiska twórcze są wykorzystywane jako karta przetargowa (przykładem jest tu sławna wizyta kulturalnych autorytetów u prezydenta w sprawie wetowania – skandalicznej zresztą – ustawy zwanej „medialną”). Obawiam się, że wielu z obecnych na Kongresie twórców – nawet tych z najwyższej półki – niezupełnie zdaje sobie sprawę ze swego położenia. Wprawdzie diagnoza taka brzmiała gdzieś w tle wielu wystąpień kongresowych, nigdzie jednak nie sformułowano jej wyraźnie: czas inteligencji, pojmowanej w nieco XIX-wiecznym stylu, dobiegł końca. Jej etos w zatrważającym tempie, bo zaledwie w ciągu dwudziestu lat rozmył się i rozproszył. Być może stało się tak, gdyż po 1989 roku nikt w zasadzie nie podjął się próby opisanie owego etosu, zredefiniowania go w języku odpowiadającym nowej rzeczywistości. Nie można już bez cudzysłowu mówić o sobie i własnej roli w języku wyciągniętym z dawnych szkolnych czytanek. Nie można uzurpować sobie prawa do występowania w charakterze Kordianów lub Judymów bez narażania się na śmieszność. Nie można też przemawiać językiem, który może sprawdzać się w czasach peerelu (czyli w języku oporu, obrony godności, „potęgi smaku” i rozmaitych wcieleń Pana Cogito). Polska inteligencja została bowiem w gruncie rzeczy zmarginalizowana głównie dlatego, że nie potrafiła zaakceptować nowej roli: roli producentów dóbr kultury obecnych nie tyle na rynku idei, ile po prostu na rynku. „Klasa intelektualna” w zachodnim rozumieniu to jednak nie to samo co wschodnioeuropejska „inteligencja”.

3.

Odnoszę wrażenie, że zbiorowość ta znalazła się po 1989 roku (aczkolwiek z zupełnie innego powodu) w identycznym położeniu jak siedemdziesiąt lat wcześniej, po odzyskaniu niepodległości. Wybuch wojny, a potem czasy komunizmu zahamowały przekształcenia polskiej inteligencji spychając ją ponownie w anachroniczny model, w jakim definiowała swoją tożsamość. Zachłystnięcie się wolnością po 1989 roku, brak własnego samookreślenia w nowej sytuacji, dziecięca wiara w magię opacznie zresztą pojmowanej schumpeterowskiej „twórczej destrukcji” (doskonale pamiętam z początku lat 90. okrzyki zachwyty twórców, dziś domagających się państwowego wsparcia, że państwowy mecenat to przekleństwo, a wielkie dzieła same na siebie zarobią) skazywały nas na przejmowanie zgoła plagiatowe wzorców zachodnich. Wydawały się lekarstwem na wszystko; zapominaliśmy jednak, iż wzorce te kształtowały się przez dziesiątki lat w demokratycznych systemach, z którymi mieliśmy do czynienia jedynie w krótkich okresach polskiej państwowości, a tak naprawdę – wcale. Rozwalanie tego, co całkiem nawet nieźle funkcjonowało, a nosiło „piętno” komunistycz-

nego systemu okazywało się w tamtych „heroicznych” czasach ważniejsze niż myślenie, co na tym miejscu ma powstać. I powstawały jakieś niezdarne, hybrydyczne, „zindygenizowane” twory, niezdolne do dłuższego trwania. Bo taki jest los hybryd. Z zasady są bezpłodne.

Hybrydą był też i ostatni Kongres Kultury. Zorganizowany według reguł, które może sprawdzają się w trakcie naukowych konferencji (a i to coraz rzadziej), zrytualizowany, zinstytucjonalizowany był w sumie symbolem niemożności leczonoj „chciejstwem”. A samym „chcieniem” impotencji zwalczyć się nie da. Już sama jego forma: obrad plenarnych i paneli, przypominających raczej telewizyjne debaty z udziałem gawiedzi (któryś z dziennikarzy trafnie zauważył, że za stówkę dostawało się trochę ozdobnych wydawnictw i gadżetów oraz bilet wstępu na występy rozmaitych gwiazd), mimo nawoływań o dialog, praktycznie dialog ten wykluczała.

„Dialog” to dziś słowo całkowicie wydrążone z treści, liczman zastępujący wartościową monetę. Takie wrażenie odniosło sporo obserwatorów: mogliśmy sobie popatrzeć „jak oni dyskutują”. Rozbicie Kongresu na równoległe panele (przeszło 20) praktycznie wykluczało wysłuchanie tego, co mogło być interesujące – przynajmniej potencjalnie. Dość zabawnie zabrzmiał np. apel jednego z uczestników panelu poświęconego współczesnej sytuacji języka o... zamknięcie drzwi, bo wchodzenie i wychodzenie rozprasza dyskutantów. Zważywszy, że równoległe dyskutowano np. o społeczeństwie sieciowym, którego natura jest otwarta i płynna, a wejść i wyjść z niego można w każdej chwili, głos ten (mimo że wydobył się z osoby zdołnej w toę i biret) wydawał się dochodzić z krypty.

Wyjątkiem był tu panel poświęcony mediom. Jak zauważył trafnie jeden z dyskutantów, odbył się on przy całkowitej nieobecności ludzi za media odpowiedzialnych, mimo że w nabytej do granic wytrzymałości Auli Średniej Auditorium Maximum starczyłoby miejsca dla kilku prezesów TVP. Prowadzący dyskusję Jacek Żakowski odważył się (jak ta odwaga potaniała...) złamać konwencję talk-show i dopuścić do głosu widownię. Tylko tyle i aż tyle wystarczyło, by właśnie tam powstał pomysł powołania Komitetu Obywatelskiego Mediów Publicznych, którego roboczą deklarację przedstawiono w trakcie ceremonialnego zamknięcia Kongresu.

Z wrodzonej złośliwości powiem, że Komitety Obywatelskie nie mają w wolnej Polsce zbyt dobrej tradycji, a ich działalność kończy się z reguły „wojną na górze” oraz użyciem „siekierek”. Trudno ocenić, w jakim stopniu inicjatywa ta była rzeczywiście „oddolna”, w jakim zaś uzgodniona z PO, która teraz, spektakularnie, rękami luminarzy kultury próbuje odwalczyć publiczne media, utracone w wyniku własnej pychy i kunktatorskich gier. Założmy jednak, że pomysł zrodził się spontanicznie – tyle że oparł się na dość wątpliwym dogmacie, że media publiczne są Polakom naprawdę potrzebne, bo tylko one zapewniają Kowalskiemu dostęp do dóbr kultury, a samej kulturze trwałość.

Konstrukcja „mediów publicznych” znajduje się obecnie w stanie głębokiego kryzysu, gdyż jest hybrydą, o której wyżej napisałem, co napisałem. Jest to kryzys nie tylko lokalny, ale powszechny – wystarczy spojrzeć, co z telewizjami i radiofoniami pub-

licznymi dzieje się w większości krajów postkomunistycznych. Kompletnie nie przekonują mnie argumenty, że w Niemczech, że w Danii, że w Holandii, a nawet że w USA... Warto pamiętać, że w krajach tych panuje ład medialny kształtowany w warunkach demokracji przez wiele lat. W Polsce nie ma od lat żadnego ładu medialnego, a klimat wokół mediów (nie tylko publicznych) przypomina raczej bramę, w której handlowało się „zielonymi”, gdyż KRRiT od dawna jest miejscem załatwiania partyjnych porachunków, a nie szukania najlepszych rozwiązań i stabilizacji.

4.

„Cała władza w mediach publicznych w ręce twórców”. Brzmi efektownie, ale wywołuje i lęk, i obrzydzenie. Lęk, gdyż znów jakaś grupa, dość samozwańczo, uważa, że ma prawo kontrolować coś, co jest publiczną własnością. Obrzydzenie, gdyż grupa ta (co pokazało się chociażby w sprawie Romana Polańskiego), uważa, że z jakichś powodów „jej wolno więcej”. Korporacyjna moralność, ujawniająca się zresztą nie tylko w tej kwestii, ujawni się zawsze i nie będzie mieć oblicza „misyjnego”, tylko oblicze numeru konta bankowego. Skoro w jednej sprawie korporacja ta uważa, że jej ludziom prawo może „naskoczyć”, nie będzie się zachowywać lepiej w innej. Jeśli więc ktoś chce mieć własną telewizję – niech ją sobie zrobi. Mógł ojciec Rydzik zbierać na Stocznę im. Lenina i inne „apostolskie dzieła” – mogą zbierać i ci, którzy marzą o propagowaniu swoich dzieł wiekopomnych we „własnej” telewizji. Jeśli ma to być telewizja czy radio publiczne – proszę je sobie kupić (o ile będą kiedykolwiek na sprzedaż).

„Doświadczenie pokazuje, że klasa polityczna nie jest w stanie uregulować sytuacji mediów publicznych w Polsce, tak by mogły one służyć społeczeństwu. Uznajemy więc, że odpowiedzialność za ich urządzenie i funkcjonowanie powinny przejść środowiska społeczne nie biorące udziału w walce politycznej, zwłaszcza ludzie kultury, sztuki, nauki i organizacje społeczeństwa obywatelskiego” – głosi deklaracja KOMP-u. Powtarzam: brzmi efektownie, ale nic nie znaczy, bowiem żadna władza nigdy i nigdzie nie oddaje najpotężniejszej maszyny oddziaływania na elektorat grupie nieobliczalnych pięknoduchów. Zresztą – z tym „pięknoduchostwem” i politycznym dziewictwem to też przesada. Ludzie, których podpisy widnieją pod apelem-manifestem Komitetu, potrafią sobie doskonale poradzić bez mediów publicznych, a swoją pozycję zawdzięczając również starannemu wykorzystywaniu koniunktury w latach PRL, gdy władza jednocześnie twórców gnębiła i ich się najzwyczajniej bała. Romantyczne mity o poecie rozpiętym na krzyżu wolności można zachować dla małoletnich wnuków i prawnuków. I tak guzik z tego rozumiem.

5.

Oprócz Wielkich Nieobecnych – premiera, prezesów głównych mediów – wymienić trzeba i innych, jednak ich absencji na Kongresie poniekąd nie dostrzegano. Myślę o minister edukacji oraz minister szkolnictwa wyższego. Czy można mówić o kulturze, nie mówiąc o edukacji na wszystkich poziomach? To są – być może to myślenie nieracjonalne – dwie strony tego

samego. Nie istnieje kultura bez przekazywania wartości i bez kształtowania zapotrzebowania na wartości – a to właśnie jest zadanie szkoły.

Po 1989 roku nieustający festiwal szkolnych reform doprowadził do sytuacji, w której polskie szkolnictwo przypomina potwora zwijającego się w agonicznych drgawkach. Nikt, nikomu i niczego w takiej sytuacji nie przekazuje: uczniowie i nauczyciele uczestniczą w jakimś komunikacyjnym rytuale, którego uwieńczeniem ma być dyplom lub świadectwo. A i ów dyplom niczego nie potwierdza: ani umiejętności, ani wiedzy. Sprowadzone do ogłupiającego testowania egzaminy, szkoły wyższe sprowadzone do roli instytucji wyszarpujących pieniądze na własne przetrwanie i oddane w pacht – gdy idzie o nabór kandydatów na studentów – niedouczone (bo posiadających właśnie dyplom tych uczelni) belfrów rozdających pokwitowania nazywane „świadectwem maturalnym” – czy to ma być miejsce tworzenia „targetu”, do którego trafiać będą przekazy „wysokiej” kultury? Czy student polonistyki, który nie wie, gdzie w Krakowie jest Wawel, czy student medycyny, który nigdy nie był w muzeum historii naturalnej, czy student dziennikarstwa (!), który z rozbijającą szczerością powiada, że nie ogląda telewizji i nie czyta gazet, bo „są głupie” – to potencjał intelektualny, który za dwadzieścia lat ukształtuje oblicze Rzeczypospolitej?

Reformy szkolnictwa, które z zawziętością godną lepszej sprawy przeprowadzały kolejne rządy RP po 1989 roku, zmierzały w jedną stronę – w stronę zabicia w młodym człowieku potrzeby odkrywania świata, naturalnej ciekawości, stawiania pytań, docieklivosti. Bez owej ciekawości nie powstanie nic wartościowego. I niech mi nikt nie daje za wzór takiego czy innego wybitnego młodzieńca czy dziewczyny. Chodzi o adresata zbiorowego, a nie o wybitne jednostki, które wszędzie i w każdej sytuacji dadzą sobie radę. Zdemolowane, oddane na pastwę chaosu rynkowego szkolnictwo, rozdarte dodatkowo między modelem konserwatywnym (w którym mieści się np. chętnie akceptowany przez nauczycieli-oportunistów kreacjonizm i ślepe posłuszeństwo nakazom religijnym) a fałszywie „liberalnym” („róbta co chceta”), nie stworzy rzeczywistego odbiorcy przekazu kulturalnego. Stworzy jedynie albo adaptowany do polskich warunków model salariusza, posłusznego żołnierza korporacji, albo wiecznego buntownika, dla którego wszystko, co pochodzi od „systemu” będzie śmiertelnym wrogiem.

Dlaczego więc w miejscu, w którym rozważano sprawy dla polskiej kultury najważniejsze, zabrakło tych, w których rękach jest polska szkoła? Może w gruncie rzeczy nie mają nic do zaproponowania? Może czekają, że „siła przewodnia” zwoła jakiś Kongres Edukacji Polskiej, na którym w atmosferze uniwersyteckiego seminarium rozważy się sprawy tamte i owamte?

7.

Z ogromnym rozczarowaniem i smutkiem spoglądałem na ministra Michała Boniego, którego pamiętam z młodzieńczych czasów jako świetnie rokującego polonistę, gdy z ogniem w oku przedstawiał bełkotliwy raport zwany „Polska 2030”, obracając przedziwnymi terminami w rodzaju „współczesny bohemiański” (chodzi o stopień nasycenia populacji artystami, jak rozumiem; na pewno istnieje jakiś matematyczny wzór na tę war-

tość i na pewno jest w nim zawijas sugerujący całąkę). Z rozczerleniem spoglądałem na profesorów ekonomistów: Leszka Balcerowicza i Jerzego Hausnera, którzy usiłowali przełożyć twarde ekonomiczne kalkulacje na język zrozumiały dla „czynnika bohemiańskiego”, w rejonach Auditorium Maximum zbliżającego się zapewne do jedności. Pierwszy, już na początku obrad, jak piorunochron zebrał na siebie całą wściekłość zgromadzenia wykładając na stół własne przekonanie, iż ludzie kultury w swoich roszczeniach wobec państwa prezentują mentalność „radzieckiego towarzysza”. Coś jest na rzeczy, niemniej skrót myślowy wydał mi się zbyt poważny i cudem Mesjasza polskiej transformacji sprowadził na ziemię prof. Andrzej Mencwel przypominając, że etatyzm nie jest wynalazkiem komunistycznym, a socjalizm ma się do stalinizmu jak stringi do reform. Zaś profesor Hausner w takim układzie sił miał zadanie ułatwione: mógł jedynie rozmiękczać zdanie wyrażone we wcześniej opublikowanym w Sieci własnym projekcie, zakładające, że motorem napędowym polskiej kultury będzie sponsoring ze strony rozmaitych „misiów”, którzy mają już apartamenty na Florydzie i na Bahamach, swoim starym i kochankom dali bilon na waciki, a teraz, panie, kuźwa, „wejdą w sektor kulturalny” („tylko żeby mi tu jakiego pedalstwa nie było, bo pogonię!”). To był pokaz nieprzystawalności światów, wyraz całkowitej obcości: zdolny polonista gimnastykujący się na trapezie ze słów wziętych z wolapiku ekonomistów i ekonomiści wysokiej klasy starający się dostosować do mowy „czynnika bohemiańskiego”. Czy jednak ten pokaz wart był stu złotych?

8.

I na koniec jedno, najważniejsze chyba spostrzeżenie. Kultura 2.0 nie rodzi się w ministerstwach, nie na majestatycznych kongresach w udziałem notabli i zorganizowanych według schematu telewizyjnej ramówki. To co najwartościowsze powstaje zupełnie spontanicznie, niekiedy w miejscach zapomnianych przez Boga i ludzi. Kulturę robią sami jej użytkownicy – bo taka jest natura współczesnych sieciowych społeczności. To co w niej powstaje, nie jest nigdy nienaruszalnym jak grobowiec wieszcząca monolitem, to nie musi trwać wiecznie. Jest impulsem zdolnym poruszyć coś w ludziach z pozoru na wartości niepodatnych. Dyskusja o kulturze i prawdziwy dialog o niej nie może być sterowany z ulicy Miodowej w Warszawie. Tu nie pomoże ani minister, ani arcybiskup, ani laureat Oskara (choć to właśnie dzięki niemu ta prawda mogła przebić się do opinii publicznej). Jeśli twórcy chcą przejąć publiczne media – to niech przejmują, niemniej oznacza to upupienie i twórców, i mediów. Jeśli chcą pomocy państwa – to niech ją dostają, tylko nie powinni potem narzekać, że ten i ów poseł w napadzie bogoojczyźnianego szału zdemoluje awangardową wystawę w Zachęcie.

Kongres zbojkotowali twórcy niezależni, choć dziwię się im, że zamierzają zorganizować własny „kontrkongres”. To będzie jedynie pusty gest, który wpędzi ich w smutne koleiny żywota hybryd, co z natury rzeczy potomstwa mieć nie mogą. A to, że z niego rezygnują, jest wyłącznie aktem kapitulacji, przyznaniem do „oczywistej oczywistości”, a nie szczególnym heroizmem.

ZBIGNIEW BAUER

RAFAŁ SKĄPSKI

MECENAS

PILNIE POSZUKIWANY

(rozważania uczestnika)

Jechałem na Kongres Kultury Polskiej, nie ukrywam, z mieszanymi uczuciami, sceptycznie odnosząc się do spodziewanego przebiegu i efektów. Jednak suma wydaje mi się przechylać na korzyść. Kongres, mimo wszystkich spodziewanych i faktycznych słabości okazał się potrzebny, a jego przebieg zaskakiwał nieraz atmosferą i emocją dyskusji, nie wspominając o sile argumentów, choć i demagogii, okrągłych słów i wąskiego traktowania problematyki tylko z perspektywy własnego podwórka też nie brakowało.

Rozpocząć chcę od wskazania wad i niedociągnięć, by mając to za sobą łatwiej wskazać plusy tej trzydniowej debaty.

Wiele środowisk i organizacji miało żal, że albo zostały pominięte w trakcie prac nad kształtowaniem struktury kongresu, albo specyfika ich problematyki pojawiła się podczas obrad marginalnie. Większość uczestników narzekała, iż układ paneli nie pozwalał – będąc na jednym z nich – wziąć udziału w drugim czy trzecim, który daną osobę również interesował; powszechny był też pogląd, że większość uczestników występuje jedynie w roli biernego słuchacza mogąc reagować na wystąpienia oklaskami lub buczeniem, co niejednokrotnie następowało. Do głosu dopuszczani byli bowiem jedynie ci, którzy byli z góry wyznaczeni do udziału w panelach plenarnych czy kameralnych. Podczas obrad plenarnych nie można było zabrać głosu „z sali”, stąd owo buczenie miast dyskusji i polemiki na słowa, a uczestnicy dyskusji kameralnych mieli zaledwie około pół godziny na wypowiedzi, co powodowało, że głos otrzymali ci, którzy sobie to zagwarantowali wcześniej, więc i tu nie mogła rozwinąć się wymiana argumentów.

Niektórzy bezskutecznie szukali na sali reprezentantów sponsorów i mecenasów wydarzeń kulturalnych, nie zauważono też przedstawicieli rodaków zamieszkałych poza Polską. Uczestnicy otrzymali zaproszenia, do wyboru, na wiele ciekawych wydarzeń kulturalnych, a spora grupa na kilka dni przed kongresem została postawiona przed dylematem przyjąć czy odrzucić zaproszenie na konkurencyjne (termin) zaproszenie na

bankiet. Apel Grzegorza Jarzyny, by wzajemnie poznać to co jest dziełem kolegów dla wielu zgłodniałych pozostał niesłyszalny.

Zaletą kongresu jest sam fakt, że się odbył, a dyskusja, mimo wskazanych niedoskonałości, pokazała że nie była to akademicka ku czci aktualnego ministra, nie było to nieme akceptowanie prezentowanych od pewnego czasu możliwych „reform kultury”, a wyraźne pokazanie, iż środowiska reprezentowane na kongresie wiedzą, co chcą bronić i o co się u władz dopominać, postulując odważnie mocny stabilny mecenat państwa, równoległe z gwarancją pełnej wolności twórczej.

Dopominając się powszechnego dostępu do kultury wspierano to przypomnieniem zapisu Konstytucji („Rzeczpospolita Polska stwarza warunki upowszechniania i równego dostępu do dóbr kultury, będącej źródłem tożsamości narodu polskiego, jego trwania i rozwoju”). W tym właśnie kontekście mówiono o silnych instytucjach narodowych i samorządowych, o stabilnym prawie gwarantującym między innymi menedżerskie długoletnie kontrakty, o odczuwalnych ulgach dla sponsorów. Prof. Andrzej Mencwel domagał się państwowej odpowiedzialności za opracowania krytyczne dzieł wszystkich klasyków literatury polskiej i ich stałą dostępność w księgarniach.

Żywą reakcję wywołały wystąpienia Leszka Balcerowicza i Jerzego Hausnera. Obaj wybitni ekonomiści nawołując do urynkowienia kultury zdali się pomijać tak oczywisty dla zebranych fakt, iż kultury nie można w żadnej mierze równać z jakimkolwiek innym produktem rynkowym, bo nim po prostu nie jest i regułom rynkowym podlegać bezrefleksyjnie nie może. Balcerowicz wyjechał z Kongresu niemal tuż po swym wystąpieniu, Hausner pozostał do końca i w finale kongresu zaprezentował inną twarz dowodząc, że potrafi o sprawach ekonomii w kulturze rozmawiać spokojnie i nie wyłącznie *ex cathedra*, dla nieekonomistów zrozumiałe, nie narzucając poglądów, a poddając je słuchaczom pod rozwagę. Za taką zmianę tonu i stylu wypowiedzi, ale także za wyraźne opowiedzenie się za równymi pra-

wami prywatnych organizatorów życia kulturalnego do korzystania ze środków budżetowych zyskał aprobatę zdecydowanej większości zebranych.

Jakich wypowiedzi zabrakło? Po pierwsze, odniesienia się do raportu Hausera, a raczej do niezbyt szczęsnego z nim wywiadu sprzed kilku miesięcy. Próby dowiedzenia, iż potrzebna jest dyskusja nawet z ekonomistami nie znającymi do końca specyfiki materii, bo uczeni w jednej materii, a dyletanci w innej wymieniając poglądy z profesjonalistami sprzyjają wychyceniu nieprawidłowości, braków szkodliwej rutyny. Potrzeby zmian w kulturze, strukturalnych, organizacyjnych ekonomicznych są bezwzględnie potrzebne, ale muszą być wypracowane w trakcie dyskusji, nie zaś narzucane.

Trzeba przeanalizować wszystkie regulujące działalność kulturalną przepisy, a także należy zastanowić się nad funkcją poszczególnych grup, instytucji, nad sprawnością ich działania, czy zbytnio się nie pokrywają oraz czy nie tworzą się gdzieś czarne czy białe plamy. Uporządkowanie systemu instytucji kultury powinno uwzględniać meritum, a nie wynikać z przyjętej za biurkiem ich liczby – przypisanej ministrowi, samorządom wojewódzkim czy miejskim.

Po drugie, mimo wszystko jeszcze silniej winien być wyartykułowany postulat mocnego mecenatu państwa, takiego, by organizatorzy mieli dłuższą niż rok budżetowy perspektywę bezpiecznego planowania działalności, a dotacja pokrywała nie tylko koszty stałe, ale zdecydowaną część zadań zleczanych, określonych w statucie placówki lub w zatwierdzonym wieloletnim planie. Poza tym w gestii ministra i władz samorządowych powinna być wydzielona pula środków, o które mogą ubiegać się wyłącznie pozainstytucjonalni organizatorzy cyklicznych czy jednorazowych zdarzeń kulturalnych.

Dodatkowe źródła zasilania kultury winny być uruchomione nie jako hasłowo wyliczone możliwości, bo lista będzie martwa i pozostanie w sferze pobożnych życzeń. Każdy sponsor, mecenas powinien mieć zagwarantowaną prawnie odczuwalną ulgę finansową z tytułu skierowania środków na kulturę. Zasady rządzące odpisywaniem jednego procentu z PIT, mimo wielu lat stosowania i wielu wniosków o ich poprawę nadal pozostawiają wiele do życzenia. W roku 2008 adresat odpisu wiedział jedynie, jaki urząd skarbowy wpłacił mu łączną kwotę, nie wiedząc, kto i ile mu przekazał. Obdarowany nie mógł nawet podziękować konkretnym osobom, nie mógł ich zaprosić do udziału w zdarzeniach kulturalnych i w ten sposób na dłużej go ze sobą związać. W roku bieżącym, urzędy skarbowe dopiero w końcu września zaczęły przysyłać ponowne informacje, tym razem z nazwiskami darczyńców, a jednak wiele organizacji pożytku publicznego sygnalizuje, iż darczyńcy nie odnajdują swych nazwisk na wykazach z urzędów skarbowych. Co się dzieje z ich procentem?

Poza tym łatwo wykazać, iż mechanizm ten służy wyłącznie silnym organizacjom, które stać na ogłoszenia, ulotki, reklamę w mediach elektronicznych, a więc system wspiera i tak już bogatego. Może powinno się owe darowane pieniądze dzielić na kierowane bezpośrednio do wskazanego obdarowanego, a resztę do wspólnego „banku”, by potem z niego wspierać najwar-

tościowsze inicjatywy? To tylko jeden przykład; prawidłowych zapisów określających zasady sponsorowania kultury przez biznes winno być więcej.

Po trzecie, warto było się upomnieć o systemową edukację ekonomiczną menadżerów i animatorów kultury. Rozmowa z ekonomistami (nie tylko na kolejnych kongresach) byłaby pełniejsza, wartościowsza, nie obrażano by się, nie mylono składając postulaty jednego procenta PKB z jakimże procentem budżetu.

W tym też kontekście uczestnicy kongresu o dłuższym stażu zawodowym z rozrewnieniem wspominali funkcjonowanie (tworzenie i wydatkowanie) Funduszu Rozwoju Kultury, gwarantującego nie tylko stosunkowo duży budżet ale też niezmienny, stały sposób jego naliczania powiązany ze wzrostem płac w gospodarce. Na marginesie warto przypomnieć, iż likwidatorem owego funduszu był Leszek Balcerowicz, który miał jedynie zmienić element systemu naliczania (był to określony procent funduszu płac w gospodarce społecznej, a to odchodziło w przeszłość), po prostu cały dobrze mechanizm działający zlikwidował.

Nikt chyba nie wspominał niesłusznie marginalizowanego ministra Andrzeja Celińskiego, który jako jedyny w tym 20-leciu postarał się o dodatkowe, stałe i przewidywalne źródła finansowania kultury. Bez nich nie byłoby corocznego budżetu Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej.

Kolejna sprawa podnoszona na Kongresie, to edukacja kulturalna dzieci i młodzieży. Dodabym jednak do tego postulatu dwa uzupełnienia i dodatkowy argument. Pierwsze uzupełnienie zakłada, iż nie wystarczy porozumienie z ministrem edukacji i wprowadzenie do szkół podstawowych przedmiotów „muzyka” i „plastyka”. Trzeba zawrzeć kolejne porozumienie – z ministrem szkolnictwa, by w tych obszarach przywrócić wyższe studia pedagogiczne. Drugi postulat: w klasach wyższych szkolnictwa powszechnego kształcić już nie tyle umiejętności plastyczne czy muzyczne, ale kształtować wrażliwość artystyczną, wywoływać i utrwalac potrzebę uczestnictwa w kulturze, jej głębsze rozumienie, oraz przybliżać znajomość nurtów artystycznych, tendencji w sztuce i pojęć podstawowych. Takie rozumowanie występuje w parze z wydrwiwaną przez niektórych uczestników kongresu troską premiera Donalda Tuska o budowę kolejnych boisk szkolnych. Umożliwi bowiem realizację takiego oto programu: jedno popołudnie dla sportu, drugie dla kultury.

Po piąte, warto także, korzystając z pretekstu reformy pokongresowej, przyjrzeć się funkcjonowaniu i strukturze samego ministerstwa i okalających go najróżniejszych instytucji. Najróżniejszych, bo powstają wedle woli jednego ministra i są dobrem często niechcianym przez kolejnego. Argumentem za takim przeglądem jest najczęściej deklarowana chęć zmniejszenia zatrudnienia w centrali, obniżenie kosztów obsługi danego obszaru. Z reguły efekty są inne. Ale istotniejsza sprawa to fakt, iż instytucje działają na podstawie różnych, często daleko odmiennych zasadach prawnych, różne są ich kompetencje, zadania, środki, którymi dysponują. Niestety, działaniami instytucji ciągle nie są objęte wszystkie obszary kultury.

W tym miejscu odnieść się można do zapowiedzianej obecności, a żywo podczas kongresu dysku-

owanej nieobecności premiera Tuska. Jedni wyrażali żal lub wręcz pretensję że go nie ma, inni wskazywali, że premier na kongres narzuciłby protokolarny rytuał związany także z obecnością BOR-u, itp. Wywołałoby to kolejne wizyty innych polityków, którzy nie chcieliby zostać uznanymi za mniej troskliwych o kulturę, co w konsekwencji zburzyłoby i tak napięty harmonogram, zakłóciło przebieg obrad. Może więc lepiej, że premier otrzyma *summę* kongresu, ustosunkuje się do wniosków, a potem wspomże ministra kultury w ich realizacji.

I sprawa ostatnia, niemniej od poprzednich ważna. To sprawa mediów publicznych, apel uczestników i osób na kongresie nieobecnych, by wspólnie napisać nowe prawo medialne (jak udało się porozumieć z tak wielką grupą nieobecnych na kongresie osób i uzyskać zgodę na ich podpis?). Cóż, nowe prawo można samemu napisać, lepiej się je pisze w osób kilka niż w kilkaset, ale do uchwalenia potrzebna jest sejmowa i senacka większość oraz aprobata prezydenta. Majstrowanie przy mediach publicznych trwające czas jakiś bulwersuje tych, których – jak się zdaje – nikt poważnie o zdanie na ten temat nie pyta, choć są one im bliskie i potrzebne jako często jedyna możliwość dostępu do dóbr kultury, informacji, a więc do słuchaczy i widzów. Słuchaczy wymieniam na pierwszym miejscu, bo w dyskusji o mediach publicznych телеви-

zja i jej problemy przesłaniają bardziej kulturotwórcze radio.

A wydaje się to takie proste. Pierwsza teza to nowy status radia i telewizji – odejście od kodeksu spółek handlowych bo przecież niczym nie handlują, niczego w sensie rynkowym nie produkują. Drugie to stabilne źródło zasilania, obojętne czy poprzez skuteczniejszy pobór abonamentu w obecnej formie, czy zdecydowanie się na inne sposoby, np. przy rozliczeniu PIT czy opłatach za energię. Trzecie, to konsekwencja drugiego – stopniowe odchodzenie od sprzedaży czasu antenowego na reklamy, a w każdym razie zdecydowane jego ograniczenie. Czwarte, to określenie tego co jest misją mediów wobec społeczeństwa. Potem można wybierać zarządy, rozliczać je nie tylko z apolitycznej rzetelności przekazu informacji, ale też żądać możliwego przy zachowaniu poprzednio wymienionych reguł poniechania rywalizacji z komercją.

A wracając do samego kongresu i tytułowego pytania, nadzieję budzą słowa ministra Bogdana Zdrojewskiego, który zamykając obrady zasygnalizował, że zapoczątkowany na kongresie dyskurs nadal będzie się toczyć. To dobry sygnał świadczący, że ten minister wie, iż środowiskom z którymi przyszło mu współdziałać i dla których pracować poklepywanie po plecach i puszczenie porozumiewawczego oka nie wystarczy.

RAFAŁ SKĄPSKI

Jubileusze prezesów „Kuźnicy”

30 września br. „Kuźnica” obchodziła, wraz z rodziną, przyjaciółmi i współpracownikami HIERONIMA KUBIAKA – 75-lecie urodzin swego Prezesa. W sali posiedzeń Senatu Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego odbyła się z tej okazji debata na temat *Czy nauki społeczne pozwalają zrozumieć współczesność?*, a Profesorowi-Jubilatowi Hieronimowi Kubiakowi wręczono Księgę Pamiątkową.

Ale to nie koniec tegorocznych „jubileuszów prezesów”. 30 lipca 80-lecie obchodził prof. MARIAN STĘPIEŃ, a 6 października swe 60-lecie – najmłodszy z byłych prezesów, prof. JERZY HAUSNER.

W czerwcu br. rzadki jubileusz 60-lecia działalności publicznej w Krakowie urządziliśmy w Sali Fontany Muzeum Historycznego Miasta Krakowa 77-latkowi ANDRZEJOWI KURZOWI.

„Kuźnica” i „Zdanie” życzą Jubilatom pełni sił twórczych i zdrowia.

JAN PIESZCZACHOWICZ

KORNEL FILIPOWICZ W KRĘGU LEWICY

W lutym 2010 roku mija 20. rocznica śmierci KORNELA FILIPOWICZA, wybitnego prozaika i znaczącej postaci w życiu publicznym, uważanego za jeden z autorytetów moralnych szczególnie w ostatniej dekadzie PRL i w okresie przemian politycznych związanych z jej upadkiem. Należał do moich przyjaciół. Ostatnio zredagowałem książkę wspomnieniową o nim. W obszernym wstępie piśm. in. o jego związkach z myślą lewicową.

Kiedy Kornel Filipowicz zjawił się w Krakowie w 1933 r. by podjąć studia w Uniwersytecie Jagiellońskim, był wprawdzie prowincjuszem, ale nieźle przygotowanym na spotkanie z wielkim ośrodkiem naukowo-kulturalnym rywalizującym nie tylko ze stolicą, ale także z prężnym gospodarczo Lwowem, uchodzącym za miasto bardziej nowoczesne i bardzo „europejskie”. W oczach wielu Polaków był Kraków nadal najważniejszym ogniwem łączącym przeszłość z przyszłością – z Wawelem, starym miastem i licznymi kościołami, których dzwony wzywały niezmordowanie na modlitwę. Liberałowie krzywili się na to, a początek dał m.in.

Tadeusz Boy-Żeleński nie bez sentymentu opisujący krakowskie zakamarki, ale też wyszydzający tutejsze drobnomieszczaństwo zanurzone w galicyjskim bezruchu i dulszczyźnie. Kraków zawdzięczał to miano Gabrieli Zapolskiej, która akcję *Moralności pani Dulskiej* umieściła początkowo we Lwowie (pan Felicjan spacerował tam na Górze Zamkowej), ale w późniejszej wersji odbywał zdrowotne pielgrzymki na kopiec Kościuszki.

Nie był to gród sielankowy, pamiętano jeszcze krwawą rozprawę rządu z demonstracjami robotniczymi w 1923 r., która pochłonęła wiele ofiar i wstrząsnęła opinią publiczną. Nazywano je „powstaniem krakowskim”, ponieważ robotnicy wystąpili zbrojnie przeciwko militaryzacji kolei i sądom doraźnym wprowadzonym przez rząd Chjeno-Piasta, w odpowiedzi na wezwanie CKW PPS. Kandydat na pisarza miał też okazję śledzić strajk okupacyjny w fabryce Semperit w 1936 r.

Lewicowość Filipowicza miała charakter socjalistyczny, choć m. in. bliskie kontakty z komunistą Ignacym Fikiem także w czasie okupacji i niekłamana sym-

patia do tej postaci wskazują, że nie dystansował się od komunizmu. Fik był znanym przed wojną krytykiem literackim, którego poglądy odpowiadały przybyszowi z Cieszyna, bo odznaczały się wyrazistością, radykalizmem społecznym i artystycznym. Poświęcił mu Kornel opowiadanie *Henryk* (pod tym imieniem występuje także w cyklu *Niepokój młodego serca*) oraz wspomnienie drukowane w „Nowych Drogach”. Dowodzą one uznania i sympatii, a także głębszych więzów duchowych i ideowych. Radykalizm jego poglądów „wychodził daleko poza ówczesne nastroje polityczne inteligencji, która się uważała za postępową”. Za to „miał bardzo złe dochody, kuratorium ograniczyło mu ilość godzin języka polskiego, które miał w gimnazjum, zabroniło wykładania historii i propedeutyki filozofii, choć miał do tego prawo, nasyłano na niego inspektorów i dawano posłuch historycznym denuncjacjom matek i interwencjom katechetów; cenzura prześladowała konfiskatami jego wiersze i artykuły”.

Z przekonania komunistą, humanistą, z usposobienia raczej chłodny racjonalista niż płomienny trybun (tak go widział Filipowicz) „ośmielił się być większym patriotą, niż go do tego – w ich pojęciu – upoważniały jego przekonania!”, m.in. lewicowy internacjonalizm. Po podbiciu Polski przez Niemcy, w październiku 1939 r. w opowiadaniu *Henryk* przy stoliku kawiarnianym toczyła się rozmowa czy pozostać w kraju, czy uciec za granicę. „Byliśmy przekonani, że pochwalą nasze zamiary i zgodzi się z nami – że na zdobytej przez wroga ziemi nie ma już możliwości obrony. Zwłaszcza dla nas”. Odpowiedź komunistycznego intelektualisty była prosta i patriotyczna: „Tu bije serce naszej ojczyzny” – wraz z decyzją, że zostaje w kraju. Skutkiem była śmierć Fika z rąk hitlerowców w 1942 r.

Dużo informacji o kształtowaniu się ówczesnej postawy Filipowicza znajdujemy w jego eseju *Moje pokolenie i „Nasz Wyrzaz”*, zaczynającym się takim oto stwierdzeniem:

„Rok, w którym przyjechałem na studia do spokojnego, zaściankowego Krakowa był rokiem niespokojnym i przyniósł w Europie środkowej dziwne wydarzenia. Zaczęło się od tego, że Niemcy obdarzyli wielkim zaufaniem pewnego kaprała z pierwszej wojny światowej i zrobili z niego kanclerza Rzeszy”.

Należał do pokolenia, które I wojnę światową znało najwyżej z dziecięcych wspomnień i przekazów. Uwierzyli, że w Europie po arcykrwawej nauczce wojennej, po wygaśnięciu erupcji obłądnych nacjonalizmów zapanała ład i spokój. W gruncie rzeczy pamiętali już tylko Polskę niepodległą, „Ale w miarę jak dorastaliśmy, przekonywaliśmy się, że ustrój społeczny państwa jest bardzo daleki od tych wyobrażeń i nadziei, jakie pokładali w nim nasi rodzice” – pisze Filipowicz. Pokolenie, które urządziło Polskę po uzyskaniu niepodległości to byli ludzie „starzy, zmęczeni i zniechęceni”, którzy utracili już wiarę w pozytywne zmiany. Cezary Baryka – chyba że stałby się zdecydowanym socjalistą albo komunistą – odpoczywał już w wygodnym fotelu po trudach młodości i konsumował owoce „odzyskanego śmietnika”, jak pisał Juliusz Kaden-Bandrowski w powieściach *General Barcz* (1922-23), *Czarne skrzydła* (1928-29) i *Mateusz Bigda* (1933). Życie polityczne w Polsce przed zamachem majowym w 1926 r. ten propolsudczykowski pisarz przedstawił jako jeden wiel-

ki bajzel, który jest jakoby nieuchronnym kosztem uzyskania niepodległości. Po upływie lat lewicujący Kornel Filipowicz oskarżał międzywojnie w imieniu swej szeroko rozumianej generacji:

„Na naszych oczach działały się bardzo dziwne rzeczy: ludzie, którzy walczyli o niepodległość naszej ojczyzny, różnie ją pojmując, ale czyniąc to, jak się zdawało, w sposób szczery – teraz żarli się ze sobą jak wrogowie walcząc o władzę. Widzieliśmy morderstwa publiczne i zabójstwa skryte, krwawo tłumione strajki i pacyfikacje przeprowadzane na sposób kolonialny, zamachy stanu i fałszowane wybory. Dowiadaliśmy się o korupcji i aferach, rozkradaniu pożyczek zagranicznych i trwonieniu mienia państwowego. Uchwalono konstytucję, potem ją pogwałcono. Cierpieliśmy w dzieciństwie głód, nasi ojcowie bywali bezrobotnymi, siedzieli w więzieniach, tracili wskutek dewaluacji swoje zasoby materialne. W kraju, który miał być ojczyzną dla wszystkich obywateli – byliśmy świadkami nietolerancji narodowej i religijnej, widzieliśmy dzikie ekscesy rasistowskie i pogromy”.

To był obraz wstrząsający z pozycji nie tyle partyjnych czy politycznych, co po prostu etycznych; „byliśmy idealistami” – powiadał Filipowicz zaznaczając, że idzie o szerszą diagnozę i deklarując walkę o wartości, których trzeba bronić „jeśli świat nie ma się na naszych oczach przeobrazić w dzikie żerowisko, w którym obowiązywać będzie prawo siły”. Zagrożeniu przeciwstawił wiarę, że „istnieje prawdziwa hierarchia wartości i że my jesteśmy powołani do tego, aby o nią walczyć”, choć „wydarzenia polityczne zdawały się prowadzić do czegoś ostatecznego, sprzecznego ze zdrowym rozsądkiem i wolą ludzi”. Było to podszyte swoistym katastrofizmem rozpowszechnionym w dwudziestolecie. Za cechę charakterystyczną swojego pokolenia uznał Filipowicz „polityczność” raczej pozapartyjną, bo „wszystkie zjawiska kulturalne nosiły piętno ideowe. Trzeba powiedzieć, że najwybitniejsze z nich związane były z lewicą w najszerszym pojęciu; wszystko co najlepsze, najbardziej oryginalne i twórcze w sztuce – było wyrazem sprzeciwu, rodziło się z buntu społecznego”.

Nie był to bunt abstrakcyjny. Polska – powiedział słusznie Filipowicz – „była krajem niewiarygodnych dysproporcji cywilizacyjnych i kulturalnych”. Wspominał: „Włączając się w roku 1935 po Polesiu poznałem ten uroczy krajobrazowo i smutny zarazem rezerwat nędzy i prymitywu. Naprawdę, ludzie chodzili tam w łapciach brzoźowych i rozniecali ogień przy pomocy hubki i krzesiwa”. Dla „pokolenia radiofonicznego i awionautycznego”, jak określa swoją generację, było to wyzwanie do sterowania na lewo, choć znaczna jej część tkwiła w marazmie obyczajowym i ideowym, czy raczej bezideowym. Zapisał się do Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, ale do Komunistycznej Partii Polski – nie. W *Jutro znów wojna* Jan Borecki vel Kornel Filipowicz po odmowie podjęcia bliższej współpracy „Naszego Wyrzazu” z Komunistyczną Partią Polski i przyjęcia jej wsparcia finansowego dla pisma przeżywa rozterki:

„Jan nie był członkiem partii, w jej akcjach politycznych uczestniczył za pośrednictwem MOPR-u, organizacji parakomunistycznej i nielegalnej, ale o szerszym zasięgu oddziaływania. Nie podlegał dyscyplinie partyjnej, nie miał powodu poczuwać się do niesubordynacji;

skąd więc brał się ten niepokój, mający w sobie coś z poczucia winy? Gdybyż to Jan przynajmniej przez chwilę wierzył w to, że poświęcenie małego, prowincjonalnego pisma studenckiego może przyczynić się do zwycięstwa rewolucji! Friedben, z którym widział się parę dni wcześniej, wyśmiał jego obiekcje, nazwał je cierpieniami młodego rekruta rewolucji”.

To było zgodne z duchem czasu: liczni europejscy pisarze i intelektualiści (nie tylko o poglądach typowo lewicowych) czuli się zobowiązani do działania nie tylko indywidualnego, ale i zbiorowego, bez zachęty czy nacisku ze strony rządzących, jak to było np. w PRL. Taki był ich „imperatyw kategoryczny”. Nie była to jednak przynależność jedynie formalna; Artur Sandauer już przed wojną zaprzyjaźniony z Filipowiczem wspomina, że przybysz z Cieszyna brał udział (a nawet je współorganizował) w manifestacjach skierowanych przeciwko wysokom faszystowskim grup młodzieży uniwersyteckiej. Sandauer pisał w *Z księgi wspomnień*:

„Mętlik w umysłach był tak duży, że nikogo nie dziwiło, jeśli – dajmy na to – antyhitlerowski wiec kończył się biciem Żydów. Tak np. pamiętam, że – w dzień po zajęciu Czechosłowacji przez Trzecią Rzeszę – na grupkę moich przyjaciół (byli to – jeśli się nie mylę – Michał Chmielowiec, Kornel Filipowicz, Helena Wielowiejska i in.) napadli z okrzykiem «Bij Żyda!» bojówkarze, wychodzący z wiecu protestacyjnego przeciw zakusom Hitlera na całość Polski. W tym wyczynie oenerowców, którzy wznoszą okrzyki przeciw Żydom, a rzucają się na najczystszych Polaków – znajduję coś symbolicznego. (...) Przyjaciele moi Zygmunt Fijas, Kornel Filipowicz, Maria Jarema, Erna Rosenstein (później żona Sandauera – J.P.) podejmowali jako studenci takie akcje, jak rozbijanie oenerowskich wieców czy okupacyjny strajk w domu akademickim”.

To mogło skończyć się źle, ponieważ dziarscy „narodowi” młodzieńcy ponad siłę argumentu stawiali argument siły, fizycznej przemocy. Nie na darmo nosili okute buty na grubych podeszwach, sposobne do kopania.

Przynależność do ZNMS, socjalistycznej organizacji młodzieży akademickiej założonej w 1917 r., związanej przez rząd w 1938 r., była dla Filipowicza wsparciem ideowo-moralnym. Podobną rolę pełnił MOPR zwany Międzynarodową Czerwoną Pomocą, który powstał w 1922 r. na mocy decyzji IV Kongresu Międzynarodówki Komunistycznej dla udzielania pomocy uczestnikom walk rewolucyjnych w państwach kapitalistycznych niezależnie od partyjnej przynależności, głównie więźniom politycznym i ich rodzinom, a także bojownikom walczącym w obronie republiki hiszpańskiej i ofiarom terroru politycznego w Polsce. Należało do MOPR – obok działaczy komunistycznych – wielu ludzi o głośnych nazwiskach, m.in. pisarz Andrzej Strug, uprzednio znany piłsudczyk.

Narastająca faszyzacja Włoch i Niemiec oraz niebezpieczeństwo komunistycznego autorytaryzmu na wschodzie powodowały, że młode pokolenie, także jego część należąca do obozu piłsudczykowski, postanowiło szukać dróg naprawy niezależnie od ojców i dziadów, którzy – jak powiadał Piłsudski – zbyt przesiąkli miazmatami okresu niewoli, by odrodzić duchowo Polaków i pchnąć ich ku wyzwaniom przyszło-

ści. Kazimierz Zakrzewski napisał w *Kryzysie demokracji* (1930): „Niepodległościowy obóz młodzieży wierzył w akcję zbrojną i wierzył w masę, chciał on walki o Polskę, zarówno jak rozwiązania kwestii społecznej, zapowiadał Polskę demokratyczną, będącą państwem socjalnym”.

Podobnie myślała część pokolenia Filipowicza i on sam, choć pola do działania szukali bardziej na lewo, zapewne m.in. dlatego, że – jak pisał Zakrzewski – Piłsudski „nie wciąga mas do wielkiej pracy nad regeneracją narodu i państwa, przeciwnie, utrzymuje je w bierności, a nawet stwarza coraz większy rozdźwięk między sobą a masą” rządząc za pomocą „monopartii sanacyjnej”, jak to określił Juliusz Rómer. Nie wykrywał się ostatecznie „zrąb ideologii wychowawczej na przyszłe jutro” (H. Pohoska), powstała „Polska kombatantów i wytwórców”. Sanacyjne idee monopartyjne zakładające, że obywatel ma być biernym i posłusznym narzędziem do budowania silnego państwa, osiadły na mieliźnie apatii i zniechęcenia różnych kręgów społecznych oraz sprzeciwu wielu młodych, którzy nie chcieli być przedmiotem państwowotwórczej tresury. Pragnęli żyć w normalnym, w miarę nowoczesnym kraju europejskim, a nie w cieniu ówczesnej polityki historycznej, o której Czesław Miłosz tak wspominał w *Rodzinnej Europie*: „Męczeństwo, spiski, zsyłki na Sybir figurowały w podręcznikach i budziły tylko współczucie, a nawet rozsądek doradzał nam odnosić się z kpina do całego romantycznego patosu przeszłości”.

Witold Gombrowicz tak ujął owo dążenie do normalności, czy też zwyczajności:

„Prawdopodobnie najważniejszym odkryciem było, iż nic się nadzwyczajnego nie dzieje i nie ma czym się zbytnio przejmować. Polska wybuchła? No i co, jest Polska i koniec. Urzeczywistniły się marzenia wieszczów i nie wieszczów? No i co, jest Polska i koniec. Einstein, Skamander, futurizm, wyzwolenie kobiety, surrealizm, demokracja, Liga Narodów? No owszem jest, co z tego?”

Dla Filipowicza było to jednak stanowisko raczej obce; w dziecięcym wspomnieniu zachował myśl o „wybuchu” niepodległej Polski. Dla niego Gombrowiczowskie „co z tego?” oznaczało, że czasy, gdy Polska była w niewoli minęły, ale skłaniają do traktowania owej mocno niedoskonałej ojczyzny jako zobowiązania do nadania jej kształtu bardziej przyjaznego dla wszystkich obywateli, zwłaszcza młodych, którzy chcieli mieć możliwość realizowania swoich dążeń i marzeń.

Akurat w 1933 r., gdy Filipowicz znalazł się w Krakowie, wyszła książka F. Felhorskij i S. M. Studenckiego *Plany i marzenia młodzieży o przyszłości* na podstawie ankiety wśród abiturientów szkół średnich, czyli pokolenia maturzysty z Cieszyna. Można się z tego opracowania dowiedzieć np. o małych szansach dalszego kształcenia (odnajdziemy ów problem w *Ulicy Gołębiej*), gdyż aż 31,8 proc. pochodziło z rodzin „niezamożnych”, a także o samopoczuciu rówieśników Kornela; w ich wypowiedziach przewija się „brak celu” i „pola do działania”, ze stosownym komentarzem: „Takie czasy – młodzież powojenna, bez pewności jutra, zadowala się wybrykami na dziś”.

Prowadziło to nierzadko do radykalizmu prawicowego bądź lewicowego, obcego Filipowiczowi szcze-

gólnie w wykonaniu młodych nacjonalistów z Młodzieży Wszechpolskiej. Jej członek Jan Mosdorf pisał we *Wczoraj i jutro* (1938): „Jesteśmy fanatykami – tylko fanatycy umieją dokonać wielkich rzeczy. Nienawidzimy kompromisu: jest nie tylko cechą młodości naszej, ale ducha czasu, w którym żyjemy”. Inne postawy były dla nich „mazgajstwem”, choć głośny pedagog i filozof krakowski Leon Chwistek, z którym Filipowicz się stykał, powiadał w *Zagadnieniu kultury duchowej w Polsce* (1933):

„Obserwując pokolenie powojenne, musimy stwierdzić, że posiada ono wiele zalet, przed wojną nie znanych, a przede wszystkim zdolność jasnego i konkretnego myślenia, wybitną niechęć do frazesu i do mglistej fantastyczności, ogromną prostotę, wykluczając element śmieszności, bardzo częsty u Polaków, a przede wszystkim brak wewnętrznego zakłamania, tj. jasny pogląd na samego siebie”.

Filipowicz według J.B. Ożoga był „doktrynerem socjalistycznym”, czego mu nie zapominali znani z organizacji studenckich faszystowscy i nacjonalistyczni działacze, choćby Jan Bielatowicz, żelazny współpracownik „ABC”. Podczas blokady w I Domu Akademickim student z Cieszyna wydawał wraz z Józefem Siemkiem, Fijasem i innymi socjalistycznego „Blokadola”, który dużo napsuł krwi endeckiemu zarządowi Bratniaka. Godna przytoczenia jest taka relacja autentyści Ożoga:

„Szlifmy jednego późnego wieczoru: Filipowicz, Sroga [Alojzy] i ja od dworca kolejowego koło Barbakanu i ulicą Floriańską, a było to pod koniec czerwca 1937 r., w przeddzień wizyty króla rumuńskiego w grodzie podwawelskim. Pamiętam, cała trasa od dworca poprzez ulicę Basztową, Floriańską, Rynek i ulicę Grodzką aż do Wawelu tonęła w sztandarach o barwach narodowych polskich i rumuńskich. Gdyśmy stanęli koło «Jamy Michalikowej», Kornel wskazał dachy stojących naprzeciw po drugiej stronie domów i powiedział nagle: «Tu postawiłbym karabiny maszynowe, aby przywitać faszystów, kiedy będą tamtędy jechać jutro samochodami.» Śmiechem przyjąłem wraz ze Srogą uwagę kolegi, ale właściwie nie było się z czego śmiać. W dowcipie kryło się za dużo ognia płynącego z niechęci Kornela do tego, co przez świat szło krokiem ciężkim jak żelazo. Trudno było zresztą nie przyznać koledze racji”.

Faszystowska rumuńska Żelazna Gwardia mierzyła Filipowicza nie mniej niż poczynania Hitlera. Nie było wyjścia, pozostawała lewicowość, o której Filipowicz mówił interesująco w rozmowie z Mikołajem Ruskowskim, opublikowanej w paryskiej „Kulturze” w grudniu 1988 r., tuż przed upadkiem PRL:

„Ojciec mój uważał się za socjalistę i w sposób taktowny i dyskretny, aby nie obudzić czujności i nie spowodować sprzeciwów mojej matki i babki, starał się kształtować mój światopogląd chroniąc mnie przed tendencjami nacjonalistycznymi, coraz wyraźniej obecnymi w latach dwudziestych i trzydziestych w polskim życiu politycznym. (...) Czy lewicowość była modą? O modzie na lewicowość w tamtych czasach można było mówić raczej w odniesieniu do bogatszych społeczeństw zachodnich. U nas miała podłoże bardziej społeczno-polityczne i emocjonalne, zwłaszcza w kręgach literacko-artystycznych, a głównie wśród



młodych. Każda młodość musi karmić się nadzieją, że przyszłość będzie lepsza i ciekawsza od teraźniejszości i że stanie się to za przyczyną ustroju bardziej sprawiedliwego, który spełni ich marzenia i zadowoli ich aspiracje. Socjalizm wydawał się być tym ustrojem”.

Po upadku PRL Filipowicz powiedział mi, że zdeklarował przynależność do odbudowywanej przez Jana Józefa Lipskiego PPS. Uśmiechnął się przy tym usprawiedliwiająco. – Wiesz – powiedział – człowiek musi być konsekwentny do końca. – Legitymację odebrał niedługo przed śmiercią. W cytowanym wywiadzie dla „Kultury” powiedział: „Konserwatyzm poglądów nie jest cechą młodych serc i umysłów. Czymś pociągającym jest tylko radykalizm. Mając lat dwadzieścia mogłem być radykalny tylko w lewo albo w prawo. Nie miałem predylekcji, charakteru ani tradycji rodzinnych, aby być faszystą. Więc byłem lewicowcem”.

Podkreślił raz jeszcze: to był radykalizm umiarkowany, rozumny i racjonalny, a nie oparty na wybujałej zmitologizowanej emocjonalności, jak choćby w przypadku Wszechpolaków i innych zwolenników autorytaryzmu, szczególnie w wersji faszystowskiej (jeśli idzie o model sowiecki, to za mało w Polsce wiedzano wówczas o praktykach stalinizmu, gułagach itp.), a także pewnych kół komunistycznych. To Filipowiczowi było obce choćby dlatego, że przez całe życie cenił wolność związaną z indywidualizmem jednostki ludzkiej, zatem komunistyczna teza, że państwo jest wszystkim, a jednostka sama w sobie niczym, użyteczna jako budulec ideologii była mu obca. Pytany po latach przez M. Ruskowskiego w cytowanej rozmowie

wie o tło przedwojennych sympatii lewicowych, pisarz wyjaśniał:

„Oczywiście, zdawaliśmy już sobie wtedy sprawę z wpływów KPP na lewicowe tendencje w kulturze polskiej, ale nie nazywaliśmy tego tak, jak dzisiaj należałoby to określić: infiltracją, instrumentalizacją, stosowaniem – zwłaszcza wobec socjalistów – czegoś, co można by teraz nazwać fałszywym kodem genetycznym. Bliskość ideologii socjalistycznej i komunistycznej, kryzys gospodarczy, bezrobocie – ułatwiały penetrację. Ale nie zapominajmy także, że pod koniec lat trzydziestych, od roku 1936 począwszy rozpoczęły się tzw. procesy moskiewskie, które zniechęciły wielu sympatyków Rosji Sowieckiej, spowodowały rozłamy w partiach komunistycznych, a jeśli o mnie chodzi, powstrzymały od bardziej zdecydowanego odejścia na lewo. Byłem wtedy jeszcze zbyt młody, aby zrozumieć całą złowrogą wymowę polityczną i historyczną tych wydarzeń, ale powiało od wschodu grozą, która i mnie się udzieliła”.

Wybitny polityk Stanisław Grabski przestrzegał w 1938 r. w książce *Ku lepszemu Polsce*, że „utrwała się w opinii naszej, szczególnie wśród młodzieży przeświadczenie, że przed Polską, jak i przed całym światem stoją otworem tylko dwie drogi: ku komunizmowi albo ku faszystowsko-korporacyjnemu czy hitlerowsko-stanowemu, integralnemu nacjonalizmowi. Lecz obie one wiedą do państwa totalnego”. Istotą owego procesu było – jak napisał Kazimierz Zieliński – „podporządkowanie jednostki bądź dobru państwa, bądź narodu, bądź też klasy stało się w umysłach młodzieży normą”, której młody Filipowicz nie zamierzał się podporządkować.

Opowiedział się za szeroko rozumianą lewicą, choć dostrzegał także jej braki; Oskar Lange na VI zjeździe ZNMS w 1931 r. mówił o głębokim kryzysie ruchu robotniczego domagając się rewolucyjnej walki w obrębie „demokracji politycznej”, ale kongres PPS w 1934 r. nie wykluczał przejściowej „dyktatury proletariatu”. Nawet środowiska przeciwnie komunizmowi, związane głównie z katolicką nauką społeczną, popierając ustrój oparty na własności prywatnej zgłaszały poważne zastrzeżenia do kapitalizmu, np. założyciel powojennego „Tygodnika Powszechnego” ks. Jan Piwowarczyk napisał w 1927 r. w książce *Współczesne kierunki społeczne...*: „Ustrój bowiem obecny, w zasadzie swojej racjonalny i słuszny jest w szczegółach, w swych funkcjach niektórych, niesprawiedliwym. (...) W wielu dziedzinach praca nie opłaca się, zysk zaś przypada zręcznemu spekulantowi, kapitaliście. Reforma ustroju winna iść w tym kierunku, by uniemożliwić spekulację, by podział owoców produkcji odpowiadał lepiej niż dotąd włożonym wartościom pracy i kapitału”.

Młodzi reagowali na to mniej lub bardziej zdecydowanie, nierzadko zachowywali się biernie, ale frustracja rosła. Stefan Papée w pracy *Pogląd na świat młodzieży licealnej* (1939) zaprezentował skutki owego procesu, który dotyczył nie tylko licealistów:

„Przepaść rośnie. Humanistów wierzących w sprawiedliwość i prawa człowieka bardzo mało. Młodzież dyktuje żądania. Wprawdzie większość zastrzega się, że nie jest zwolenniczką gwałtów, bicia, ale domaga się od rządu usunięcia Żydów z handlu i przemysłu,

a potem, wydalenia stopniowego z granic Polski. W żądaniach widać zaciętość i determinację. W duszach spustoszenie robi nienawiść, najgorszy z doradców młodzieży. Wyczuwa się w ankiecie, że nadciąga burza, która może się wyładować niebawem”.

Wspomnienia Filipowicza z okresu studiów nie są zbyt radosne.

Profesorowie Michał Siedlecki i Kazimierz Piech – czego student z Cieszyńska był świadkiem – protestowali przeciwko bojówkarskiemu antysemityzmowi, co znalazło odbicie w *Ulicy Gołębiej*. Wystawił takie świadectwo swojej uczelni:

„Kim byli profesorowie moich czasów, czym był Uniwersytet Jagielloński? Mimo wszystko – starał się być i był oazą myśli niezależnej. Policjant nie miał prawa aresztować nikogo z nas, studentów na terenie gmachu uniwersyteckiego – chyba za przestępstwo pospolite. Komunistyczne „Życie” istniało i działało na UJ do roku 1932, a socjalistyczny ZNMS przetrwał do końca (w rzeczywistości został rozwiązany w 1938 r., podobnie jak KPP i MOPR – J. P.). Funkcjonowały radykalne i niezależne ugrupowania młodzieży wiejskiej. Kuratorzy naszych stowarzyszeń ideowych bywali często kimś więcej, niż urzędowymi opiekunami”.

Przygoda z literaturą nadeszła nieco później. Odajmy głos Filipowiczowi:

„Pewnego wiosennego popołudnia 1937 roku w mieszkaniu Jerzego Jurkiewicza przy ul. Karmelickiej odbyło się przekazanie agend pisma młodzieżowego „Nasz Wyraz” nowej redakcji. Poprzedni wydawcy prowadzili to pismo ambitnie od czasów studenckich aż po pierwsze lata uniwersyteckie, ale zgnębieni konfiskatami i zadłużeni postanowili sprzedać pismo. Z ramienia dawnej redakcji uczestniczył w tym akcie były redaktor naczelny, właśnie Jerzy Jurkiewicz – a z naszej Helena Wielowieyska, Władysław Bodnicki i ja. (...) Ja byłem lewicowcem zdecydowanym i zaangażowanym, Wielowieyska o wiele za bardzo lewicowa jak na jej pochodzenie społeczne, Bodnicki – esteta i liberał. Na zebraniu konstytucyjnym dookołkowaliśmy: Zofię Wielowieyską, Zygmunta Fijasa, Amelię Średniawę i Józefa Sroga – a wkrótce potem Michała Chmielowca”. W wywiadzie dla „Kultury” Filipowicz podkreślał: „Poza Fikiem, mną, socjalistą, należały dwie «obszarniczki», poza tym katolik i ludowiec – trudno więc mówić o jakiejś skonsolidowanej grupie politycznej”. Pismo pragnęło mieć kształt apolityczny, ale rzeczywistość temu zaprzeczyła. Pikiety ONR pobili chłopca niosącego z drukarni egzemplarze, na których zostały ślady krwi i błota. „Czerwone plamy na naszym piśmie – to była pieczęć, którą faszystyści skwitowali pojawienie się naszego «apolitycznego» pisma”. Jako główny rys myślenia redaktorów „Naszego Wyrazu” uznał Filipowicz antyfaszizm, który przeczył nadziei, „że będziemy żyć w świecie uporządkowanym pod względem klasowym, w społeczeństwie cywilizowanym i kulturalnym; niektórzy z nas byli przekonani, że nie obejdzie się bez rewolucji społecznej”.

Żywoł „Naszego Wyrazu” był nieustannym pasmem kłopotów finansowych, a także grą z cenzurą skłoną do konfiskat, zwłaszcza że „ogłaszali u nas swe prace ludzie źle zapisani w kartotekach policyjnych”. Pewnie z tego powodu odmówiono redakcji

choćby skromnej rządowej subwencji. Redaktorzy nie chcieli być zamkniętą wobec innych poglądów grupą, więc pojawiali się w piśmie autorzy różnej proweniencji, awangardiści obok polemizujących z nimi autentystów, komunista Ignacy Fik obok liberała Artura Sandauera, Kazimierz Wyka i Jalu Kurek, Julian Przyboś i Tadeusz Hołuj oraz wielu innych. Redaktor Filipowicz tak po latach charakteryzował „Nasz Wyraz”:

„Czym było nasze pismo, jaką rolę spełniało? Czytaliśmy wtedy o sobie, że jesteśmy ostatnią placówką awangardy, dowiadaliśmy się, że jesteśmy krypto-komunistami, masonami – i Bóg wie czym jeszcze. Kim byliśmy naprawdę wtedy, patrząc z perspektywy dwudziestu paru lat? Zastanawiałem się nad tym na początku. Nasze pismo nie było pismem politycznym, tylko literacko-artystycznym, ale ponieważ my, którzy je wydawaliśmy, nie byliśmy faszystami, mocarstwowcami, szowinistami ani rasistami – pismo nie mogło mieć nic wspólnego z prawicą. Jeśli chodzi o postawę artystyczną – byliśmy nastawieni na każdą nowoczesność, choć być może z odrobiną sceptycyzmu i nieufności, co nie jest właściwe bardzo młodym ludziom. Byliśmy za każdą nową awangardą, ale nie widzieliśmy nic wartościowego poza starą awangardą. Zwalczaliśmy szmirę, minoderię, dewocję patriotyczną i religijną, walczyliśmy z szerzoną przez faszystującą prasę atmosferą podejrzliwości, denuncjacji politycznej, z antyhumanizmem (jeśli idzie o tę stronę naszej działalności, to najszybciej i najtrafniej rozszyfrowali nas oenerowcy). Przyjaźniliśmy się z malarzami, szczególnie blisko z młodymi plastykami z «Grupy Krakowskiej»; ich zdecydowana postawa polityczna, bezkompromisowość artystyczna i kult pracy działały przyciągająco. (...) W twórczości byliśmy zwolennikami dyscypliny, «dobrej roboty», *qualité*. Jedynie taka postawa wydawała nam się wtedy godną artysty współczesnego».

Jeszcze zanim ekipa Bodnickiego, Wielowieyskiej i Filipowicza objęła redakcję, cenzura skonfiskowała kilka numerów, w których – jak łatwo się domyślić – musiały być zawarte radykalne treści. Artykuły Ignacego Fika (pisał niemal w każdym numerze) i Polewki oraz ogólny ton pisma spowodowały, że – jak utrzymywał Zygmunt Fijas, a co potwierdził Stanisław Ryszard Dobrowolski – KPP nosiła się z zamiarem wsparcia „Naszego Wyrazu” („pewnego dnia była tutaj omawiana z Kornelem Filipowiczem sprawa zasiłku partyjnego dla «Naszego Wyrazu»” – pisze Fijas we wspomnieniu *Zielone lata*).

W *Jutro znów wojna* Filipowicz pisze o spotkaniu Boreckiego z wystannikiem partii, które najprawdopodobniej było właśnie tym, o jakim pisał Fijas. W powieściowej wersji pisarz nie precyzuje bliżej celu spotkania odbytego w „kuchni dla inteligencji” przy ul. Tomasza, gdzie „usłyszał Jan pewną propozycję, na którą był zmuszony odpowiedzieć odmownie” prosząc, by wystannik zrozumiał „jego sytuację w redakcji pisma i nie zmuszał go do nielojalności wobec którejś ze stron”, co mogłoby doprowadzić do rozpadu zespołu nie nadającego się do rewolucjonizowania. Cały w tym Kornel, gdy pisze, że po odmowie „Jan zapewnił go, że będzie popierał osobiście utwory nadsyłane przez autorów lewicowych, ale uprzedził, aby nie spodziewano się, że będzie bronił utworów słabszych

literacko pod pretekstem ich rzekomej wymowy społecznej”.

Łączyło się to zapewne z lewicowym awangardyzmem związanym z „Naszym Wyrazem”, któremu obca była jednak uproszczona ideologia inspirowana polityką kulturalną w ZSRR:

„W latach, o których mówisz, byliśmy socrealizmi absolutnie przeciwni. To, co nam proponował socrealizm – pod pozorem służby społecznej tzw. «masom» – było nie do przyjęcia. Zwłaszcza w środowisku artystycznym Krakowa, kolebce awangardy poetyckiej, wśród malarzy związanych z «Klubem Paryskim», zaprzątniętych walką ze szmirą i pompierstwem. Jakżeż mogli zaakceptować coś, czemu się przeciwstawiali? «Grupa Krakowska», formacja wprawdzie lewicowa, ale zafascynowana kubizmem, konstrukttywizmem, abstrakcją – też nie była podatna na socrealizm” – mówił Filipowicz dla paryskiej „Kultury”.

Z różnych wypowiedzi pisarza, a także wypowiedzi jego przyjaciół artystów widać jasno, że zdawali sobie sprawę, iż przyjęcie do wiadomości „chaosu demokratycznej nicości” może prowadzić do autorytaryzmu, prawicowego czy lewicowego, o którym niepokojące wieści dobiegały zza wschodniej granicy. Budziły niepokój żądania ideologów lewicy, by pisarze i artyści służący klasie robotniczej wyrzekli się eksperymentującej formy na rzecz agitacyjnego uproszczenia. Nie uwierzyli Tadeuszowi Pepierowi, który z punktu widzenia socjalisty głosił: „dzieło może nie być tworzone dla robotnika, a jednak może wspierać cel robotniczy”, a także: „Sztuka robiona dla dwunastu staje się z czasem pożytkiem dwunastu milionów”.

Wszystko to domagało się po wojnie jakiegoś beletrystycznego podsumowania, zwłaszcza że pisarz stawiał sprawy jednoznacznie:

„Dwudziestolecie międzywojenne ukształtowało mnie, moją osobowość, moje zamiłowania i przekonania polityczne, których z grubsza biorąc nie zmieniłem po dziś dzień. Najważniejsze decyzje życiowe podjąłem krótko przed wybuchem drugiej wojny, tej samej, która spowodowała utratę niepodległości mojej ojczyzny i zburzyła jednocześnie moje osobiste plany życiowe” (z wywiadu dla „Głosu Wielkopolskiego” pt. *Najpełniejsze źródło inspiracji*).

Powieściowy Borecki z *Ulicy Gołębiej* udaje się do Krakowa, by studiować biologię, i już w pociągu zapoznaje się z tytułami gazet: *Proces o podpalenie Reichstagu rozpoczął się...*, *Hitler wodzem Trzeciej Rzeszy...* Wśród nowych znajomych i kolegów do pierwszoplanowych należy Jaroń, mieszkający początkowo w kłitce przy ul. Dolnych Młynów w Krakowie, który pod wpływem biedy radykalizował się i wstąpił do Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej. Szczególnie bolało go to, co się działo na wsi:

„Jesień tego roku zdawała się przynosić szczególnie obfite żniwo wydarzeń. Wlokły się procesy przeciwko uczestnikom buntów chłopskich na Podkarpaciu; na ławach zasiadało na każdej rozprawie po kilkudziesięciu chłopów oskarżonych o zbrojny udział w bitwach z policją, napadach na egzekutorów podatkowych. Policja spacyfikowała nędzne, wygłodniałe wsie; lała się krew, były setki zabitych i rannych”.

Ulicami Krakowa przeciągają pochody z deklamami korporacyjnymi wykrzykując „Precz z komuną”, przez

co nie rozumiano bynajmniej tylko komunistów, ale wszystkich posądzonych o lewicowość. Charakterystyczną postacią jest tu Friedben, wychowanek „Życia”, członek KPP, intelektualista tropiony przez policję, który w końcu wyjedzie pomagać republikańskiej Hiszpanii. I choć różnią ich życiorysy, dopatruję się w tym bohaterze pewnych rysów Ignacego Fika.

Tropy autobiograficzne są liczne i oczywiste, np. scena wtargnięcia na zajęcia studenckie bojówki antysemitki, o której Filipowicz opowiedział też w trybie wspomnieniowym. Mówi się o bezrobociu wśród absolwentów wyższych uczelni, co według jednego z rozmówców „dowodzi, że rząd sanacyjny do swojego programu politycznego włączył postulat walki z kulturą”. Do najbardziej znaczących, opartych na autentycznym przeżyciu scen należy pobicie w okolicy uniwersyteckiego Collegium Novum żydowskiego piekarczyka roznoszącego bułki przez korporantów, co Jan określił jako „ohydne zajście”. Powieść kończy się nawiązaniem do strajku w Sempericie w 1936 r. Borecki daje bynajmniej nie symboliczną w jego sytuacji złotówkę na Czerwoną Pomoc i choć odmawia przechowania lewicowych ulotek na wiec, bierze udział w demonstracji i ulotki rozdaje.

W artykule *Nad „Ulicą Gołębią”* (1954) Filipowicz dorzucił garść refleksji o książce jeszcze przed jej ukazaniem się. Nie traktował powieści jako literackiej fotografii tamtych czasów:

„Materiału było pod dostatkiem i blisko: wystarczyło sięgnąć po niego do własnej pamięci. Czas dokonał w nim naturalnej selekcji, pogrążając wiele niepotrzebnych szczegółów w zapomnieniu, a wyostrowając kontury ważniejszych wydarzeń i sylwetki ciekawszych postaci. (...) Okazało się, że ilość kandydatów na bohaterów powieści przekracza możliwości ich zatrudnienia”.

Ulica Gołębia była pierwszą częścią zamierzonego cyklu. Część druga *Jutro znów wojna* rozpoczyna się latem 1936 roku. Znowu wracając pociągiem do Krakowa bohater czyta gazetę, w której jest pełno zdjęć i informacji o wojnie domowej w Hiszpanii. Toczy z kolegami długie, pełne pasji rozmowy o międzynarodowej sytuacji tego kraju, gdzie walczyli również polscy ochotnicy, a działający w Polsce MOPR, z którym Filipowicz współpracował, wspierał rząd republikański zmagający się z gen. Franco popieranym przez hitlerowskie Niemcy, których lotnictwo barbarzyńsko zbombardowało m.in. uwiecznioną przez Pabla Picassa, zmasakrowaną Guernikę. Wreszcie jeden z przyjaciół, Michał decyduje się na wyprawę przez „zieloną” polsko-czeską granicę do Hiszpanii, co Borecki komentuje: „Wyobrażam sobie, że mogłaby mnie zmusić do tego tylko ostateczność. Nie jestem pewien, czy do tego, aby żyć poza krajem wystarczyłby mi socjalizm”. W tym czasie Jana, który właśnie „przeglądał pierwszy egzemplarz pisma [„Nowego Wyrazu”] z drukarni, zawierający jego opowiadanie” odwiedza policyjny tajniak nazywając go „redaktorem tego komunistycznego pisma” i wypytując o Michała oraz innych podejrzanych o komunizm przyjaciół.

Pierwszego maja 1937 r. – pisze Filipowicz – wyszły na ulicę „masy robotników, jakich miasto nie widziało od lat” – „nawet ci, którzy zwątpili już dawno

w socjalizm”, także w innych wielkich miastach „posyłały się tego dnia na robotników strzały i bomby” ze strony „grup ludzi, którzy w tym dniu czuli się zbyt słabie, aby stawić czoła masom; stać ich było tylko na wydobycie z kieszeni pistoletu albo noża – a potem na ucieczkę. Ich beczelne i tchórzliwe jednocześnie zachowanie przypominało dywersję hitlerowskich szturmówek SS i SA w latach walki o władzę”.

W kawiarni plastyków przy ul. Łobzowskiej młodzi ludzie, których to mierziło, opowiadali sobie o pogromach żydowskich w Brześciu, gdzie fanatyzm zamienił się w „paroksyzm barbarzyństwa”. Starzy endecy, pamiętający mimo wszystko o dawnym etosie patriotycznym, byli pod naciskiem faszyzującej młodzieży. „Ciekawe byłoby wiedzieć, czy ludzie, którzy kiedyś byli ideowcami – zastanawiał się Jan – zachowują na starość coś z tego, co kazało im w młodości cierpieć, bić się i ginąć za ojczyznę”. Jego przyjaciel Paweł mówi: „Świat idiocjeje. Cofamy się do początku społeczeństwa”. Jan dodaje: „Wszystko, co się od pewnego czasu na świecie dzieje, wydaje się absurdem”.

Jest wczesna wiosna 1938 roku. W Krakowie „ONR-owcy szaleją. Wczoraj na wydziale prawa po wykładzie Taubenschlaga urządzili program na wzór hitlerowski”. Sekretarka redakcji „Naszego Wyrazu” powiada: „Kawiarnia plastyków jest jedynym lokalem w Krakowie, gdzie mogę się czuć bezpiecznie. To przerażające”.

Pod koniec *Jutro będzie wojna*, a zarazem roku 1938 powieściowy Jan Borecki pisze do Danuty (można się w niej dopatrywać Marii Jaremy – stosując konsekwentnie moim zdaniem w pełni uprawniony klucz autobiograficzny, potwierdzony w jednej z moich rozmów przez Kornelę Filipowicz) po otrzymaniu powołania do wojska na rok, że koszarowe życie nie budziło jego entuzjazmu, lecz radykalny krytycyzm i poczucie absurdu „zmechanizowanych czynności” oraz „repertuaru szykan i upokorzeń”. „Jesteśmy poddani ścisłej diecie umysłowej” – pisze Jan, co nie przeszkadza mu w dokonywaniu trafnych obserwacji:

„Jadę obsadzać Zaolzie, skrawek czeskiej ziemi zamieszkały przez sto pięćdziesiąt tysięcy Polaków. Nie mam żadnych wątpliwości, że ludzie z Zaolzia związani są z polskością silniej niż jakakolwiek inna grupa Polaków na obczyźnie – mimo to czuję niepokój. Należę do generacji, która pamięta tylko przez mgłę rok 1918; nie wie nic, co było przedtem; kształt naszej ojczyzny na mapie utrwalił się w naszej wyobraźni, jeśli nie jako coś absolutnie doskonałego i ostatecznego – to w każdym razie związanego z epoką, w której żyjemy. Niepokojące jest to, że wkraczamy w nową epokę właśnie w tej chwili, i że robimy to w towarzystwie Hitlera”.

I tak dobiegł końca okres międzywojenny Kornela Filipowicza – ani pogodnie, ani szczęśliwie. Były w nim zapowiedzi tego, co przyniosła wojna i jego dalszych losów, m.in. jako więźnia niemieckiego obozu koncentracyjnego.

JAN PIESZCZACHOWICZ

(Skrócony fragment książki *Kornela Filipowicza portret z wielokrotnioną*, która ma się ukazać nakładem Wydawnictwa Literackiego.)

HENRYK CHOŁAJ

PIĘKNO CZŁOWIEKA

(OKRUCHY WSPOMNIENI)

PROFESOR WŁADYSŁAW MARKIEWICZ KOŃCZY 90 LAT. TO WSPANIAŁY CZŁOWIEK PLATOŃSKI

Jego sylwetka jako socjologa i hierarchy w świecie nauki polskiej przypomina olbrzyma: członek rzeczywisty PAN, były dyrektor Instytutu Zachodniego w Poznaniu, wieloletni sekretarz Wydziału Nauk Społecznych PAN, wiceprezes PAN, były redaktor „Studiów Socjologicznych”, były przewodniczący Komitetu Filozofii i Socjologii PAN, były przewodniczący Komitetu Prognozowania przy Prezydium PAN. To tylko niektóre z jego oficjalnych funkcji. Nie sposób wyliczyć wszystkich funkcji i zaszczytnych wyróżnień, wśród których znajduje się także „Kowadło” przyznane przez krakowską „Kuźnicę”. Jest autorem wielkiej liczby rozpraw naukowych. Był oczywiście wychowawcą narybku naukowego. Nie przeszedł na pisarską emeryturę. Wykłada nadal studentom. Uprawia intelektualne spotkania towarzyskie itd.

Jubilat jest rzadkim w obecnych czasach przykładem umysłu zaiste renesansowego, polihistorem (w tym politologiem, futurologiem i niemcoznawcą), który dzięki licznym pomysłom intelektualnym zasila swoje otoczenie i inspiruje je. Jest to wreszcie znany globtroter. Tak prezentuje się oficjalna wizytówka jubilata jako człowieka nauki.

Jako ekonomista nie mogę scharakteryzować portretu intelektualnego jubilata jako jednego z najwybitniejszych polskich socjologów, nie mogę odpowiedzieć na pytanie, co pozostawi po sobie jako uczony – twórca

nowej wiedzy naukowej. Co zawdzięcza mu polska socjologia? – czy tylko książki oraz uczniów? Jakie ślady materialne? – na to pytanie może odpowiedzieć tylko kompetentny biograf-socjolog i jubileuszowa sesja naukowa. Jeszcze nie wieczór, ale odkładanie nie ma sensu...

Okoliczności sprawiły, że mogłem obserwować jubilata przez pewien czas jako szefa, a niemal przez pół wieku jako człowieka obdarzonego obficie zaletami umysłu, ale i charakteru. Spośród wielu przymiotów charakteru profesora wyróżnia się jeden – jest to postać, która nie ma w sobie złości, niechęci czy nienawiści wobec tych, którzy go skrzywdzili albo sprawili przykrość, która potrafi docenić i uznać zasługi nawet przeciwnika. Niezwykła jest jego umiejętność (a może nawyk albo potrzeba wewnętrzna) zapominania, wybaczenia, zacierania w pamięci doznanego bólu, a tym bardziej pospolitych przykrości.

Od tego zaczęła się nasza bliższa znajomość na początku lat 70. XX w. W Poznaniu odbyła się wtedy wielka konferencja poświęcona dyskusji nad opublikowanym przez dzisiejszego jubilata podręcznikiem w zakresie propedeutyki wiedzy o społeczeństwie. Dyskusja była dość swobodna. Zabrałem głos i nader krytycznie oceniłem niektóre partie podręcznika kierując się kryteriami, które nawet nie były podyktowane duchem owych

czasów. Autor kilkakrotnie celnie replikował, a moja kawaleryjska szarża nie znalazła jego uznania. Moja sytuacja stała się dwuznaczna, gdy kilkanaście dni później autor popadł w niełaskę u ówczesnego premiera (z powodu użycia w tekście jednej frazy: „prezes rady ministrów zwany podobno premierem”). Stało się tak z powodu urażonego prestiżu, bez żadnego związku z konferencją poznańską. Otoczyła mnie niemiła atmosfera, ale mleko zostało już rozlane ku mojemu zdumieniu, jeśli nie przerażeniu. W kilka tygodni później otrzymuję od profesora list z propozycją objęcia funkcji zastępcy sekretarza Wydziału I PAN, którego szefem był właśnie Władysław Markiewicz. Takie to były czasy!

Można by przytoczyć wiele przykładów bezinteresownej wielkoduszności. Taka np. rzecz działa się w 1990 r. na Uniwersytecie Ritsumeikan (Kioto), gdzie jubilatowi wręczono dyplom *honoris causa*. Za wykłady z historii polskiej socjologii (B.Malinowski, F.Znanięcki etc.) wygłoszone podczas bytności na tym uniwersytecie wypłacono profesorowi ekstra honorarium. Jubilat przeznaczył je na zakup okazałego wieńca, który w imieniu delegacji polskiej zawiązał do Hiroszimy i złożył w hołdzie ofiarom bomby atomowej na cmentarzysku. Ofiara Oświęcimia złożyła hołd ofiarom agresji nuklearnej. Gest ten dostrzegły miejscowe media i prasa.

W kilkanaście godzin później znaleźliśmy się – już jako turyści – na wybrzeżu wewnętrznego Morza Japońskiego, koło słynnego kurortu Mija Jima-Guci. Nagle spod ziemi wychynęła grupa mocno sfatygowanych turystów pieszych mówiących po polsku. Jeden z nich miał chorą nogę po wypadku w podróży i utykał. Markiewicz wręczył im sto dolarów, by najedli się do syta. Potem okazało się, że byli to odważni studenci z Poznania, skąd wyruszyli bez grosza, by zwiedzić świat. Krzysztof Kolumb był bardziej zapobiegliwy.

Los chciał, że niewiarygodne gesty autentycznej fraternalizacji obserwowałem na spotkaniach jubilata z intelektualistami na Wydziale Ekonomicznym Uniwersytetu w Meksyku oraz na Uniwersytecie w Ułan Bator. To były koncerty różnych gatunkowo swoistych orkiestr instrumentów strunowych. Jest bowiem Władysław Markiewicz globtroterem, prawdziwym obywatelem świata i polemistą niezrównanym.

Wypada odwołać się do pewnego znanego skądinąd faktu. W.Markiewicz już w 1939 r. był pojmany przez gestapo, cudem uniknął śmierci, po czym został zesłany do obozów koncentracyjnych (m.in. Mauthausen), gdzie przebywał do końca wojny. W hitlerowskich katowniach zaznał wielu okrucieństw, walczył o życie. I ten właśnie człowiek wiele lat po wojnie odegrał istotną rolę jako współprzewodniczący ze strony polskiej (1972-1989) Wspólnej Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej. Jego znaczenie dla normalizacji stosunków polsko-niemieckich, a przede wszystkim dla kształcenia młodzieży w obu krajach nie wymaga wyjaśnień. Jego nazwisko zyska prawdopodobnie historyczną nieśmiertelność. Sprawa ta ma wymiar symboliczny. Oto więzień niemieckich obozów koncentracyjnych, katowany przez hitlerowskich siepaczy, podejmuje pracę nad zbliżeniem obydwu narodów, zwłaszcza młodzieży szkolnej. Daje żywy przykład uprawiania koncyliacji, a nie konfrontacji, nie wychowywania w duchu wrogości i fobii antyniemieckich. Zamiast odruchów wrogości – jakieś fatum historii. Co

jednak mogło, jeśli nie musiało, dziać się w duszy tego człowieka? To fenomen nadludzki. Tacy wyjątkowi ludzie nie rodzą się na kamieniu. Skąd bierze się ta wyjątkowość?

Tego rodzaju filozofia moralna, poświadczona czynami, nie wyrasta z ducha naśladownictwa Gandhiego czy Lwa Tołstoja, ani nie pojawia się jako zastosowanie pomysłu intelektualnego. Nie jest produktem erudycji. Jest raczej spełnieniem nakazu sumienia mędrca, a więc jest kwestią wyboru. A może rodzi się z takich genów, które łagodzą naturę człowieka? Prawdopodobnie badania w zakresie genetyki, molekularnej biologii, neurobiologii, psychologii itp. mogłyby rzucić światło na geny takich postaw w człowieku, jego pozycji w stosunku do innych egzemplarzy gatunku ludzkiego. A może mamy do czynienia z wybrańcem ewolucji? Zawieśmy to pytanie, skoro nic nie wiemy o ewentualnym dziedziczeniu cech nabytych od rodziców.

Profesor Markiewicz ma wiele wcieleń. Niespełna 40-letnie obserwacje skłaniają do zwrócenia uwagi na jubilata jako na autorytet moralny. Społeczeństwo potrzebuje bezspornych autorytetów, tymczasem w ojczyźnie dominuje rywalizacja, która przybiera często formę „wyścigu szczurów”. Szerzy się nienawistny język. Niedawno Barbara Skarga pisała o „kotłowniku” nienawiści w polskim piekle. W.Markiewicz był i jest autorytetem moralnym, ale nie gwiazdorem czy faworytem, ujawniając raczej talent mediatora czy dyplomaty. Nie błysnął jako polityk. Jest charyzmatycznym przykładem etosu humanisty, erudyty o wyrafinowanym poczuciu humoru.

Ogólnie znanym wcieleniem jubilata jest to, że jest on miłośnikiem sceptycznej mądrości. Zbiór wiedzy nie stanowi jeszcze mądrości, tak jak mądrość nie daje automatycznie prawdy. Sokrates utrzymywał, że czynienie dobra i mądrość to dwa oblicza tego samego.

Dorobek naukowy jubilata jest mniej więcej znany w jego zawodowym środowisku. Jest jednak jeden epizod w jego biografii naukowej, który nie przebił się do opinii publicznej w formie dzieła autorskiego, nie zyskał rezonansu intelektualnego i społecznego. Ten fragment dorobku wymaga wydobycia z zapomnienia, gdyż zasługuje na wyeksponowanie. Odnosi się on do prognostyki albo – jak to się dzisiaj określa – futurologii.

W latach 1972-1984 prof. Markiewicz pełnił funkcję przewodniczącego Komitetu Prognoz „Polska 2000” Polskiej Akademii Nauk. Jest to unikalne forum wybitnych naukowców z różnych dziedzin nauki i techniki. W ciągu swojego 40-lecia istnienia opracowano tam wiele cennych ekspertyz, w których dominowało spojrzenie na poszczególne problemy z wielu punktów widzenia, w perspektywie długookresowej, sięgającej 10-15 lat i więcej. Były one jednak i są z reguły ignorowane przez wszystkie kolejne ekipy decydentów w Polsce.

Uważa się, że socjologia odziedziczyła po filozofii zadanie ubierania w myśli ubiegającego czasu. W.Markiewicz skierował w pewnym momencie swoją uwagę w stronę problematyki futurologicznej. Myślenie o teraźniejszości zostało uwikłane w ewentualne scenariusze przyszłości. Można by nawet powiedzieć, iż doszło do pojawienia się prymatu przyszłości nad teraźniejszością.

Credo W.Markiewicza można by określić w ten sposób, że nie poszukiwał on odpowiedzi na pytanie, jak

będzie wyglądać przyszłość ustrojowa; poszukiwał on raczej identyfikacji tendencji, procesów i zjawisk (negatywnych, pozytywnych), a na tym tle odpowiedzi na konwencjonalne pytanie co robić, by uzyskać pożądany przebieg przyszłego rozwoju. W wielkim uproszczeniu przyszłość jest także przewidywalna, są widoczne tendencje.

Działo się to w czasie, kiedy z jednej strony widoczny był już kryzys futurologii, który wystąpił po okresie fascynacji nią (nie spełniły się przepowiednie słynnych futurologów amerykańskich dotyczące spraw ustrojowych, procesów ekonomicznych i politycznych). Z drugiej strony nadciągała międzyepoka, której kształty były nie do przewidzenia. Widoczny był natomiast kryzys istniejącego systemu. Społeczeństwo wiedziało, czego nie chce.

Międzyepoka nastaje wtedy, kiedy nowe nie przychodzi, a stare już nie wraca. Historia ruszyła wtedy z miejsca. Ale dokąd? – na to pytanie nie było wtedy odpowiedzi. Mogą to potwierdzić świadkowie epoki tak w kraju, jak i poza nim. Kraj stanął na rozdrożu nie bardzo wiedząc, w którym kierunku i jaką drogą pójść. Niektórym jawiła się koncepcja jakiejś trzeciej drogi pomiędzy liberalnym kapitalizmem a wartościami wyższego rzędu.

Jak wolno przypuszczać, jubilat nie miał wtedy (początek lat 80.), bo nie mógł mieć gotowych koncepcji. Można dopuszczać raczej niedookreślone, alternatywne nadzieje. Nie poddał się bowiem ideologii bezalternatywności. Nie tkwił w pułapce przeszłości, kierował wzrok ku przyszłości, podejmował przede wszystkim wysiłek zmierzający do szukania wspólnej płaszczyzny dyskursu w środowisku naukowym. Zmierzał natomiast do wprowadzenia na wyższy poziom myślenia o najważniejszych problemach współczesnego świata i wyższy poziom kultury metodologicznej. Jubilat nie mógł kreować wiedzy o tym, czym być może i jaki powinien być ustrój alternatywny. Deficyt precyzji w tej kwestii był zaletą, a nie wadą umysłu otwartego zawsze na odmienne poglądy.

Profesor Markiewicz kształtował idee Komitetu. Jaki był świat myśli przewodniczącego Komitetu Prognoz? Jak uprawiał on swoją prognostykę? Przede wszystkim odrzucił tradycyjny paradygmat o liniowym charakterze rozwoju społecznego, kroczącego od etapu do etapu, zgodnie z wymogami praw, którym nie możemy nie być posłuszni. Nie był wyznawcą takiej koncepcji historii, wykazywał dystans wobec całościowych recept i wielkich teorii. Był orędownikiem realistycznej orientacji w futurologii polskiej. Odstąpił od przygotowywania wielkich wizji ustroju przyszłości, jakkolwiek wizje bywają punktem wyjścia dla myślenia o przyszłości, jednak nie są tym samym, co nawet dalekowzroczne prognozy. Historia idei zna wielu wizjonerów.

Wychodził on z założenia, że Komitet Prognoz nie zajmuje się przewidywaniem jednej przyszłości. Tego nie da się zrobić. Trzeba więc myśleć o kilku możliwych scenariuszach. Na tym polega strategiczna mądrość eksperta. Jej źródłem było odrzucenie fatalistycznej tezy o jednokierunkowym, nieuchronnym i zdeterminowanym biegu historii, która przecież nie zna żadnego celu, a dzieje społeczeństwa to nie jest sterowany odgórnie pochód postępu. W. Markiewicz uprawiał taki sposób prognozowania, który nie wykracza poza per-

spektywę, jaką daje widzialna, empiryczna tendencja rozwojowa. Przy całej nieprzewidywalności historii prognostycy mają wykazywać się dalekowzrocznością, której źródłem jest synteza intuicji i intelektu, wiedzy i wyobraźni.

W okresie wielkich nieodgadnionych kataklizmów historycznych (przełomów) przyczynił się on do przesunięcia akcentu polskiej futurologii na perspektywę rozwojowe poszczególnych dziedzin życia czy branż, a więc rozwoju techniki, procesów demograficznych etc., kosztem zagadnień należących do wyższych kategorii, a więc ustrojów społeczno-ekonomicznych i kwestii systemowych, w szczególności nowych modeli ekonomicznych, dróg dochodzenia do nich. W ten sposób przesunęła się przejściowo z pola widzenia kwestia wyboru systemu przydatnego dla Polski, który powinien być promowany.

Jak wiadomo, na zjeździe „Solidarności” w 1981 roku w Gdańsku starty się dwa projekty: samorządowy, tworzony m.in. przez Kuronia i Michnika (nastawiony na poprawianie socjalistycznego państwa) oraz program prywatyzacyjny autorstwa Stefana Kurowskiego. W 1989 r. program samorządowy został nawet przyjęty przy Okrągłym Stole, ale następnie nie zrealizowano z niego ani jednego procenta, wprowadzono natomiast program prywatyzacyjny. Społeczeństwo zostało oszukane. Jeszcze w sierpniu chciano społeczeństwa samorządowego, a już we wrześniu postawiono na prywatyzację.

Rząd Rakowskiego w 1989 roku poszedł daleko – w szczególności odsuwając PZPR od wpływu na rząd. Rząd ten zapoczątkował zmiany ustrojowe likwidując ograniczenia dla własności prywatnej. Wprowadzono ustawę o kapitale zagranicznym. Przyjęta przez Sejm PRL ustawa o działalności gospodarczej otworzyła drogę do transformacji systemu ekonomicznego.

Wynikająca z kryzysu opozycja miała początkowo charakter wewnątrzsystemowy, a następnie antysystemowy, lecz działo się to już po ustaniu kadencji W. Markiewicza jako przewodniczącego Komitetu Prognoz „Polska 2000”. Za czasów jego kadencji domowała problematyka kontestacji wewnątrzsystemowej. Dość wyczerpujący obraz owego świata daje właśnie dwutomowa wielka ekspertyza prezentująca wszechstronny rejestr spraw do rozwiązania. Sposób budowy owego realistycznego obrazu polegał na konfrontacji wyobrażeń na temat nadchodzącego czasu z obserwowanymi tendencjami i faktami.

W latach 80. mogły być brane pod uwagę jedynie wielowarstwowe scenariusze. Kształt nowego ustroju miał zależeć od gry sił politycznych, a nie od zderzenia idei, a więc nie rozgrywał się na płaszczyźnie teoretycznej. Problem nowego systemu był kwestią wolnego wyboru, ale tylko do pewnego stopnia. Nie tylko dlatego, jak to się niekiedy uważa, że brakowało odpowiedniej teorii transformacji postsocjalistycznej. Wreszcie utorowała sobie drogę koncepcja neoliberalna, której symbolami byli Reagan i Thatcher. Zapanowało przekonanie zwycięskich liderów, że społeczeństwo redukuje się do zbioru jednostek zajętych realizacją prywatnych celów.

Prof. W. Markiewicz zrezygnował z przygotowania prognozy dotyczącej przyszłego ustroju Polski i jego kolejnych etapów formowania się, a także z prognozo-

wania tzw. modeli ustrojowych typu ani socjalizm, ani kapitalizm. Ta rezygnacja była wyrazem realizmu myślenia przewodniczącego Komitetu, przypuszczalnie w rezultacie uznawania tej problematyki jako jałowej w owym czasie, chociaż Polska nie była pustynią intelektualną w zakresie prognostyki. Komitet skupił się na przygotowywaniu prognoz innego rodzaju niż precyzowanie kształtu ustroju postsocjalistycznego. W rezultacie pojawiła się m.in. ekspertyza dotycząca patologii społecznej, która zyskała rangę czołowej prognozy ostrzegawczej dotyczącej największych zagrożeń.

Prognoza *Spółczesność polskie na przełomie XX i XXI wieku*, której W.Markiewicz patronował osobiście i zaopatrzył we wstęp, była sumą opracowań poszczególnych autorów. Pierwszy tom był skupiony wokół demografii, elementów infrastruktury gospodarczej, zagadnień branżowych, bardziej szczegółowych, dotyczących techniki, przemysłu, rolnictwa itd. Tom drugi był poświęcony ówczesnemu stanowi i przewidywalnym przekształceniom mieszkalnictwa, sytuacji zdrowotnej, przemianom stosunków w pracy, modelem spożycia, długom zagranicznym Polski i gospodarce polskiej w całości. Ekspertyza Komitetu nie przewidywała oczywiście najważniejszych przyszłych wydarzeń współczesnej historii Polski. Miała ona jednak istotne znaczenie dla rozmyślań nad pożądanymi kierunkami polityki gospodarczej, demograficznej etc. Można to z pewnością potwierdzić, gdy dzisiaj patrzy się z perspektywy historycznej.

Nad tym wszechstronnym studium mógłby obradować Okrągły Stół (a przynajmniej niektóre podstołiki), którego uwaga była skierowana głównie na rozwiązania polityczne. Bez nich nie byłoby możliwe przejście do transformacji systemowej. Stało się inaczej. Prognoza mogłaby się przydać do refleksji i debaty nad tym, jak naprawiać Polskę.

Wysiłek autorów ekspertyzy nie został spożytkowany, został zapomniany i wylądował w annałach historii. W.Markiewicz wskazywał, że trzeba myśleć tu i teraz o tym, co będzie później, ale nie formułował wówczas, tj. na początku lat 80. żadnej długotrwałej perspektywy historycznej. Mógł zresztą operować pojęciami, które miały ostrość ćwierć wieku temu; utraciły ją na skutek obiektywnych dziejowych okoliczności. Wkrótce zresztą historia została spuszczone z łańcucha (określenie Jerzego Stępkowskiego). Jego zdaniem prognostyka to nie utopistyka; nie zastępuje ona również ani tranzytologii, ani globalistyki, nie jest więc właściwym adresem, do którego mogą być kierowane pytania o pożądaną model ustroju społeczno-gospodarczego.

Od rezygnacji z przewodniczącego Komitetu Prognoz minęło już ćwierć wieku. Działanie sił historii doprowadziło do niebывалых protuberancji. Dla zrozumienia dynamiki potrzebne jest, jak wiadomo (por. L.Thurow), zapożyczenie z oknologii „tektoniki płytowej”, gdzie trzęsienia ziemi i erupcje wulkanów wywierają niewidoczny ruch płyt kontynentalnych. Gdyby w XV wieku wytypowano kraj, który wkrótce podbije resztę świata pod względem ekonomicznym, Chiny byłyby oczywistym kandydatem. Ale przebudzenie Olbrzyma – Państwa Środka nastąpiło pół tysiąca lat później.

Nastąpiła epoka antysocjalistycznej transformacji systemowej. Obecnie wybuchł największy od siedemdziesięciu lat światowy kryzys gospodarczy. Pewien

wybitny ekonomista polski wędrujący po świecie powiedział, że „z tym naszym nadwiślańskim neoliberalizmem i właściwym mu doktrynerstwem jesteśmy bardziej rynkowi niż sam rynek”. Prof. W.Markiewicz nie był orędownikiem doktryny neoliberalnej, jest raczej lewicowym liberałem. Nie należał do intelektualnych architektów neoliberalnej wersji kapitalizmu anglosaskiego.

Promowane i opublikowane pod jego przewodnictwem studia Komitetu Prognoz stanowią wartościowe dziedzictwo, które przyczyniło się do przedstawienia polskiego sposobu myślenia o przyszłości na nowe tory. Osią dzisiejszego myślenia o przyszłym rozwoju Polski są następujące nowe siły wywierające decydujący wpływ na bieg historii, które skorygowały dawniejsze przewidywania o przyszłości kraju: zejście ze sceny światowego systemu socjalistycznego, ekspansja globalizacji gospodarki światowej oraz innych ważnych sfer życia społecznego, postsocjalistyczna transformacja w Europie i Azji, kognitywizacja (gospodarka oparta na wiedzy), wkroczenie na arenę chińskiego giganta. W tym tyglu nakładają się na siebie wszelkie możliwe problemy, a niektóre dawne zyskują nowe oblicze.

W latach 80. XX w. nikt nie przewidywał i nie mógł przewidzieć eksplozji powyższych megatrendów stanowiących obiektywne uwarunkowania zasadniczych wyborów historycznych. O ile wiadomo, żaden uczyony nie przedstawił wówczas takiej prognozy, która nie zostałaby sfalsyfikowana. Nie przeczy temu przykład Ralfa Dahrendorfa, czołowego intelektualisty zachodniego świata, autora opublikowanego w 1989 roku eseju *Rozważania o rewolucji w Europie* (zainspirowanego rozmową z W.Jaruzelskim). Nie można oczekiwać, by dawna epoka odpowiadała na pytania, których ludzie wtedy sobie nie stawiali. Nie ma ucieczki z pułapki czasu.

Zgodnie z zasadami myślenia wywodzącymi się jeszcze z Oświecenia, realistyczna orientacja w prognostyce nie straciła na znaczeniu, podobnie jak traktowanie prognozy jako swoistego „żywego” organizmu, który należy nieustannie uściślać, korygować, uzupełniać. Są to nieodzowne cechy myślenia eksperckiego, jakie propagował prof. W.Markiewicz.

Otwierają się nowe horyzonty dla kształtowania się myśli naukowej, obalania stereotypów, dojrzewania zmiany paradygmatów (wzorców rozwojowych), powstawania nowych syntez. Historia nigdy nie jest rozdziałem zamkniętym. „Trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe” – pisała przeszło sto lat temu polska poetka. Trzeba więc skoncentrować się na patrzeniu w przyszłość. Czy i w jakim stopniu historia może wpływać na myślenie o przyszłości (a więc bez znajomości następstw), oto jest pytanie. Czy jesteśmy skazani na uczucie zagubienia i intelektualnej bezradności, gdy idzie o prześledzenie kierunku, w jakim dziś zmierza Polska? Jaki jest uczciwy obraz tamtego zapomnianego już czasu (za prezesury jubilat w Komitecie Prognoz), niebędący ani kasandryczną, ani wyidealizowaną wizją historii?

To zaledwie niektóre spośród wielu pytań towarzyszących dziewięćdziesięcioleciu dostojnego jubilat.

HENRYK CHOŁAJ

JÓZEF SMAGA

SIEWCY EWANGELICZNEJ PRAWDY

Dowodem i gwarancją posiadania prawdy absolutnej dla słuchaczy Radia Maryja jest to, iż głoszą ją, jak chwali się ojciec dyrektor, „profesorzy”; wielkim autorytetem cieszą się profesorowie w sutannach (Jerzy Bajda i Czesław Bartnik), ale największym profesor Jerzy Robert Nowak. Lubię czytać jego teksty, jeszcze bardziej słuchać, gdy w niepomamowanej furii, połykając wyrazy piętnuje „połyków” z PO, wrogów Kościoła, Ojczyzny, Narodu. Aktywność JRN najgłośniej wpisuje się w ideologię koncernu ojca Rydzyka z jego mentalnością postkomunistyczną i dialektycznie werbalnym jej potępianiem. Jako rusycysta i historyk ZSRR z zafascynowaniem obserwuję tę ekumeniczną koegzystencję.

Repertuar środków wyrazu, jak i emocji profesora jest bardzo ograniczony i w serii wieców organizowanych przezeń w związku z książką J.T. Grossa *Strach* powtarzał je bez końca, ale analizę jego stylu zacznę od tekstów wcześniejszych, zamieszczonych w „Naszym Dzienniku” z 18-19, 23 VIII oraz 8-9 IX z 2007 roku pod tytułem *Ukryte oblicza mediów*. Wstęp programowy do serialu stanowi publikacja medioznawczego autorytetu, księdza biskupa Adama Lepy.

Meritum nie ma tu, bowiem styl pana profesora jest samoobsługowy, bez sensu byłaby zatem analiza wartości sądów, skoro wyrażający je osobnik uprzednio „wyróżnił się”, „wsławił”, „zasłynął”, „popisał”. Ostrzegawcze epitety mówią wszystko. Stąd „sławetni” (Leon Kieres, rabin Weiss), „osławiona poślanka” (B. Labuda), „osławione porównanie” (J. Kaczyńskiego i Putina na łamach „Newsweeka”) czy „osławiona” telewizyjna debata Jarosława Kaczyńskiego ze „skrajnie nieuczciwym zachowaniem Donalda Tuska i tuskowców” („Nasz Dziennik”, 3-4 XI 2007).

O zwolennikach na falach RM słyszeć w duchu podobnie bezbrzeżnego uwielbienia, jak u Lenina na temat jednej z prac Engelsa: „Cóż za genialne proroctwo! I jakież nieskończone bogactwo myśli zawiera każde zdanie tej ścisłej, jasnej, zwięzłej, analizy”. I tu można postawić każde nazwisko z głosicieli chwały koncernu, jak choćby pierwszy z brzegu rekomendowany przez profesora „słynny socjolog Zybertowicz”. Ta grupa osób zawsze odznacza się, poza innymi szlachetnymi cechami, postawą „patriotyczną”, natomiast brak patriotyzmu, antynarodowa postawa wyróżnia wszelkich komunistycznych wyrzutków.

Wrogowie obrywają za poglądy „skrajne”, „zażarte”, „oszałałe”. I zawsze, to jeden z ulubionych zwrotów profesora, „atakują najbezczelniej” „z grubej rury”. Wieloletni felietonista „Tygodnika Powszechnego”, Stanisław Lem, to ateista „zażarty”, zwolenniczka równouprawnienia kobiet to bez wyjątku „feministka oszałała”. Los podobny dzieła „skrajny” filosemityzm, „skrajne” paszkwilanckie metody, „skrajne” heretyckie poglądy. I, w tejże stylistycznej rodzinie, bez końca powtarzane: jakże niegodziwy, obrzydliwy, bluźnierczy,

łajdacki („łajdacki paszkwil”), perfidny, podły („wszelkie rekordy podłości bijący”), bezzelny („najbezczelniej w świecie”), brutalny, agresywny, plugawy, skandaliczny („szczególnie skandaliczny”), haniebny, agresywny, nikczemny („najbardziej nikczemny”), „nikczemne pomówienia”, „najnikczemniejsze wyczyny” np. dziennikarzy TVN).

Podobnym zestawem obdarzany jest profesor Bartoszewski m.in. za, tu trochę więcej inwencji, „kompromitującą, jakże szkodliwą bierność w czasie nader nieodległego sprawowania funkcji ministra spraw zagranicznych” („N.Dz.”, 3-4 XI 2007). Innym razem profesor demaskuje „dziko antyreligijną książkę”, „z iście zwierzęcą pasją” głoszone poglądy, „iście furiacki atak”. To o antypolskich, antykościelnych bluźnierczych „arcypotwornościach” i panoszącym się u nas nihilizmie moralnym. Panuje tu zawsze, nie tylko zresztą u pana profesora, ale wszystkich publicystów z tego kręgu emocjonalny superlatywizm, adekwatny do wzburzenia mówiącego wobec „niesamowitych”, „gi-gantycznych” (słowo szczególnie ukochane przez A. Macierewicza), wszelkie miary przyzwoitości przekraczających łajdactw.

Profesor Nowak jest inicjatorem i, jeśli idzie o zaangażowanie emocjonalne, liderem „trzech tenorów” świeckich nadających ton propagandzie środowiska radiomaryjnego. Inne jej głosy to felietoniści Stanisław Michalkiewicz i Antoni Macierewicz. Pierwszego cechuje humorek o zabarwieniu hitoriozoficznym oraz duża wyobraznia w diagnozowaniu nieszczęść kraju, który po Anshlusie do Unii Europejskiej nie przestaje być we władzy tajnych służb wywodzących swój rodowód w równym stopniu od sowieckich, jak i gestapowskich wzorów. Mających się tak dobrze dzięki zaniechaniu lustracji, zмовie okrągłostołowej i potędze „organu nienawiści” – „Gazety Wyborczej”. To stabilizuje niedolę „tubylczego” motłochu pod władzą figurantów ciemnych sił, czyli Tuska i Platformy.

W głosie Macierewicza dominuje tonacja apokaliptyczna, której grozę wzmacnia odpowiednia modulacja głosu. I nie może być inaczej, skoro pod władzą Tuska i Platformy dokonuje się bezzelna grabież majątku narodowego, panoszy antypolska mafia, coraz nachalniej do głosu dochodzi polityka szantażu, nienawiści i terroru, a władza szykuje likwidację państwa i narodu.

Podobna sytuacja wyklucza normalny ludzki kontakt z podobnymi niegodziwcami. Stąd oczywiste, dlaczego ojciec Tadeusz nie da się nigdy namówić na dyskusję z żadnym dziennikarzem z wrogiego obozu, nie wystąpi w żadnym programie dyskusyjnym, bo i jaka może być rozmowa czy wymiana myśli z amoralnymi kłamcami służącymi naszym wrogom?!

W wielostłownych nocnych katechezach przed mikrofonami swego radia ojciec dyrektor bezustannie powraca do roli mediów publicznych i ich manipula-

cyjnej polityki w zakresie informacji. Czyli perfidnego ukrywania prawdy, świadomego wprowadzania w błąd odbiorcy. Wprawdzie nie pada w tych oracjach słowo „nowomowa”, ale to dlatego, iż mówiący nią się postuguje. Nowomowa oznacza lekceważenie powszechnie przyjętych znaczeń pojęć i słów oraz podstawianie pod tradycyjne sensy ich przeciwieństw. Warunek sukcesu tej operacji to eliminujący racjonalne myślenie emocjonalizm, a więc niemerytoryczna informacja, ale wrzask, negatywne nastawianie odbiorcy, eliminowanie jego ewentualnego sprzeciwu. Epitety, inwektywy i wyzwiska to zawsze język odwrotnie proporcjonalny do informacji. Informacją jedyną jest tu jej kompletny brak, działanie na emocje odbiorcy, wywoływanie u niego nienawiści do wroga.

Dobrym przykładem jest straszak „liberalizmu”. W propagandzie komunistycznej oznaczał on „wolną grę sił politycznych”, próbę destabilizacji ustrojowej ze strony dywersyjnych „wrogich sił”, w „bratnim” języku radiomaryjnym oznaczał groźbę relatywizmu moralnego wspartego równie negatywną lewicowością. Sztandarem wrogów Polski katolickiej jest więc „liberalizm lewicowy”. Zbitka sprzecznych pojęć, bo liberalizm ten nie ma nic wspólnego z liberalizmem, jak i lewicowością w ich właściwym sensie. Z niezwykle szacunkiem wysłuchiwany w radiu profesor Wolniewicz woli dosadniejsze dyskredytujące określenie – „libertynizm lewacki”.

Jest tu określona konsekwencja, jeśli uwzględnimy korzenie tej ideologii. W czasie stalinowskiej rzezi lat 30. zasiadający na ławie oskarżonych dowiadawali się, iż są członkami przestępczej terrorystycznej „frakcji trockistowsko-bucharinowskiej”, choć zwolennicy Bucharina zaciekle walczyli ze zwolennikami Trockiego i odwrotnie. To w jakimś stopniu wyjaśni tajemnicę „lewicowego liberalizmu”.

W wielkanocnym numerze „Naszego Dziennika” (2009 z 11-13 IV) ukazało się antyliberalne *opus magnum* księdza Bartnika, intelektualnie wyrafinowana analiza zjawiska sygnowana tytułem *Liberalistyczny nierozum praktyczny*. Oznacza ów „nierozum” eliminację „rozumu praktycznego w dziedzinie religii, porządku życia i moralności”. Ksiądz widzi otaczający nas chaos totalny, zamach na suwerenność Polski, „totalitaryzm brukselski o charakterze antyludzkim”, obłudnie określany mianem „demokracji”.

Dalej czytamy o jednym z naszych „wielkich” demokratów, który zarzuca brak patriotyzmu chłopom polskim, ponieważ w powstaniach ściągali buty zabitym. By ośmieszyć podobne brednie, ksiądz profesor ironizuje: „Tenże »demokrata« i polityk nie wie, iż od tysięcy lat zabici i pokonani byli ze wszystkim łupem zwycięzców, nawet najbardziej rycerskich, np. po bitwie pod Wiedniem z Turkami namioty Kara Mustafy były łupem króla Jana Sobieskiego”. A więc wspomagając Rosjan w walce z powstańcami styczniowymi, jak to przedstawił Żeromski, polscy chłopcy mieli święte prawo do łupów po powstańcach.

Miażdżącej krytyce poddaje kapłan liberalizm, który zakradł się nawet do telewizyjnego prognozowania pogody. Kłamliwie ukrywając stan faktyczny aury: „Tutaj susza, aż ziemia pęka, wyschły łąki, stawy, jeziora, palą się lasy, a »przepowiadacz« mówi: Jutro będziemy się cieszyli piękną, słoneczną pogodą. Na pogodę

patrzy się tylko ze strony wczasowiczów i turystów, a nie ze strony gospodarzów i żywcem”. To zapewne przykład zwyrodniałego liberalistycznego meteohedonizmu, który idzie od „Parlamentu Europejskiego jako rady diabelskiej”.

Wzory tego stylu czerpane są z oficjalnie potępianej, ale skrupulatnie kontynuowanej przeszłości. Profesor J.R. okazuje się pojętnym uczniem Lenina, który przeciwników traktował jako „bandę nikczemnych lokajów” (burżuazji), widząc w nich „wyrafinowaną podłość”, „otchłań kłamstwa”, „obłudę i renegactwo” oraz „najdziksza wściekłość, najbardziej szaloną nienawiść”. Wznoszony przezeń gmach proletariackiej szczęśliwości burzył ten „stary, potworny, nikczemny i plugawy” świat. Przeniesiony w inny kontekst czasowy język ten obsługuje podobne emocje.

Adaptując do współczesności bolszewickie inspiracje Radio Maryja z podobną determinacją, jak zwolennicy „moralności klasowej”, walczy ze światem bezbożnego relatywizmu. Którego hersztem jest monstrum największe, główny deprawator Polski praktykujący, według profesora, „nieograniczony permissywizm moralny”, czyli Michnik. Zbir doń podobny to „najskańdaliwszy hunwejbaj lustracji w Kościele, skądinąd znany z wielu cynicznych kłamstw i pomówień” Tomasz Terlikowski, „zjadły antykościelny manipulator” Tomasz Wróblewski, czy „znany z niezwykle chamskiej napaści na ks. prałata Jankowskiego” „pisarzyna Huelle”. Tu też „jako że kompromitujące”, „szczególnie podłe wypowiedzi” autora „jednego z najskańdaliwszych donosów na Polskę”, „znanego anty-Polaka”, „autora szczególnie podłych wypowiedzi”, Kazimierza Kutza („N.Dz.” 18 X 2007), czy „zatracające jakiegokolwiek poziom” „haniebne wręcz teksty” Stefana Bratkowskiego. Szczególnie wstrząsające i odrażające jest polako- oraz katolikożerstwo „awanturnika-recydywisty Elie Wiesela” czy „polakożerczego hochszaplery z oceanu J. T. Grossa”.

Potworna to bezczelność imputowanie w mediach lewicowoliberalnym profesorowi antysemityzmu, lecz prawda jego natchnionym piórem i głosem dowodzi, iż kanale największe to najczęściej osobnicy „określonego” pochodzenia, stąd tyle w jego wystąpieniach przykładów „żydowskiego fanatyzmu”, a u księdza Bartnika zagrożenia „judeochrześcijaństwem”, „lobby żydowskim”. Kapłan przypomni („N.Dz.” 31 III 2001), iż mniejszość ta w 1918 roku „chciała zafundować naszemu krajowi”, destabilizując i dzisiaj jego sytuację. Aluzja do zagrożenia „Judeo-Polonią”, o czym w książce *Kogo muszą przeprosić Żydzi* profesora. Dla księdza nie jest tajemnicą, dlaczego Wajda nie otrzymał Oscara za *Katyni*: wszak („N.Dz.” 1-2 III 2008) Hollywood to sami Żydzi, zaś czołowy żydoznawca rozgłośni Michalikiewicz demaskuje „piątą żydowską kolumnę w Polsce” – „Gazetę Wyborczą”. Jak najgorszego zdania o organie Michnika (lepiej: Szechtera!) jest i ksiądz Bartnik, do najhaniebniejszych wybryków tytułu zaliczający „masowe rozpowszechnianie książki Żyda włoskiego Umberto Eco...” („N.Dz.” 28-29 VIII 2004).

Demaskowanie ukrywających się u nas Żydów to ulubione zajęcie Torunia. W czasie prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego rozpaczano, iż na czele państwa stoi nie-Polak. Podczas wyborów prezydenckich 1995 r. „Żydówką” okazała się Hanna Gronkiewicz-Waltz. Profesor odkrył też, iż ojcem cieszącego się

najgorszą sławą w Toruniu byłego prezesa Trybunału Konstytucyjnego, prof. Safjana jest nie tylko współtwórca „komunistycznej” *Stawki większej niż życie*, ale i „obecny redaktor miesięcznika „Słowo Żydowskie”, Zbigniew Safjan! Nie mógł nie oberwać i znany historyk amerykański Daniel John Goldhagen, „prawdziwy śmieć antykatolickiej publicystyki”. Ow „fanatyczny żydowski wróg chrześcijaństwa” wydrukował, nieprzypadkowo w „Gazecie Wyborczej”, tekst, który, równie nieprzypadkowo, znalazł tłumacza w osobie podobnie nieprzypadkowego, „fanatycznego tropiciela antysemityzmu, Sergiusza Kowalskiego”!

Popularny motyw w demaskatorskiej publicystyce RM to dywersyjna działalność Fundacji Batorego, której sponsorem jest węgierski Żyd Soros, „oszust giełdowy”, jak określiła go pewna pani profesor w jednej z audycji. W przeciwieństwie do tego towarzystwa, „wielkimi i wspaniałymi Polakami” w ustach ojca Tadeusza okazali się znani z „filosemickich” emocji działacze emigracji polonijnej Jan Kobyłański i Edward Moskal.

W dziwnym pluralistycznym wybryku przed wyborami 2005 roku rozgłosnia toruńska zorganizowała dyskusję przedstawicieli PiS i PO. „Dyskusja” stała się okazją do bezpardonowego ataku słuchaczy na wrażliwą partię, a reprezentującemu ją Stefanowi Niesiołowskiemu zadano na końcu pytanie: „jak się pan przedtem nazywał”? Bo wiadomo, iż nie nasz to obowiązkowo Żyd.

Piętnowaną w „Naszym Dzienniku” perfidię nacja ta dodatkowo przejawiała w czasie ataku na World Trade Center. Zatrudnieni tam Żydzi w feralnym dniu do pracy nie przyszli i – kto wie, kto wie?! – czy to nie współorganizatorzy zamachu? Komentując Marzec’68 Michalikiewicz błyskotliwie zauważył, iż Żydzi wykorzystali go, by „czmychnąć z kraju na Zachód”, co rodzi podejrzenie, iż sami celowo zorganizowali tę imprezę. Oburzeniu panoszącą się na świętej polskiej ziemi „żydowską hucpą” radiomaryjna społeczność dała pokazowy publiczny wyraz na niedoszłym ingresie arcybiskupa Wielgusa w warszawskiej archikatedrze świętego Jana. W zмовie z żydostwem okazał się też aktualny papież, stąd okrzyki wzburzonego tłumu: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”!

Wynik wieloletniej formacyjnej pracy takich publicystów, jak kolejna profesorska znakomitość z USA – Iwo Cyprian Pogonowski uświadamiający, iż Izrael to kraj bandycki, specjalizujący się w handlu pornografią dziecięcą, żywym towarem i produkcją wirusów komputerowych („N.Dz.” 30 VI 2004) jest oczywisty. Że i ojciec dyrektor myśli tak samo, dokumentują słynne „taśmy”. Ostatnio, pod wpływem kłamliwej kampanii mediów polskojęzycznych praktyka ta w zasadzie ustała, ale przez lata dzwoniącym do radia pozwalano na wyrażanie wzburzenia panoszącym się u nas żydostwem. Reakcją odbierającego telefon ojca było zwykle aprobatywne: „Szczęść Boże! lub: „Z Panem Bogiem!”

Firmujące się szyldem „nadawcy społecznego”, korzystającego dzięki temu ze zwolnień od opłat koncesyjnych radio nie jest nadawcą społecznym, lecz jednoznacznie zaangażowanym głosem jednej partii, a gdy ona, jak obecnie, traci władzę, głosem opozycji politycznej. Mimo to ojciec dyrektor (30 marca br.) oświadcza: „Nie walczymy z żadną partią”, choć walczy i to z wielką determinacją oraz nakładem propagandowych środków z partią bardzo konkretną. Kolejny no-

womowny chwyt języka zastępczego, bowiem odbiorcy mediów ojca Tadeusza codziennie są przekonywani, iż partia Tuska partią nie jest, tylko mafią antypolską. A więc ma całkowitą rację, bo żadnej partii nie zwalcza. Do tego języka dostraja się również przewodniczący Episkopatu, abp. J. Michalik. Kościół – oświadczał parokrotnie – nie może utożsamiać się z żadną konkretną opcją polityczną, dla uniknięcia niejasności dodając (zapewne w ewangelicznym duchu: „Niech wasza mowa będzie: Tak, tak; nie, nie”). iż „w tej kwestii podjęliśmy stosowne decyzje”...

Wyrażający pluralistyczny wielogłos społeczeństwa „nadawca społeczny” za głównego wroga obrał sobie Platformę Obywatelską. Skrupulatnie odnotowuje jej niekonsekwencje i najczęściej „wymarzone” potknięcia. Każda kontestacja społeczna, nawet najmniejszy strajczek są tu z radością nagłaśniane. W kolejnym rankingu notowania partii Tuska spadły o dwa punkciki, Toruń triumfalistycznie oznajmia: „Notowania PO lecą na łeb na szyję!” Kolejna wiadomość – senator PO Zaremba rezygnuje z partyjnej przynależności i znów radosny komentarz: „Szeregi Platformy topnieją coraz bardziej!” Zwolennicy ojca Tadeusza, unikający kłamliwych mediów lewicowoliberalnych, mają podstawy do przekonania, iż notowana PiS-u rosną dynamicznie, a jego szeregi coraz bardziej potężnieją.

Oprócz drogiej mu tożsamości chrześcijańskiej Toruń podkreśla swe głębokie zakorzenienie w kulturze łacińskiej. Jednym z jej kanonów, słyszę, jest między innymi szacunek dla pamięci o zmarłych, unikanie negatywnych sądów o nich. Wszelako z tych względów, zgodnie z urokami dialektyki, mogą cieszyć się tylko nasi zmarli. Pięknym przykładem tej praktyki było „uczczenie” pamięci Mieczysława Rakowskiego. Plucie na jeszcze nie ostygłe zwłoki urządzili sobie przed mikrofonami ojciec Cydzik i jego rozmówca prof. M. Piotrowski. Uczony zacytował nawet na wstępie początek stosownej formuły łacińskiej (*De mortuis...*), ale zgodnie z dialektycznym obyczajem zaczął mówić o straszliwych zbrodniach zmarłego, który stojąc na czele PZPR praktykował krwiożerczy i bandycki totalitaryzm antypolski. O czym nikt w Polsce nie wiedział i śmierć była najstosowniejszym momentem, by o tym po raz pierwszy poinformować.

Kontynuacją tego subtelного obyczaju była publiczna demonstracja radości słuchaczy z powodu śmierci znanego Żyda, profesora Geremka; „Dziękujemy Ci Boże, żeś nas od niego uwolnił!” – wykrzykiwał pobożny tłum. Z podobnym łacińskim taktem skwitowano śmierć Jacka Kuronia. Artykuł w „Naszym Dzienniku” (*Wielbiciel rewolucji*) wypominał mu nawet dzinsowy „lewacki strój”.

Rakowskiemu nie darowano z pewnością faktu, iż będąc naczelnym „Polityki” odciął się od antysemitycznej nagonki w Marcu’68., fatalnie, tak w Toruniu zapewne to się przyjmuje, wypadając na tle postawy Prymasa Tysiąclecia, który zachował wtedy pełną godności patriotyczną neutralność w tej kwestii.

Od stuleci wiadomo o niebezpieczeństwach sojuszu ołtarza i tronu, który zawsze – reguła to bezwyjątkowa – przynosi szkody ołtarzowi. Świadom tego niebezpieczeństwa jest i aktualny papież, który w wydanej u nas przed dwoma laty książce przestrzega ludzi Kościoła przed „kuszeniem polityką”. „Poprzez wieki

– przypomina biskup Rzymu – ciągle na nowo w różnych odmianach powracała pokusa umacniania wiary z pomocą władzy, i za każdym razem groziło niebezpieczeństwo zduszenia jej w objęciach władzy. Walkę o wolność Kościoła, walkę o to, żeby królestwo Jezusa nie było utożsamiane z żadną formacją polityczną, trzeba toczyć przez wszystkie stulecia. Bo w ostatecznym rozrachunku cena, jaką płaci się za stapianie się wiary z władzą polityczną, zawsze polega na oddaniu się wiary na służbę władzy i na konieczność przyjęcia jej kryteriów”.

Działający pod szyldem religijnym polityk zawsze instrumentalizuje kategorie wiary. Kiedyś dokonano sondażu wśród przywódców walczących ze sobą katolików i protestantów w Irlandii Północnej. Okazało się, iż są oni doskonale indyferentni w kwestiach religijnych. Nic w tym dziwnego, bowiem zawsze: im więcej polityki, tym mniej religii.

Pokusa upolityczniania religii występowała w Polsce wielokrotnie. Najbardziej znanym prekursorem tej tradycji w okresie przedwojennym był radykalny nacjonalista o mentalności totalitarnej, działacz faszystowskiej Falangi Bolesław Piasecki, po wojnie wódz agenturalnej organizacji PAX powołanej do rozbijania społeczności katolickiej. Wierząc dzisiaj jego książki *Zagadnienia istotne* z 1954 r. oraz wydaną 17 lat później *Siłły rozwoju* zwracamy uwagę na krytyczną sugestię, iż „Myśl chrześcijańska zajęła się przede wszystkim dziełem Odkupienia z wyraźnym pominięciem dzieła Stworzenia”. W innym miejscu: „Sakrament Chrztu św. otrzymujemy przecież również w imię Pierwszej Osoby Trójcy Świętej – Boga Stwórcy, przez co otrzymujemy także zadanie kontynuowania w łasce pracę i twórczością Dzieła Stworzenia”. A to „dzieło Stworzenia” dopiero zaczęli realizować kierowani przezeń „katolicy postępowi” w dziele budowy socjalizmu wspierając „wysiłki partii”. W 1968 roku Piasecki potępiał antypolską dywersję „międzynarodówki syjonistycznej”.

„Nie chcę twierdzić, iż taki akurat charakter ma idea (zamiar) posunięć rządzących, ale obiektywna ich wymowa jest, niestety, porażająca (katastrofalna)”. Idąc tym stylistycznym tropem czwartkowych felietonów (ich tytuł *Głos polski*, sugeruje, iż inne głosy już polskimi nie są) Macierewicza, nie twierdzą jakoby obrońcy przymiotnikowanych wartości („prawdziwej demokracji”, „prawdziwej gospodarki” u „prawdziwych Polaków”) w obozie ojca Tadeusza świadomie nawiązywali do przedwojennych nacjonalistów katolickich prowadzących krucjatę przeciwko satanistycznemu „żydomasońskiemu wymysłowi”, czyli – kapitalizmowi, innymi słowy – „mafii zorganizowanego żydostwa”. Nie przypadkiem Radio Maryja konsekwentnie realizuje antyrynkowy program społeczno-gospodarczy. Nigdy z Torunia nie mówiono o pozytywnych przykładach sprywatyzowanych przedsiębiorstwach, natomiast pełno tu alarmów z powodu „bandyckiej”, „złodziejskiej” wyprzedaży, czy, jak to określa Macierewicz, „nikczemnej grabieży” dokonywanej przez niepolskie podmioty. Bo gospodarka, przypomina się stale, powinna zapewnić pełne zatrudnienie. A więc jedną z podstawowych zdobyczy socjalizmu.

Katolicyzm, przypomina się słuchaczom, nie może być sprawą prywatną, tylko jego wrogowie usiłują go zepchnąć do kruchty starając się uniemożliwić wierzą-

cym publiczne manifestowanie ich przekonań. I tak jest faktycznie, bowiem najgłośniejsi manifestujący przed mikrofonami RM swą wiarę animatorzy rewolucji moralnej PiS prywatnie praktykują coś dokładnie odwrotnego. Libertyni określają to niesłusznie mianem hipokryzji, ale dialektyka zawsze dyktuje elastyczność zasad. Uznając kanony kultury łacińskiej, unikam personalnych konkretów, wedle zasady *nomina sunt odiosa*. W okresie rządów PiS-u często gościł tu pełen szlachetnych cnót Andrzej Lepper. Nie manifestował wprawdzie nadmiernego przywiązania do religii, ale za to chwalił się matką, „która była osobą bardzo wierzącą”...

Toruń entuzjazmował się lustracją w jej najradykalniejszej formie. Oklaskami na łamach, antenach i falach ojca Rydzyka powitano zdemaskowanie „agenta Nowaka” (Małgorzaty Niezabitowskiej) na początku 2005 roku. Jednak leninowska dialektyka pozwala dokonywać „skrajnych” zwrotów, a sytuacja zmienia się „skrajnie”, gdy wybucha sprawa „swego” ojca Hejmo, czy jeszcze bardziej „swego” arcybiskupa Wielgusa, stąd natychmiast pełen skrajnego oburzenia alarm profesora z powodu „skrajnego wręcz nacisku na lustrację w Kościele”.

Polityczno-biznesowe ambicje ojca Tadeusza mają służyć tworzeniu społeczeństwa alternatywnego, a do tego konieczne jest obalenie fałszywych autorytetów. Jak Nowak-Jeziorański, bo bardzo nie podobał się stosownym służbom PRL, których dorobek jest tu szanowany, Jan Karski, bo szkalował Polskę, niedostatecznie patriotyczny Miłosz, albo Edelman, bo należał do lewicowego żydowskiego Bundu.

Przez parę lat „ulubieńcem” publicystów RM był zawodowo zajmujący się demoralizowaniem młodzieży, chyba nawet gorszy w tym od Michnika Jerzy Owsiak. Z radością odnotowywano przypadki nagannych zachowań jednostek w czasie organizowanych przezeń imprez młodzieżowych. Ale mamy tu typowy kłopot z dylematem: belka czy żdźbło? Przez parę lat pracowałem w częstochowskiej Akademii Polonijnej ulokowanej tuż pod klasztorem, wielokrotnie też odwiedzałem kaplicę Czarnej Madonny. Pierwszy raz zostałem okradziony, przy następnych odwiedzinach obserwowałem, jak nawiedzający obraz bardziej od zadumy modlitewnej pilnują swych portfeli. Nie słyszałem nigdy, by media liberalne to miejsce piętnowały jako szczególnie kryminogenne. Od wieków wszystkie kościelne uroczystości, jak odpusty, pielgrzymki, kanonizacje, beatyfikacje czy sobory stwarzały znakomitą okazję dla elementów przestępczych. Uczestniczkami tych uroczystości bywały zawsze nierządne „dziewki wszeteczne”, znajdujące tu znakomite warunki do pracy. Mimo tego nie słyszałem i nie czytałem, by w związku z tym ostrzegano przed demoralizującym wpływem miejsc kultu religijnego na społeczeństwo.

Ojciec dyrektor stale przypomina dyrektywy koncertu: walkę z grzechem, miłość do grzesznika i szerzenie prawdy, zgodnie z przesłaniem Chrystusa: „Prawda was wyzwoli”. I wyzwalają swych odbiorców media ojca Tadeusza bardzo konsekwentnie. Że prasa powinna głosić prawdę, na pierwszej stronie z 29 VIII 2007 wybija „Nasz Dziennik”, dwa miesiące później w tym samym miejscu tytuł *Orężem dziennikarza powinna być prawda*. Leży to również na sercu profesorowi oburzonymu kłamcami i manipulatorami z mediów „rzekomo”

katolickich. Stąd pyta: *Jak katolik może kłamać?* To o „Tygodniku (»Obłudniku«!) Powszechnym”, wyróżniającym się, „łagodnie mówiąc, bardzo oszczędnym dawkowaniem prawdy”. Oburza też profesora – proszę posłuchać! – styl polemiki, w której „emocje biorą [...] górę nad rzeczową argumentacją i elementarną uczciwością”. Jak np. autor, który „sięgnął do wyzisk zamiast argumentów”. Niepokoi to również Jego Ekszelencję biskupa Lepę piętnującego „oparte na wybiórczym traktowaniu określonych treści” zjawisko manipulacji, co jest „najbardziej zuchwałym naruszeniem ładu medialnego w państwie”, oraz „patologią społeczną, która wyraża się w publicznym lekceważeniu prawdy”, braku szacunku do innej osoby, pogardzaniu nią. („N.Dz.”, 18-19 VIII 2007).

W imię tego szacunku czytelnikowi „Naszego Dziennika” oszczędzono informacji o oświadczeniu rzecznika Episkopatu po posiedzeniu na Jasnej Górze w dniu 27 sierpnia 2007: „Język polityka, zwłaszcza chrześcijanina i kapłana nie może być językiem nienawiści i agresji”, czy o piętnującym upolitycznienie Radia Maryja wystąpieniu kardynała Dziwisza na wspomnianym forum. Brak też w „Naszym Dzienniku” oświadczenia nuncjusza apostolskiego, arcybiskupa Kowalczyka o „uciążliwym problemie Radia Maryja”. Podobnie wybiórcza dialektyka informacyjna na temat potępień ze strony Kościoła i Jana Pawła II „grzechu antysemityzmu”. Uczynił to w dniu 12 III 2000 r. polski Episkopat, co znalazło się na czołówkach prasy „polskojęzycznej”. Ale nie w „Naszym Dzienniku”, który po dłuższym namyśle dwa dni później zamieścił na ten temat notatkę na dalszej stronie, pomijając jednak passus dotyczący antysemityzmu. 2 maja 2001 r. Episkopat podjął decyzję w intencji modlitewnego przebłagania Boga za dokonane przez Polaków zbrodnie Jedwabnego, czego w Toruniu też nie zauważono.

Podobnie z bezgranicznie adoracyjnym stosunkiem wobec Jana Pawła II (Jana Pawła Wielkiego). Ileż tu audycji „w nurcie nauczania Jana Pawła”, powtórek homilii z papieskich pielgrzymek w Polsce, równocześnie, ujmując to w stylistyce profesora, „skrajnie selektywne” stosunku do Jego nauczania, np. wobec Unii Europejskiej czy euro, które pobłogosławił 6 XII 2001 r. określając przy okazji Unię Europejską jako „prawdziwą wspólnotę narodów”. „Największy z rodu Słowian”, by użyć dyżurnego w tych mediach zwrotu, przypominał nam stale o konieczności modlitwy za „cud wolności” po roku 1989, tymczasem w Toruniu to cud rzekomy, „nowy totalitaryzm”, rozpoczęty „hańbą Okrągłego Stołu”. Tak nieskończenie drogi Radiu Maryja ojciec święty wielokrotnie potępiał też „grzech antysemityzmu”... Żeby jednak dowieść bezgranicznej wdzięczności za „dar Jana Pawła II od Boga dla Polski” z inicjatywy ojca dyrektora ma być wzniesiony w Toruniu kolejny kościół.

W umysłach niektórych, nie nawykłych do leniowsko-dialektycznych subtelności odbiorców tekstów profesora Nowaka, może zrodzić się konfuzja, bowiem z dokonanych przezeń omówień czasopism, znanych z „najnikczemniejszych wyczynów ateizacyjnych” może pojawić się dewiacja „skrajnego” pluralizmu. Bo jak odczytać częste w pana profesora komentarzach uwagi: „nawet »Gazeta Wyborcza« przyznała”, „musiała zamieścić” replikę (księdza M. Zachary)? Stanowisko takie „wywołało protesty niektórych czytelników”, a re-

dakcja „była zmuszona” zamieścić bardzo krytyczny wobec »tygodnikowej« publikacji list księdza biskupa Romaniuka. Albo: z tekstem Anny Całej „był zmuszony polemizować nawet współpracownik »Gazety Wyborczej«. I wreszcie: atak ks. Bonieckiego wywołał stanowczą polemikę o. Tadeusza Dionizego Łukaszczyka („Tygodnik Powszechny” z 3 VI 2001).

Próby bezstronnego informowania o rzeczywistości w sowieckiej tradycji piętnowano jako „obiektywizm burżuazyjny”. W Toruniu podobną ohydę z pewnością uznaje się za „lewacki libertynizm”. Radio Maryja jest, „jak powszechnie wiadomo”, głosem wolnym, który nie może być „zmuszany” do informacji libertynskiej, przyświeca mu cel najbardziej bojowy: demaskować media lewacko-liberalne, wpajać odbiorcy odrazę do przeciwnika nie ryzykując informowania co naprawdę mówi, bowiem oblegana twierdza wymaga od obrońców bezkompromisowości; muszą otrzymać informację ometkowaną, nacechowaną jednoznaczną oceną.

Nie dziwi u wielbicieli ojca Tadeusza wspólnota potępianej komuny nie tylko w zakresie nawyków językowych, ale i ideałów społeczno-gospodarczych. Z Torunia słyhać gromy na panoszący się totalitaryzm, ale ta groźba nie jest precyzowana. Totalitaryzm kwestionuje podmiotowość człowieka, traktując go jako marionetkę w rękach obcych sił. Stąd rytualne pytania totalistów w reakcji na krytykę i sprzeciw: „Kto za tym stoi? „Kto pociąga za sznurki”? Bo wiadomo, iż „jednostka” nie jest w stanie o czymś zadecydować, czy sformułować własny sąd.

Pozatoruński, a więc wrogi świat to jedynie imitacja rzeczywistości, pozory dla zmylenia naiwnych, „z premedytacją” konstruowany przez wrogów. Dawniej groźbę widziano w cywilizacji turańsko-bizantyjskiej, do której ówczesny felietonista rozgłosił ojciec Krąpiec zaliczał i Niemcy, wrogiem byli rotarianie, najtrwalej jednak masoneria. Dlatego pytanie: „Jakie to »łoże« za tym stoją”? są tu stale aktualne, choć nie zawsze wypowiedane. One dyktują i inspirują wrogie czyny i opinie o środowisku Radia Maryja. Kwitnie tu więc w najlepsze mentalność totalitarna, przejęta wiernie od pobratymczych służb PRL zwalczających postawy „antysocjalistyczne”. Współdziałające, jak pamiętamy, z inspirowanymi z Zachodu dywersantami, „za którymi stały” „określone koła” (siły, środowiska, kręgi), jak rewanżyzm zachodnoniemiecki, Wolna Europa, paryska „Kultura”.

Prawdziwi Polacy są absolutnie bezgrzeszni, nie są winni nieszczęść, które ich dotyczą. Intelktualista Michalkiewicz odkrył uniwersalne ich źródło: „razwiedkę”, co po rosyjsku znaczy system obcego wywiadu, w dyspozycji panującej nad Polską komunistycznej agentury. Ksiądz profesor Bajda uściśla krąg wrogów: „sterowane przez pewne ośrodki”, „koła związane z »Gazetą Wyborczą« i różnymi piśmiętami sterowanymi z zagranicy”, „grupy komunistyczne, masońskie i inne grupy wywrotowe sterowane z ośrodków zagranicznych” oraz „zdrajców, szarlatanów i złodziei” („N.Dz.”, 7 IX 2007). W dwuletnim okresie rządów PiS, który położył kres „władzy Kiszczaka i Michnika” odkryto, jak złowrogą rolę w niszczeniu Polski odgrywały kosmopolityczne elity, „salon”, czy byli KOR-owcy.

Specjalnością wywiadów w mediach ojca Tadeusza są pytania wydobywcze z sakramentalnym: kto za tym

stoi? Zapytany o źródło antypolskiej postawy wszystkich polskich ministrów spraw zagranicznych po roku 1989 w telewizji Trwam Antoni Macierewicz nie zawiodł odpowiadając: to agenci rosyjscy. Również „razwiedka” należy do tej kategorii; cenny jest wróg nieidentyfikowalny, chodzi o atmosferę strachu i zagrożenia. Choć mowa o siłach „określonych”, króluje zaimek nieokreślony: „ktoś”, „coś”, „jakaś” (np. „międzynarodówka”).

Tu też powtórki z kulturowanej tradycji. W drugiej połowie lat 40. XX w. w ZSRR wydano walkę „elementom kosmopolitycznym” „ukrywającym się” pod pseudonimami. I zawsze okazali się nimi Żydzi. Podobne metody stosuje i nasz profesor odkrywając, iż napiętnowany przezeń „największy hunwejbín lustracji w Kościele”... „w rzeczywistości” nazywa się Fejgin!

Że Unia Europejska to powtórka – „i w stokroć gorszym wariantcie”! – Związku Radzieckiego i że eurobrukselski twór „nowej Sodomy” to nic innego jak sataniczny fortel nawrotu – znów „w najperfidniejszym wariantcie!” – nowego totalitaryzmu, słychać w zrozpaczonych głosach radiosłuchaczy toruńskich.

Odkrycie przez PiS „patriotyzmu genetycznego” wpisuje się w filozofię totalitarnych zniewoleń, tłumacząc też ideowe patologie. Rodowód tego światopoglądu również sięga bolszewizmu. Miałeś nieszczęście mieć ojca „kułaka”, „burżuja”, „inteligenta” (Lenin szczególnie pogardzał „inteligencikami”) – hańba to niezmywalna. Przez dziesięciolecia nekano ludzi wykluczonych z „niewłaściwej” klasy, formacji, partii. Podobnie w Toruniu: masz podejrzanych rodziców, coś kiedyś powiedziałeś, napisałeś, jesteś nieodwołalnie napiętnowany. Toruń jest na te sprawy niebywale uczulony, a niezrównany specjalista od kwerendy biograficznej to profesor Nowak, co dokumentują jego *Czerwone dynastie*. Czerpie stale ze swej obfitej kartoteki personalnej i ciągle słyszymy, kto był ojcem, dziadkiem, szwagrem, kuzynem, nawet teściem kogoś, kto winien wzbudzać odrazę prawdziwych Polaków.

Można mieć nieśmiałą nadzieję, iż uczone zechce poszerzyć pole badawcze wyjaśniając, jak wyniesione z domu wartości zaważyły na zachowaniach prominentnych pomocników Hitlera – Himmlera, Goebbelsa czy Hoessa, wyrosłych w ortodoksyjnie katolickich rodzinach. Warto byłoby też podjąć refleksję nad młodością pewnego Niemca na stolicy Piotrowej, który zaliczył staż w Hitlerjugend. Znalazł się tam podobno przymusowo, tak jak i dziadek premiera w Wehrmachcie, choć wnuk za to odpowiada.

Nie można też wykluczyć, iż u niektórych słuchaczy pobożnego radia mogą pojawić się niestudzone pytania: a co począć z niezbyt budującą młodością świętych, Marią Magdaleną, największym apostołem chrześcijaństwa Pawłem, Augustynem, Franciszkiem z Asyżu? I jak czułby się, załóżmy, syn marnotrawny, gdyby ojciec wiecznie wypominał mu grzechy młodości? I jak pojąć postawę naszego Nauczyciela chętniej przebywającego z grzesznikami aniżeli z formalistami religijnymi, krytycznie myślącego o faryzeuszach, czyli tych „co ufali sobie, że są sprawiedliwi, a innymi gardzili”... (Łuk: 18,9)?

Pozostając dalej przy tekście Pisma spróbujmy skonfrontować katolicki hipermoralizm z powagą Ksiąg często cytowanych w audycjach RM. Ornamentyka religijna, zięjące miłością bliźniego komentarze o wy-

znających odmienne poglądy, o których należy jak na gorzej, tworzą budujący obraz jedności czynów z deklaracjami. Jego Ekscelemcję biskupa Lepę niebywale oburza „brak szacunku do innej osoby, pogardzanie nią”, norma w mediach liberalnych. Po 12 latach sąd ostatecznie stwierdził, iż były minister przekształceń Janusz Lewandowski nie popełnił żadnego z zarzucanych mu przekrętów. W Toruniu przez lata wylewano na niego kubły pomyj, choć nigdy nie odwołano zasady, iż o bliźnim nie godzi się mówić fałszywego świadectwa. Mimo że tekst Dekalogu klepie się tu codziennie.

Albo scena, gdy „uczeni w Piśmie i faryzeusze” przyprowadzili kobietę występłą żądając jej ukamienowania. „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamień”. Wszyscy się pospiesznie rozeszli, a tymczasem wymachujący sztandarem wartości nasi współcześni kamieniami rzucają szczególnie gorliwie. Zgodne to, oczywiście, z przykazaniem: „Nie sądzicie, a nie będziecie sądzeni”(Mat. 7:1)

Powodem znakomitego samopoczucia wyznawców ojca Tadeusza jest ogrom modlitewnych programów w RM. Wszelako warto byłoby nie zapominać o zaleceniu tegoż ewangelisty: „Na modlitwie nie bądźcie gadatliwi, jak poganie. Oni myślą, że przez wzgląd na wielomówstwo będą wysłuchani” (Mat. 6:7). Gdyby duch toruńskiej „nowej ewangelizacji” zwyciężył przed wiekami, wątpliwe byłoby w ogóle powstanie samej Ewangelii.

Przekonanie o naszej wyższości wobec bezbożnej Europy dyktowało na początku otwarcia się na Zachód publicystom RM (jak prof. P. Jaroszyński) pewność, iż „będziemy ich nawracać”. Niestety. Gdy Europa poznała nasz katolicyzm eksportowy w jego rytualno-obrzędowej postaci i moralnej codzienności, zrezygnowała z podobnej oferty.

Może dlatego w konfrontacji Wschodu z Zachodem Toruniowi znacznie bliżej do pierwszego. Stamtąd czerpie on inspiracje dla upolitycznionej religii. O atrakcyjności Wschodu decyduje też panujący tam brak demokracji, a czym są dekadencje zachodnie wartości, nie przestają przypominać na łamach „Naszego Dziennika” pióra księży profesorów Bajdy i Bartnika. Poza tym prawdziwi Rosjanie mają obawy podobne do prawdziwych Polaków. Jak my „Judeopolonii”, obawiają się, iż ich ojczyzna stanie się „nową Chazarią” (w VI-VIII stuleciach państwo między Morzem Kaspijskim i północną częścią Morza Czarnego wyznające judaizm) w perspektywie stworzenia terytorium rezerwowego dla Żydów, gdy pod naporem Arabów będą musieli uchodzić z Palestyny. Przestrzega przed tym pisarz Prochanow, podobne obawy w stosunku do Polski ma Toruń, ludobójcze zamiary Brukseli zmierzają do zredukowania ludności polskiej do 15 milionów, o czym przypomina cyklicznie występująca na falach RM doktor Urszula Krupa. By jednak zachować odpowiednie proporcje ilościowe, te same „określone siły” planują zmniejszyć ilość Rosjan do 50 milionów.

Możemy jednak liczyć na interwencję Matki Bożej, która dla rozgłośni toruńskiej stała się etatową panią na polityczne posyłki, bo to Jej, według ojca Tadeusza, zasługą było zwycięstwo PiS-u w 2005 roku, jak i późniejszy pakt stabilizacyjny między PiS-em, LPR i Samoobroną zawarty i pokazany w telewizji „Trwam”. Niestety, mimo tak Wysokiej Protekcji „kłamliwe i anty-

polskie media, poddane władzy »księcia tego świata« (N.Dz., 29 X 2007), wedle księdza Bajdy, uniemożliwiły stabilizację sytuacji.

Nieporównanie lepiej w Rosji. Władimir Krupin wyraża pewność, iż Matka Boża bezustannie opiekuje się jego ojczyzną, która »powstrzymuje zło świata, [...] dlatego ma zapewnioną wielką przyszłość«. Bowiem Rosja »to dom Świętej Bogurodzicy i czyż może ona dopuścić, by z Jej domem coś mogło się stać?« (»Litieraturnaja Gazieta« 2001, nr 50-51). Dowody? Proszę: »cud na Kremlu« z 4 listopada 1612 roku, gdy z pomocą Matki Bożej wypędzono stamtąd Polaków. Wielokrotnie wspierała też Ona Rosję podczas wojny z Niemcami (M. Mart, *S ikonoj k pobiedie*, »Argumenty i Fakty« 2004, nr 18).

Nieprzypadkowo coraz jaśniejszym blaskiem w oczach patriotycznych Rosjan świeci gwiazda Stalina. Za to, iż skończył z »rewolucją żydowską«, wszak bolszewizm to pomysł żydowskich przybłędów czujących pogardę dla Świętej Rusi i fundujących sobie jej kosztem zbrodnicze eksperymenty ustrojowe, o czym przypomina matematyk Szafarewicz. Z kolei prozaik Wasilij Bielow odtwarza (powieść *Rok wielkiego przełomu*) udrękę szlachetnego przywódcy zmagającego się z mafią żydowską. W pełni więc zasadne są (A.Soldatow, *Za czto borolis?* »Moskowskije Nowosti« 2005, nr 42) propozycje niektórych hierarchów, by dokonać kanonizacji Josifa Wissarionowicza.

Sympatyków ojciec dyrektor przedstawia jako »siewców ewangelicznych«. Oprócz profesora Nowaka przykłady wzruszającego oddania tym wartościom przed mikrofonami toruńskimi demonstrowali kandydujący z list PiS-u politycy, szczególnie krzywdzony wyrokami sądowymi fanatyk prawdy Jacek Kurski, z pietyzmem powtarzający pobożną formułę powitania, akcentujący też doniosłą rolę »naszego umiłowanego« ojca Tadeusza.

Z pewnością tylko wrogowie Kościoła mogą mieć wątpliwości, czy polityczne zaangażowanie Radia Maryja nie koliduje z ewangelicznym przestaniem miłości bliźniego. Ewentualne wątpliwości rozwieje leninowska dialektyka. W jednej z prac Lenin cytuje Marksa: »Dla filozofa dialektycznego nie ma nic ostatecznego, absolutnego, świętego«. Wprawdzie, z jednej strony, nie można ignorować, (co nie znaczy, iż upubliczniać!) oświadczenia rzecznika Episkopatu o języku polityka »zwłaszcza kapłana [który] nie może być językiem nienawiści i agresji«, cóż jednak czynić, skoro toczy się śmiertelna walka, w której nie miejsce na ewangeliczny sentymentalizm, a aktualności nabiera leninowskie pytanie »Kto kogo?« »Nowy Kordecki« z determinacją broni obłożonej twierdzy. W tej manichejskiej wizji współczesności światłość Dobra zmagają się z diabelskim Złem, a na froncie nie miejsce na ewangeliczne dyrdymały. Dlatego Radio Maryja musi wykluczać demobilizującą wymianę poglądów, bo myślący inaczej przestaje być bliźnim stając się wrogiem, »polskojęzycznym« pseudo-Polakiem. Bliźnim nie jest też komuch, stąd złota myśl założyciela RM: »Człowieka nie można kopnąć, chyba że czerwonego«...

Kanonem chrześcijańskiej miłości bliźniego jest podobno walka z grzechem i miłość do grzesznika. Ojciec dyrektor i tu znalazł dialektyczny fortel. Zapew-

nia wielokrotnie, iż »nawet się modli« za przeciwników, wszakże ktoś taki ma status najwyższej jakiegoś ćwierć-bliźniego, bowiem wcześniej należy go napiętnować po nazwisku, stanowisku i stanie kasy. Ileż to razy wypominał naczelnemu »Wyborczej« jego zyski z reklam...

Sukces Radia Maryja i »powstałych przy nim dzieł« zapewnił trafny dobór instrumentów realizacji. Znakiem pomysłem okazała się interaktywność, odpowiadająca poziomowi większości starszych odbiorców. Którzy znajdują duchowe wsparcie i utwierdzenie się w przekonaniu, iż nie ponoszą odpowiedzialności za swą samotność, niedostatek, brak wykształcenia. Winien jest wiadomo kto...

Do tej analizy sprowokowało mnie wzburzenie prowadzącego audycję *Aktualności* ojca redemptorysty w RM oświadczeniem posła Palikota, jakoby w radiu toruńskim »używano tylko epitetów zamiast głoszenia prawdy«. Po lekturze każdy musi stwierdzić, iż to jedno z najplugawszych, niewyobrażalnie arcygotwornych kłamstw.

Wyszukany arcychrześcijański styl profesora ma oczywisty rodowód, któremu i w tym wypadku patronuje twórca bolszewizmu, wykluczający możliwość, iż ktoś o odmiennych poglądach może zasługiwać na minimum szacunku. W szczególnym *credo* polemisty na 10 lat przed opanowaniem Rosji Lenin szczerze wyznaje, iż cel jego to »rozmyślenie i z wyrachowaniem« niszczenie przeciwnika, »obliczone na to, by wzbudzić w czytelniku nienawiść, wstręt, pogardę dla ludzi, którzy tak postępują [...] nie na to, by naprawić błąd przeciwnika, lecz na to, by zniszczyć, zetrzeć (go) z oblicza ziemi, wywołać najgorsze myśli, najgorsze podejrzenia w stosunku do przeciwnika«.

A więc wdeptać go w ziemię i poniżyć. Stąd huragan inwektyw, żadnych argumentów, tylko etykietowanie. Z furią Włodzimierz Iljicz rzucał się na inaczej, raczej – w ogóle myślących, a przeciwnik, jeśli nawet »subiektywnie« nie był skończonym łajdakiem, »obiektywnie« nim się musiał stać. Pierwszy bolszewik wiedział, jak i jego współcześni epigoni, iż psychologiczna tresura oraz wbijanie odbiorcy do głowy tych samych zwrotów i wyzwisk, zagłuszenie jego zdolności racjonalnego myślenia to gwarancja sukcesu. Nie wszystkich dziwi, iż podobny język serwowany jest w akompaniamencie modlitewnych westchnień i wzruszeń przez »katolicki głos w naszych domach«.

Tekst stara się nie być analizą, lecz prezentacją pewnego stylu. Bardzo trudno go oceniać, jeśli oceną nie będzie wskazanie jego totalitarnego rodowodu. Z tekstami J.R. Nowaka nie sposób polemizować, chyba stosując podobne inwektywy. Obserwatorzy polskiego życia społecznego stwierdzają, iż dominuje w nim wzajemna nieufność i międzyludzka wrogość. Radio Maryja tej wrogości jest podstawowym uczestnikiem i animatorem, a pałkarski wrzask J.R. Nowaka jego językiem.

Parę lat temu w nocnej wymianie głosów (nie odmiennych poglądów, bo takowe są tu natychmiast wyciszane) zadzwoniła pewna kobieta z Niemiec wypowiadając jedno tylko ale jakże trafne zdanie: »Zagryziecie się!«

BOHDAN CHWEDEŃCZUK

TAKO RZECZE WOLNIEWICZ, CZYLI O ANTYSEMITYZMIE

W lutym 2009 roku na falach Radia Maryja wystąpił Bogusław Wolniewicz (zob. www.radiomaryja.pl/dzwieki/2009/02/2009.02.01). Jest to jedno z jego wystąpień w Radiu Maryja i w różnych telewizjach, a sam Wolniewicz niejedyny tak poloneza wodzi. To przedstawiciel pewnego gatunku, wyrazisty, trzeba dodać, zasługuje więc na uwagę. W przeciwnym razie miałbym go tylko – by użyć jego słowa – za dziwadło.

Przyjrzyj się słownictwu, retoryce i logice tego wystąpienia, a także ideom i postawom, z których wyrasta. Będę tym sposobem uzasadniał opinię, że jest to tekst naganany moralnie i alogiczny. Zapytam też, czy jest antysemicki, i odpowiem twierdząco na to pytanie. Ustalmy najpierw znaczenie tych przymiotników. Działanie jest naganne moralnie, gdy jest rzeczą uzasadnioną, by darzyć niechęcią sprawcę, właśnie dlatego, że je wykonał (zob. Richard R. Brandt, *Etyka*, Warszawa 1996, s. 779). Alogiczny zaś to sprzeczny z logiką, niedorzeczny, nielogiczny. Antysemityzm natomiast – przyjmijmy skromnie na początek – to niechęć do Żydów.

Naganne jest w szczególności pogardzanie ludźmi, nastawianie jednych przeciw drugim, przekonywanie, że jedni są ofiarami drugich, a dokonywanie tego bez dania racji. Mamy wówczas sprzężenie amoralności z alogicznością. Osobnik alogiczny nie uzasadnia bowiem swoich zdań, nie troszczy się o wynikanie między nimi, nie dostosowuje poziomu stanowczości swoich opinii do poziomu ich uzasadnienia, używa pojęć niejasnych wyrażanych przez słowa nacechowane emocjonalnie, popełnia jawne i niejawne sprzeczności.

Wypowiedź Wolniewicza wiąże te dwie cechy, jest więc amoralna i alogiczna. Cechy te rzecz jasna mogą występować rozłącznie, jak na przykład u działającego amoralnie, lecz logicznie szmalcownika, który denuncjował Żyda posługując się uzasadnionym zdaniem prawdziwym, że tamten jest Żydem. Student zaś, który błędnie wnioskuje na kolokwium z logiki, może być człowiekiem przyzwoitym, a jest alogicznym.

Rzecz Wolniewicz

Oto zapis owego radiomaryjnego wystąpienia, z użyciem przytoczeń lub bliskich oryginałowi omówień (wyróżnienia pochodzą ode mnie).

Zaczyna się od zapowiedzi. Prowadzący audycję zapowiada i wita – odnotujmy ten szczegół – profesora doktora habilitowanego Bogusława Wolniewicza.

Prelegent natomiast wychodzi od opowieści o swoim niedawnym udziale w konferencji w Wyższej Szkole Kultury Medialnej i Społecznej w Toruniu. Dało mu to sposobność obejrzenia siedziby szkoły. Obejrzał ją, nie miał wprawdzie kontaktu z młodzieżą (wyjawszy kontakt z kołędami śpiewanymi przez chór studencki zachwycająco, bo tak – i ten szczegół odnotujmy – jak się powinno śpiewać kołedy), i jest pod wielkim wrażeniem tego, co widział, „pod wrażeniem gmachu, jego otoczenia, jego urzędzenia”. Powstało tam coś dobrego – zapewnia – gmach o przyzwoitym standardzie europejskim, ale bez luksusów. Ta szkoła to jest Europa, nie dziadostwo.

Następuje tu przejście do utrzymanej w zgoła innej tonacji części prelekcji. Ta szkoła – słyszymy – pewnie wielu ludzi kłuje w oczy. „Jakie głupie, jakie krzywdzące są te hasła i ataki na tak zwane imperium Rydzyka, przez jednych złośliwie rozpuszczane, przez drugich bezmyślnie powtarzane”. Przez tych, co trwonią pieniądze pozyskane z państwowej kasy.

Całe to dzieło, to wszystko z kwesty w kraju i za granicami. „Ale zamiast uznania dla tego niezwykłego dzieła obywatelskiej troski, twórców tego dzieła spotykają tylko wrogość, potwarze, szykany”. Zawieść, *das ewig polnische* – woła Wolniewicz za Konstantym Ildefonsem Gałczyńskim.

Pada teraz pytanie, dlaczego w tej nagonce na wielkie dzieło toruńskich redemptorystów uczestniczy polski rząd. Nie jakaś tam Kudrycka, to tylko służa, lecz premier Donald Tusk *personaliter*. Premier chce za wszelką cenę zniszczyć Radio Maryja, tak to wszakże wygląda. „Teraz usiłuje się to zrobić finansowo. Nowy chwyt!” W sprawie wierceń geotermicznych nie chodzi o względy techniczne. „Na tym się nie znam – zastrzega mówca – ale widać, że nie o to chodzi”. Chodzi o doprowadzenie dzieła ojców redemptorystów do finansowej ruiny. „Wolno zbierać Owsiakowi, a nie wolno zbierać Rydzykowi. Pytam, czym gorszy jest Rydzyk. Pytam pana premiera”.

Prelegent wyznaje z kolei, że zastanawiał się, co powoduje tym postępowaniem. I znalazł, że wrogością do Radia Maryja powoduje albo „lewacka wrogość do chrześcijaństwa, pochodząca od Rousseau i Woltera”, którą [lewacy] „mają od osiemnastego wieku”, albo to, że „rząd podjął jakieś ciche zobowiązania międzynarodowe, z których usiłuje się wywiązać, a na czele tych zobowiązań stoi ucieszenie rozgłośni Radia Maryja, za-

tkanie jej ust, żeby nie krzyczała o czymś, co się w Polsce dzieje, a co ma się dzieć po cichu”. „Odpowiedzi te – pada w komentarzu prelegenta – nie wykluczają się, ale jedna musi być prawdziwa”.

„Jakież to mogą być zobowiązania?” Zobowiązania ujawnione, zdaniem prelegenta, przez premiera Tuska na początku kwietnia 2008 roku, na zakończenie jego wizyty w Izraelu. Powiedział tam Tusk, słyszymy, trzy rzeczy – że sprawy żydowskich roszczeń do odszkodowań za pozostawione w Polsce dobra ruszyły z kopyta; że co kilka miesięcy odbywać się będą regularne konsultacje polsko-izraelskie; zapewnił też gospodarzy, że nie będzie tolerancji dla antysemityzmu w Polsce.

W tym miejscu wykładowca nakłania swoich słuchaczy, by uwzględnili na tle tych wypowiedzi taki przede wszystkim fakt. Tusk zapewnił mianowicie Żydów, że ich roszczenia wobec Polski zostaną uregulowane do końca 2008 roku. Nie zostały, strona żydowska zaś o tych roszczeniach nie zapomniała, bo „Żydzi to naród poważny” (to ostatnie bierze Wolniewicz, wskazując źródło, od Norwida), a jednak nie upomina się o swoje. Na intrygujące pytanie, czemu to przypisać, Wolniewicz sobie odpowiedział, a teraz dzieli się tym ze słuchaczami: Żydzi sprolongowali Tuskowi termin dotrzymania zobowiązań, ale nie za darmo, bo są (raz jeszcze przydaje się Norwid) narodem poważnym.

Za co więc sprolongowali? – pyta prelegent z nieślabnącą wnikliwością. Oczywiście za wywiązanie się z trzeciego zobowiązania, z zobowiązania do nietolerowania antysemityzmu, a chodzi tu o Radio Maryja. „Jeżeli moje domniemanie jest prawdziwe, to premier musi się starać”, bo musi pokazać, że nie ustaje w zatykaniu ust Radiu Maryja. Uruchamia więc Kudrycką, Schetnę.

Następuje teraz rozszerzenie dotychczasowego obrazu. Dowiadujemy się bowiem, że rządowa walka z antysemityzmem, walka zapowiedziana w Izraelu, toczy się nie tylko na odcinku Radia Maryja. „Są też inne fronty, pewnie też objęte cichymi porozumieniami, jest ich wiele”.

Dotarł oto do wiadomości Wolniewicza protest grupy historyków i polonistów ze stycznia roku 2009, przeciw proponowanym przez minister Hall zmianom w programach licealnego nauczania historii i języka polskiego. Zmiany Hall sprowadzają się do obcięcia tych programów. Programy nauczania polskiego skosmopolityzować, wypatroszyć z treści narodowych – oto część walki rządu z polskim antysemityzmem. Rząd dokonuje zamachu na świadomość narodową, a przeprowadza to „podręczna pana premiera Tuska”, minister Hall. „Co sobie ten rząd myśli? Przecież jest polskim rządem chyba”.

W owym proteście historyków i polonistów uderzył Wolniewicza „pewien drobny szczegół”. Okazuje się mianowicie, że w kanonie lektur licealnych z języka polskiego obligatoryjnie występują Bruno Schulz i Witold Gombrowicz. Prelegent pomija Gombrowicza, bo „to inna sprawa”. Ale Schulz, „drugorzędny pisarz awangardowych dziwadeł”? Dlaczego Schulz? Otóż „jedyny powód pchania go przez panią Hall, a za nią przez Tuska [powinno chyba być: przez Hall za Tuskiem, zgodnie z wysuniętą już tezą o Hall jako podręcznej Tuska], to ten, że był Żydem”. Zadziałała tu chęć rządu, „by się przypodobać lobby żydowskiemu, jakiemuś Smolarowi

czy Pelegowi, a może trzeba powiedzieć – by się wykażać”.

W procederze tym uczestniczą najwyższe osobistości państwa. Trwa mianowicie dziwne współzawodnictwo między prezydentem a premierem w wykazywaniu się filosemityzmem. Prezydent wprowadził ostatnio obchodzenie Chanuki. „Ja nie mam nic przeciwko żydowskiemu świętu Chanuki, ale pytam: co nas Polaków obchodzi Chanuka? Po co nam to?”. Paskudnie to wygląda – ubolewa Wolniewicz – i to nie pierwszy raz.

Przychodzi więc czas na uogólnienie. „Nachalne forsowanie kultury żydowskiej i żydowskiego punktu widzenia staje się nie do zniesienia. Promotorzy judeizacji Polski, czy oni tego nie rozumieją?” A może – suponuje Wolniewicz – rozumieją bardzo dobrze i chcą nas sprowokować, by potem ryczeć na cały świat o naszym antysemityzmie.

Wreszcie finał. Wolniewicz ostrzega: zawiązuje się na naszych oczach trójprzymierze w nas wymierzone, zawiązuje się nowa konfederacja targowicka, działają różne antypolskie *lobbies*. Cel: „zrobić z Polski czarną owcę Europy, a potem dokonać rozbioru”. I koda ku pokrzepieniu swoich: niewiele przeciw nim wszystkim możemy, ale dopóki nie zagipsowano ust profesorowi [Jerzemu Robertowi] Nowakowi i Bogusławowi Wolniewiczowi, dopóki nie zatkało tej tuby, którą jest Radio Maryja, „możemy piętnować to fajdactwo. Alleluja i do przodu!”

Paskudne chwyt i kulawa logika

Zacznijmy od zapowiedzi. Przemawia oto do słuchaczy Radia Maryja – do ludzi w większości starych i niewykształconych – czołobitnie zapowiedziany profesor. Wolniewicz godzi się na tę zapowiedź, ponosi więc odpowiedzialność za swój sposób bycia w Radio Maryja w przypisanej mu randze. Odpowiedzialności tej nie zmniejsza ani na jotę powszechność tej praktyki – radia, telewizje i gazety pęcznią dziś od wypowiedzi profesorów doktorów habilitowanych w kwestiach, w których ich tytuły nie dają żadnego tytułu do znawstwa, nie czynią z nich ekspertów. Gdybyś się Wolniewicz wypowiadał o poglądach pewnego dwudziestowiecznego filozofa, na których się zna, niechby występował w asyście swoich tytułów, w Radiu Maryja natomiast hula w polu życia publicznego, gdzie wszyscy nieupośledzeni umysłowo ludzie mają równe kompetencje.

Wygłaszanie apodyktycznym tonem, w osłonie nazwiska zdobnego akademickimi tytułami zdań przytłaczających grozą i oburzeniem, których na ogół beznadziejnie słuchacze Wolniewicza nie mogą skontrolować, to zachowanie naganne moralnie. Wolniewicz tego nie wynalazł. Znawstwo sztuczek szalbierczych, jak je nazywał Tadeusz Kotarbiński, czyli *erystyka* ma źródła starodawne, a sztuczka powyższa nosi miano *argumentum ad verecundiam*: zamiast uzasadnień autorytety, a „prości ludzie mają głęboki respekt dla wszelkiego rodzaju fachowców” (zob. Arthur Schopenhauer, *Erystyka czyli sztuka prowadzenia sporów*, Kraków 1976, s. 75).

Zatrzymajmy się z kolei, bo to nie drobiazg, przy Wolniewiczach zachwycie kolędami, które usłyszał w Toruniu. Zachwyciły go, bo brzmiały tak, jak powinny brzmieć. Skąd niemuzyk i niemuzykolog Wolniewicz wie, jak powinny brzmieć kolędy? I dlaczego zakłada

– o czym zdaje się świadczyć użycie nakazowego „powinny” – że kolędy muszą brzmieć na jedną modłę? Dlaczego nie mogą brzmieć różnorodnie? Otóż Wolniewiczowi jest wszystko jedno, jak brzmią kolędy. Gdyby przywykł do innego kolędowania i je polubił, je właśnie narzucałby jako powinne. Nie chodzi mu w ogóle o muzykę, lecz o antagonizowanie ludzi, o przeciwstawianie tych co czynią zadość wskazanej przez niego powinności, tym co ją gwałcą, a zarazem o podporządkowanie jednych i drugich nakazom. Chodzi zatem o rządzenie.

Znaleźliśmy się przy antagonizowaniu, idźmy więc dalej w tym kierunku. Wolniewicz buduje kolejny, koronny antagonizm – między światem dobra, bezinteresownej służby społecznej a światem zła przewrotnie paraliżującego dobro. Po stronie jasności twórcy Rydzkowskiej szkoły, kwestujący z samozaparciem w kraju i poza granicami, a z mroku dybią na nich bezmyślni i złośliwi potwarcy. Wolniewiczowski antagonizm – karykatura rzeczywistego antagonizmu między Rydzykiem a jego różnymi krytykami i przeciwnikami – powstaje za sprawą prostego obrazu, z użyciem kilku kontrastowych barw.

Nie dziwota, że Wolniewicz odwołuje się do obrazu, gdyby bowiem uwzględnił racje, argumenty i interesy zantagonizowanych stron, w miejscu demonicznej walki dobra ze złem mielibyśmy rzeczywiste starcie przekonań i wartości o złożonym rozkładzie słuszności, tego zaś nie sposób podać w postaci mobilizujących do boju świętego oburzenia i wstrętu. Naganność postępowania Wolniewicza nie w tym jednak, że wdrukowuje innym swoje emocje, lecz w tym, że zastępuje nimi opis i rozbiór tego, co ma je budzić. Degraduje w ten sposób swoich słuchaczy, zamiast podnosić ich do poziomu namysłu nad światem w asyście profesora doktora habilitowanego.

Zajmijmy się teraz słownikiem Wolniewicza. Postępowanie rządu Tuska wobec „wielkiego dzieła toruńskich redemptorystów” nosi u Wolniewicza nazwę nagonki, chodzi zaś o zniszczenie Radia Maryja. Postępowaniem tym kieruje lewacka wrogość do chrześcijaństwa. Tuska łączy z Żydami transakcja, w której dostaje się coś nie za darmo, jak to w handlu. Rząd chce nie tylko zatkać usta Radiu Maryja, lecz też skosmopolityzować polskie szkolnictwo, wypatroszyć je z treści narodowych, a dokonują tego promotorzy judeizacji Polski. Nie bez powodu – napotkawszy opór będą ryczeć o polskim antysemityzmie. Koniec końców zawiązuje się konfederacja targowicka, aby dokonać rozbioru Polski.

Słownik ten służy, jak zwykle w propagandzie, opisowi faktów i przekazowi ocen tych faktów, a przez to wywoływaniu postaw. W rzetelnej propagandzie fakty idą sobie, a emocje sobie, jest ścieżka opisów i ścieżka ocen – ustalamy fakty możliwie niezależnie od emocji i adresujemy do nich nasze postawy. W propagandzie nikczemnej wszystko jest upakowane w jednym. Szalbierstwo tego chwytu, starego jak świat, nie w tym leży, że propagandysta kipi swoimi emocjami i nas do nich zjednuje, lecz w tym, że nie można ustalić, do czego właściwie adresuje te emocje, a zarazem nie trzeba tego ustalać. Nie można ustalić, bo nie ma ustalania z tym, kto już „ustalił” nazywając owo coś nagonką, a nie trzeba tego ustalać, bo nazwa zastępuje ustala-

nie – Wolniewicz w nazwę „nagonka” i w inne nazwy swojego słownika włożył to, co miało być dopiero udowodnione (zob. opis tego chwytu u Schopenhauera, dz. cyt., s. 61 – 62). Skoro Tusk rękami ministrów Hall i Schetyny judaizuje kulturę polską, nie trzeba dowodzić, że robi z nią coś niewłaściwego. Robi, bo judaizuje. Bywa jednak, że propagandysta tej maści pada ofiarą swojej melodii. Jak Wolniewicz, zarzucający w rozpędzie lewacką nienawiść do chrześcijaństwa prawicowemu rządowi, wrażliwemu na wymagania Kościoła katolickiego, czy sadowiacy w jednym worze, wbrew szkolnej wiedzy z historii kultury, Rousseau i Woltera. W propagandzie szalbierczej, taka jej natura, groza, groteska i fałsz w jednym stoją domu.

Słyszymy z kolei oświadczenie, że Wolniewicz nie zna się na wierceniach geotermalnych, ale wie, że „nie o to chodzi”, bo zna się – dodajmy – na postępowaniu rządu Tuska, który nie daje na nie pieniądze. Nie pozwala też zbierać Rydzykowi na wiercenia, a Owsiakowi pozwala zbierać. Przy sposobności, dlaczego Wolniewicz zakłada, że zachodzi analogia między Rydzykiem a Owsiakiem, że obaj spełniają warunki nakładane przez prawo na kwestującego?

Mamy tu splot głównych uroków Wolniewiczowej prelekcji. Racjonalna i przyzwoita moralnie wypowiedź o konflikcie wokół toruńskich ciepłych źródeł wymaga również wiedzy geologiczno-inżynierskiej. Gdy pomija się stosowną wiedzę, nic łatwiejszego jak sprowadzić rzecz do zamiaru obrócenia w perzynę dzieła redemptorystów. Wystarczy przedstawić następującą alternatywę: Tusk albo po lewacku nienawidzi chrześcijaństwa, albo złożył międzynarodowe zobowiązanie, bądź zarazem jedno i drugie. W każdym razie jedna z tych odpowiedzi musi być prawdziwa.

Nieprawda. Obie mogą być fałszywe. Istnieją inne motywy, dla których Tusk może skąpić pieniędzy Rydzykowi, choćby szanował chrześcijaństwo i nie podpisywał tajnego cyrografu Żydom w Izraelu. Wolniewicz postępuje alogicznie, przypisując konieczność swojej alternatywie – bezpodstawnie, tego bowiem, że innej możliwości nie ma, trzeba z osobna dowieść. Ruch ten podważa jego wiarygodność nie tylko jako znawcy poczynąń Tuska, lecz też jako użytkownika prostej logiki.

Wolniewicz stara się jednak, przyznając, nadać swojej alternatywie (nienawiść albo zobowiązanie) rangę konieczności. Przedstawia mianowicie następującą intrygę, zmierzającą ostatecznie do rozbioru Polski. Tusk obiecał Żydom, że załatwi im pieniądze za zostawione w Polsce majątki, nie dotrzymał terminu, ci więc – jak to naród poważny – przedłużyli mu termin w zamian za ucieszenie Radia Maryja.

Konstrukcja ta spełniałaby swoje zadanie – pozwoliłaby wnioskować, że innej ewentualności niż nienawiść Tuska do chrześcijaństwa albo jego tajny układ z Żydami, nie ma – gdyby nie jej wady. Najpierw brak dowodów, że doszło do tego targu. Nie jest to jednak mankament dramatyczny, Wolniewicz mógłby bowiem mieć dowody, gdyby istniały i trafiły do jego rąk. Rzecz w tym natomiast, że czyni z góry swój pomysł nietykalnym. Skoro Tusk zawierał z Żydami wiele „cichych porozumień”, niemożliwy jest dowód, że nie zawierał, Wolniewicz zawsze bowiem może utrzymywać, że Tusk je zawierał, lecz w nieprzeniknionej ciszy. Wprowadzanie do wywodu zdarzeń niedostępnych obserwa-

cji ani rozumowaniu na podstawie obserwacji narusza wymóg racjonalnej i uczciwej wymiany zdań: mów to, co obaj, ty i twój przeciwnik możecie sprawdzić, czyli potwierdzić lub obalić. (Zważmy, co powiedziałby sąd, gdyby prokurator oznajmił, że oskarżony posłużył się niewykrywalnym pistoletem!) Choćby jednak doszło do owej transakcji, ciągle nie wynikałoby z tego, że Tusk dlatego niszczy Rydzyka, iż ją zawarł. Byłby to wprawdzie warunek wystarczający nagonki Tuska na Rydzyka, lecz niekonieczny. Tusk nadal mógłby powodować się innymi względami niż – wyrażając dosadnie myśl Wolniewicza – żydowski szantaż, mógłby się powodować na przykład względami prawnymi, ułańską fantazją, naciskiem ze strony niechętnych Rydzykowi członków Episkopatu Polski itd.

Wolniewicz albo nie widzi, albo widzieć nie chce tych wad swojej konstrukcji. Obie ewentualności są niezaszczytne – pierwsza w każdym razie dla profesora filozofii. W prelekcji Wolniewicza występuje w tym kontekście zastanawiająca sprzeczność. Mówi on mianowicie o swoim twierdzeniu, że Tusk zobowiązał się wobec Żydów do zniszczenia Rydzyka, iż jest oczywiste, a tuż obok, że jest domniemaniem. Nic jednak co oczywiste, nie jest domniemywane, i na odwrót – nic co domniemywane, nie jest oczywiste. Okazuje się tymczasem, że twierdzenie Wolniewicza zarazem jest i nie jest oczywiste dla niego samego, że zarazem jest i nie jest przez niego domniemywane. Czy sprzeczność ta świadczy, że niepokoi go własna konstrukcja, że się waha między pewnością a możliwością? A jeśli go niepokoi, dlaczego przekazuje ją swoim tchnącym *sancta simplicitate* słuchaczom?

Podsumujmy wywód dotychczasowy. Wolniewicz stosuje szalbierskie środki erystyczne i sprzeniewierza się logice. To jednak nie wszystko. Bywa przecież, że ludzie prowadzą się w ten sposób dla osiągnięcia błahych celów, dla rozrywki, dla wprawy, w pogodnej sprzeczce. Tu nie ma żartów, tu chodzi o przekonanie jednych, że drudzy są ich wrogami, o przedstawienie Żydów i powolnego im rządu Tuska jako wrogów grożących żywotnym polskiemu interesom. Chodzi tym samym o wezwanie do walki z wrogiem. Nie dziwiota, że prelekcję wieńczy bojowe zawołanie „Alleluja i do przodu!”, korzystające skądinąd ze słowa o hebrajskim rodowodzie.

Odnotujmy jeszcze dwa uchybienia dobrym obyczajom. Jedno wobec osoby nieżyjącej, drugie między innymi wobec urzędujących członków rządu Rzeczypospolitej Polskiej. Wolniewicz zdobi orację wziętym od Norwida zwrotem o poważnym narodzie żydowskim. Oto początek Norwidowego wiersza *Żydowie polscy* (1861), z którego prelegent czerpie: „Ty! Jesteś w Europie, poważny Narodzie/Żydowski, jak pomnik strzaskany na Wschodzie” (Cyprian Norwid, *Pisma wszystkie*, Warszawa 1971, t. 1, s. 339-340). Wydawca *Pism wszystkich* Norwida objaśnia: ten wiersz to „poetycki hołd oddany Żydom warszawskim, którzy wzięli czynny udział w patriotycznych manifestacjach stołecznych z r. 1861, w szczególności zaś w krwawej manifestacji kwietniowej (8 IV) na placu Zamkowym, kiedy to gimnazjalista żydowski, Michał Lande, przejął krzyż z rąk obalonego przez kozaków Karola Nowakowskiego i zaraz potem upadł śmiertelnie trafiony kulą czy też szabłą kozacką” (Cyprian Norwid, dz. cyt., t. 2, s. 369).

Wolniewicz posługuje się podniosłym, hołdowniczym, głębokim wierszem w kontekście swoich nagannych treści. Poważni Żydzi Wolniewicza to twardzi, bezwzględni geszefciarze, egzekwujący dług, który zaciągnął u nich Tusk ze szkodą dla polskich interesów. O takich Żydach mówi słowami Norwida, zawłaszczając więc wiersz Norwida, sprzeniewierza się jego intencjom, profanuje wzniosłe dzieło poety.

I kolejna osobliwość Wolniewiczowej mowy – jego wypowiedzi o poszczególnych ludziach. Minister Kudrycka to „jakaś tam Kudrycka, tylko sługa”, Kudrycką, Schetynę premier „uruchamia”, niczym marionetki; minister Hall to „podręczna pana premiera Tuska”, choć w poprawnej frazeologii języka polskiego podręczne są przedmioty, ludzie zaś są podręczni co najwyżej przenośnie lub pogardliwie. Wolniewicz korzysta z tej licencji, bo mówi o ludziach z pogardą – niecne cele realizują godni pogardy ludzie, pod pręgierz z nimi! Realizują owe cele, by się przypodobać „jakieś Smolarowi czy Pelegowi” (wróć do tych nazwisk w kontekście antysemityzmu). Smolar i Peleg są ledwie jacyś tam, są omal nikim, Wolniewicz rozwiązuje więc trudne zadanie, by nic o nich nie powiedzieć, a jednak wskazać ich w całej ich nik(t)czemności, oprócz której niczym się nie odznaczają.

Antysemityzm?

Czy wypowiedź Wolniewicza jest antysemicka? Nie pytam, czy jest on antysemitą. Nie interesuje mnie bowiem, co gra w jego duszy. Obchodzi mnie tekst, fakt społeczny. Czy mówi językiem antysemityzmu? Będę dowodził, że mamy tu pełnokrwistą mowę antysemityzmu.

Co to jest antysemityzm? To namiętność. Sartre ma rację: „to ani pogląd, ani myśl. To przede wszystkim namiętność” (Jean Paul Sartre, *Rozważania o kwestii żydowskiej*, Łódź 1992, s. 12). Nie ma jednak namiętności bez jej przedmiotu, a nie ma przedmiotu bez dotyczących go wyobrażeń i przekonań. Przedmiotem antysemityzmu jest Żyd.

Który Żyd jest przedmiotem antysemityzmu? Żaden poszczególny. Przedmiotem antysemityzmu jest Żyd-gatunek: „Żydzi są degradowani do poziomu gatunku” (Max Horkheimer, Theodor Adorno, *Elementy antysemityzmu. Granice oświecenia*, w antologii H. Orłowskiego *Wobec faszyzmu*, Warszawa 1987, s. 246). Żyd z jego cechami osobniczymi nie interesuje antysemitę, bo nie ma ich w jego oczach; ma wyłącznie cechy i skłonności gatunkowe. W gruncie rzeczy jest tylko jeden Żyd – gatunek.

A co wyznacza gatunek? Pytanie to stawiamy z powodzeniem w przypadku gatunków zwierząt, roślin i artefaktów. W odpowiedzi dostajemy kryteria przynależności do gatunku, a chwila namysłu wystarczy, by zauważyć, że gatunki przyrodnicze są w pewnej mierze umowne (stąd zmienność klasyfikacji) i statystyczne, czyli „ucieleśniane” w mniejszym lub większym stopniu przez poszczególne osobniki, zależnie od częstości występowania w nich cech gatunkowych (stąd formy graniczne, nietypowe itp.). Inaczej antysemicki Żyd-gatunek. Wyznacza go nieodwołalnie tajemna substancja – rasa. Krew żydowska czyni z ciebie Żyda, lecz nie jest to krew biochemiczna, a ciemna „materia” płynąca w żyłach Żyda. Antysemita „wie”, że masz ją w sobie,

gdy widzi w tobie Żyda. Nie byłbyś nim, gdybyś nie miał żydowskiej krwi, gdybyś więc nie był rasowym Żydem, w każdym calu tylko Żydem. Nic ci nie pomoże, że żyjesz wśród nas jak my. Wcześniej czy później wyjdzie na jaw, że jesteś Żydem, gatunek upomni się o ciebie. Krew żydowska ma przy tym moc magiczną, wystarczy praprababka i jesteś skażony. Za tropieniem przodków, za węszeniem w ludzkich rodowodach stoi więc nie tylko interes, polityczny czy ekonomiczny, lecz coś znacznie głębszego – antysemita mistyka krwi. Nic dziwnego, że hitlerowscy tropiciele, których nikt dotąd nie prześcignął, wypracowali stosowną klasyfikację: *Volljuden* [pełni Żydzi], *Halbjuden* [pół-Żydzi], *Mischlinge ersten Grades* [mieszkańcy pierwszego stopnia], *Judenstämmlinge* [osoby pochodzące od Żydów] (zob. Victor Klemperer, *LTI* [Język Trzeciej Rzeszy]. *Notatnik filologa*, Kraków 1983, s. 192).

Żydzi – i dopiero ten krok czyni z antysemityzmu namiętność złowrogą, bez niego jest ledwie przesadą – „są napiętnowani przez zło absolutne. Tak więc są oni istotnie narodem wybranym” (M. Horkheimer, T. Adorno, dz. cyt., s. 238). Antysemita ich wybrał, uczynił z nich gatunek wyjątkowy, bo zdeterminowany przez rasę do czynienia zła. Mamy tu zatem symetrię: na przeciw narodu wyjątkowego staje rasizm wyjątkowy – antysemityzm. Żaden rasizm, żadna nienawiść do Czarnych, Żółtych czy Białych nie równa się z antysemityzmem. Czarny jest głupi, leniwy, śmieszny, i to wystarczy. Żyd, gdy jest wybitnie inteligentny, pracowity i pełen uroku, tym gorzej dla niego. Waleń tych bowiem, zawsze zresztą występujących w skażonym żydowskim wydaniu, używa lub użyć może w służbie zła, przeciw nam i naszym interesom. Żyd w ogóle nie musi działać, by czynić zło. Każdy inny musi coś zrobić, by zrobić źle, Żyd robi źle przez to, że jest.

Na palące w tej sytuacji pytanie co z tym począć, antysemita ma jedną odpowiedź. Jedną, choć w kilku wariantach: ograniczyć ich prawa, pozbawić ich praw, izolować, wyrzucić, eksterminować. W każdym razie mają być nieczynni, najlepiej – nieobecni. Ułożyć się z nimi nie sposób, bo są przewrotni; ośwoić nie sposób, bo obcy; zaufać nie sposób, bo z gruntu źli. Kłamstwo oświeceniowskie to swoista postać aprobaty hitlerowskiego *Endlösung der Judenfrage*. Kłamca negując Holocaust przeczy tylko pewnemu opisowi przebiegu Zagłady. Przeczenia tego nie dyktuje odruch ludzki, nie inicjuje go myśl: „Czegoś takiego ludzie ludziom nie mogli zgotować, to niewyobrażalne, więc nierzeczywiste”. Przeciwnie, dyktuje go antysemita agresja: „Żydzi wmawiają światu Holocaust, to ich dzieło, ich przemysł, ich interes”. Kłamca oświeceniowski nie oswaja niewygody, którą mu czyni ta hekatomba, na żaden z dwóch otwartych sposobów – ani jej nie pochwała (ileż to razy słyszałem otwartą pochwałę Hitlera za wymordowanie Żydów), ani jej nie potępia. On ją usuwa przez odrzucenie faktu.

Faktu nie było, nie jestem więc zobowiązany do oceny. Co więcej, istnieje fakt całkiem inny – żydowska fikcja, rejuwacja wokół rzekomego Holocaustu. Problem żydowski natomiast ciągle pozostaje, widzicie przecież, do czego są zdolni, nawet do narzucenia światu skłamanej wizji swoich cierpień. Problem pozostaje i otwarte są nadal wszystkie drogi jego rozstrzygnięcia, skoro nie było czegoś, co każdą moralnie przekreśla. A ma

ów problem jedno rozstrzygnięcie, choć w kilku wariantach: unicestwienie.

Czeka tu jednak na antysemitę pułapka dialektyki. Potrzeba, by Żydów wyeliminować, walczy w nim z potrzebą, by ich zachować. Żyd to racja bytu antysemity, usunięcie go oznacza więc kres antysemityzmu. Nie da się przecież walczyć z niebytem. Antysemita musi pozostawić Żyda, choć cały sens i cały impet tej namiętności zmierza do jego likwidacji. Nie sposób więc powiedzieć o antysemityzmie jak o innych namiętnościach walki, że to bój do ostatniego wroga. Nie ma dla antysemity ostatniego Żyda, ostatni Żyd schodziłby bowiem ze sceny wraz z ostatnim antysemitą. Antysemityzm bez Żydów jest zatem z pozoru tylko paradoksalną odmianą antysemityzmu. Żyd wyobrażony, był tylko intencjonalny syci bowiem tak jak rzeczywisty tę namiętność.

Antysemityzm wcielony

Prelekcja Wolniewicza niesie wprost lub w głębszym czy płytszym utajeniu kluczowe treści i figury antysemityzmu. Nie ma tu nic indywidualnego, antysemita bowiem przeistoczywszy Żyda w gatunek sam uległ uogólnieniu. Katolicyzm, marksizm, liberalizm czy co tam jeszcze mają indywidualne odcienie, z wspólnego pnia wyrastają różne gałęzie, z nich dalsze, aż do odmian jednostkowych. Antysemita ma jedną twarz – gatunkową. Kto zna literaturę antysemityczną od starożytności do dziś, kto słyszał wynurzenia antysemitów – wszystko jedno, polskich, ukraińskich, francuskich, angielskich, rosyjskich, wynurzenia prostaków i subtelnych intelektualistów, bogaczy, zasobnych drobno-mieszczan i nędzarzy, bandziorów i osobników potulnych – zna tę monotonię, tę sztaampę, to niezmiennie *credo*. Namiętność ta bowiem ma stałą bazę „informacyjną”, rutynowy zasób inwektyw, aksjomatyczną historiozofię, czyli „teorię” tego co Żydzi zrobili w dziejach i do czego są z istoty zdolni. (Kopalnią wiadomości o czynach i „argumentach” antysemitów jest dzieło Léona Poliakov *Historia antysemityzmu*, 2 tomy, Kraków 2008.) Cała pomysłowość antysemityzmu osadzonego w jednostkowym organizmie, pomysłowość jakiegoś Piotra czy Petera polega na stosowaniu gotowego schematu do człowieka, którego rozpoznaje jako Żyda lub mianuje go Żydem (mianowanie to częsty antysemita sposób usytuowania naprzeciw siebie Żyda) lub do sytuacji uznanej za taką, w której Żydzi maczają swoje żydowskie palce.

Jeśli źle się dzieje w twoim domu, szukaj Żyda! I Wolniewicz go dostrzeże. Żyd rozliczne ma postacie, zawsze jednak – czy to żydowskie państwo, czy żydowskie lobby, sanhedryn, żydowski handel, czy żydowska gazeta, głośny uczonec, czy słynny skrzypek – działa na twoją szkodę. Różne są jego apetyty, zależnie od okoliczności – wywoła wojnę, spowodzi krach na giełdzie, wycisnie nienależne mu odszkodowania, a gdy nic innego nie może, choćby zjudaizuje ci ojczyznę kulturę, wepchnie do kanonu lektur z rodzimej aryjskiej literatury jakiegoś żydowskiego grafomana czy przynajmniej nałoży na głowę twojego prezydenta jarmułkę, by obchodził nie nasze przecież święto. Żyd działa tajemnie, taka jego natura, knuje, zawiera ciche porozumienia, działa przez pośredników transmitujących jego zamiary i pilnujących jego interesów.

Wszystko to występuje u Wolniewicza w sprawie realiów, które go poruszają, na czele z niebezpieczeństwem sprowadzanym na radio Maryja – nasze dobro narodowe, niezastąpione źródło wiadomości „o czymś, co się w Polsce dzieje, a co ma się dzieć po cichu” – przez Żydów za pośrednictwem ich miejscowych polepczników.

Na tym jednak nie koniec, do kanonu bowiem należy antysemicki sposób ustalania kto jest Żydem, a co jest żydowskie. Ten jest Żydem, to jest żydowskie, co antysemita uznaje za Żyda czy żydowskie. Uznaje to nie bierze się jednak z powietrza. Antysemityzm jest rasizmem, ma więc w ręku wykrywacz – rasę, pochodzenie. Przyjrzy się genealogii, nie przeoczy nazwiska, a gdy nie ma dostępu do tych „świadectw”, zbada fizjonomię, prześledzi fizyczne zachowanie, a nade wszystko wykryje w żydowskim postępowaniu bezsporne oznaki żydowskiej interesowności. Podejrzany nie ma tu oczywiście nic do powiedzenia, nie musi mówić w jidysz ani po hebrajsku, nie musi wyznawać judaizmu, może być od pokoleń osadzony w polskiej kulturze, może być lojalnym polskim obywatelem, aktywnym uczestnikiem polskiego życia społecznego (działa to zresztą na jego niekorzyść, nasuwa bowiem antysemicie nieodparte podejrzenie, że się tam wpełznął, by nami rządzić, by lobbować na rzecz Żydów), może być współtwórcą polskiej kultury czy polskim lekarzem lub krawcem – zawsze jest Żydem.

I mamy u Wolniewicza, jak na zamówienie, Żydów Smolara i Pelega, strażników żydowskich interesów. Ewentualność, że to nie są Żydzi, lecz Polacy potomkowie etnicznych Żydów, lub Żydzi polscy obywatele, uczestnicy polskiego życia publicznego powodujący się, jak inni, grupowymi i indywidualnymi interesami i przekonaniami – ewentualność tę Wolniewicz wyklucza. On „wie”, że to Żydzi, bo zna ich rasowe pochodzenie, a znajomość ta wystarczy, by „widział, o co chodzi”, jak szkodzą polskim interesom, a służą żydowskim inspirując w szczególności polskich polityków, by się podlizywali lobby żydowskiemu.

Inspirując skutecznie, skoro „przecież polski rząd chyba” wpełznął do polskiej szkoły Bruna Schulza. Ewentualności, że ten nauczyciel z Drohobycza był Polakiem z żydowskimi korzeniami albo Polakiem i Żydem, albo tylko Żydem, a polskim pisarzem – ewentualności tych nie ma w antysemickim świecie Wolniewicza. Wolniewicz „wie” przecież, że to Żyd, bo ma żydowską krew, i „wie”, że młodzież polska dlatego tylko ma go czytać pod sprzedajnymi rządami Tuska, iż był Żydem. Kąśliwą uwagę, że Schulz był autorem awangardowych dziwadeł, mógłby sobie Wolniewicz darować, gdyby był zdolny do temperowania swojej agresji. Wystarczy bowiem, że był Żydem i to go eliminuje z polskiego szkolnictwa. A że pisał po polsku, jak wielu sądzi, odkrywczo i kunsztownie? Otóż za III Rzeszy we wszystkich wyższych uczelniach niemieckich wisiło hasło: „Kiedy Żyd pisze po niemiecku, to kłamie”, zaś autor tego hasła mówił, że należałoby zmusić Żyda, aby swoje książki publikowane w języku niemieckim określał mianem „tłumaczenia z hebrajskiego” (zob. V. Klemperer, dz. cyt., s. 37). Nie ma nic nowego, jak widać, na antysemickim szlaku, nie ma bowiem powodu, by wpuszczać do polskiej szkoły Żyda polskojęzycznego, jak mawiają w rozgłośni, do której wybrał się Wolniewicz.

Uderza skądinąd wspaniałomyślne zdawałoby się pominięcie Gombrowicza, który też drażni światopoglądowo i estetycznie Wolniewicza, a tak jak Schulz został przez ministra Hall narzucony polskiej młodzieży. Nie ma jednak w tym pominięciu wspaniałomyślności, jest trywialny antysemityzm. Gombrowicz był bowiem, sądzi Wolniewicz, nienagannym Polakiem, choć kto wie, dodajmy, czy nie dałoby się wysledzić w jego drzewie genealogicznym żydowskiej plamy, wiadomo przecież, że polska szlachta i arystokracja osiadła na ziemi, gdzie od stuleci mieszały się nacje i wyznania, nie trzyma wysokich standardów czystości rasowej. Gombrowicz jest skądinąd do usunięcia (Wolniewicz zostawia go na później, bo „to inna sprawa”), lecz z nieżydowskiego paragrafu. Gdyby się jednak Wolniewicz zastanowił, trafiłby może na pytanie, dlaczego młodzież ma czytać Schulza oraz Gombrowicza, to zaś naprowadziłoby go może na ślad innej motywacji niż judaizacja kultury polskiej. Zastanowiłby się, gdyby nie ta namiętność.

A namiętność ta ma postać *kolektywną*. W pojedynkę można być miłośnikiem opery włoskiej, antysemitą nie sposób. W śladności antysemityzmu tajemnica zjawiska, że zawodowo obyty z metodami uzasadniania Wolniewicz nie uzasadnia swoich opinii. Przyszedł wszak do swoich i do nich prawi, uzasadnienia są więc zbędne w tym towarzystwie. Jesteśmy tu w kręgu wtajemniczonych, wystarczy więc szczere zapewnienie, aluzja, i wiadomo, o co chodzi. „Antysemici zbierają się razem; już sam ten moment cementuje ich w kolektyw, to on konstytuuje z nich ową wspólnotę współplemieńców” (M. Horkheimer, T. Adorno, dz. cyt., s. 256). Gdyby zaś przyszło komu do głowy podejrzewać ich o krwiożercze zapędy, mają egzorcyzmy – przyznajemy przecież, że Żydzi to naród poważny, że nic nie mamy przeciw żydowskiemu świętu Chanuki, ale po co nam to. Antysemici wszystkich krajów korzystają z egzorcyzmów, by przekonywać, że występują w słusznej sprawie – w obronie własnej, koniecznej.

A kiedy pojawiają się uzasadnienia – gdziekolwiek się pojawiają, poczynawszy od antysemickich doktryn, przez publicystykę, po antysemityzm ludowy – są bzdurne i oburzające moralnie. Widzieliśmy tę sytuację na wybranym dla tych rozważań przykładzie. Dlaczego profesor filozofii zjeżdża na taki poziom, gdy przychodzi do Żydów?

Decyduje o tym logika, każdy więc w jego położeniu kończy tak samo. Antysemityzm bowiem jako opis Żyda to fałsz. Nie istnieje opisywany przez antysemitów Żydatunek. Antysemityzm zaś jako moralna dyrektywa postępowania z Żydami – dyrektywa „Tę Żyda!”, bo do tego się to ostatecznie sprowadza – to zaprzeczenie wszelkiej moralności. Nie ma bowiem moralności bez złotej zasady: „Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe”. Antysemita ją odrzuca.

A racje zdania fałszywego są zawsze fałszywe. Fałsz może wynikać tylko z fałszu, fałsz moralny tylko ze zdania moralnie fałszywego. Antysemita nie ma więc, bo z mocy logiki mieć nie może, innego oparcia niż w fałszu i moralnej niegodziwości. Logika natomiast, choć Żydzi wnieśli do niej ważki wkład, nie jest żydowska, lecz ogólnoludzka.

JOANNA MICIĄK

MEDIALNA TWARZ EMANCYPACJI

Specyficzny status podmiotu wypowiedzi, jego prawo do subiektywnego, niekiedy stronniczego spojrzenia na analizowany problem, możliwość poruszania tematów, których nigdzie indziej poruszać nie wypada lub nie można sprawiły, że felieton stał się swoistym *hyde parkiem*, rodzajem forum, gdzie można swobodnie głosić nawet najbardziej skrajne poglądy. Felieton przyznaje więc prawo do wyrażania siebie na swój własny, sobie tylko właściwy sposób. Mogą z tego prawa skorzystać również i ci, którzy dotąd czuli się w tej kwestii dyskryminowani przez organy, instytucje czy środowiska różnego typu. Przyczyn owej dyskryminacji, przejawiającej się m.in. właśnie w pozbawieniu jednych możliwości mówienia własnym głosem, przy jednoczesnym stwarzaniu drugim dogodnych do tego warunków, upatruje się przede wszystkim w zjawisku nierówności społecznych, obejmującym także nierówność płci.

Jako gatunek nastawiony na prezentację autorskiego „ja”, to właśnie felieton stwarza największe możliwości wypowiedzenia się w danej sprawie własnym głosem, we własnym języku, „własnym” w dosłownym znaczeniu. Felieton bowiem jest otwarty na różnego typu innowacje i oprócz tego, że znajdzie się w nim miejsce dla każdej znanej formy językowej, to i formy nowe, utworzone przez autora są tu mile widziane.

Między innymi z tych przyczyn w ostatnim dziesięcioleciu ubiegłego wieku narodziło się zjawisko, które nazwać można felietonem feministycznym. Trzeba jednak poczynić pewne zastrzeżenia w kwestii formalnej. Z określeniem „felieton feministyczny” jest trochę tak jak z pojęciem „literatura kobieca”; bez dodatkowych wyróżników trudno sprecyzować, czy owe przymiotni-

ki odnoszą się do nadawcy tekstu, precyzują odbiorcę, czy może sygnalizują, co będzie tematem rozważań. W pierwszym przypadku, aby felieton mógł być uznany za feministyczny jego autorka musi być reprezentantką ruchów kobiecych nazywanych feminizmem i się z nimi identyfikować, w drugim wymóg taki stawiany jest czytelnikom, w trzecim zaś o przynależności gatunkowej rozstrzyga fakt, że tekst podejmuje problemy podnoszone przez feministki.

Myślę, że najbardziej uzasadnione jest określanie mianem „feministyczny” felietonu w ostatnim rozumieniu, bowiem twórczość felietonowa pań ma rzesze czytelników nie tylko wśród kobiet deklarujących feminizm; co więcej – felietony tego typu czytają również mężczyźni. Z kolei stopień identyfikacji z ruchem feministycznym jest u samych autorek bardzo różny. Niektóre zdecydowanie odcinają się od niego, inne utożsamiają jedynie z elementami tradycji feministycznej, jeszcze inne bardziej niż walczącymi feministkami czują się po prostu kobietami zabierającymi głos w sprawie kobiecej. Zaś te, które demonstrują swoją przynależność do feministek, czynią to zawsze z jakimś zastrzeżeniem. „Będąc w Polsce myśląc *femme*, nie sposób nie być feministką – stwierdza w jednym ze swoich felietonów Manuela Gretkowska. – Stąd tyle u nas odmian feminizmu, ile kobiet”.¹

Niejednoznaczny stosunek polskich publicystek do feminizmu wynika w dużej mierze ze stereotypizacji myślenia. Eugenia Mandal i Aleksandra Ewa Banot wyróżniły kilka podkategorii funkcjonującego i mocno

¹ M. Gretkowska, *Rodzinny terror*, [w:] tejże, *Na dnie nieba*, Warszawa 2007, s. 32.

ugruntowanego w naszym społeczeństwie stereotypu feministki. Znamienne jest to, że właściwie każdy z tych podtypów zawiera negatywny ładunek emocjonalny. I tak, zdaniem autorek, feministka postrzegana jest jako okropna baba, wiedźma, palaczka biustonoszy, wojowniczką w spódnicy, wariatka, lesbijka, zwolenniczka aborcji czy niezrealizowana kobieta.² Same zainteresowane nierzadko nawiązują z właściwą sobie przekorą do utrwalonych powszechnie stereotypów, wybierając te ich elementy, które jako kojarzone z feministką zyskały znaczenie pejoratywne, jednak przypisane reprezentantowi innej grupy społecznej takiego znaczenia już nie posiadają. Bo dlaczego feministka przedstawiana jest jako nieatrakcyjna kobieta koniecznie w tenisówkach? Dlaczego tenisówki, które nosi spora część społeczeństwa, tylko na nogach feministek odbierane są jako swego rodzaju narzędzie walki? Kinga Dunin swój cykl felietonów publikowanych w „Wysokich Obcasach” zatytułowała właśnie *W tenisówkach*, odnosząc się w ten sposób do stereotypu brzyduli, którego częścią składową jest wspomniane obuwie. Zabieg ten jest oczywiście przewrotny, bowiem Dunin należy do tych rzeczniczek feminizmu, które uparcie zwalczają zakorzenione w naszej kulturze i świadomości społecznej stereotypy nie tylko feministki, ale kobiety w ogóle. Powszechnie utarło się twierdzenie, że feminizm polega na „nielubieniu mężczyzn” i zmierza do utożsamienia ról kobiecych z męskimi.³ Zdaniem felietonistki, negatywny stosunek do emancypacji zbudowany jest na niezrozumieniu intencji walczących o nią kobiet, przypisuje im się bowiem zamiar zapędzenia mężczyzn do dosłownej i symbolicznej kuchni oraz chęć zafaszczenia ich atrybutów. Przeciwnicy feminizmu, jak twierdzi Dunin, formułując taki pogląd wyrażają jednocześnie obawę, że kobieta posiadająca więcej praw to kobieta zagrażająca ich władzy. W jednym z felietonów pisarka rekonstruuje stereotyp feministki na podstawie poglądów, jakie przypisuje współczesnej emancypantce „mężczyzna-misieki”:

„Kobieta w niczym nie różni się od mężczyzny. Ale każda występująca różnica jest nierównością. Rodzinę i macierzyństwo trzeba koniecznie zniszczyć. I koniecznie odebrać dzieci ojcom. Wszystkie kobiety są nieustannie katowane przez swoich mężów. Człowiek nie ma genów. Najlepszym zajęciem dla kobiety jest boks. Jezus była kobietą. Mężczyźni powinni rodzić dzieci i karmić piersią. A wszystkie dzieci powinny być zabite w chwili poczęcia”.⁴

Tymczasem same feministki postulują model kultury oparty na zupełnie innych zasadach: nie na kobiecej dominacji, jak widzi ten problem „misiek”, a na równości i wolności obu płci przejawiającej się we wszystkich aspektach życia społecznego: edukacji, pracy, życiu publicznym czy sferze seksualnej. Realizacja tych założeń ma się odbywać przy jednoczesnej akceptacji różnic między męskimi a kobiecymi potrzebami i pragnieniami. Kobiety nie chcą się zrzekać swojej „inności”,

chcą jedynie, aby nie stawiała się ona powodem do dyskryminacji, ograniczania możliwości ich rozwoju poprzez zamknięcie w kręgu domu i rodziny. Co ważne, chcą się przed tym bronić, apelując nie o zwolnienie ich z obowiązków wynikających z uczestnictwa w życiu rodzinnym, ale o stworzenie im możliwości łączenia tychże z pracą zawodową, życiem kulturalnym i towarzyskim.

Felietonistki poruszające tę tematykę podkreślają, że pewne sektory działalności publicznej są dla kobiet wciąż niedostępne, albo dostęp do nich jest ograniczony. Oczywiście, są kobiety, którym udało się pokonać pewne ograniczenia i w tych sferach się znaleźć, jednak traktowane są jako swego rodzaju anomalia, ciekawe zjawisko, którym należy się zająć. Problem ten tak ujmuje Kinga Dunin:

„Nie mogę prywatnie być kobietą, a w pracy i w życiu publicznym, gdzie płeć nie powinna mieć znaczenia, człowiekiem albo obywatelem. Nie jesteśmy ślepi ani nie żyjemy w kulturze, w której cecha ta jest całkiem neutralna. Kiedy PiS w swojej reklamówce pokazał trzech działaczy partyjnych w sukienkach, wszyscy natychmiast zajęli się tym faktem”.⁵

Problem pełnoprawnego obywatelstwa zajął też ważne miejsce w felietonistyce Manuelei Gretkowskiej, przy czym jest on tu widziany z nieco innej perspektywy. Własny głos Gretkowskiej wyróżnia się na tle głosów innych felietonistek ze względu na obrany punkt widzenia. Jest to głos bardziej matki niż zdeklarowanej feministki, matki, która doskonale zna swoją rolę i wcale nie chce się zamieniać. Felietonistka domaga się, by macierzyństwo nie oznaczało wykluczenia kobiety z życia publicznego i zamknięcia jej w czterech ścianach. Często podkreśla, podobnie zresztą jak Dunin, że kobiety w zdecydowanej większości potrafią się odnaleźć w różnych rolach, nie tylko w tej, do której przeznaczyla je Matka Natura i – co więcej – potrafią te role ze sobą łączyć. W felietonie *Hormony macierzyństwa*, omawiając problem w kontekście przemian cywilizacyjnych, tworzy pisarka wizerunek kobiet jako tych, które umiały się do przemian dostosować i „już od dawna są wszechstronne (uczucia, dom, praca)”. To mężczyźni, zdaniem autorki, mają w tym zakresie spore zaległości, „nie wrócili jeszcze mentalnie z polowania na mamuty”. Pozostając w tej stylistyce Gretkowska wyjaśnia powody tych zaległości:

„Wydaje się, że mężczyznom do zmiany pieluch potrzebny był wyspecjalizowany obszar mózgu. Nie są przygotowani do nowoczesnej cywilizacji równości, zwłaszcza w Polsce. [...] Samce trenowane od pokoleń w agresji, ćwiczone do zabijania, a nie chronienia życia, okazują się nieprzystosowane do wybiegu w parku”.⁶

Obraz „nieprzystosowanego samca” o mentalności jaskiniowca, któremu do przetrwania potrzeba tylko „maczugi, piwa w ręce i kumpli”, pojawia się w felietonistyce Gretkowskiej bardzo często. U jego boku miejsce jest jedynie dla udręczonej matki Polki poświęcającej się w imię wartości rodzinnych. Tymczasem – zaznacza pisarka w głośnym tekście o wymownym tytule *Dość upokorzeń*, który stał się manifestem i początkiem

² Zob. E. Mandal, A. E. Banot, *Kobiecość i męskość a stereotyp feministki*, [w:] *W kręgu gender*, pod red. E. Mandal, Katowice 2007, s. 58-66.

³ J. Stryczyk, *Nierówności płci we współczesnym dyskursie emancypacyjnym*, [w:] *Fenomen nierówności społecznych. Nierówności społeczne w refleksji humanistycznej*, pod redakcją J. Klebaniuka, Warszawa 2007, s. 111.

⁴ K. Dunin, *Feminizm według miśki*, „Wysokie Obcasy” 2000, nr 33 (193), s. 30.

⁵ Tejże, *Wszyscy jesteśmy hetero*, „Wysokie Obcasy” 2009, nr 8 (511), s. 8.

⁶ M. Gretkowska, *Hormony macierzyństwa*, [w:] *Tejże Na dnie nieba*, Warszawa 2007, s. 85.

⁷ Tejże, *Neandertalczyk domowy*, dz. cyt., s. 104.

Partii Kobiet – „życie rodzinne to nie gehenna, a już na pewno nie poświęcanie się męskiemu despotyzmowi”. Pełnienie roli matki i żony powinno być świadomym wyborem kobiety, a nie narzuconym jej przez społeczeństwo obowiązkiem. Minęły czasy, kiedy mężczyźni chodzili na polowania, a kobiety pochylały się nad kołyską lub przędły i schemat taki był nienaruszalny. Współcześnie, jak dowodzi Gretkowska, schemat ten nadal istnieje, ale kobiety, które „szybko nadrabiają opóźnienia ewolucyjne i cywilizacyjne”, mają już wszelkie predyspozycje ku temu, żeby go naruszyć. Zbiór felietonów zatytułowany *Na dnie nieba* jest swoistym apelem do kobiet, by nie bały się podjąć walki z zastanym patriarchalnym modelem społeczeństwa i spróbowały wyrwać się z „polskiego kobiecego piekła”.¹⁰

Równie palącym problemem w zapoczątkowanej przez środowiska feministyczne dyskusji na temat miejsca i roli kobiety w społeczeństwie jest prawny zakaz aborcji. Obie przywołane felietonistki zajęły w tej sprawie jednoznaczne stanowisko, z tego powodu w opinii publicznej funkcjonują jako zwolenniczki zabijania nienarodzonych dzieci. Aktualnie obowiązująca w Polsce ustawa antyaborcyjna jest jedną z najbardziej restrykcyjnych w Europie. Wyraża postawę umownie nazywaną *pro-life*, co w dosłownym tłumaczeniu z języka angielskiego oznacza „za życiem”. Zakaz przerywania ciąży został oparty na tym, co Joanna Stryczyk nazywa argumentacją naturalną¹¹, a więc na zgodnej z naturą roli kobiety jako tej, która daje życie i w związku z tym powinna to życie chronić. W tym rozumieniu aborcja jest zbrodnią nie tyle przeciw prawu zapisanemu w ustawach, co przeciw fundamentalnym prawom wynikającym z istoty człowieczeństwa. Uformowany na tym przekonaniu pogląd, że kobieta, która decyduje się przerwać ciążę popełnia morderstwo, prowadzi do stygmatyzacji, naznaczenia jej raz na zawsze piętnem zabójcy. Głos felietonistek w tej sprawie to protest przeciwko sytuacji, w której próba podjęcia decyzji o urodzeniu dziecka lub dokonaniu aborcji, zapędza kobiety w pułapkę, ponieważ pochodną obydwu tych możliwości jest zawsze rodzaj upośledzenia społecznego. Każdy ze sposobów wyrwania się z tej pułapki pociąga za sobą poczucie winy i wstydu. W felietonie zatytułowanym *Razem czy oddzielnie?* Kinga Dunin przytacza fragment książki *Samo życie* autorstwa Wandy Półtawskiej, przyjaciółki papieża Jana Pawła II, działającej w Papieskiej Akademii Życia i Papieskiej Radzie Rodziny:

„W obozie koncentracyjnym w Ravensbrück zdarzały się kobiety w ciąży, aresztowane z różnych stron Polski i świata i – rzecz znamienita – nigdy nie dokonywano przerwań ciąży, dopuszczano do porodu, tylko potem noworodki ginęły albo wprost wrzucane do tzw. heizungu, po prostu do pieca, albo zgłodzone, pozostawione bez pokarmu. Niewiele dzieci urodzonych tam udało się uratować, ale już później, gdy wojna chyliła się ku końcowi – te pierwsze zginęły. Ale... hitlerowcy wiedzieli dobrze, że przerywanie ciąży niszczy organizm kobiety matki, a poród jest sytuacją fizjologicznie prawidłową”.¹²

Aborcja ujmowana w kategoriach zbrodni jest przez „katolickich fundamentalistów”, jak nazywa Dunin środowisko reprezentowane przez Półtawską, demonizowana i jako taka funkcjonuje w społeczeństwie. Etyka katolicka jest w Polsce traktowana jako zbiór nienaruszalnych zasad, które obowiązują wszystkich obywateli – katolików i niekatolików. Skoro więc Kościół nie uznaje żadnych okoliczności, które pozwalałyby przerwać ciążę, to państwo także takich okoliczności nie widzi. Lekarstwem na ten stan miałyby być według felietonistki rozdzielanie tych dwóch instytucji. Wtórnie jej tu Gretkowska, skądinąd katoliczka, która w manifestach Partii Kobiet pyta: „Nie jesteśmy państwem wyznaniowym, więc co może obchodzić niewierzącą Kowalską fanatyzm Wiśniewskiej, według której Duch Święty pracuje w prokuraturze i szpera w wyskrobanych macicach?”¹³

Obie autorki zajęły stanowisko, które zgodnie z nomenklaturą używaną na Zachodzie określa się mianem *pro-choice*. Jako zwolenniczki tej postawy dopominają się o taką ustawę, która, respektując prawa reprodukcyjne kobiety jako prawa człowieka, pozwoli jej wybrać (ang. *choice* – wybór). Etykietki skandalistek, jakie w związku z jawnym głoszeniem takich poglądów przyłgnęły do Gretkowskiej i Dunin, a także do Kazimierzy Szczuki czy Magdaleny Środy, wynikają z niezrozumienia ich intencji, co w efekcie prowadzi do oceny ich działań jako walki o prawo do przeprowadzania masowych aborcji. Tymczasem ta sama Gretkowska, która w opinii publicznej funkcjonuje jako buntowniczką i gorszycielką, tłumacząc dlaczego nie usunęła nieplanowanej ciąży wyznaje: „Życie jest dla mnie czymś tak niesamowitym, że prawdopodobnie nie odważyłabym się na aborcję, jestem za słaba psychicznie”.¹⁴ Ale są kobiety, które rozważają podjęcie takiej decyzji, a państwo nie może im zabronić. „Każda kobieta – pisze Gretkowska – ma prawo decydować o tym, czy ją stać – emocjonalnie i materialnie – by zachować nieplanowaną ciążę”.¹⁵ Emocjonalnie, bo to tak jakby zmuszała się do miłości, materialnie, bo jedyna pomoc, na jaką będzie mogła liczyć ze strony państwa to „jednorazowa jałmużna 40 złotych na kredki dla dziecka”.¹⁶

Zmiany w ustawie antyaborcyjnej mają polegać zatem na tym, by obok zapisu o ochronie płodu ludzkiego znalazł się również zapis dotyczący ochrony nosicielki tego płodu. Przy obecnych regulacjach prawnych kobieta jest bezsilna wobec niechcianej ciąży i nieprzychylności otoczenia. Wprawdzie wspomniana ustawa wymienia okoliczności, w których ciąża może zostać przerwana, ale – jak wynika z raportu opublikowanego w 2001 roku przez Federację na Rzecz Kobiet i Planowania Rodziny – przeprowadzenie legalnej aborcji z przyczyn określonych w tym akcie prawnym jest praktycznie niemożliwe. Kinga Dunin przypomina historię Alicji Tysiąc, której odmówiono prawa do aborcji, bo ustawa nie precyzuje, jakie zagrożenie dla zdrowia matki może być powodem zgody państwa na usunięcie ciąży. „Polscy lekarze nie wiedzieli, czy niebezpieczeństwo utraty wzroku to wystarczające zagrożenie”¹⁷

nr 10 (513), s. 8.

¹³ M. Gretkowska, *Dość upokorzeń*, dz. cyt., s. 182.

¹⁴ Tamże.

¹⁵ Tamże.

¹⁶ Tamże, s. 185.

¹⁷ K. Dunin, *Glupie pytania*, „Wysokie Obcasy” 2008, nr 4 (457), s. 10.

⁸ Tejże, *Dość upokorzeń*, dz. cyt., s. 183.

⁹ Tejże, *Hormony macierzyństwa*, dz. cyt., 86.

¹⁰ Tejże, *Dość upokorzeń*, dz. cyt., 184.

¹¹ J. Stryczyk, dz. cyt., s. 113.

¹² Cyt. za: K. Dunin, *Razem czy oddzielnie?*, „Wysokie Obcasy” 2009,

– podsumowuje Dunin w zakończeniu felietonu zatytułowanego *Glupie pytania*. Pocięszający jest fakt, że dramat Alicji Tysiąc nie pozostał bez echa. Trybunał w Strasburgu przyznał jej prawo do odszkodowania, a polski sąd ukarał „Gościa Niedzielnego” – jej medialnego oskarżyciela.

Felietony Dunin i Gretkowskiej, niezależnie od tego czy zawarte w nich poglądy uznamy za kontrowersyjne czy nie, pełnią istotną funkcję. Z jednej strony informują kobiety o należnych im prawach, z drugiej stawiają im wymagania, nawołując do walki w imię respektowania tych praw. Kobiety mają przerwać milczenie i nauczyć się mówić o sobie własnym głosem, a nie głosem polityków, księży czy lekarzy. Przytaczając wiele dowodów na to, że osoby, które mogłyby podjąć działania zmierzające do poprawy sytuacji kobiet w Polsce, siedzą z założonymi rękoma i czekają, aż problem sam się rozwiąże, felietonistki uświadamiają kobietom, że jeżeli same się o siebie nie upomną, to nic się zmieni.

Nieprzypadkowo nazwiska Dunin i Gretkowskiej wymieniane są tu obok siebie. W kwestiach, które czołowe działaczki ruchów feministycznych podnoszą jako najważniejsze, a więc krzywdzący kobiety podział ról w społeczeństwie, wykluczenie ich z niektórych obszarów życia publicznego, zjawisko „szklanego sufitu”, aborcja i łączący się z nią problem zapłodnienia *in vitro* oraz antykoncepcji, głosy obu felietonistek brzmią najbardziej donośnie. Obie burzą stereotypy, obalają wszelkie *tabu*, udowadniają, że nie ma tematu, którego nie można by poruszyć. Gretkowska dla przykładu sporo miejsca w swojej felietonistyce poświęca zagadnieniom życia seksualnego i, co ważne, nie robi tego w sposób, który można by nazwać podejściem naukowym, daleka jest bowiem od chłodnego obiektywizmu, z jakim do problemu podchodzą specjaliści. Cięty język, dosadne określenia, potoczne, często wulgarne słownictwo to narzędzia, jakich używa w walce ze stereotypem kobiety jako tej, „której pewnych rzeczy nie wypada”. Cały swój arsenał ujawnia m.in. w felietonach: *Męskie spiralki*, *Smutek z sutek*, *Oda do penisa*, czy *Jaka kopulacja taka populacja*. W tym ostatnim porusza problem dyskryminacji pisarek, które w swoich książkach biorą pod lupę życie erotyczne, często własne, i otwarcie poruszają tematy będące dotąd domeną piszących mężczyzn:

„Gdy o seksie pisze brutalnie Houellebecq, nazywa się go w Polsce poważnym francuskim pisarzem, przejętym kondycją ludzką. A gdy tym samym zajmuje się Jelinek, uważa się ją za zboczonice, która przez pomyłkę dostała Nobla zamiast zasłużonego syfa”.¹⁸

Sama Gretkowska, o czym wspomina w cytowanym felietonie, padła ofiarą tej dyskryminacji, kiedy jej książkę *Sceny z życia pozamałżeńskiego* uznano za „podręcznik pornograficzny”. Z kolei Dunin problemy nierówności społecznych w dziedzinie seksu omawia bardziej pod kątem preferencji seksualnych i związanego z tym zjawiska homofobii. Walczy o prawo do respektowania różnic i stworzenie odpowiednich warunków, by ten, kto prywatnie jest homoseksualistą, mógł nim być również publicznie, bo na razie „wszyscy jesteśmy hetero”.¹⁹

Zespół tematów poruszanych przez obie felietonistki można by powtórzyć również w odniesieniu do twórczości felietonowej, czy szerzej – publicystycznej wspomnianej już wcześniej Kazimieiry Szczuki. Jej felietonistka znajduje się jednak trochę na marginesie prowadzonej przez nią na szeroką skalę działalności społecznej i jest tylko jednym z narzędzi, jakimi czołowa polska feministka operuje w walce o równouprawnienie. Jako najbardziej rozpoznawalna rzeczniczka praw kobiet bierze udział w odbywających się za pośrednictwem mediów dyskusjach i debatach, gdzie apeluje do ustawodawców, pracodawców i osób piastujących ważne stanowiska publiczne o włączenie się w aktywne działania na rzecz polepszenia sytuacji kobiet w Polsce, i jednocześnie usiłuje zaktywizować same kobiety, by miały odwagę przerwać milczenie. W głośnej książce pod znamienym tytułem *Milczenie owieczek. Rzecz o aborcji* zwraca uwagę na fakt, że kobiety choć chcą, to jednak wciąż boją się głośno i otwarcie żądać przyznania i respektowania należnych im praw. Powody tego milczenia wyjaśnia w następujący sposób:

„Przemówić to tyle, co zabrać głos w sferze publicznej, a to łączy się z symbolicznym przekroczeniem zakazu. Kobiety chętnie nadsyłają anonimowe listy – świadectwa traumatycznych przeżyć. Ale wymaga ogromnego wysiłku przemówienie w imieniu wspólnoty i domaganie się uznania praw”.

Szczuka analizuje postawy kobiet i sprawdza, jak radzą sobie w walce o możliwość mówienia własnym głosem. I tak niektóre nawet o to nie zabiegają i tkwią głęboko w systemie patriarchalnym jedynie ugruntowując swoją pozycję jako zależnych od mężczyzn i im całkowicie podporządkowanych. „Jeśli masz chłopaka żeglarza – będziesz żeglować” – pisze Szczuka w felietonie zatytułowanym *Dajcie nam ćwiczyć*. „Przy naukowcu zrobisz doktorat. W trakcie romansu z tramwajarzem poznasz problemy miejskiej komunikacji. Dla opozycjonisty nosiłaś bibułę. Dla prawnika – zniechęciłaś feministki. Dla bankowca zaczęłaś czytać strony ekonomiczne, chociaż jesteś filologką klasyczną. W drugą stronę to nie działa”.²⁰

Felietonistka zwraca uwagę, że kobiety często rezygnują z własnych planów i przestają rozwijać swoje zainteresowania tylko dlatego, że nie mają wsparcia ze strony swoich partnerów. Gdy one potrafią uszanować „świętą zasadę” – „jeśli nie chcesz spróbować, przynajmniej nie przeszkadzaj”²¹, oni nie tylko nie pomagają kobietom łączyć obowiązków domowych z realizacją swoich pasji, ale, tak jak przywołani przez Szczukę niedoszli członkowie StoMŻUJ – Stowarzyszenia Mężów Żon Uprawiających Jogę, zmuszają je „do porzucenia asan i siedzenia w domu”.

„Ona gotuje – on zjada”²² – ta reguła określa relacje, na jakich, zdaniem autorki, oparta jest większość związków damsko-męskich. Nawet jeżeli pierwsza ze stron tej relacji buntuje się przeciwko takiemu schematowi, rzadko robi to głośno, rzadko decyduje się upublicznić ten problem. O tym, co je boli i co chciałoby zmienić, kobiety mówią najczęściej tylko w wąskim gronie przyjaciółek, co raczej nie przypomina buntu, jest

¹⁸ M. Gretkowska, *Jaka kopulacja taka populacja*, dz. cyt., s. 128.

¹⁹ K. Dunin, *Wszyscy jesteśmy hetero*, „Wysokie Obcasy” 2009, nr 8 (511), s. 8.

²⁰ Tejże, *Dajcie nam ćwiczyć*, <http://www.krytykapolityczna.pl/Kazimiera-Szczuka/Dajcie-nam-cwiczyz/menu-id-216.html>

²¹ Tamże.

²² Tamże.

jedynie niegroźnym „psioczeniem na facetów”.²³ Co charakterystyczne, wyrażając swoje niezadowolenie z przypisania im takich a nie innych ról społecznych, kobiety – paradoksalnie – demonstrują swoje uzależnienie od mężczyzn, nie potrafią bowiem mówić o sobie w oderwaniu od nich, potraktować siebie jak podmiot suwerenny. Rozmowy koleżanek utkane są najczęściej ze stale powtarzanych: „mój mąż, mój mąż”, „bo on, bo on”, „ale ja go kocham”, lub stanowią długie zwierzenia w stylu: „On wynosi już z domu fanty albo On zrobił dziecko kierownicze zmiany. On wyjeżdża na wybrzeże albo – o dziwo – zaczął się starać! Kogo On ma?”.²⁴ W batalii o przyznanie kobietom praw, ważną, jeżeli nie najważniejszą rolę, przypisuje Szczuka właśnie samym zainteresowanym, mają one zaistnieć publicznie, nie bać się mówić na zewnątrz o tym, o czym rozmawiają w domowym zaciszu podczas „babskiego wieczoru” i to mówić przede wszystkim o sobie, czego same oczekują i co same chciałyby zmienić.

Apelując do Polek o włączenie się do walki na rzecz równouprawnienia, publicystka zaznacza jednocześnie, że nie jest to walka łatwa, co więcej – szanse obu stron są nierówne. Feministki mają bowiem przeciwko sobie cały aparat państwowy, muszą zmierzyć się z potężną siłą, jaką jest „upiorna polityka antykobiece i antyrodzinna, prowadzona przez kolejne rządy, gotowe pod dyktando Kościoła katolickiego prześladować kobiety za aborcję, ale nieskłonne do jakichkolwiek właściwie form opieki czy wsparcia dla tych, które już sprowadziły dzieci na świat albo bardzo, bardzo tego pragną”.²⁵

W ten sposób w felietonie zatytułowanym *Baby, chodźcie na demo* charakteryzuje Szczuka środowisko, które ma wpływ na kształt regulacji prawnych i mogłoby wprowadzić w ich treść istotne, z punktu widzenia działaczek ruchów kobiecych, zmiany, a jednak tego nie robi. Przedstawicielem tego środowiska czyni dziennikarka Jarosława Gowina jako autora projektu ustawy bioetycznej, uznanej przez feministki za zagrażającą prawom obywatelskim i prawom człowieka. „Poseł, niezwykle uprzejmy i kulturalny – czytamy w *Baby, chodźcie na demo* – podjął, jak pamiętamy, misję unicestwienia polskiej implantologii w imię racji wyższej, to znaczy własnych przekonań religijnych. Zapewne hierarchia kościelna w braku posta Gowina powierzyłaby to zadanie komuś innemu, ale czy inny by tak pięknie potrafił mówić o swojej miłości do gamet, zygot i zarodków? W tak subtelny i wyważony sposób pogardzać kobietami, nieplodnymi ludźmi w ogólności, a także dziećmi poczętymi metodą *in vitro*?”²⁶ Problem komplikuje się jeszcze bardziej, bowiem inny polityk – osoba, która z racji pełnionej funkcji powinna w opinii felietonistki zabierać głos w sprawie kobiecej, najczęściej milczy. Mowa tu o Elżbiecie Radziszewskiej, pełnomocnik rządu do spraw równego traktowania.

Dyskusję z posłanką odbyła Szczuka w programie Moniki Olejnik *Kropka nad i*, a echem tej dyskusji jest felieton *Cnota prawdziwa i niewieścia*. Na podstawie wypowiedzianego przez Radziszewską zdania, „że deli-

katność i kultura kojarzące się z naszą płcią są cennym dobrem i że powinnyśmy dbać o cześć niewieścią „bez względu na to, jak jesteśmy wyemancypowane”²⁷, autorka wyprowadza dwa modele kobiecości funkcjonujące w polskiej polityce. Schemat ten opiera się na prostym, zakorzenionym w społecznej świadomości, przeciwstawieniu: „kobieta uczciwa” *versus* „upadła”. Po jednej stronie znajdują się więc panie „uczesane w loczki”, posiadające „umiejętność potakującego kiwania głową”, zawsze w cieniu, zawsze milczące i unikające niepotrzebnego rozgłosu, bo „rozgłosz szkodzi kobiecie na cerę”. Po stronie przeciwnej – „rozkiełznane i wykołejone feministki. Grube, szorstkie, ordynarne. Klną pewnie jak dorożkarze, plują pod nogi przechodzącym księżom i szpetnie puszczają bąki”.²⁸

Popierając ten podział, kobiety zajmujące ważne stanowiska publiczne, w tym także Elżbieta Radziszewska, siebie stawiają w pozycji tych „uczciwych”, pielęgnujących „cześć niewieścią”, stąd większa w ich przypadku dbałość o to, by „nie padały w [ich] obecności grube słowa, niż o to, aby dochować lojalności i wykażać się odwagą, której teoretycznie wymaga powierzone [im] stanowisko”.²⁹ Tym tłumaczy Szczuka milczenie posłanki w sprawie ustawy bioetycznej. Środowiska feministyczne liczyły szczególnie na jej głos w dyskusji nad projektem, miały nadzieję, że jako pełnomocnik rządu do spraw równego traktowania poprze inicjatywę zagwarantowania wszystkim obywatelom prawa do decydowania o swojej płodności. Radziszewska pozwoliła jednak na to, by w tej kwestii wypowiedział się za nią „jej mąż, czyli partia polityczna, do której należy i od której zależy jej status”.³⁰

Naświetlony w felietonie *Cnota prawdziwa i niewieścia* problem stanowi zaledwie załączek dyskusji na temat obecności kobiet w polityce. Zdaniem publicystki, posłanki wciąż nie potrafią wyjść z cienia swoich kolegów z ław sejmowych i zapoczątkować energiczne działania na rzecz polepszenia społeczno-prawnego statusu Polek. Część z nich deklaruje wprawdzie poparcie dla przedsięwzięć podejmowanych przez organizacje feministyczne, ale zazwyczaj na deklaracjach się kończy. Oczywiście taka ocena nie dotyczy wszystkich parlamentarzystek, bo są wśród nich i takie, które jawnie określają siebie mianem feministek, a swoją przynależność do nich deklarują na różne sposoby, choćby przez udział w manifach – corocznych demonstracjach organizowanych przez Porozumienie Kobiet 8 Marca. To właśnie od nich, jak czytamy w felietonie *Normalne nienormalne*, pozostałe panie z mandatem poselskim powinny uczyć się „zyskiwania poparcia i zabiegania o głosy”.³¹

Rzecz jasna, stosunek do feminizmu nie jest u wszystkich felietonistek jednakowy. Nie wszystkie utożsamiają się z tym nurtem, część z nich wobec ideologii wyzwolenia kobiet sytuje się trochę z boku, całkiem poza nią, a nawet w opozycji do niej, czy precyzyjniej – w opozycji do niektórych założeń tej ideologii. Nie znaczy to oczywiście, że problematyka *gender*

²³ Tejże, *Porozmawiajmy o facetach*, <http://www.krytykapolityczna.pl/Kazimiera-Szczuka/Dajcie-nam-cwiczyt/menu-id-216.html>

²⁴ Tamże.

²⁵ Tejże, *Baby, chodźcie na demo*, <http://www.krytykapolityczna.pl/Kazimiera-Szczuka/Baby-chodzie-na-demo/menu-id-216.html>

²⁶ Tejże, *Baby, chodźcie na demo*, <http://www.krytykapolityczna.pl/Kazimiera-Szczuka/Baby-chodzie-na-demo/menu-id-216.html>

²⁷ Tejże, *Cnota prawdziwa i niewieścia*, <http://www.krytykapolityczna.pl/Kazimiera-Szczuka/Cnota-prawdziwa-i-niewiescia/menu-id-216.html>

²⁸ Tamże.

²⁹ Tamże.

³⁰ Tamże.

³¹ Tejże, *Normalne nienormalne*, <http://www.krytykapolityczna.pl/Kazimiera-Szczuka/Normalne-nienormalne/menu-id-216.html>

w ogóle tych publicystek nie interesuje, wręcz przeciwnie – chętnie i często wypowiadają się na tematy przez feministki dyskutowane, ale ich punkt widzenia jest bardziej kobiecy niż feministyczny. Tu przykładem może być Małgorzata Domagalik, która często nie tylko nie staje solidarnie w szeregu polskich feministek, ale również w swoich tekstach wchodzi z nimi w polemikę, zwłaszcza z Dunin. Myśl feministyczna nie jest jej jednak obca, a sprawa kobieca – jak feministki nazywają zespół problemów, którymi się zajmują – obojętna.

Nie bez znaczenia jest tu tytuł cyklu jej felietonów, zamieszczanych w tygodniku „Wprost”. *Druga płeć* to cytaty z twórczości Simone de Beauvoir, której książkę pod takim właśnie tytułem uznaje się za biblię feminizmu. Zawarte tam spostrzeżenia, mimo że zanotowane 60 lat temu, zdaniem Domagalik nie straciły na wartości. „Gdy dziś bierze się ją [*Drugą płeć*] do ręki – pisze w felietonie zatytułowanym *Może już jutro?* – robi wrażenie jej aktualność i odwaga w spojrzeniu na kobiecego. *Druga płeć* to nadal lista błędów i pomyłek, jakie każda z nas popełnia przynajmniej raz w życiu. Wówczas, gdy jest dorastającą panienką, albo gdy data w kalendarzu pokazuje, że właśnie dojrzała”.³²

„Lista błędów i pomyłek” a nie „lista upokorzeń i krzywd”. Przedmiotem analiz Domagalik staną się więc nie przejawy społecznego ucisku kobiet, a powody, dla których do tego ucisku doszło i które decydują o tym, że on nadal trwa. I tu, jak się okazuje, niemałą winę ponoszą same kobiety, co nie oznacza oczywiście, że felietonistka tylko je obciąża odpowiedzialnością za istniejący stan rzeczy, bo pod adresem mężczyzn także padają poważne zarzuty. „Nie, kobieta nie jest naszym bratem, lenistwem i przekupstwem. Uczyniliśmy z niej istotę odmienną, nieznaną, pozbawioną wszelkiej brońi prócz płci [...]”³³ – cytowany przez Domagalik Jules LaForgue wszystkie „zasługi” w procesie uzależniania kobiet od mężczyzn przypisuje tym drugim, tymczasem kobiety, jak udowadnia pisarka, mogły zrobić coś, by ten proces zatrzymać i na etapie, kiedy było to jeszcze możliwe, odwrócić jego skutki.

Mogły walczyć. Ktoś pewnie powie: „Przecież walczyły i walczą nadal” i dla przykładu poda zaangażowanie części kobiet w działalność ruchów feministycznych. Zdaniem autorki *Siostrzanych uczuć* problem polega na tym właśnie, że walczy tylko część, pozostałym brakuje odwagi i albo nie walczą wcale, albo zbyt szybko się poddają. „Nie wystarczy mieć praw, na nic parytety, trzeba jeszcze umieć z nich korzystać. Wolność i niezależność to cel, do jakiego powinna dążyć każda z nas”.³⁴ Jeżeli kobiety zadowolą „blankiet wyborczy”, jak Simone de Beauvoir określa zespół swobód obywatelskich, które udało się do jej czasów wywalczyć przedstawicielkom „drugiej płci”, to „dumne ze swej niezależności jak Rockefeller”, powtarzając: „Nigdy o nic nikogo nie prosiłam, zawsze radziłam sobie sama” będą nadal szorować hotelowe podłogi. Jak w czasach de Beauvoir, tak i dziś „mężczyzna ciągle jeszcze jest dla wielu z nas [kobiet] gwarantem bezpiecznego życia, ma nam dać dach nad głową, kawałek chleba, zaprogramować starość”.³⁵ W felietonie *Może już jutro?*

Domagalik powtarza więc wypowiedziany 60 lat temu przez francuską pionierkę feminizmu apel, by kobiety, nie tylko zrzeszone w organizacjach feministycznych, ale i te, którym do tej ideologii daleko, miały odwagę wziąć odpowiedzialność za siebie.

Felietonistka „Wprost” często bierze udział w dyskusji na temat sztandarowych problemów feminizmu. Podchodzi do nich jednak z dystansem, w sposób, który można by nazwać zdroworozsądkowym. W swoich sądach i opiniach opiera się na danych statystycznych, wynikach badań, opiniach specjalistów z danej dziedziny, często powołuje się na dzieła zachodnioeuropejskich feministek, nie lubi uogólnień i od innych także wymaga precyzyjnego formułowania swoich myśli. Jeśli *in vitro*, to czy dla wszystkich? „Już wkrótce ludzie będą się decydowali na pierwsze dziecko dopiero na emeryturze. Stare mamusie zapłodnione *in vitro* rodzą śliczne różowutkie niemowlęta. To nie wyobrażenia Lema, ale *anno domini* 2005” – pisze w felietonie *Jajeczko kuzynki*.³⁶ Autorka każe zastanowić się, czy w imię prawa każdej kobiety do posiadania dziecka, nie zapomina się o prawie każdego dziecka do posiadania matki. „Okazało się – czytamy w tym samym tekście – że egoizm potencjalnej matki, usprawiedliwiany pragnieniem macierzyństwa, nie ma granic. Chcę mieć dziecko. Mniej ważne staje się to, jak długo będę tą matką”. W felietonie *Dziwna książka w ważnej sprawie* podejmuje Domagalik kolejny problem, który jest jednym z podstawowych w dyskursie feministycznym. „Dziwna książka” to cytowane już *Milczenie owieczek* Kazimiery Szczuki, „ważna sprawa” – aborcja. Jedną z przeszkód, jakie zdaniem Szczuki należy pokonać w walce o prawo do aborcji, jest przewyższenie panującego wśród samych kobiet przekonania, że przerwanie ciąży jest „czymś skomplikowanym, trudnym, doniosłym i ważącym na całym życiu”³⁷, gdy „wczesny zabieg to zero problemów”. Sama Domagalik popiera aborcję, ale wtedy tylko, gdy rozumiana będzie jako „dramatyczna decyzja o przerwaniu ciąży”, podjęta z przyczyn dla kobiety istotnych.

Przedstawione zagadnienia to zaledwie zarys problemów związanych ze zjawiskiem, jakim jest felieton feministyczny, czy dokładniej – obecność problematyki feministycznej w twórczości polskich felietonistek. By rzecz wyczerpać, należałoby rozszerzyć zakres tematów i repertuar nazwisk. Ten gatunek uprawiają jeszcze m.in. Magdalena Środa, Agata Passent, Hanna Bakuła, Agnieszka Graff czy Krystyna Kofta. Piszą o miłości, związkach – ich powstawaniu i rozpadzie, o rodzinie i wychowaniu dzieci, o pracy zawodowej, często w tym kontekście o dyskryminacji wynikającej z nierówności płci, o obecnym w mediach wizerunku kobiety-przedmiotu, o pornografii. Różnorodność tematyki oraz stale rosnąca liczba kobiet nią zainteresowanych sprawia, że jest to interesujący materiał do dalszych rozważań.

JOANNA MICIAK

³² M. Domagalik, *Może już jutro?*, „Wprost” 2004, nr 15 (1115), s. 72.

³³ Tamże.

³⁴ Tamże.

³⁵ Tamże.

³⁶ Tejsze, *Jajeczko kuzynki*, „Wprost” 2005, nr 5 (1157), s. 65.

³⁷ Tejsze, *Dziwna książka w ważnej sprawie*, „Wprost” 2004, nr 33 (1133), s. 66.

LUDWIK LEWIN

WALEZY JAKO UBU

Emmanuel Chabrier to dziewiętnastowieczny kompozytor francuski, autor trzech oper, dwóch operetek, licznych pieśni oraz utworów orkiestrowych i fortepianowych. W Polsce mało kto o nim wie, a i we Francji rzadko jest grywany. Jego *Króla Wbrew Woli* wystawiono po raz pierwszy w paryskiej Operze Komicznej w 1887 roku. Miał tylko trzy przedstawienia, bo czwartego wieczoru wybuchł pożar i nie było już teatru. Choć jedenaście lat później Operę Komiczną wyremontowano, *Król Wbrew Woli* wydawał się być spalony ze szczeniem.

Wbrew oczekiwaniom, okazał się feniksem. Wznowiony niedawno w Operze Lyońskiej, przywędrował właśnie do Paryża wywołując entuzjazm krytyków i publiczności. Wszystkie miejsca zostały wykupione, a recenzenci pod niebo wynoszą wielkość kompozytora, przemyślność reżysera, głosową i aktorską wspałość śpiewaków. Przypomniano peany na cześć Chabrier'a wygłaszane przez Ravela, Debussy'ego, Poulenca, później przez Strawińskiego. Podkreślano, że przedstawienie żywe, śmieszne, traktowane być może jako lekarstwo na kryzys, a w każdym razie na kryzysowy *spleen*.

Siedząc w siódmym rządzie kryzysowy *spleen* może i zaleczyłem, lecz wpadłem w inny, europejski. W ponadstudenckim wieku operze jeszcze mocniej od muzyki trzyma się schematyczne widzenie Polaków. Libretto *Króla Wbrew Woli* opowiada, jak Henryk Walezy, wybrany na króla Polski, przybył do Krakowa i jeszcze przed koronacją marzy o tym, by uciec z podwawelskiego grodu. Dlaczego? Bo chciałby powrócić do „słodkiej Francji”, „kraju pięknego słońca”. I dziwi się, „dlaczego Polska pomyślała o mnie, gdy ja o niej tak mało myślałem”.

Z innych arii i kupletów widzowie dowiadują się, że Kraków „jak żadne inne miasto, zasmuca patrzącego swym brakiem cywilizacji”, a „ci pocziwi Polacy, to dziwny gatunek – jełopy pod grubymi kożuchami”. Nad wszystkim wisi „niebo obrzydliwe”, z którego wiecznie prószny śnieg. Po czym następuje uogólnienie:

„Tu wstażki i aksamit kruchy

Tam z dzikich zwierząt kożuchy.

Opis może być niedługi:

Jeden niedźwiedziem jest, małąą drugi”.

Choć ani Chabrier, ani jego libreciści w Polsce nigdy nie byli, to przecież obrazu Polaków do swej opery nie wzięli z sufitu. Za malarza służył im francuski poeta i dworzanin Walezego, Philippe Desportes, który razem z królem uciekł z Krakowa i następnie w paszkwili *Pożegnanie z Polską*, paskudztwem kraju i gruboskornością mieszkańców tłumaczył postępek monarchy.

Działo się to ponad czterysta trzydzieści lat temu, trzysta lat przed powstaniem *Króla Wbrew Woli*. Wiele wody upłynęło w Wiśle i w Sekwanie, ale choć czasy się zmieniają i my się zmieniamy wraz z nimi, stereotypy pozostają, niezależne niemal od epokowych przełomów i przełomowych sojuszy. Niecałe dziesięć lat po *Królu Wbrew Woli*, powstał *Król Ubu*, prekursor surrealizmu, sztuka, której akcja dzieje się w Polsce, czyli nigdzie. Obraz Polaka – bestialskiego, bezmyślnego, bardziej niż u Chabrier'a jest wyostrowany, ale równie absurdalny, w pełnej pogardzie dla realiów. Żaden z tych utworów nie traktuje poważnie swej opowieści o Polsce, ale zawarty w nich stereotyp jest realistyczną analizą francuskiej postawy wobec Polaków.

Studiując francuską prasę, tak samo jak oficjalne teksty dyplomatyczne z ostatnich stu pięćdziesięciu lat znaleźć można całe sekwencje sympatii dla „sprawy polskiej”, sympatii na ogół platonicznej. Można by to streścić refrenem podejmowanym przez jednego z premierów III RP podczas paryskich wizyt: Polskę i Francję wszystko łączy – od Chopina do Michelina. A może wręcz od Elżbiety Łokietkówny wydanej za księcia Anjou, do Nathalie Kościuszk-Morizet, minister w obecnym rządzie Republiki Francuskiej.

Ta sielanka przerywana jest rzadko i tylko na krótką chwilę, gdy podli Polacy zamiast francuskich Mirage'y, kupują amerykańskie myśliwce, gdy przy okazji kryzysu irackiego „tracą doskonałą okazję, by się zamknąć” i gdy przed referendum europejskim król Ubu wciela się w postać polskiego hydraulika, który holają wygoni Francuzów na bezrobocie. I dlatego, jak śpiewa jedna z postaci *Króla Wbrew Woli*:

„Polakowi Francuz spodoba się czasem

Dla Francuza Polak niczym zbój pod lasem”.

KRZYSZTOF KOMORNICKI

NIEUDANE POCZĄTKI FRANKOFONII W RP

(pamięci profesora Bronisława Geremka)

W podsudeckiej wsi Wójtowice zamieszkałej przez 106 dusz, położonej o 1844 m od dawnej granicy polsko-czeskiej, w odległości, którą szybki ptak pokonuje w 40 sekund sąsiadują ze sobą Hildegarda Niemiec z domu Kowol, lat 85 i Krzysztof Komornicki, lat 67. Pierwsza znalazła się tu w 1946 r. w wyniku dosyć arbitralnego *ukazu* tow. J. Stalina, drugi zaś przybył jesienią 1976 r. psychicznie zmaltrretowany przez sędziego Dzedzyka, który nie robiąc sobie nic z Olszewskiego i Szczuki sądził robotników Ursusa.

Co łączy tych dwoje wybitnych przedstawicieli wójtowskiego establishmentu? Hildegardę i Krzysztofa? Otóż i jedna i drugi mają znaczące długi wdzięczności wobec Francji i Francuzów. I tym tekstem zdecydowali się zacząć je spłacać. Hildegarda Niemiec otrzymuje co miesiąc istotne wsparcie w wysokości 9,60 euro przesyłane jej przez Caisse des Retraites w Metz pod warunkiem wszakże, że dostarczy na czas czyli raz na kwartał zaświadczenie, że „jeszcze żyje”, podpisane przez burmistrza Bystrzycy Kłodzkiej lub osobę przezeń upoważnioną. Żeby nie wciskać nikomu kitu – prawda jest taka, że pani H.N. otrzymuje 18 euro, ale musi zapłacić podatek i koszty transferu bankowego. Na życie zostaje tyle, ile zostaje. Jest to renta po ś.p. mężu Władysławie, który przez wiele lat harował na jakimś francuskim kartoflisku.

Krzysztof Komornicki natomiast był 40 lat temu aktywnym uczestnikiem wydarzeń Maja '68 w Paryżu. Wziął sobie do serca prawdę, że „jeśli nie jesteś lewakiem za młodu, to po 40. już jesteś na stałe zwykłym skurwysynem”. Przechrzczył hall Andre Siegfrieda Instytutu Nauk Politycznych na hall Mao, chłopcy z Occident rozwalili mu głowę, a CRS w kazamatach metra Mabilon dołożyła swoje. By zrównoważyć gorszące wpływy kabotyńskiego starucha z Cafe Deux Magots (zgadnij, kto to, koteczku?) kolega lewak Bernard de Montferand zabrał go do swego zamku w Perrigord. Dziś go dzi się przypomnieć, że kolega ów został parędziesiąt

lat później dyrektorem Fundacji Nauk Politycznych, był ambasadorem Francji w Holandii i w Singapurze, obecnie jest przedstawicielem Francji w Berlinie.

Wraz z dwoma innymi lewakami – de Rockemorem, synem prezesa Hachette i Christian Blanckaertem, który 25 lat później szefował słynnemu Comité Colbert, a następnie Hermes International – zaczęli w jednej z baszt zamczyska przygotowywać jedynego prawdziwego lewaka w tym gronie do przyszłej roli krakowskiego kamienicznika z 3 procentami udziałów rodzinnych w „Hetmańskiej” na Rynku. Nauczyli go mianowicie grać w *Monopoly*. Zaś stary markiz budził go tam o piętej rano bo „przyszłedł właśnie truflarz ze swoją świnią”, bo „trzeba z blanki zdjąć zabłąkany rój”, bo „najwyższy czas zalać suchą lawendę” sposobiąc w gościnnych łazienkach ostrą jak ogień wodę *apres rasage*.

Jakoś wszyscy tam przeczuwali, że za 20 lat rozpocznie się w Polsce odzyskiwanie majątków. A potem śniadanie w XV-wiecznej kuchni z wiejskim pasztetem, takimże chlebem, wszystko podlewane drapiącym w gardło winem. I z tym zacnym wspomnieniem za nic by się nie rozstał. Pielęgnował je przez wiele lat upiększając tu i ówdzie, dodając to i owo, nie przyznając się jednak nigdy do ścięcia platana na rue Gay-Lussac w *Noc Barykad*.

I rata długu, czyli nie uzgodniona uchwała

Za wszystko podziękować postanowił już w czerwcu 1989 r. Jako poseł sejmu kontraktowego podjął chyba pierwszą w ogóle próbę wspólnej inicjatywy OKP-u i klubu poselskiego PZPR. Postanowił uczcić 200-lecie zburzenia Bastylji i przekazać w imieniu sejmu najlepsze życzenia ludowi Francji, a także Zgromadzeniu Narodowemu. M. Ostrowski z „Polityki” napisał dlań w biegu projekt stosownej uchwały.

I od tego miejsca będzie w pierwszej osobie liczby pojedynczej, żeby nikt nie mógł się do mnie przykleić. I tak jeszcze dobrze nie usiedliśmy w sejmowych ła-

wach, gdy z oboma wersjami – polską i francuską uroczystego adresu rozpocząłem swą pielgrzymkę. Najpierw Marian Orzechowski, potem prof. Geremek, a także partie i stronnictwa „sojusznicze” czyli PSL, SD, PAX, PZKS i UChS. Po rozmowach z A. Bentkowskim, J. Janowskim, W. Janickim, R. Gajewskim i T. Nowackim miałem pisemne zgody 5 klubów parlamentarnych, które nie naniósł żadnych poprawek na tekst Ostrowskiego/Komornickiego. Pozostały OKP i klub PZPR, które siedziały naprzeciwko siebie jak dwa potężne czworoboki i które podejrzewały siebie – słusznie czy niesłusznie – na okrągło o nieczne zamiary.

Domyślałem się oczywiście, kto z ważnych ludzi okapu nie będzie chciał obchodzić rocznicy zburzenia Bastylii. Marek Jurek i Stefan Niesiołowski np. woleliby wtedy świętować Vandeę. Zaś w klubie PZPR byli naturalnie i tacy, którym marzyło się w każdym akapicie „rewolucja”, „myśl rewolucyjna”, „humanistyczny socjalizm”, który następnie niewidzialna jakaś ręka litościwie przerobiła na „socjalistyczny humanizm”, by w wersji francuskiej umieścić łatwiej strawny „nowy ład demokratyczny” (*le nouvel ordre democratique*). W moich papierach znajduje się wyłącznie wersja nibypezetperowska, wielokrotnie przerabiana po kolejnych konsultacjach z prof. Geremkiem, który nigdy nie dostarczył swojej, lecz interweniował w kilku istotnych dla okapu miejscach. Interwencje te zapisywałem na marginesie. I tak, gdy ktoś z naszej strony na wysokim szczeblu wpakował akapit „współczesny sens tej rewolucji (...) nakłada na nas obowiązek działania na rzecz pokoju, rozbrojenia, sprawiedliwego ładu ekonomicznego” i gdy profesorowi dowcipnie zakomunikowałem, że „widział to już ambasador ZSRR i wszystko jest w porządku”, Geremek – jak sobie zapisałem – zaczął się śmiać i prosił, by to wszystko przekreślić. Niestety, z rozpędu razem z następnym zdaniem, które uważałem za prawdziwy cymes M. Ostrowskiego: „Narasta w świecie przekonanie, że żaden naród, nawet najpotężniejszy nie może sam decydować o wyzwaniach współczesności, ani nie potrafi stawić im czoła”.

Nieufność z obu stron była czarna jak sadza. Jedni myśleli, że mowa tu o ZSRR, drudzy – że o Ameryce! Nasz akapit o „wszechstronnie pojmowanych prawach człowieka i swobodach obywatelskich, które są istotą przemian demokratycznych w Polsce” miał przeważać szalę. Nie przeważał. „Są rzeczy ważne, ale są i ważniejsze” – powiedział profesor i dał wyraźnie do zrozumienia, że zwanie wewnątrz OKP nt. 14 juillet to niepotrzebne zamieszanie. My wiedzieliśmy, że w czworoboku naprzeciwko jest i lewica, i prawica, są wierzący i niewierzący, siedzą prawdziwi Polacy, ale także różnej maści kosmopolici – wszyscy muszą jednak trzymać fason, bo naprzeciwko siedzi komuch i tylko czeka, żeby wbić klina. Uroczysty Adres sejmiku kontraktowego skierowany z okazji 200-lecia rewolucji francuskiej do Zgromadzenia Narodowego RF nigdy nie ujrzał światła dziennego. I tak nie udało mi się pierwsza faza instalowania frankofonii w Rzeczypospolitej. I choćby częściowa spłata długu.

Ale lekcja była pasjonująca i miała swój dalszy ciąg. Nabrałem bowiem wielkiego apetytu na uzgadnianie różnych trefnych rezolucji. Chciałoby się powiedzieć, że partia rzucała mnie na najtrudniejsze odcinki walki. Rocznic, a więc rezolucji było w początkach tego sejm-

mu sporo. Z J. Onyszkiewiczem negocjowaliśmy rezolucję dotyczącą inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację, wywoływanie duchów z okazji 50. rocznicy paktu Ribbentrop-Mołotow spowodowało prawdziwy minikryzys, który rozładowało spotkanie „ostatniej szansy” u marszałka M. Kozakiewicza i anegdota: „na miedzy leży gówna; miedzą idzie kot ślepy na jedno oko; ile ten kot widzi gównien?” Odpowiedź: „widzi dwa gówna; jednym okiem widzi gówno, drugim okiem gówno widzi”. Ta opowieść była jeszcze wtedy świeża. Zaś na zrelacjonowanie spotkania Szczypiorski-Michnik – z jednej strony i Cimoszewicz-Komornicki – z drugiej na temat rezolucji z okazji 1 września '39 nie mam zezwolenia, bo minąć musi 50 lat. Powiem tylko, że jedni, jak i drudzy robili za klasyczne zestawy KGB: Michnik i Cimoszewicz byli „kijami”, Szczypiorski i Komornicki udawali „marchewki”.

II rata, czyli grupa z Labudą i Nowakiem

Dwa miesiące później gdy wylizałem się już z ran zadanych przez zwolenników Robespierre'a i chłopów z Wandei ponownie zwołałem frankofońskie pospolite ruszenie. I wraz z Barbarą Labudą stworzyliśmy pierwszą w Sejmie tzw. grupę bilateralną – Grupę Parlamentarną Polska-Francja.

Prezydium było z klucza, ale wszyscy jakoś tam sympatyzowali z Francją, z jej historią, z jej ludem, kulturą i kuchnią – za wyjątkiem może wielkoluda z PSL, który wzdrygał się na widok owoców morza i wymieniał ze mną swego śmierzącego Munstera na *creme brulee*. Wszystko było nowe, koniunktura na Francuzów też była niezła. Trzeba było tylko pewne rzeczy sobie przypomnieć: że przewodniczącym Zgromadzenia Narodowego był mój kolega ze studiów (Laurent Fabius), że z szefem Komisji Spraw Zagranicznych siedziałem przez 2 lata w jednej ławce i razem jeździłem w lecie na Port Cros (Michel Vauzelle), że ambasador Francji w Warszawie, Ekscelencja J. Harel to mój dawny asystent na *science po*. A gdy Basia Labuda rozpruła swój worek z nazwiskami, adresami i telefonami okazało się, że ta nasza polsko-francuska mapa jarzy się mrugającymi wesoło zielonymi światełkami.

I nie minęła chwila, gdy już byliśmy wszyscy gośćmi Laurent Fabiusa, wszystkich klubów parlamentarnych (przebieg spotkania z klubem FPK to materiał na skecz kabaretowy), kilku członków Grupy Parlamentarnej Francja-Polska w ich okręgach wyborczych, ministra SZ Roland Dumasa, Michel Vauzelle'a. Na konferencji prasowej obstawiony B. Labudą i znakomitym posłem OKP E. Nowakiem byłem łaskaw wyprowadzić Armię Czerwoną z Polski, gdyż „wycofanie jej mieści się już w logice rzeczy”, co w depeszy AFP znalazło się w tytule.

Jako posła Ziemi Wałbrzyskiej, gdzie mieliśmy pozamykać kopalnie i wymyślić – poza zupą pana Jacka – jakąś ochronę socjalną zabrano mnie do Lotaryngii, bym się z podobnym doświadczeniem zapoznał. E. Nowak załatwiał w Orleanie autobusy dla Krakowa, zaś wielkolud z PSL-u, zanim żeśmy się obejrzieli wydebił kilka zaproszeń dla grup młodych rolników. Bo tak naprawdę, to o to właśnie chodziło. Za rolnikami poszli lekarze, potem kilka grup świeżo upieczonych przedsiębiorców, pielęgniarki, nauczyciele, studenci i młodzież. Ruszyli też samorządowcy, którzy dzięki kolegom

francuskim odkryli zalety unijnych kopert z gotówką na „zblźniaczanie” miast i miasteczek, a nawet wsi.

III rata czyli język jako wehikuł

W tym całym bałaganie odkryliśmy organizację, której oryginalność od początku nas zaintrygowała: Światowe Stowarzyszenie Parlamentarzystów Języka Francuskiego (AMPLF) zrzeszające wybrańców ludu – od Quebecu poprzez Aostę i Jurę szwajcarską, francuskojęzyczną Afrykę, na Indochinach kończąc. Dokument, który pchnęliśmy tam gdzie trzeba i w którym tłumaczyliśmy, jakim to jesteśmy frankofońskim parlamentem, był szczytem demagogii. Miałem czelność dopisać, że „jak nas przyjmiecie, to w przyszłości doprowadzimy jeszcze Rumunów” (sic!). Ku naszemu zdumieniu dostaliśmy zaproszenie jako honorowi goście na Światowe Zgromadzenie AMPLF do Aosty (jak wiadomo – region dwujęzyczny, sąsiadujący *via* tunel Mont Blanc z francuską Sabaudią). W międzyczasie udało nam się stworzyć rzutem na taśmę podobną sekcję w senacie z nieodżałowanym E. Wende na czele.

Na spotkanie plenarne przygotowaliśmy wystąpienie, którego fragment do dziś „robi” za klasyka w frankofońskich annałach. „W ramach typowego dla nas nadmiaru gorliwości (*l'excès de zèle*) – oświadczyłem – wyrzucamy i wyrzucimy z pracy ok. 50 000 nauczycieli języka rosyjskiego. Niemcy i Anglicy za chwilę runą w tę wyrwę. Pomóżcie wykształcić chociaż kilka tysięcy nauczycieli języka francuskiego. Pomożecie?”. Ten apel skwitowała burza oklasków, jeden podpity parlamentarzysta z Quebecu się popłakał, zaś szef delegacji szwajcarskiej Jury wręczył nam (bez pokwitowania!) kopertowe, które później starczyło ledwie na godne podjęcie w restauracji sejmowej księcia d'Ornano ze świtą.

Tłukliśmy potem jeszcze trochę głową w mur, aż tu przychodzi przyjęcie u Michel Roccarda, gdzie mnie przedstawiają Mme Tasca, sekretarzowi stanu ds. frankofonii. I gdy tak zamiętam o intarsjowaną posadzkę różowo-fioletowym piórem mego kapelusza kręcąc różne kunsztowne esy-floresy, i plotę jakieś duby smalone skonfundowany będąc całkowicie jej mijającą właśnie urodą i skrajną powagą jej urzędu – o promieniowaniu kultury francuskiej w dzikich kniejach na wschód od Łaby, o nowych krainach aż piszczących, by być szybko zdobyte, o świeżo wydanych u nas *Królach przeklętych*, których autor – o czym nie wiem – właśnie się koło nas zatrzymuje – Mme Tasca odwraca się ode mnie na pięcie i angażuje w ożywione szepty z Maurice Druonem. A ja, do kroćset, nawet jeszcze nie zacząłem o tych kilkunastu milionach (franków), których potrzebuję na polską sieć Alliances Françaises.

Zamiast sieci udało się założyć placówkę w „moim” Wałbrzyskiem.

IV rata czyli *Ils sont fous, ces Anglais!*

Po latach, gdy wróciłem do Warszawy, tym razem do gmachu PAP poczułem, że moje frankofońskie długi jeszcze się nie przedawniły. Część oficjalnych przyjaźni, które udało się sprywatyzować, pozostała, ale wydało się nam, że można by spróbować coś organizacyjnie nowego. Zwłaszcza że wieści dochodzące z sejmku mówiły, iż dwa poprzednie frankofońskie byty umarły były podobno śmiercią naturalną.

I tak w paroksyzmie czy też skurczu ostatniego wysiłku, w maju 1997 r. do gabinetu o powierzchni M-60 prezesa PAP zaprosiłem wraz z Krzysztofem Urbanowiczem dziennikarzy mówiących po francusku realizując w ten sposób – jak powiedział jeden z pomysłodawców, b. dziennikarz RWE Maciej Morawski – „ideę drogą sercu Kajetana Morawskiego, pisarza i ambasadora, przyjaciela Saint Exupéry'ego i wielkiego zwolennika Europy *a la française*”. Powstał Media-Club Frankofonów ASTERIX.

We wspólnej depeszy PAP-AFP kwitującej wydarzenie mowa jest o celach i zadaniach: organizacji spotkań z ciekawymi Francuzami, wyjazdów i staży językowych i profesjonalnych, promowaniu kultury francuskiej... Mówi się tam również o francuskiej sztuce życia: o świętowaniu *Beaujolais Nouveau*, o degustacji serów i ostryg. Wśród uczestników śniadania założycielskiego (*grand-creme, croissants*, konfitura z truskawek Doroty Komornickiej z Wójtowic) dziennikarz PAP zanotował obecność m.in. J. Pałęckiej, S. Blumsztajna, W. Milewicz, B. Margueritte'a. Był też ambasador Francji w Warszawie B. d'Abouville i b. ambasador Polski w Paryżu R. Fijałkowski.

Bronisław Geremek, bezsprzecznie nasz Frankofon nr 1 odesłał mi tekst depeszy z dedykacją po francusku: „w pełni dzieląc maksymę Obelixa »oni są szaleni, ci Anglicy!« witam powstanie Media-Club Asterix i życzę mu wielu sukcesów w umacnianiu przyjaźni między Polską a Francją”.

Klub zebrał się kilka razy zapraszając m.in. dyrektora generalnego francuskiej l'ENA i ambasadora J. Kułakowskiego. Zorganizował także – wspólnie z Ambasadą Francji – na Zamku Ujazdowskim powitanie *Beaujolais Nouveau*. Zamiast 100 osób, przyszło 500, serów zabrakło po 15 minutach, wina po 20. Organizatorzy na czele z prezesem salwowali się ucieczką przed gniewem rozwścieczonych frankofonów.

I było by to moje ostatnie wspomnienie z serialu zapoczątkowanego przed laty projektem adresu w sprawie Bastylli, gdyby nie Ludwik Lewin, zamieszkały w Paryżu polski pisarz, poeta i... kucharz doskonały oraz ś.p. Krzysztof Ners, kiedyś wiceminister finansów, później wicegubernator Banku Europejskiego, z którymi – po założeniu naszej małej *Slow Food Association* – spotykamy się co roku w początkach września u pp. Lewinów na: czekadełku *a la Lewin* czyli najczęściej *foi gras* ze świeżymi figami, *gigot d'agneau*, *flageolet*, *mo-usse au chocolat*, całość dosyć obficie podlana zaprzyjaźnionym szampanem od pp. Herve De Baere & Fils, zaś czerwone zawsze jest niespodzianką. Od śmierci Nersa nie idziemy już do niego na tezkę *armagnaca*, cygaro i *Trio Jacques'a Loussier*. Miast tego następnego dnia maszerujemy do Grand Palais, gdzie zawsze jest coś niezwykłego. Poza tym, jak zwykle psioczmy na Francuzów, wypominamy im Maurice Papon, *Vel d'hiv*i Dreyfusa. Nabożeństwo zaś mamy do całej reszty. A z Colombey-Les Deux-Eglises, gdzie jedziemy po szampana, a także pokłonić się Generałowi, wysyłamy okolicznościową pocztówkę do Marka Jurka.

Stwierdzam Panie Profesorze, że z frankofonii, a raczej ze statutu Asterixa została tylko sztuka życia.

KRZYSZTOF KOMORNICKI

14 lipca 2009 r.

JERZY PIEKARCZYK

SŁUŻBY SPECJALNEJ TROSKI

Znany dowcip (góral mówi do górala: – Donos gazdo pisecie? – Nie do nos, ino na wos) można potraktować jako ilustrację głębszej filozofii uznającej donos jako wyższy stopień aktywności obywatelskiej w społeczeństwie, w którym upubliczniono sferę prywatności. Chcąc jednak donieść, trzeba najpierw podsłuchać. Chociaż donosicielstwem, podobnie jak podsłuchiowaniem cudzych rozmów nie wypada się szczycić, nie znaczy to jednak, aby zarówno donos jak i podsłuch straciły rację bytu w państwie uważającym się za demokratyczne i przestrzegające prawa.

Źródła prawdy nie zawsze są czyste, i każdy, kto z racji swej pracy zawodowej ma na co dzień do czynienia z donosicielstwem powinien wiedzieć, że w służbach, które w normalnym państwie działają w głębokim cieniu, trudno szukać wzorów godnych upowszechniania. Nie zmienia to jednak faktu, że to, co mało szlachetne, często staje się złem koniecznym. Nawet generał Kiszczak, który uważa siebie za jednego z konstruktorów Okrągłego Stołu mówi dziś redaktorowi Piaseckiemu z TVN, że służby specjalne są filarami Rzeczypospolitej i niezależnie od tego, czy jest ona ludowa czy bezprymiotnikowa, majstrowanie przy tych filarach może się skończyć katastrofą. Chodzi więc o to, aby filary były mocne, nie podlegały zbyt częstej przebudowie, nawet jeśli ich kształt i forma nie zawsze odpowiadają naszym odczuciom estetycznym.

Idąc dalej śladami takiego rozumowania należy przyjąć, że robienie medialnego *show* z udziałem specsłużb jest błędem, jeśli nie rzec – głupotą. Sądząc po tym, z jaką determinacją dokonano w ostatnich latach demontażu służb specjalnych, należy wnioskować, że żyjemy w krainie czubków. Trzeba się leczyć, póki nie jest za późno.

* * *

Wydaje się, że służby specjalne rzucono mediom na pożarcie. Nie ma dnia, żeby coś nie wyciekło z instytucji, których praca na całym świecie otoczona jest wyjątkową dyskrecją. Gdzie jest taki drugi kraj w Europie, gdzie można odnieść wrażenie, że zasoby archiwalne opatrzone są klauzulą: „ściśle tajne, poufne, szczegóły w prasie”? Wędrując meandrami Rzeczypospolitej cóż my widzimy, proszę wycieczki? Otóż Najjaśniejsza, która z taką odrazą wspomina oparte na donosach rządy Rzeczypospolitej robotników i chłopów, teraz wszystko, co stanowi kuchnię tajnych służb, wyciągnęła na publiczne forum, aby każdy podatnik mógł się dowiedzieć, na co idą jego pieniądze, i aby go krew po tej konstatacji nie zalała. Siermiężność pracy agenta „Bolka” w latach 70. nie wytrzymuje porównania z dzisiejszymi standardami pracy agenta „Tomka”, który gra rolę playboya za państwowe pieniądze, rozbija drogie samochody – wszystko po to, aby sprowadzić z drogi cnoty posłankę i wrobić ją w łapówkarską aferę.

W dwadzieścia lat po odstawieniu PRL do lamusa historii, w III RP istnieje dziewięć struktur państwowych, które – jak Centralne Biuro Antykorupcyjne – mają prawo

podśluchiwać obywateli. Wymieniać nie będę, aby nie rozdrażniać celników, którzy też zabiegali o prawo do podsłuchu, niestety bezskutecznie. Formy donoszenia również uległy modernizacji; teraz „kablować” można również za pomocą Internetu wypełniając odpowiedni formularz na stronie www.CBS.

Dziwne jest nie to, że podsłuchy istnieją, ale to, że istnieją mimo wyroku Trybunału Konstytucyjnego, który ograniczył możliwość przechowywania i zbierania materiałów operacyjnych oraz upomniał się o prawa osób podsłuchiowanych. O podsłuchach stało się tak głośno, że orwellowska wizja społeczeństwa inwigilowanego wyszła poza sferę *political fiction* stając się rzeczywistością istniejącą tu i teraz wraz z całym arsenałem środków dziś służących do podsłuchiwania rozmów, a jutro – Boże uchroni! – czytania w myślach. Na razie czytam, że minister sprawiedliwości zarekomendował premierowi zmiany w przepisach dotyczących podsłuchów i zapowiada kolejne, po konsultacji ze służbami specjalnymi, które mają być – jak widać – sędzią we własnej sprawie i naprawiaczem tego, czego do tej pory nie udało im się naprawić.

* * *

Pod koniec lat 70. XX w. bohaterem telewizyjnego serialu był niejaki redaktor Maj, który przemierzał Europę i świat nie zważając na żelazną kurtynę, co już wówczas nasuwało podejrzenie, że redaktor bardziej niż dla agencji prasowej pracował dla Agencji „Ucho”. Przygody bohatera *Życia na gorąco* skończyły się na dziewięciu odcinkach, ale tęsknota za polskim Jamesem Bondem pozostała. Nie zaspokoił jej ani kapitan Czechowicz, który „rozpracował” Radio Wolna Europa, ani pułkownik Kukliński, z którym w ogóle nie wiadomo co robić, bo niby bohater, a jednak – jakkolwiek by było – szpieg, w dodatku Wojska Polskiego, a wojsko w Rzeczypospolitej – wiadomo – rzecz święta. W Krakowie głowią się radni, co teraz robić z uchwałą o postawieniu Kuklińskiemu pomnika, a za plecami już kolejny kandydat do wstąpienia na cokół. Z Centralnego Biura Antykorupcyjnego, nad którym zaczynał się unosić duch czerezwyczajki, wyleciał jego szef, Mariusz Kamiński, którego obaj bracia Kaczyńscy uważają za szlachetnego ideowca poległego za Sprawę, ale tu jeszcze powróci i dopiero wtedy da popalić. Nabożeństwu „ku czci”, jakie się odprawia na cześć Kamieńskiego, towarzyszy nieskrywana tęsknota za jakimś osobowym wzorem uczciwości, na który – niczym na wzorec metra w Sevres pod Paryżem – można by się powołać. Tymczasem im więcej ujawnianych dokumentów, tym większe przeświadczenie, że Kamińskiemu bezstronności w tępieniu korupcji zarzucić nie sposób. Nie zmienia to tworzonego obrazu uczciwego aż do bólu funkcjonariusza służb specjalnych, któremu nie pozwolono na oczyszczenie „stajni Augiasza”. Robespierre też chciał dobrze, ale mu nie wyszło.

JERZY PIEKARCZYK



POLSKA AFERAMI STOI

Życie polityczne w kraju nad Wisłą toczy się od afery do afery. Od początku transformacji ustrojowej nie przytrafił się nam ani jeden rok, w którym nie byłoby jakiegoś przekrętu na wysokim szczeblu, zaś w latach tłustych afery zdarzały się raz na kwartał. Żeby zapobiec tej pladze, która niewątpliwie w ostatnich latach się rozszerza, wymyślono komisje śledcze, wychodząc może i z niegłupiego założenia, że one przynajmniej coś wyjaśnią. Aliści nadzieje okazały się płonne. Co prawda paradująca do dziś w charakterze wzorca tzw. komisja Rywina wskazała jako głównego winowajcę grupę trzymającą władzę, ale dotąd nikt jej – nawet sąd – nie zidentyfikował, choć widziało wielu, a niektórzy na tym jasnowidzeniu próbowali zbić polityczny kapitał. Niestety, nie wyszło. Zgasłe gwiazdy tego spektaklu mogą co najwyżej wspominać dzisiaj minione dni chwały i z uporem godnym lepszej sprawy przekonywać niedowiarków, że wypatrzone ich oczyma wyobraźni polityczne UFO istniało naprawdę.

Dzieje komisji śledczych w III i IV RP potoczyły się jak w bajce: „Miłe złego początki, lecz koniec żalotny...”. Kto nie wierzy, niech obejrzy choć przez chwilę komisję ds. nacisków i posłucha nauczycielki Wróbel. Na jej przykładzie widać, jak przedstawiciel cenionego onegdaj tylko werbalnie – w oficjalnej propagandzie – stanu awansował w IV RP. W głębokim PRL-u felietonista „Współczesności” (późniejszy Hamilton) upatrzył sobie na bohaterkę swoich „Docinków” kierowniczkę szkoły podstawowej o nazwisku Wróbelek, przedstawiając ją jako słodką idiotkę. Za rządów PiS-u nauczycielka Wróbel nie dość, że została postanką, to jeszcze powierzono jej historyczną misję stordedowania prac komisji wszelkimi dostępnymi jej środkami. I choć ów arsenał środków okazał się niezbyt bogaty, postanka wyznaczona jej zadanie realizuje wzorowo. Już ten jeden, ale jakże wymowny przykład, upoważnia do sformułowania tezy o wyższości IV RP nad PRL-em.

Afery, rzecz jasna, nie zaczęły się wraz z transformacją ustrojową, choć jej towarzyszą z różnym nasileniem aż po dzień dzisiejszy. W PRL-u też się zdarzały, jednakowoż zdecydowanie rzadziej. Te najbardziej zapamiętane to afery mięsna, skórzana, „Żelazo” i FOZZ. Ograniczę się do tej, która wróciła w III RP, także na wokandę sądową, za sprawą rodziny i mediów, czyli do przekrętów z mięsem. Za komuny był to towar deficytowy, więc zarazem kryminalogenny. Za różne machlojki w tej branży siedziało wiele osób, ale choć wyroki bywały surowe, bo miały odstraszać, to tylko raz się zdarzyło, że główny winowajca dostał czapę. Działo się to w Warszawie, za rządów tow. Wiesława, którego surowość poglądów w dziedzinie prawa i obyczajów udzieliła się niestety sądowni. W krajach cywilizowanych, jak wiadomo, za przestępstwa gospodarcze nie karze się

śmiercią, natomiast w PRL-u taki fakt zaistniał. Doszło do naruszenia prawa, co potwierdził Sąd Najwyższy po rewizji tamtego wyroku już w Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Ograniczył się jednak tylko do zakwestionowania wymierzonej kary, nie wdając się w sam przedmiot sprawy, czyli czy doszło do przestępstwa.

Tymczasem zarówno rodzina, jak i część mediów przedstawia ową sprawę tak, jakby nic się nie stało, całą winę zrzucając na zbrodniczy system. Jeżeli przystaniemy na taką wykładnię nie tylko afer, ale także zwykłych przestępstw pospolitych dokonywanych w PRL-u, to się niebawem okaże, że w owym czasie w więzieniach siedzieli sami patrioci skazywani przez okrutny reżim. Sąd RP nie pozostanie zatem nic innego, jak ówczesnych skazańców rehabilitować, najlepiej z urzędu, zaś państwu polskiemu wypłacać odszkodowania.

W 2009 roku mieliśmy wysyp afer. Sejm już nie nadąza z powoływaniem komisji śledczych, a tu wciąż nowych afer przybywa. Na tapecie jest afery hazardowa, w kolejce czeka stoczniowa, ale prawdziwy urodzaj dopiero się szykuje. Farbę bowiem puścił niejaki Peter Vogel, który zaczął karierę w wieku 17 lat jako morderca-sadysta, a skończył jako finansista w szwajcarskim banku, obsługujący tajne konta polskich VIP-ów. Na wieść o tym spocili się ręce kilku polityków i urzędników od lewa do prawa, a zagadnięty przez dziennikarza o przetarg na dostawę wagonów dyrektor warszawskiego metra prawie zaniemógł. Można się więc spodziewać, że po aferze mostowej Warszawa będzie miała igrzyska w metrze, a w innych częściach Polski wróćą mniej lub bardziej głośnie prywatyzacje. Okazało się bowiem, że po komunie zostały nie tylko niesprawiedliwe wyroki, kajdany niewoli i gospodarka w stanie permanentnego niedoboru, ale także – o dziwo – całkiem pokaźny majątek, po który ręce ochoczo wyciągnęli starzy i nowi beneficjenci. Uwłaszczyła się bowiem na narodowym majątku nie tylko stara nomenklatura. Kiedy zaczęła się na dobre prywatyzacja, to w dyrekcjach przedsiębiorstw nie ocalał już żaden komuch, a na drzwiach komitetów widniały tabliczki nowej siły przewodniej. Aż dziw, że do tej pory nikt się nie pokusił o sporządzenie raportu o wyprzedzaży narodowego majątku, zwłaszcza na początku lat 90. Dla niepoznaki nazwano ją prywatyzacją, choć od początku wydawała się ona złodziejską nie tylko Lepperowi, ale także Jackowi Kuroniowi, czemu dał wyraz na tych łamach na kilka lat przed śmiercią.

Gdyby udało się odsłonić całą prawdę o transformacji, zwłaszcza w wymiarze ekonomicznym, to zalałby nas potop afer, a wtedy nawet najbardziej nieposzlakowani i czysti nie wiedzieliby, co z tą wiedzą począć.

SCEPTYK

ZBIGNIEW ZAPASIEWICZ

(1934 – 2009)

„Uważam, że teatr się obroni, tylko zmieni swoje funkcje. Na pewno nie wygra walki o masową publiczność. Teatr będzie coraz bardziej elitarny. Być może w przyszłości będzie tylko tym, czym dzisiaj są sceny awangardowe.[...] Na pewno jednak teatr w Polsce będzie musiał zdobyć się na gruntowną reorganizację, żeby mógł działać bardziej efektywnie i nie utracił kontaktu z widownią. Musi się zmienić geografia i struktura teatru. Te najlepsze powinny ruszyć się ze swoich mateczników i zacząć wędrować po Polsce, ponieważ waganctwo jest naturą teatru. Wierzę bowiem głęboko, że na prawdziwą sztukę teatru będzie zawsze zapotrzebowanie”.

Czuję się przede wszystkim aktorem [w:] Trzech na jednego. Rozmowy „Zdania”, pod redakcją Edwarda Chudzińskiego, Kraków 1990, s. 279

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski, Beata Kowalska, Paweł Kozłowski, Lech M. Nijakowski, Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji).

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41

www.kuznica.org.pl; kuznica41@interia.pl

Wydaje Firma Wydawnicza Trans-Krak s.c. na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”

30-134 Kraków, ul. Kunickiego 5

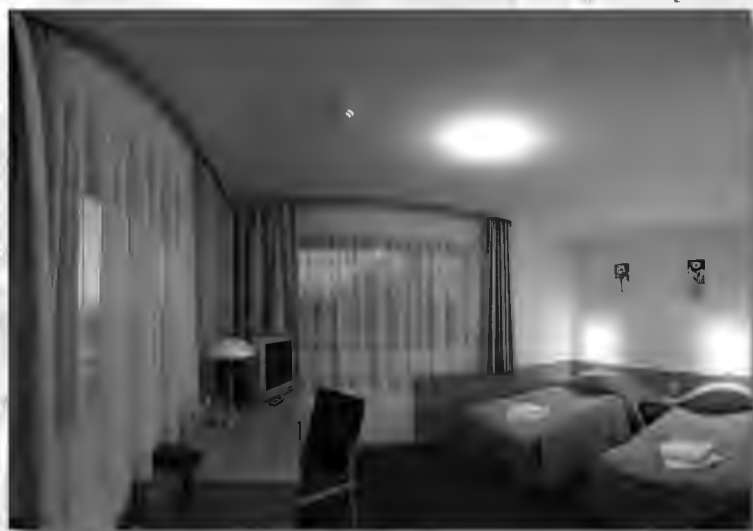
Skład komputerowy i łamanie: Agnieszka Mączka

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.

HOTEL POD WAWELEM

*Najpiękniejsza panorama Zamku Wawelskiego
i zakola Wisły z naszego tarasu widokowego*



Hotel POD WAWELEM***

plac Na Groblach 22
31-101 Kraków

tel. + 48 12 426 26 26
fax. + 48 12 422 33 99

www.hotelpodwawelem.pl
rezerwacja@hotelpodwawelem.pl

